



LISA JEWELL



ULICA MARZEŃ 31

Najprostsze pytania są pytaniami najistotniejszymi.

Gdzie się urodziłeś?

Gdzie jest twój dom?

Dokąd zmierzasz?

Co robisz?

*Pomyśl czasami o tych sprawach, patrz, jak twoje odpowiedzi
zaczynają się zmieniać.*

Richard Bach, *Iluzje, czyli Człowiek, który nie chciał być mesjaszem*, 1977

RS

PROLOG

Leah przyglądała się bacznie domowi z naprzeciwka przez szparę w zasłonach.

Dom numer 31 przy Silversmith Road, wolno stojący, ekscentryczny budynek, wyróżniał się zarówno dzięki swojemu położeniu, jak i wyglądowi. Sto pięćdziesiąt lat temu para emerytowanych złotników wybudowała trzy piętra, z których roztaczały się bezkresne widoki wiejskiego krajobrazu Hertfordshire. Żeby w pełni cieszyć się tą sielanką, zlecili wykonanie werandy z kutego żelaza, która oplotła cały parter. Dzisiaj z werandy można było podziwiać jedynie niezbyt inspirujące, pozbawione indywidualnego stylu szeregowce w stylu wiktoriańskim ciągnące się naprzeciwko i z tyłu domu.

Niekonwencjonalna para złotników zdecydowała się udekorować fasadę domu płytkami w żywych kolorach, przywiezionymi z pchlich targów i bazarów z całego świata. Po obu stronach drzwi wejściowych widniały barwne, bogato zdobione wizerunki pawia, ułożone z płytek ceramicznych. Właśnie dzięki nim dom zyskał nieoficjalną nazwę Dom Pawia. Kiedy Leah opisywała znajomym, gdzie dokładnie mieszka w East Finchley, często mówiła: „No wiesz, dokładnie naprzeciwko Domu Pawia”.

Jeszcze bardziej intrygująco dom wyglądał wieczorem, rozświetlony światłami od wewnątrz. Przypominał Leah ceramiczną lampę, która wisiała w jej pokoju, gdy była małą dziewczynką. Lampa miała kształt grzyba z wyciętymi drzwiami, oknami i maleńkimi ceramicznymi figurkami, które znajdowały się w środku. Leah często wyobrażała sobie, że jest mieszkanką tego ciepłego i przytulnego wnętrza, które kojarzyło się z bezpieczną kryjówką przed wszelkimi niebezpieczeństwami. Patrząc na Dom Pawia, miała dokładnie to samo odczucie. Witrazowe szyby, ozdobne płytki, wiszące lampiony, spadzisty dach i gipsowe lwy z ukruszonymi nosami sprawiały takie korzystne wrażenie.

Kiedy tak przypatrywała się domowi, nagle otworzyły się drzwi wejściowe i ukazała się Dziewczyna z Gitarą. Razem z Amitabhem wymyślili przezwiska dla wszystkich mieszkańców Domu Pawia. Oprócz Dziewczyny z Gitarą mieszkał tam Wychudzony Stary Facet, Wychudzony Młody Facet, Nastolatek, Stewardesa oraz Sybilla (która zmieniała wygląd tak często i radykalnie, że Leah i Amitabh doszli do przekonania, że dziewczyna musiała cierpieć na rozdwojenie jaźni i dlatego przylgnęło do niej to imię). Dziewczyna z Gitarą zatrzymała się na najniższym stopniu i zapaliła papierosa. Potem zgarnęła kosmyk czarnych

włosów za ucho, przewiesiła pokrowiec z gitarą przez ramię i skierowała się w lewo w kierunku High Road, podkreślając każdy krok ostrym i metalicznym stukotem szpilek.

W oknie na drugim piętrze, jak zawsze, siedział Wychudzony Młody Facet. Jego twarz, oświetlona każdego wieczora monitorem komputera, wyrażała niemą, beznadziejną rezygnację. Mężczyzna wyglądał bardzo dziwnie i, choć nie był brzydki, dokładał wszelkich starań, by zaprezentować się z jak najgorszej strony. Głowa z kaskadami nieposkromionych loków przypominała afrykański busz, a równie bujnie rosły okazałe bokobrody, które niczym anielskie skrzydła otulały jego twarz. Rzadko rezygnował z towarzystwa komputera i Leah widziała, jak opuszczał dom może z pięć razy, odkąd przeprowadziła się na Silversmith Road.

Leah nie miała pojęcia, kim byli ludzie po drugiej stronie ulicy. Nie miała pojęcia, jak mieli na imię oraz jakie łączyły ich stosunki. Nie wiedziała, kto był właścicielem domu ani w jaki sposób został zagospodarowany. Czy podzielono go na kawalerki? A może była to wspólnota mieszkaniowa? Albo jakaś dziwna rodzina? Mieszkała naprzeciwko Domu Pawia niemal od trzech lat, a mimo to nie zamieniła słowa z żadnym z jego mieszkańców. Nawet nie wymieniła uśmiechu czy grzecznościowego ukłonu. Leah z natury była ciekawa. Lubiała wiedzieć, kto z kim i dlaczego. Ale jako mieszkanka Londynu przestrzegała zasady nienaruszalności przestrzeni osobistej i pilnowania swojego nosa. Tak więc obserwowała zaintrygowana dom i cierpliwie czekała, mając neodparte wrażenie, że pewnego dnia uda jej się znaleźć odpowiedź na wszystkie pytania.

PIĘTNAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

1 sierpnia 1990

Toby!

Jutro z rana ruszamy z Jemmą do Cape Town. Przykro mi, że ominie mnie Twój ślub, ale jestem pewien, że zrozumiesz.

Do listu załączam pęk kluczy. Kupiłem dla Ciebie i Karen dom w prezencie ślubnym. Peter nabył go na licytacji. Nie widziałem go, ale Peter zapewnia, że to dobry zakup. Wymaga odświeżenia, ale jest mocnej konstrukcji. Co w sumie pasuje jak ulał, bo przecież ten dom reprezentuje Twoje dziedzictwo. Pomyślałem, że skoro zamierzam przeprowadzić się za granicę, to powinieneś posiadać coś na własność. Poza tym zamierzamy z Jemmą się pobrać i lepiej uniknąć tych komplikacji z podziałem majątku.

Nieruchomość to konkretna rzecz, Toby. Jesteś teraz swoim panem. Jestem pewien, że na rynku nieruchomości w Londynie szykują się duże zmiany. Wykorzystaj to maksymalnie.

Peter uprzedził mnie o pewnym mankamencie. Lokator. Jestem pewien, że doradzi Tobie, jak się go pozbyć. Załączam jego wizytówkę, gdybyś go potrzebował.

Życzę Wam wszystkiego najlepszego na sobotę. Jemma i ja wzniesiemy toast za Was oboje, jak tylko słońce wzejdzie nad Camps Bay.

A więc powodzenia.

Wszystkiego dobrego

Reggie/Ojciec

W sierpniu 1990 roku Reggie Dobbs stwierdził z goryczą, że wychowywanie jedyne-
go syna okazało się kompletną stratą czasu, pieniędzy i nasienia. Nigdy nie wybaczył syno-
wi, że przychodząc na świat w postaci gigantycznego męskiego hefalumpa, spustoszył nie-
odwracalnie młode i jędrne ciało żony. Olbrzymie niemowlę rosło w niewyobrażalnym tem-
pie i w wieku lat trzynastu osiągnęło wzrost metr dziewięćdziesiąt dwa, a przy tym chude
było niczym strumień sików, beznadziejne w sportach, zapryszczone, taki żalony przypa-
dek. Toby odziedziczył po matce wzrost, ale niestety nie urodę. Reggie dostawał szału, kie-
dy musiał zadzierać głowę, by spotkać się z nijakim wzrokiem monstrualnego syna, który
kojarzył mu się z wyrosniętym ptakiem krążącym nad swoją ofiarą.

Kiedy Toby skończył pięć lat, został wysłany do szkoły z internatem, a oni starali się o kolejne dzieci, ale nic z tego nie wyszło. A potem Angela umarła. Reggie został sam z synem-olbrzymem, marnotrawcą przestrzeni, który uważał się za „poetę”. Powtarzał mu: „Poeta? W tym komicznym kapeluszu przypominasz raczej dzbanek do herbaty!” Z niewyjaśnionych przyczyn, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, ten dziwoląg zdołał znaleźć sobie kobietę, która w dodatku gotowa była wyjść za niego. Nie grzeszyła zbyt urodą, ale i tak Toby powinien być wdzięczny za to, co miał.

Reggie nie zamierzał uczestniczyć w ich życiu, w zamian postanowił im coś podarować. Usiadł więc ze swoim księgowym i wycenili syna na 75 000 funtów; 3000 funtów za każdy rok życia chłopaka. Taką sumę dostał agent nieruchomości z poleceniem, by nabył za nią coś możliwie najlepszego w drodze przetargu.

Po sfinalizowaniu transakcji Reggie i jego trzecia żona zajęli fotele pierwszej klasy na pokładzie samolotu 747 i polecili do Cape Town, gdzie czekał na nich lokalny agent nieruchomości z kluczami do luksusowego apartamentu z widokiem na Atlantyk. Reggie nie zostawił Toby'emu nowego adresu ani numeru telefonu. Po prostu zniknął z życia syna.

Czasami myślał o nim, szczególnie kiedy pojawiły się dzieci. Zastanawiał się, czy Toby i Karen doczekali się potomstwa, czy został już dziadkiem, czy Toby jest szczęśliwy, czy zdołał się utrzymać z pisania tych żalonych wierszy, czy może dojrzał wreszcie i zaczął brać za siebie odpowiedzialność. W co zresztą bardzo wątpił. Przede wszystkim jednak starał się w ogóle o nim nie myśleć. Przede wszystkim Reggie pił wódkę, jadł obficie, unikał towarzystwa rodziny i zastanawiał się, kiedy umrze.

2 września 1990

Drogi Toby!

Nic z tego nie wyjdzie. Nie tak wyobrażałam sobie małżeństwo. Oczekiwałam czegoś więcej niż tytko nas dwoje, bez grosza przy duszy, w towarzystwie śmierdzącego starucha szwendającego się po wielkim, wilgotnym domu. Myślę, że zdałam sobie sprawę, że nie kocham Cię wystarczająco mocno, by żyć z Tobą w ubóstwie. Sądziłam, że tak, ale myliłam się. Przykro mi, że nie zreflektowałam się wcześniej, ale dopiero coś tak dramatycznego jak ślub wybił mi z głowy te głupie i romantyczne wizje na Twój temat.

Jesteś dobrym człowiekiem, Toby, ale mnie to nie wystarcza. Mam nadzieję, że mnie nie znienawidzisz.

Całusy

Karen

SZUKASZ DLA SIEBIE POKOJU?

Poeta z Finchley, niespodziewanie samotny
w pełnej zakamarków wiktoriańskiej rezydencji ma cztery
pokoje do wypełnienia. Do podziału kuchnia i łazienki.

Czynsz do uzgodnienia w granicach rozsądku.

Artystyczne dusze mile widziane.

Napisz do mnie i przekonaj mnie,
że to właśnie ty powinienesz ze mną zamieszkać.

Listopad 1990

Drogi Samotny Poeto!

Nazywam się Ruby Lewis, mam 16 lat i jestem piosenkarką. Matka wyrzuciła mnie z domu w zeszłym tygodniu, bo jej obleśny mąż wciąż mnie bił. Najwidoczniej uznała, że była to moja wina. Na razie mieszkam z takim jednym gościem. Ma 32 lata i myśli, że ja mam 20. Niezbyt go lubię, ale mieszka w Camden i to jest super. Tak czy owak, bardzo chciałabym zamieszkać w twoim domu, bo wydaje się super, Ty wydajesz się super, a poza tym nie stać mnie na opłacenie normalnego czynszu. Jak już będę najśłynniejszą piosenkarką na świecie, to kupię Ci lamborghini, żeby się odplacić. Proszę, pozwól mi z Tobą zamieszkać. Nie bę-

dziesz żałował.

Pozdrawiam serdecznie Ruby XXX

Kwiecień 2002

Szanowny Panie!

Nazywam się Joanne Fish. Jestem trzydziestojednoletnią aktorką bez zobowiązań. W chwili obecnej mieszkam w New Cross. Przyznam, że nie mam doświadczenia w mieszkaniu ze współlokatorami, ale Pańskie ogłoszenie przyciągnęło moją uwagę, ponieważ znalazłam się właśnie w interesującym i nieoczekiwanym momencie życia — swoistym rozdrożu. Przebyłam długą i skomplikowaną podróż i światelkiem w tunelu okazało się pańskie ogłoszenie. Zdaję sobie sprawę, że otrzyma Pan tysiąc odpowiedzi na zamieszczony anons, więc muszę przedstawić się bardziej interesująco niż pozostałych dziewięćset dziewięćdziesięciu dziewięciu respondentów. Postaram się to zrobić najlepiej, jak potrafię.

Moje życie jest niezwykle. Mieszkalam za granicą, a także w różnych zakątkach tego kraju, włączając Luton (!) i wyspę Man. Podejmowałam się wielu prac, zarówno tych wyjątkowo wspaniałych, jak i absurdalnych. Kiedyś spędziłam całe lato na naklejaniu oczu pluszowym piłkom w fabryce produkującej promocyjne gadżety. Podczas innych wakacji pomagałam słynnej aktorce ćwiczyć rolę, co nie było łatwe, gdyż biedaczka cierpiała na łagodny atak amnezji. Nie nazwałabym siebie szczególnie towarzyską osobą, ale nie stronię od innych ludzi, dlatego Pańskie ogłoszenie tak bardzo do mnie przemówiło. W moim obecnym mieszkaniu panuje tak nieznośna cisza, że tęsknię za dźwiękami ludzkiej egzystencji.

W chwili obecnej przygotowuję się do roli w filmie, do którego zdjęcia mają się rozpocząć pod koniec roku. To mała, ale ważna rola, a reżyser jest bardzo sławny. Niestety cały projekt objęty jest ścisłą tajemnicą i nie mogę ujawnić więcej szczegółów. Oznacza to również, że nie będę dostawać regularnej pensji do chwili rozpoczęcia zdjęć (ale podejmę się tymczasowej pracy), tak więc elastyczne warunki regulowania czynszu nie mogły pojawić się w lepszym momencie.

Poza tym jestem czystą, lubiącą porządek, godną zaufania, uprzejmą i niepalącą osobą.

Z niecierpliwością czekam na Pańską odpowiedź.

Pełna nadziei

Joanne Elizabeth Fish

Luty 2004

Szanowna Pani/Szanowny Panie!

Przyznam szczerze, że zwykle nie czytam „Private Eye”, ale ktoś zostawił ostatni numer w toalecie w pracy i pomyślałem sobie, że co mi szkodzi przejrzeć magazyn, i właśnie to ogłoszenie przykuło moją uwagę. Co prawda nie dla mnie osobiście, mam żonę, trójkę dzieci oraz dom w Hainault, ale dla mojego przyjaciela, Cona.

Con pracuje ze mną w Conde Nast. Jest pomocnikiem w dziale przesyłek, pracuje tutaj od roku. To miły chłopak, trochę samotnik, ale solidny aż do przesady. Nie wziął nawet dnia zwolnienia. Jest młody, myślę, że ma 18 lat i tak się stało, że jego matka związała do Turcji i zostawiła chłopaka na pastwę losu. Wychowywała go babcia, a kiedy staruszka zmarła, to matka przypomniała sobie o nim, obiecała mu złote góry, wynajęła dla nich luksusowe mieszkanie, a po dwóch miesiącach znów się zmyła. Biedny dzieciak nie mógł opłacić czynszu i musiał się wyprowadzić jakiś tydzień temu. Na początku mieszkał z dziewczyną, ale i ona go wyrzuciła. Nie wiem, gdzie teraz mieszka, ale chłopak dosłownie marnieje w oczach. I zaczyna śmierdzieć, taki swąd z brudu i niemycia się. Podejrzewam, że śpi byle gdzie. Przegląda gazety, czyta ogłoszenia, ale nie stać go na nic porządnego, przynajmniej nie za to, co tu zarabia. Próbowałem przekonać go, by zamieszkał u mnie, ale jest zbyt dumny, zresztą, jeśli mam być szczerzy, to nie mamy w domu tyle miejsca.

W Pańskim ogłoszeniu jest mowa, że poszukujecie twórczych ludzi, i chociaż Con niekoniecznie do takich należy, to jest młody i dopiero co zaczyna wchodzić w wiek dorosły i to może być ten moment w życiu, który go wzmocni albo złamie. Kiedy byłem w jego wieku, zadawałem się z nieciekawym towarzystwem, dużo odjechanych prochów, szybka jazda, bijatyki, tego typu rozrywki. Na szczęście dla mnie spotkałem Chrissie i zakochałem się. To ona pokazała mi, jak można żyć lepiej, wie Pan? Uratowała mnie.

Może Pan mógłby uratować Cona.

Mam nadzieję, że weźmie Pan mój list pod rozwagę.

*Szczerze oddany
Nigel Cadwallader*

Wrzesień 2004

Drogi Toby,

Bardzo miło było Cię wczoraj poznać. Chciałabym jeszcze raz podziękować Tobie za wszystko, co zrobiłeś dla mojego Cona. Aż strach pomyśleć co mogło go spotkać, gdybyś go nie przygarnął i nie zaproponował pokoju. Jesteś bardzo dobrym człowiekiem.

Piszę do ciebie, bo jestem w kropce. Nie będę wdawać się w szczegóły, dość powiedzieć, że wkrótce i ja stracę dach nad głową, a o pracy nie ma mowy, póki nie znajdę sobie jakiegoś kąta do mieszkania. Con powiedział mi, że nie ma nic przeciwko temu, bym wprowadziła się do jego pokoju, ale że wpierw powinnam napisać do Ciebie, oficjalnie, bo lubisz porządek w tych sprawach, co oczywiście szanuję. Tak więc czy byłoby to okej, gdybym przez jakiś czas dzieliła pokój z Conem? Będę płacić czynsz, zresztą wprowadzę się tylko na kilka tygodni, póki nie urządzę się na nowo w kraju i nie znajdę pracy.

Naprawdę zależy mi, by być blisko Cona teraz, po tym wszystkim, co go spotkało po moim wyjeździe z kraju. Czuję się winna i chciałabym mu to wszystko wynagrodzić. Jeśli pozwolisz mi spędzić trochę czasu w Twoim pięknym domu, to będę Twoją dłużniczką do końca życia.

*Z poważaniem
Melinda McNulty*

Jedynie wczesnym rankiem, gdy wszyscy lokatorzy jeszcze spali, Toby czuł, że dom należy do niego. Ciszy nie zakłócał zgrzyt klucza w zamku ani tupot stóp po schodach czy głosy niosące się przez ściany. Stał w piżamie w kuchni, zupełnie sam, i przesiewał mąkę do miski, puk, puk, puk, uderzając sitkiem o wierzch dłoni.

Każdego ranka Toby piekł chleb. Ten rytuał przejął od Karen, która miała w zwyczaju codziennie wypiekać aromatyczny bochenek. Tego dnia, gdy żona go zostawiła, Toby zszedł na dół i natychmiast zabrał się do ugniatania ciasta, rozpaczliwie próbując wskrzesić zapach nieudanego małżeństwa. Nie próbował już nawet tego wypieku, po prostu zostawiał ciepły bochenek na tacy dla lokatorów.

Toby nie sypiał dobrze, a jego wrodzoną melancholię spotęgowało teraz przytłaczające zmęczenie. Minęły trzy dni od Nowego Roku i marna rzeczywistość powróciła bezwiednie na miejsce. Wciąż tkwił uwięziony w tym mauzoleum zwanym domem, otoczony ludźmi, których nie znał i nie chciał poznać. Wciąż był mężem kobiety, której nie widział, odkąd skończył dwadzieścia pięć lat. Nadal był niespełnionym poetą, którego wiersze nigdy nie zostały opublikowane, i jak zawsze nie miał grosza przy duszy.

W jego pokoju na górze piętrzył się na biurku stos niezapłaconych rachunków w zamkniętych kopertach. Obok góry papierków wyrosła kolejna sterta listów odmownych od wydawców. Leżał też list od agenta nieruchomości z informacją, że ulica, przy której stał dom Toby'ego, cieszy się ogromnym zainteresowaniem wśród potencjalnych kupców, a do listu dołączony był wykaz domów, które w ostatnim czasie agent sprzedał za niewyobrażalne wręcz kwoty pieniędzy. Toby czuł wdzięczność za uświadomienie go w tej kwestii, ale informacje te nie miały dla niego żadnego znaczenia. Jego dom był przecież pełen ludzi, którzy nie mieli zamiaru się wyprowadzać, a on nie miał zamiaru ich do tego zmuszać.

Toby skończył ugniatać ciasto, włożył je do formy i wstawił do piekarnika. Usłyszał trajkot czyjegoś budzika roznoszący się na piętrze, więc szybko skierował się do swojego pokoju, by przypadkiem nikogo nie spotkać. Po drodze omiatał wzrokiem różne rzeczy. Pod stolikiem tkwiły trampki Cona ze skulonymi w środku, niczym śpiące pieski, skarpetkami. Na poręczy sofy leżał magazyn „Now”, a na podłodze stał kubek z niedopitą herbatą. Czarny, koronkowy kardigan Ruby wisiał na oparciu fotela, a puder Joanne leżał w małym pla-

stikowym pojemniczku na stoliku obok miski z płatkami śniadaniowymi porzuconymi przez Ruby. Miniaturowa plastikowa choinka z wielokolorowymi błyszczącymi gałązkami migotała smutnie w brzasku wczesnego poranka. Spiczaste buty Ruby leżały przy drzwiach, jeden wyprostowany, a drugi, niczym wykolejony pijak, wspierał się o niego. Toby podniósł jeden z butów i przez chwilę wpatrywał się w niego z utęsknieniem.

Taki był ten jego świat, niezmienny od wielu lat. Świat pełen rzeczy należących do innych ludzi, obracający się w ich rytmie, wypełniony ich dramataми, zapachami i zwyczajami. Obecność Toby'ego nie pozostawiała po sobie żadnego śladu w domu. Jakby w ogóle nie istniał. Czasami Toby zastanawiał się, jak by się czuł, gdyby mieszkał sam, wracał do siebie i zastawał wszystko dokładnie w takim stanie jak przed wyjściem. Gdyby nie musiał wyjmować brudnego garnka ze zlewu, by nalać sobie szklankę wody, a jego snu nie zakłócałoby czyjeś chrapanie albo odgłosy rozkoszy cielesnych. Gdyby ludzi znał takimi, jakimi prezentowali się na zewnątrz, a nie musiałby oglądać gołych brzuchów wystających spod niechlujnych, domowych podkoszulków. Czy czułby się ważniejszy? Czy miałby w sobie więcej życia? Pokonał dwa skrzydła schodów, przeskakując naraz po trzy stopnie, i cicho zamknął za sobą drzwi od pokoju.

2

Ruby stała w oknie i obserwowała Cona oddalającego się do pracy. Chłopak szedł sprężystym krokiem, charakterystycznym dla nastolatków w trampkach. Ciemne włosy przygładził jakimś żelem, a dzinsy zwisały mu jakby nieco poniżej pasa, ale nie przekraczały linii pośladków. Chłopak był śliczny, z czystą skórą, proporcjonalnej budowy, z olśniewającymi oczami w kolorze indygo. Ale Ruby nie uważała go za atrakcyjnego. Dla niej nie liczyli się młodszy mężczyźni. Woląta tych starszych. Nie *starych* facetów, ale mężczyzn już nieco zużytych, lekko pomarszczonych, jak książki z drugiego obiegu. Lubiła przyglądać się dojrzałemu mężczyźnie i wyobrażać sobie młodego chłopaka, którym kiedyś był, w ten sam sposób, w jaki patrzy się na twarz dziecka i zastanawia się, jak będzie ono wyglądało, gdy dorośnie.

— W co się tak wpatrujesz?

Ruby obejrzała się i uśmiechnęła do mężczyzny w łóżku. Paul Fox. Jej lekko po-

marszczony, czterdziestopięcioletni kochanek.

— Nic szczególnego — odpowiedziała, mrużąc oczy. Usiadła na brzegu łóżka. Jedna ze stóp Paula wystawała

spod kołdry. Chwyliła jego duży palec między kciuk i palec wskazujący, wsadziła go sobie między zęby i ugryzła go całkiem mocno.

— Au! — Paul szybko wciągnął stopę pod kołdrę. — A to za co?

— To kara — odpowiedziała — za ignorowanie mnie wczoraj wieczorem.

— Co? — Zmarszczył brwi.

— Dobrze wiesz co. Kiedy pojawiła się Eliza, to nagle zacząłeś się zachowywać, jakbyś w ogóle mnie nie znał.

— O Boże. Ruby — przecież to moja dziewczyna!

— Przecież wiem. Ale mimo wszystko to niezbyt miłe, prawda?

Związek Ruby i Paula od zawsze był nieformalną mieszaniną sporadycznych interesów i nieskrępowanej przyjemności. Spotykali się raz czy dwa w tygodniu na drinka lub seks, albo na jedno i drugie, a on wypłacał jej żartobliwie nazywaną przez siebie „pensję”; okrągłą comiesięczną sumkę na życie, tampony i wódkę. Robił tak, bo po pierwsze stać go było na ten wydatek, a po drugie, bo tak mu się podobało. Ten wygodny, niekrępujący układ z odrobiną zabawy odpowiadał obojgu od pięciu lat. Ruby nie oczekiwała niczego więcej od Paula. Choć odczuwała pewne rozczarowanie, że przez te pięć lat ich znajomości Paul nie zdołał się w niej zakochać. A kiedy sześć miesięcy temu Paul zakochał się w czterdziestodwuletniej kobiecie, uosobieniu macierzyństwa z Ladbroke Grove, z dwójką dzieci, własną firmą i winnicą w Toskanii, miała wrażenie, że została oszukana, i nic nie mogła na to poradzić.

— Słuchaj — westchnął Paul, siadając na łóżku. — Nie miałem pojęcia, że pojawi się wczoraj wieczorem. Wcześniej mówiła, że nie znajdzie opiekunki...

— Słucham?

— Miała przyjść zobaczyć zespół, ale zadzwoniła, że nawaliła jej opiekunka i...

— I zaprosiłeś mnie zamiast niej.

— No tak.

— Kurewsko czarujące.

— Jezu, Ruby...

— Jezu-Ruby-co? Mam tego cholernie dość. Ta cała sytuacja jest popierdzielona.

— Ruby, daj spokój.

— Nie, nie dam spokoju. Ty i ja. Kiedyś byliśmy równi. Byliśmy tacy sami. Ale odkąd spotkałeś Elizę, to czuję się, jakbym była jakimś śmieciem, który szwenda się za tobą i łąta dziury w twoim życiu.

— To kompletny odjazd.

— I przestań mówić w ten sposób. Jak jakiś amerykański nastolatek. Masz czterdzieści pięć lat. To brzmi śmiesznie.

Ruby wzdrygnęła się w duchu, kiedy tylko słowa wyleciały jej z ust. Zachowywała się jak ostatnia dziwka, ale nie mogła się opanować.

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Miała pewne wyobrażenie na temat swojego wyglądu, w które głęboko wierzyła. Taka zakopcona brunetka o czarnych oczach z kremową skórą, sprawiająca wrażenie, jakby właśnie skończyła uprawiać seks albo o nim myślała. Z reguły odbicie w lustrze przedstawiało dokładnie to, czego oczekiwała. Ale zdarzały się też i gorsze chwile. Jak dzisiejszy ranek. Pod oczami miała rozmazany makijaż. Czasami z rozmazanym makijażem wyglądała seksownie i drapieźnie. Dzisiaj zaś wyglądała na zmęczoną i jakby obłąkaną. Na głowie nastroszyły się potargane i brudne włosy, które miała umyć wczoraj, ale dała sobie spokój, a na brodzie straszyl duży pryszcz. Zastanawiała się, jak Eliza wyglądała zaraz po przebudzeniu, ale po chwili zdała sobie sprawę, że nie ma to żadnego znaczenia, bo przecież Paul jest w niej zakochany i choćby nie wiadomo co, w jego oczach i tak wygląda najpiękniej na świecie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Ruby odetchnęła z ulgą i zawiązała szlafrok.

— Ruby, to ja, Toby. Westchnęła i otworzyła drzwi.

— Cześć. Przepraszam, chciałem tylko, ee... o, cześć Paul. — Toby wyrżał z za jej ramienia i przesłał Paulowi blady uśmiech.

Paul wyciągnął rękę i wykrzywił usta w równie bladym uśmiechu. Wyglądał głupkowato, usadowiony między poduszkami z marabutami na narzucie ze sztucznej skóry leoparda, z tą swoją szeroką i owłosioną klatką piersiową i czupryną siwiejących włosów. Głupkowato i zupełnie nie na miejscu. Wyglądał — z czego Ruby zdała sobie nagle z przerażeniem sprawę — jak głupi przystojny facet mający głupi romans. Przełknęła ślinę.

— Chciałem tylko przypomnieć ci o czynszu. Pomyślałem sobie, że może dziś mo-

głabyś dać mi czek. Bo trzeba uregulować kilka rachunków i jeśli nie zapłacę do końca tygodnia, to, no cóż, nie będzie ciepłej wody. Albo ogrzewania. To tyle.

— Dobrze — westchnęła Ruby — dobrze już. Dam ci ten czek wieczorem.

— Tak, tyle że to samo mówiłaś w zeszłym tygodniu. Nie dostałem od ciebie żadnych pieniędzy od końca listopada, a nawet wtedy nie zapłaciłaś całej kwoty i...

— Toby. Dam ci ten czek. Wieczorem. Okej?

— Dobrze. Okej. Obiecujesz?

— Obiecuję.

— No dobra. W takim razie to wszystko. Do zobaczenia. Do zobaczenia, Paul.

— Do zobaczenia, Toby.

Ruby zamknęła drzwi, odwróciła się i uśmiechnęła do Paula. Odkrył kołdrę i uśmiechnął się zapraszająco.

— Przykro mi, stary.

Zarzuciła kołdrę z powrotem na jego nagie ciało i sięgnęła po frotkę z nocnego stołeczka. Związała włosy w kitkę.

— Nie jestem w nastroju.

Paul rzucił jej zranione spojrzenie.

— Nawet na szybki numerek? — zapytał.

— Nawet na szybki numerek.

Puściła do niego oko, by złagodzić nieco odmowę. Nie miała ochoty na kolejną awanturę. Zdawała sobie sprawę, że czekała ich Poważna Rozmowa, ale teraz wołała jej nie zaczynać. Pragnęła jedynie wejść pod prysznic. Tak bardzo chciała poczuć się czysta.

3

Con wyciągnął błyszczącą broszurę z koperty i zaczął ją niecierpliwie przeglądać, a jego oczy błyskawicznie rejestrowały zdjęcia. Błękitne niebo, palmy, piaszczyste plaże. Nie była to bynajmniej oferta z biura podróży, ale broszura Szkoły Pilotażu Right Path w Durbanie, w Afryce Południowej. Con przyglądał się krótko ostrzyżonym mężczyznom w śnieżnobiałych koszulkach i naramiennikach, siedzących w maleńkich kokpitach ozdobionych tysiącem guziczków i światełek, gałkami i dźwigniami, i poczuł dreszcz emocji. A po-

tem, zanim ktokolwiek zdążył go zapytać, dlaczego z takim zainteresowaniem przyglądał się zdjęciom, wsunął broszurę z powrotem do koperty i ruszył na ósme piętro.

Wydział magazynu mody „Vogue” wyglądał jak najzwyklejsze biuro. Stały tam biurka, komputery, drukarki i kosze na śmieci. Fluorescencyjne lampy świeciły się na podwieszonym suficie, dzwoniły telefony, brzęczały faksy. I choć to wszystko wyglądało jak przeciętne biuro, w rzeczywistości nie było nim absolutnie.

Con z jednej strony uwielbiał ten moment w ciągu dnia, kiedy pchał swój wózek przez dział „Vogue”, z drugiej zaś wzdrygał się ze strachu. Lubił przyglądać się dziewczynom, chudym jak patyki, delikatnym niczym smugi dymu, noszącym stonowane ubrania i mającym nieskazitelną cerę. Podobał mu się sposób, w jaki siedziały za biurkami, szczupłe nogi splecione niczym dzikie wino, a długie palce stukające rytmicznie w klawiaturę. Lubił ich buty na płaskim obcasie ze spiczastymi czubkami i te przeróżne dziwne dodatki, apaszki, pierścionki, obcisłe kardigany, zupełnie inne od tych, które nosiły dziewczyny w domu. Lubił też sposób, w jaki się odzywały — te zachrypnięte głosy marlboro light — i szczególny kształt, jaki potrafiły nadać zwyczajnym słowom. Kojarzyły mu się z postaciami ze snu — w połowie ukształtowane, półprzezroczyste, nie całkiem ludzkie. Fascynowały go. I odrzucały. Denerwowało go, że istniały poza jego zasięgiem. Czuł się dotknięty, kiedy pchał swój wózek między nimi zupełnie niezauważony, ignorowany, nawet przez te brzydkie. Podawały mu paczki i koperty, zadawały banalne pytania o koszty i terminy; zwracały się do niego jedynie przez kartki papieru.

W swoim świecie, poza połączoną bramą budynku Conde Nast, Con był kimś. W piątkowe wieczory spotykał się z przyjaciółmi w pubie i dziewczyny, te atrakcyjne, kręciły się wokół niego, świdrowały go wzrokiem, zachęcały, by zwrócił na nie uwagę. Tutaj był tylko chłopakiem od przesyłek.

Jedna z tych zjawiskowych dziewczyn podeszła teraz do niego, w dłoni ściskając sporą bąbelkową kopertę. Miała piękne jasne włosy w kolorze ryżowego papieru i bladą, woskową skórę. Zamszowa kamizelka z kosmatą obwódką w kolorze ciastka opinała koronkowy, szary top. Spojrzała na niego oczyma barwy lodowatego błękitu. Con nigdy wcześniej jej tu nie widział.

— Eee — zaczęła, podając mu kopertę. — To musi pójść poleconym. Czy dojdzie do piątku?

Con wziął od niej przesyłkę i zbadał ją w rękach. Była zaadresowana do kogoś w południowej części Londynu.

— Tak, bez problemu.

— Wspaniale — odpowiedziała.

A potem, jak za sprawą czarodziejskiej różdżki, uśmiechnęła się. Nie jednym z tych uśmiechów, którym zwykle częstowały go te dobrze wychowane panienki, nie wyćwiczonym grymasem mięśni twarzy, który tworzył na ustach odwrócony księżyc, ale szczerym wybuchem promieni słonecznych.

— Bardzo dziękuję — odezwała się wciąż uśmiechnięta. — Przepraszam... jak masz na imię?

Con poczuł dreszcz zaskoczenia, który wypłynął z podbrzusza i mknął w kierunku skroni. Zawahał się przez moment, jakby nie całkiem pewien odpowiedzi na to pytanie.

— Connor — odpowiedział w końcu. — Con.

— Con — powtórzyła, przekręcając nieznacznie głowę na jedną stronę. — A ja jestem Daisy.

Daisy — „stokrotka” — pomyślał. Idealnie. Właśnie tak wyglądała. Jasny, prosty kwiatek, maleńki i pięknie ukształtowany.

— Ładnie — stwierdził, czując, że fala gorącego zakłopotania zaczyna opadać.

— Dziękuję. — Uśmiechnęła się ponownie, błyskając śnieżnobiałymi, lekko krzywymi zębami. — Moje siostry to Mimosa i Camellia. Musiałam urodzić się jako bardzo niepozorne niemowlę, skoro obdarzono mnie imieniem tak prostego kwiatka.

Con zaśmiał się. Zauważył, że dziewczyna siedząca obok podniosła wzrok na dźwięk jego śmiechu. Jej twarz wyrażała absolutny brak zrozumienia. Odwróciła się.

— To mój pierwszy dzień w pracy — odezwała się Daisy. — Jestem odpowiedzialna za listy i różne takie, więc będę ci często zawracać głowę.

Con uśmiechnął się.

— Nie ma sprawy — powiedział.

— To fajnie.

A potem obróciła się i wróciła do biurka.

Con wrzucił białą bąbelkową kopertę na wózek i popchnął go w kierunku drzwi na drugim końcu pomieszczenia. Kiedy przechodził obok biurka Daisy, spojrzała na niego i

wyszczrzyła zęby. Z jej ust wyczytał „Pa pa”, potem pomachała mu ręką. Odmachał jej, a serce miało się w jego klatce piersiowej jak łoś w wodzie.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi i znalazł się na korytarzu, odetchnął głęboko i oparł się o ścianę. Próbował odszyfrować sens różnych komunikatów, które wysyłały sobie wzajemnie głowa i serce, ale na próżno. Przepęniało go niejasne poczucie, że właśnie wydarzyło się coś szczególnego, że stanął na skrzyżowaniu i nagle okazało się, że ma jakiś wybór. A wszystko tylko dlatego, że piękna dziewczyna o imieniu Daisy uśmiechnęła się do niego.

Wyprostował się na dźwięk windy i szybko poprowadził wózek w kierunku działu redakcji.

4

W nocy padał śnieg i w czwartkowy rano Silver Smith Road skuł mieniący się lód, więc kiedy Leah wyszła z domu i zobaczyła Wychudzonego Starego Faceta leżącego twarzą do chodnika z rozłożonymi ramionami i nogami, jakby próbował zrobić orła w śniegu, natychmiast pomyślała, że staruszek musiał się poślizgnąć i upaść.

Niemal każdego ranka Leah widziała, jak Wychudzony Stary Facet opuszczał dom. Postępował zawsze tak samo. O ósmej rano otwierał wejściowe drzwi. Potrzebował mniej więcej trzech minut, by dojść do schodów frontowych, przy każdym kroku wspierał się mahoniową laską. U podnóża schodów zatrzymywał się na chwilę, dłoń spoczywała na głowie gipsowego lwa. Wtedy wyjmował z kieszeni szarego tweedowego płaszcza (niezmiennego od czterech sezonów) grubą białą chustkę i z zapalem wycierał nią czubek nosa. Bez względu na pogodę czy porę roku starszy mężczyzna był zawsze zakatarzony. Potem z powrotem składał ogromną chustkę, wpychał ją do kieszeni płaszcza i zaczynał swoją rytualną inspekcję chodnika przed domem. Wszelkie zabłąkane strony gazet czy niedopałki papierosów były oddelegowywane do rynsztoku poprzez ciężkie uderzenie laską, po czym staruszek kontynuował marsz.

— Dzień dobry! — Leah ostrożnie posuwała się naprzód przez pokrytą topniejącym śniegiem ulicę. — Proszę pana, wszystko w porządku?

Wychudzony Stary Facet nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Leah pochyliła się i krzyknęła mu prosto do ucha:

— Czy wszystko w porządku? Potrzebuje pan pomocy?

Mężczyzna leżał bez ruchu i Leah zaczęła podejrzewać, że sprawa jest całkiem poważna. Uniosła pomarszczoną rękę i chwyciła za nadgarstek w poszukiwaniu pulsu. Coś gwałtownie zahamowało pod jej palcami, zupełnie jak ciężarówka, która ma za chwilę zaliczyć zderzenie czołowe. Leah nie potrafiła powiedzieć, czy była to fala krwi starego człowieka czy coś w rodzaju podskórnego karbunkułu. Puściła rękę i spojrzała na drzwi wejściowe. Zerwała się na równe nogi.

— Zawołam kogoś — krzyknęła. — Zaraz wracam.

Pospieszyła w kierunku Domu Pawia i z całych sił uderzyła dłonią o drzwi. Jakaś postać pojawiła się za cętkowaną, witrażową szybą i oto stanął przed nią Wychudzony Młody Facet, bujnie owłosiony na twarzy i głowie, z pytającym, nieco spanikowanym wyrazem twarzy.

— Tak? — zapytał.

— Eee, ten stary mężczyzna — zaczęła — leży tam. — Wskazała za siebie ręką. — Myślę, że nie żyje.

— O Boże. — Zerknął przez jej ramię na leżącą na brzuchu postać na chodniku. — O kurde. Ja tylko... Boże. Muszę założyć buty. — Spojrzał w dół na parę niewiarygodnie długich i kościstych stóp. — Poczekaj sekundę. Nie ruszaj się. — Już miał odejść, ale zaraz obrócił się z powrotem. — Zadzwoń na pogotowie?

— Nie. — Leah potrząsnęła głową.

— Aha. Może trzeba by to zrobić. Myślę, że tak. Dobrze. Buty. Wracam za chwileczkę.

Była mniej więcej w połowie tłumaczenia, co się właściwie stało starszemu panu, kobiecie z północnym akcentem, która odebrała telefon tak szybko, że wiara Leah w pogotowie została odbudowana, kiedy Wychudzony Młody Facet, w kaloszach, pojawił się w podskokach na korytarzu. Podążył za nią po schodach i na chodnik.

— Leży twarzą do ziemi — Leah relacjonowała dyspozytorce. — Nie jestem pewna, czy oddycha. Spojrzała na Wychudzonego Młodego Faceta, który przykucnął przy starszym mężczyźnie i pochylił ucho przy jego ustach. Wzruszył ramionami.

— Nie — kontynuowała Leah — nie jesteśmy pewni. Jest bardzo stary.

— Dziewięćdziesiąt siedem — powiedział chudy, chwytając starego za nadgarstek w

poszukiwaniu pulsu. — Ma dziewięćdziesiąt siedem lat.

— Jezu — Leah jęknęła do słuchawki — on ma dziewięćdziesiąt siedem lat.

Pół godziny później orzeczono, że Gus Veldtman nie żyje, a godzinę później zabrano jego ciało do Barnet General Hospital, gdzie ustalono, że zmarł wskutek rozległego ataku serca. Leah i Wychudzony Młody Facet stali razem na chodniku i odprowadzali wzrokiem odjeżdżający ambulans. Cisza, z jaką karetka oddalała się w kierunku High Road, bez syreny i błyskających świateł, była nieznośnie przykra. Odjeżdżała bez pośpiechu. W końcu zmarły człowiek to nie nagły wypadek.

— No nic — odezwała się Leah, spoglądając na zegarek — na mnie już czas.

— Do pracy?

— Tak. — Skinęła potakująco. — Prowadzę sklep na Broadway.

— Naprawdę? — zapytał. — Jakiego rodzaju sklep?

— Z upominkami. — Uśmiechnęła się. — To bardzo różowy sklep z upominkami.

— Ach tak. — Skinął głową.

— Czy mogłabym jeszcze jakoś pomóc? — zapytała z nadzieją.

— Nie. — Przejechał wierzchem dłoni po twarzy. — Nie. To już chyba wszystko, prawda? Zadzwoń do jego krewnych. Przypuszczam, że zajmą się całą resztą. Trzeba tylko ustalić, co i jak. — Wzruszył ramionami i wepchnął ręce do kieszeni. — Ale dzięki... przepraszam, jak masz na imię?

— Leah.

— Leah. — Pochylił głowę. — Ja jestem Toby, tak przy okazji. — Wyciągnął do niej dłoń wielkości rękawicy do baseballa.

— Toby — powtórzyła i pomyślała, że pomimo wielu różnych imion, które brała pod uwagę, myśląc o Wychudzonym Młodym Facecie, to akurat nie przyszło jej do głowy. — Zabawne — powiedziała — mieszkam po drugiej stronie ulicy od trzech lat i w końcu zaczynam z tobą rozmawiać, bo ktoś umarł. — Wzruszyła ramionami. — Tak to już jest w Londynie.

Toby pokiwał głową.

— Więc jaki on był? Gus? Zawsze myślałam, że to twój dziadek.

— Naprawdę? — Toby zaśmiał się nerwowo.

— Tak. Ale sądząc po twojej reakcji na... — wskazała na miejsce na chodniku, na któ-

rym zmarł staruszek — myliłam się.

— Gus nie był moim dziadkiem. Gus był moim stałym lokatorem.

— Ach — odpowiedziała. — Rozumiem. Więc to twój dom?

— Tak — przytaknął. — To mój dom.

— I ci inni ludzie mieszkający tutaj są...?

— Moimi tymczasowymi lokatorami. — Toby zaczął wyglądać na nieco zmęczonego tą rozmową.

— Przepraszam — zreflektowała się Leah. — Ostatnia rzecz, której teraz potrzebujesz, to lawina pytań. Po prostu należę do ciekawskich osób i od lat zastanawia mnie ten dom, kim wy wszyscy jesteście, jak się poznaliście i... Tak czy owak, puszczę cię już. A jeśli mogłabym w czymkolwiek pomóc, to wiesz, gdzie mieszkam. Proszę, daj tylko znać.

— Dziękuję ci. — Toby uśmiechnął się. — Leah?

— Tak?

— Bardzo ci dziękuję.

— Za co?

— Za to, że byłaś tu. Dziękuję ci.

Odwrócił się i wszedł po schodach do tego dużego, jedyne w swoim rodzaju domu. Leah też się odwróciła w kierunku przystanka autobusowego. Spojrzała jeszcze raz na zimny kawałek chodnika, na którym Gus wydał z siebie ostatnie tchnienie, a potem skierowała wzrok na drzwi wejściowe Domu Pawia. Przez moment mignęła jej jakaś postać przechodząca z pokoju do pokoju, niczym duch. Potem drzwi zatrzasnęły się z hukiem, a ona ocknęła się z zadumy. Pora brać się do roboty.

5

Toby pchnął drzwi do pokoju Gusa. Sypialnię starszego mężczyzny odwiedził do tej pory jedynie dwukrotnie — raz, by sprawdzić, czy Gus żyje, bo staruszek nie pojawił się na śniadaniu (okazało się, że potknął się o but i skręcił kostkę) i drugi raz, by sprawdzić, czy Gus żyje ponieważ nie przyszedł na kolację (pomyłkowo zamiast tabletki na ból głowy położył tabletkę na sen i zasnął w południe w płaszczu i butach).

Pokój był wytapetowany okropną tapetą z wypukłym wzorem w kremowo-

burgundowej tonacji, ściany zdobiły ohydne olejne obrazy oświetlone mosiężnymi lampkami. Niebieskie zasłony w kwiecisty wzorek zwisały ciężko pod ciężarem falban, a na podłodze straszył włochaty, różowy dywan. Mosiężny żyrandol zwiślał ze środka różowego sufitu. Działała tylko jedna żarówka. Podwójne łóżko, zapadnięte w środku niczym hamak, zostało zasłane pościelami w burgundowym kolorze i grubą warstwą wełnianych koców. W pokoju unosił się szczególny zapach, ale nie jak można by przypuszczać starości czy samotności, tylko mleka z proszku i starego kota.

Mleko z proszku mogło być wytłumaczone faktem, że Gus każdego dnia jadł paczkę ciastek. Natomiast stary kot nie mógł być wytłumaczony w żaden sposób.

Toby podszedł do biurka Gusa. Stało przy oknie z widokiem na ogród i asfaltowy dach łazienki na parterze. Gus miał najprawdziwszą maszynę do pisania. Toby nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni widział maszynę do pisania. Staruszek posiadał również sterty książek i papierów, a także kolekcję starych tabakierek w szklanym pudle. Na biurku leżał manuskrypt. Najwyraźniej był bardzo stary, pokryty różnymi znakami napisanymi ołówkiem i poprawkami odnotowanymi piórem. Ubrania Gusa wisały na ciężkich drucianych wieszakach w szafie w stylu lat dwudziestych. Toby pociągnął za parę spodni, a wieszaki zgrzytnęły niczym ogniwa łańcucha.

I właśnie tam, na dnie szafy, leżała czerwona plastikowa taca wypełniona kocimi odchodami. Samotna kupa wystająca spod szarych kamyczków była świeża. Po drugiej stronie szafy stała zielona miseczka zapelniona brązowymi granulkami, mała miseczka wody i ogromna paczka Science Diet.

— Co robisz?

Toby podskoczył i chwycił się za serce.

— Kurde.

W drzwiach stała Ruby. Jadła banana.

— Sorka, myślałam, że słyszysz, jak wchodzę.

— Spójrz na to — powiedział, wskazując na wnętrze szafy. Spojrzała przez jego ramię.

— Co?! — Wykrzywiła twarz.

— No właśnie. W dodatku świeże. Wiedziałaś, że miał kota?

— Pierwsze słyszę. — Wzruszyła ramionami. — A gdzie?

Rozejrzeli się po pokoju. Ruby skończyła banana i nonszalancko wrzuciła skórkę do kosza na śmieci w pokoju Gusa. Nie umknęło to uwagi Toby'ego, który odnotował w pamięci kolejny powód, dla którego powinien się odkochać. Uzbierał już około trzydziestu czy czterdziestu argumentów przemawiających za zrezygowaniem z miłości do Ruby Lewis.

Przespała się z ponad pięćdziesięcioma facetami. I przynajmniej z jedną kobietą.

Zostawiała kawałki obciętych paznokci u nóg na podłodze w łazience.

Do swoich przyjaciółek zwracała się „złotko” i „cukiereczku”.

Zawsze z hukiem zatrzaskiwała za sobą drzwi wejściowe, gdy wracała do domu w nocy, pomimo co najmniej stu pięćdziesięciu bardzo uprzejmych próśb Toby'ego, by tego nie robiła.

Za dużo przeklinała.

Za dużo paliła.

Nigdy nikomu nie przekazywała wiadomości telefonicznych.

Rzadko płaciła czynsz.

Interesowała się jedynie sobą.

Wierzyła w Boga (kiedy jej to pasowało).

Po zmyciu makijażu zostawiała zużyte waciki na półce w łazience.

Nazywała go „Tobes”.

Flirtowała z każdym, nieustannie.

Miała żółtą plamę na jednym z przednich zębów.

Czytała magazyny z wykrzyknikami w tytułach i uparcie raczyła go co bardziej pikantnymi plotkami z życia tak zwanych gwiazd, o których on nigdy nie słyszał.

Prała swoje rzeczy tylko raz w miesiącu i tego dnia przystrajała wszystkie kaloryfery mokrą zawartością swej szafy, zmuszając Toby'ego do gapienia się na jej (zaskakująco niegustowne) gatki podczas jedzenia kolacji.

Uważała, że muzyka klasyczna jest nudna.

Uważała, że klasycy literatury są nudni.

Uważała, że radiowy Program Czwarty jest nudny.

Uważała, że siedzenie w domu jest nudne.

I uważała również, całkiem trafnie zresztą, że Toby jest nudny.

W kółko powtarzała: „Boże, Toby, co z ciebie za nudziarz” za każdym razem, kiedy

próbował poruszyć temat choć trochę poważny, godny uwagi albo nieco polityczny.

Śmiała się z jego ubrań, włosów i łapała go za tyłek przez dzinsy, gdy zdarzało się jej żartować, że Matka Natura poskapiła mu tej części ciała.

Była doprawdy okropna, na tyle różnych sposobów. Okropne dziewczuszyko. Ale, Boże jedyny, tak piękna, i Boże, tak niesamowicie utalentowana.

— Może pod łóżkiem — zasugerowała.

— Co? — Toby otrząsnął się z zadumy.

— Może ten kot tam mieszka.

— Aha, właśnie.

Nagle upadła na ręce i kolana i przybrała pozycję, która skojarzyła się Toby'emu z jedną z tych, które poprzedniego dnia widział w Internecie. Gapił się na jej odziany w dzins tyłek, który kiwał się na boki.

— O mój Boże. Nie wierzę.

— Co?

— Hej — wyszeptała do czegoś pod łóżkiem. — Nie bój się. Wszystko w porządku.

Toby przestał się gapić na dzinsowy tyłek i również przyklęknął przy łóżku.

— Spójrz — wskazała ręką na narożnik. — Tam. Toby zamrugał, a para oczu odpowiedziała mu mrugnięciem.

— O mój Boże.

Zdołali wywabić małe stworzenie spod łóżka, potrząsając miseczką z jedzeniem i wydobywając z siebie mnóstwo głupkowatych dźwięków.

— Nigdy w życiu nie widziałam tak małego kota — powiedziała Ruby, przyglądając się, jak zwierzę delikatnie chrupało ziarenka Science Diet.

Kot wyglądał nieco dziwnie. Na małym ciele, otulonym strąkowatym futrem dźwi-gał monstrualną głowę. Wydawało się, że był jeszcze starszy niż Gus. W pierwszym odruchu Toby chciał pogłaskać zwierzaka, ale łupieżowy nalot na futrze i sterczące kości skutecznie go zniechęciły.

— Nie mogę uwierzyć, że przez tyle lat trzymał tu kota — odezwała się Ruby. — Dlaczego utrzymywał to w tajemnicy?

— Bóg jeden wie — odpowiedział Toby. — Może poprzedni właściciel nie pozwalał trzymać lokatorom zwierząt. Może myślał, że zmuszę go do pozbycia się zwierzaka.

— Tragiczny, co? Takie niewydarzone chucherko.

— Fakt, jest okropny. — Toby cmoknął i potrząsnął głową.

— Ale na swój szczególny sposób nawet słodki, nie uważasz?

— Nie bardzo. — Toby wstał i wyprostował nogi. — Co, do diabła, mamy z nim teraz zrobić?

— Ja go nie chcę — powiedziała Ruby, wzdrygając się nieznacznie.

— Ja też nie.

— No to musimy się go pozbyć.

— Co, mamy go zabić?

— Nie! — Ruby spojrzała na niego przerażona. — Oddać go do schroniska, albo gdzieś.

— O Boże — westchnął Toby, dodając kolejną rzecz do listy Rzeczy Które Musiał Zrobić Bo Gus Zmarł.

Rano zdążył już spędzić godzinę przy telefonie, próbując namierzyć wnuczkę zmarłego brata Gusa, która od ostatniej rozmowy z Gusem zdążyła się przeprowadzić chyba z dziesięć razy. Następnie, sam nie rozumiejąc, jak to się stało, usłyszał swój głos zapraszający na „kameralny poczęstunek” po pogrzebie Gusa, który miał się odbyć w następnym tygodniu. Spotkanie to z pewnością okaże się kompletnym niewypałem. Ponadto musiał znaleźć nowego lokatora do pokoju Gusa, co wiązało się z całkowitym remontem pomieszczenia, gdyż wątpił, by ktokolwiek poniżej sześćdziesięciu lat zechciał docenić wnętrze w stylu pensjonatu z lat siedemdziesiątych. A teraz jeszcze miał na głowie tego dziwnego, niewyrośniętego kota, którego Gus ukrywał w pokoju prawdopodobnie przez ostatnie piętnaście lat.

Ruby podniosła się na nogi i wolnym krokiem ruszyła w kierunku komody.

— Ciekawe, co on tutaj trzyma — powiedziała, otwierając wolno szufladę.

— Ruby! — skarcił ją Toby. — Nie wolno ci grzebać w jego rzeczach.

— Dlaczego nie? Przecież nie żyje. O mój Boże, spójrz tylko na to!

Obróciła się, ściskając coś w jaskrawopomarańczowe tureckie wzory.

— Co to jest? — zapytał Toby.

— Kalesony Gusa! — odpowiedziała z szerokim uśmiechem. — Gdzie w ogóle można dostać takie rzeczy? — Uniosła kalesony bliżej światła i zaczęła im się bacznie przyglądać.

Toby rozejrzał się ponownie po pokoju. Poczul ścisnięcie w sercu.

— Nie mogę uwierzyć, że Gusa już nie ma.

— Ja też nie. — Ruby odłożyła kalesony i zamknęła szufladę.

— Dziewięćdziesiąt siedem lat — westchnął Toby. — Zabrał ze sobą do grobu dziewięćdziesiąt siedem lat życia. Wszystkie te doświadczenia, emocje. Ludzi, których kochał, miejsca, które widział, wszystko przepadło. — Zacisnął palce i pozwolił głowie opaść na klatkę piersiową. — Żałuję, że nie rozmawiałem z nim więcej. Żałuję, że nie wysłuchałem jego historii. Mógłbym je dla niego zachować. No wiesz.

— Och, przestań się rozklejać. — Ruby trąciła go w udo czubkiem buta. — Był żalonym, starym łajdakiem. Z nikim nie chciał dzielić swoich historii. Kiedyś ciągle próbowałam z nim rozmawiać. I nic z tego nie wyszło. Wiem, co ci dobrze zrobi. — Przeciągnęła się i ziewnęła. — Mocny drink.

— Ale nie ma jeszcze piątej.

— No tak, ale jak tu wrócę, to już będzie. A poza tym na dworze jest już ciemno. Zupełnie tak jakby był wieczór. Rum i cola? Gin z tonikiem? Coś mocniejszego? Mam butelkę sznapsa.

Toby gapił się na Ruby z dezaprobatą wymalowaną na twarzy. Ale szybko się otrząsnął. Dzisiaj i tak nie dałby rady zabrać się za tę zapadłą i staromodną dziurę.

— Kieliszek czerwonego wina byłby cudowny — powiedział, pozwalając, by mały uśmiech złagodził jego twarz.

— No to rozumiem — uśmiechnęła się promiennie.

Wyszła z pokoju, a Toby odprowadził ją wzrokiem. Ruby Lewis. Miłość jego życia.

Mały kot czmychnął z powrotem pod łóżko na dźwięk drzwi zamykanych na dole, a Toby otrząsnął się z zadumy. Podeszedł do okna i przyglądał się dachom. Śnieg na ziemi stopniał, ale dachy i drzewa wciąż pokrywała warstwa śnieżnobiałego lukru. Do jutrzejszego ranka nie będzie po nim śladu, zniknie w rynnach i deszczówkach, zabierze ze sobą wspomnienie ośnieżonego, styczniowego dnia. Londyński śnieg przypominał życie: dzisiaj jest, jutro nie. Jaki był sens tego wszystkiego?

Ruby wróciła, niosąc butelkę cava i dwa smukłe kieliszki.

— Znalazłam to w lodówce. To chyba Melindy.

— O Boże, dostanie szau.

— To prawda. — Ruby zamrugła. — Ale nadaje się idealnie. — Wyciągnęła korek i napełniła kieliszki. — Za Gusa — powiedziała, wznosząc kieliszek do góry. — Za śmiesznego starego łobuza, który, co trzeba przyznać, zawsze zostawiał po sobie czystą klapę.

— Za Gusa — powtórzył Toby. — I za przyszłość. Niech będzie równie świetlista jak kalesony Gusa.

6

Tego wieczora przed zaśnięciem Leah leżała w łóżku dłużej niż zwykle. W głowie trawiła tysiące myśli na temat Gusa, Toby'ego, paw i zimnych chodników. Jak można zakończyć życie, mieszkając w dziwnym domu w otoczeniu nieznanym, bez żony czy rodziny przy boku? I odejść w zupełnej samotności? Rozmyślała na temat własnej śmierci w wieku dziewięćdziesięciu siedmiu lat i zdała sobie sprawę, że nie znajdzie się nawet wnuczka brata, która mogłaby rościć sobie prawa do spadku. Jej brat Dominic, zdeklarowany gej, nie rokował nadziei na prokreację, chyba że zaszłyby jakieś radykalne zmiany chemiczne w jego mózgu, w co szczerze wątpiła. Żadnych siostrzenic czy siostrzeńców, które mogłyby mieć dzieci chętne do podtrzymywania stosunków ze starymi krewnymi. Cała odpowiedzialność spoczywała na niej.

Spojrzała na śpiącego obok Amitabha. Jak zwykle rozkopał kołdrę i leżał płasko na plecach, a z jego nosa dolatywały ciche chrapnięcia i gwizdy. Leah wsparła się na łokciu i zaczęła uważnie przyglądać się mężczyźnie. Wpatrywała się w linię jego nosa i kontury czoła. Dotknęła gęstych włosów wierzchem dłoni. A potem nie mogła się powstrzymać, pochyliła się i potarła ustami jego cudowne policzki.

— Jezu! — Podskoczył. — Co? Co się dzieje?

— Nic — odpowiedziała Leah, odsuwając się od niego. — Nic. Pocałowałam cię tylko.

— Dlaczego?

— Bo... No nie wiem. Po prostu miałam na to ochotę.

— Jezu. Jest prawie druga. Dlaczego nie śpisz?

— Nie mogę zasnąć. — Wzruszyła ramionami. — Chodzi o tego faceta. Tego Gusa. Nie mogę przestać nim myśleć.

— O Boże — westchnął Amitabh i naciągnął na siebie kołdrę.

— Jak ty to robisz? — zapytała. — Przecież musisz na to patrzeć każdego dnia. Stary ludzie umierający w samotności. Czy to cię, no wiesz, czy to cię nie rusza?

Amitabh pracował jako pielęgniarz na oddziale geriatrycznym. Znał się na tych sprawach.

— Rety, Leah. Nie teraz. Błagam.

— Czy śmierć wydaje się smutniejsza, gdy oplakuje ją tłum krewnych, czy gdy człowiek odchodzi zupełnie sam?

— Porozmawiajmy o tym rano, dobrze? — Chwytał jej rękę i lekko ścisnął nadgarstek.

— Nie chcę skończyć zupełnie sama — powiedziała. — Naprawdę nie chcę.

— Wszystko jest okej. Jesteś miłą osobą. Na pewno nie będziesz sama.

— Tak, ale bycie miłym nie daje gwarancji na wyjście za męża, urodzenie dzieci i śmierć przyjaciół po twoim pogrzebie, prawda?

— Pomaga w tych sprawach — mruknął.

— Hmm... — Leah wtuliła się z powrotem w poduszki i naciągnęła na siebie kołdrę. W przeciągu następnych dziesięciu sekund oddech Amitabha stał się ciężki. Kolejne dziesięć sekund i spał już snem kamiennym. Leah spojrzała na niego i nagle doznała olśnienia, co musi zrobić. Najbardziej oczywiste rozwiązanie. Nigdy wcześniej niczego nie była tak pewna.

— Am. Amitabh. — Delikatnie potrząsnęła go za ramię. — Am.

— O Boże! Co? — Odwrócił się i patrzył na nią z wyrzutem.

— Kocham cię.

Uniósł brwi.

— Naprawdę cię kocham. I chcę już zawsze być z tobą. No wiesz. Do śmierci. Chcę wyjść za ciebie.

— Co?

— Chcę wyjść za ciebie.

— Nieprawda.

— Właśnie że tak. Ożenisz się ze mną?

— O mój Boże. Mówisz serio, tak?

— Uhm.

— Jezu. — Jego twarz złagodniała. — Leah. Jest już tak późno. Nie mogę...

— Okej — powiedziała, odgarniając kosmyk włosów z jego twarzy. — Nie musisz mi teraz odpowiadać. Prześpij się z tym. Pomyśl o tym.

— Czy to ma coś wspólnego z tym starym mężczyzną? Przechodzisz jakiś kryzys czy coś?

— Nie — odpowiedziała. — Naprawdę nie. Ale dało mi to do myślenia, i tyle. O tym, co ważne. O tym, czego chcę. A chcę ciebie. Na zawsze.

— Porozmawiamy o tym rano.

— Tak — zawtórowała. — Porozmawiamy.

7

Wallace Beaton, mężczyzna o niechlujnym wyglądzie, miał na sobie szary garnitur i krawat w kolorze butelkowej zieleni. Usiadł za biurkiem wielkości jadalnianego stołu i zaczął wertować kartki papieru długimi, suchymi palcami.

— W swoim testamencie pan Veldtman uczynił pana jedynym spadkobiercą swojego majątku.

— Majątku?

— Tak. Pan Veldtman pozostawił panu wszystkie swoje rzeczy, które według mojej wiedzy znajdują się u pana, prawda?

Toby przełknął ślinę i pomyślał ze smutkiem o ohydnych przedwojennych meblach i kolekcji tabakierok.

— Tak, zgadza się.

— A także opiekę nad kotem.

— O Boże, naprawdę?

— Tak jest. Z bezwzględnym nakazem, że kot musi pozostać z panem. Aż do swojej śmierci. Albo pana.

Toby znów przełknął ślinę.

— A jeśli umrę?

— Wtedy kot ma zostać odesłany pod opiekę wnuczki brata pana Veldtmana, która

mieszka w Guernsey. Dobrze. Przejdźmy dalej. — Wyciągnął kolejny arkusz papieru i odchrząknął. — Pan Veldtman posiada, eee... książkę. Wydaną.

— Naprawdę?

— Tak. Opublikowaną w języku holenderskim w roku 1930. Wydanie zostało wznowione dwanaście razy od tego czasu. Tantiemy rozlicza agencja wydawnicza w Hadze. Według woli pana Veldtmana ten literacki spadek zostaje przekazany panu i wszelkie należności związane z publikacją książki mają być wpłacane bezpośrednio na pana konto.

— Niesamowite. Naprawdę?

— Tak. Ale proszę spojrzeć na to z dystansu, gdyż tantiemy pana Veldtmana za okres ostatnich sześciu miesięcy wynosiły pięć funtów i dwadzieścia sześć pensów.

— Och. Okej. Co tam, mimo wszystko to całkiem fajnie, prawda? Dostać literacki spadek.

— Tak. — Wallace Beaton uśmiechnął się cierpko. — To całkiem fajnie.

— No więc czy to już wszystko? Wallace Beaton wzruszył ramionami.

— Tak.

— Aha. Bo chodzi o to, że kiedy rozmawiałem z wnuczką brata Gusa przez telefon w zeszłym tygodniu, wspomniała, że Gus mógł posiadać jakieś akcje i obligacje i różne takie.

— Naprawdę?

— Tak. Wspomniała, że Gus w młodości miał dryg do giełdy.

— Cóż, w tych dokumentach nie ma po tym śladu. — Wallace przejechał swoimi długimi palcami po stosie papierów leżących na biurku. — Być może je sprzedał. A może — powiedział z błyskiem w oku — trzyma fortunę pod materacem?

Toby gwałtownie szarpnął za róg materaca Gusa i zaczął go badać dłonią od spodu. Nie znalazł nic po tej stronie łóżka, więc po kolei unosił pozostałe narożniki.

I wtedy zobaczył coś wciśniętego między stelażem a materacem łóżka. Była to niebieska książka w powycieranej płóciennej oprawie. Wyglądała jak notatnik albo pamiętnik. Toby pochylił się i wyciągnął ją. W dłoniach trzymał ciężką książkę wypchaną papierkami. Na okładce widniał wytłoczony fantazyjnymi literami złoty napis „Królewski”.

Toby usiadł i otworzył notes. Pachniał mokrymi liśćmi i wilgotnym linoleum. Na frontowej stronie widniał ozdobny napis „Własność Augustusa Veldtmana”. Toby zaczął z zapalem przerzucać kartki, bo był niezmiernie ciekaw, z jakiego rodzaju pamiętnikiem ma

do czynienia, i szybko zdał sobie sprawę, że w dłoniach trzymał wszystko to, co siedziało w głowie Gusa Veldtmana: liryki, poezja, listy zakupów, kot, litery, zapiski, przemyślenia, cytaty, rachunki i skrypty. Znajdowały się tam paragony sprzed dziesięciu lat, na których dopisywał maleńkimi literami uwagi w stylu: „całkiem smaczna” obok opakowania pieczonej szynki miodowej Waitrose. Na oderwanej etykiecie ze słoika z sosem serowym do kanapek napisał: „Zwymiotowałem po tym. Napisać do producenta z żądaniem rekompensaty”.

Znalazł tam listy zażywanych tabletek, tytuły czytanych książek i opisy spożywanych posiłków. Były też bilety autobusowe, wypisane recepty i pocztówki od jakiegoś mężczyzny mieszkającego w Niemczech o imieniu Michael („Myślę o tobie często, mój drogi przyjacielu, szczególnie o tej porze roku”).

W zasadzie zawartość notesu powtarzała się i nie była zbyt ciekawa, ale co kilka stron Toby znajdował perełkę, która przykuwała jego wzrok. Na jednej pustej stronie w ramce z wykrzykników widniał taki zapisek:

W łazience w kubku stoją sobie dwie szczotki do mycia zębów. Opierają się o siebie i wyglądają, jakby kopulowały.

Kolejna, nieco bardziej rozbudowana strona, zawierała szczegółowy opis stanu kuchni, w jakim Gus znalazł ją pewnego ranka:

Piętrzące się stosy tłustych talerzy oblepione szczątkami zepsutego jedzenia nasunęły mi na myśl krzywą wieżę w Pizie obkichaną przez stado zatrutych kaczek. Podłoga zapaćkana kleistą plamą, najpewniej surowym wyciekami z ludzkiego organizmu. Mdli mnie na samą myśl, że ludzie potrafią żyć w takich warunkach.

Kolejny zapisek ujawniał wrażenia ze spotkania z Ruby na korytarzu:

Potraktowała mnie, jak ogier potraktowałby osła, zanim wróciła do pokoju, w którym kolejny z jej nieudolnych mężczyzn leżał w oczekiwaniu. Upłynęło zaledwie kilka minut i moje uszy znów zostały narażone na wysłuchiwanie bolesnych jęków jej rozgorączkowanego partnera.

Sporo zapisków dotyczyło kogoś o imieniu Boris.

Boris nadal mnie ignoruje. Myśli, że w ten sposób przyciągnie moją uwagę, ale myli się.

To wszystko z winy Borisa. Co za egoistyczne i źle wychowane stworzenie. Mam nadzieję, że już niedługo umrze.

Razem z Borisem raczyliśmy się przez godzinę świeżym powietrzem. Usadowił się na moich stopach i podziwialiśmy niebieskie, tryumfalne piąstki hiacyntów przebijające się przez skutą lutowym chłodem murawę.

Dopiero kiedy przeczytał: „Wszystko wskazuje na to, że Boris cierpi na rozstrój żołądka. Jego odchody są luźne i śmierdzą obrzydliwie. Dzisiaj byłem zmuszony czyścić kufel pięć razy”, zdał sobie sprawę, że Gus opisywał kota.

Toby ponownie pociągnął za róg materaca i zerknął między szczeble stelaża. Boris spojrzał na niego.

— Cześć, Boris — odezwał się Toby. Kot dziwacznie odwrócił głowę.

— Gus twierdzi, że jesteś egoistą i masz złe maniery.

Kot odwrócił się i zwinął w kłębek.

— Pewnie ma rację.

I wtedy zobaczył jeszcze coś. Czarną torbę z materiału wepchniętą między szczeble. Z przyklejoną za pomocy taśmy kopertą zaadresowaną do niego. Otworzył ją i wyciągnął list napisany na maszynie na cienkim, szeleszczącym papierze.

Mój drogi Toby,

A więc w końcu wybiła moja godzina. Mam szczerą nadzieję, że moja śmierć nie przysporzyła Tobie zbyt wielu niedogodności, że nie zapadłem na jakąś chroniczną chorobę ani nie stałem się ofiarą strasznej plagi. Jeśli tak, to wybacz, proszę. Wybrałem samotność i gdyby ten wybór spowodował, że stałeś się za mnie odpowiedzialny w jakikolwiek sposób, który okazał się dla Ciebie uciążliwy czy kłopotliwy, to bardzo przepraszam.

*Zostawiłem Tobie w spadku moje mizerne kosztowności i mizernego kota. Rób, co chcesz z pierwszym, ale proszę, obchodź się uprzejmie z drugim. I oczywiście jest jeszcze mój literacki „majątek” — ha! — jeśli cokolwiek wart. Ponadto, i co najważniejsze, postępując zgodnie z regułą, że stary człowiek nie powierzy nikomu opieki nad swoimi pieniędzmi, ciulałem moje życiowe oszczędności, chowając je pod materac. Nie jestem pewien, ile dokładnie się tego uzbierało, ale to przyzwoita sumka. Chciałbym, żeby należała do Ciebie, ale pod jednym warunkiem. **I TO JEST BARDZO WAŻNE.** Jesteś dobrym człowiekiem, Toby, ale zagubionym. Ci ludzie w Twoim domu nie doceniają Ciebie ani Twojej hojności. Są jak kule u nogi. Najbardziej boję się tego, Toby, że skończysz tak jak ja: sam, niezrozumiany*

i niedoceniony. Moim zdaniem jesteś na najlepszej drodze. Proszę Cię zatem, byś użył moich pieniędzy i zrobił z nich optymalny pożytek. Sprzedaj dom, zrzuć z siebie te kajdany. Ten dom to tylko cegły i śmietnik. Napraw to, a potem ulecz swoją duszę.

Nie wierzę w życie pośmiertne, więc pozostaje mi jedynie uznać, że postąpisz według mego życzenia. Jesteś najbardziej godnym zaufania człowiekiem, jakiego poznałem w życiu, więc jestem pewien, że tak się stanie. Niech Ci Bóg błogosławi.

*Twój przyjaciel
Augustus Veldtman*

Toby oddychał głęboko i powoli wypuszczał powietrze, próbując uspokoić walące serce w piersiach. A potem podniósł torbę, pociągnął za sznurek i zerknął do środka. Mignął mu czerwony kolor, więc zaraz zamknął worek. Czerwony, czy to nie był przypadkiem kolor pięćdziesięciofuntowego banknotu?

Znów otworzył torbę i wyjął jeden banknot. To była pięćdziesiątka, szeleszcząca, błyszcząca i nowiutka. Wyciągnął kolejną. I jeszcze jedną. Wysypał zawartość torby na łóżko. Morze czerwieni. Żadnych dziesiątek, dwudziestek czy piątek. Tylko pięćdziesiątki. Przycisnął dłonie do ust, by powstrzymać jakikolwiek wrzask, pisk czy krzyk. „Uspokój się” — powtarzał sobie. „Po prostu uspokój się”. Wziął głęboki oddech i zaczął liczyć. Skończył po pięciu minutach.

62,550 £

Sześćdziesiąt dwa tysiące pięćset pięćdziesiąt funtów.

Powoli i metodycznie upchnął banknoty do worka. Wypchaną torbę wsadził pod bluzę i niczym ostrożny i bezszelestny kot oddalił się do swojego pokoju.

8

Wieczorem, po powrocie z pracy Amitabh nie wygłupiał się, jak to miał w zwyczaju. Gdy tylko rozpakował się z zimowych warstw, wyłączył telewizor, usadził Leah na sofie, ujął jej dłonie i powiedział:

— Leah, kocham cię. Ale nie ożenię się z tobą.

— Wiedziałam — westchnęła.

— Przepraszam.

Uniosła dłonie i przeczesła nimi włosy. Znów westchnęła. Do głowy nie przychodziło jej nic, co mogłaby powiedzieć.

— To nie twoja wina.

— Aha.

— Chodzi o to, że... po prostu nie mógłbym tego zrobić moim rodzicom.

— Co?

— To by ich zabiło, kompletnie.

Leah wpatrywała się w niego zdezorientowana. Rodzice Amitabha uwielbiali ją. Rodzice Amitabha uważali, że jest wspaniałą kobietą.

Amitabh przerwał na chwilę i westchnął.

— Słuchaj — odezwał się znowu. — Mam trzydzieści lat. Wynajmowanie razem mieszkania jest w porządku...

— Wynajmowanie mieszkania? — Leah poczuła, jak mięśnie w jej brzuchu zwijają się w węzeł.

— Boże, nie, nie wynajmowanie mieszkania. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Chodzi o nas, ty i ja. To... — Wskazał ręką dookoła pokoju. — To nigdy nie będzie...

— Jezus Maria, Am, co ty chcesz powiedzieć? — Serce pompowało teraz adrenalinę w jej ciele na skalę przemysłową.

— Chcę powiedzieć, że nie mogę się z tobą ożenić. Ani teraz. Ani nigdy potem. Moi rodzice mogą zaakceptować ciebie jako moją dziewczynę, ale nigdy jako żonę.

Leah słyszała każde słowo, ale nie rozumiała ich sensu.

— Co takiego? — zapytała. — Bo jestem biała?

— Tak, bo jesteś biała. Bo jesteś chrześcijanką. Bo nie jesteś profesjonalistką. Bo twój brat jest gejem. Bo pijesz. Bo przeklinasz.

— Boże.

— Myślałem, że wiesz o tym wszystkim. Że akceptujesz to.

— Nie — odezwała się głucho. — Nie, nie wiedziałam.

— Więc co sobie myślałaś?

— Nie wiem. Nic nie myślałam. Myślałam, że mnie lubią.

— Bo lubią cię.

— Więc dlaczego...?

— Bo tak już jest, Leah. To wszystko.

— A jeśli się nie pobierzemy? Możemy ciągnąć ten układ na tych zasadach co teraz?
Amitabh wpatrywał się w sufit.

— To nie takie proste — wydusił z siebie w końcu.

— Dlaczego nie? Jeśli jedyny problem tkwi w tym, że twoi rodzice nie chcą, byś się
zenił z angielską dziewczyną, to nie żeń się ze mną.

— Ale będę musiał się z kimś ożenić.

— Dlaczego?

— Żeby założyć rodzinę. Muszę mieć rodzinę.

— Nie musisz się żenić, żeby mieć rodzinę.

— A... — przerwał i westchnął. — Właśnie że muszę.

Leah przełknęła ślinę, bo wszystko nagle zaczęło układać się w całość.

— Więc chcesz mi powiedzieć, że ostatnie trzy lata to był po prostu okres przejściowy?

— Nie, oczywiście, że nie. Po prostu nie myślałem o przyszłości. Byłem młody. Myślałem, że mam przed sobą nieskończony czas. Nie przypuszczałem, że będziemy ze sobą tak długo.

Leah wpatrywała się w niego, w tego obcego człowieka, z którym dzieliła ostatnie trzy lata życia. Czuła się tak, jakby właśnie wyznał, że jest bigamistą albo terrorystą, albo tajnym agentem. Przez ostatnie lata czytała historie par różnych narodowości, które dochodziły do tego samego punktu; ten wątek widziała w sztuce *Kilroy* i zawsze czuła radosną dumę, wierząc, że ją i Amitabhę czeka inne zakończenie. Sądziła, że jego rodzice kochali ją i popierali ich związek, a poza tym, tak zupełnie szczerze, zanim zorientowała się, że Amitabh jest Hindusem, minęło kilka randek.

— Czy to już koniec?

Skinął głową. Wzruszył ramionami. Skinął ponownie.

— Myślę, że tak — powiedział.

Leah zaczęła płakać.

12 stycznia 2005

Toby!

Minęło sporo czasu. Przepraszam, że nie odzywałem się tak długo, ale tak to już jest w tym życiu. Jemma i ja rozwodzimy się. Ona zostaje w Cape Town z chłopcami (mamy 2 synów, 12 i 9 lat), a ja przeprowadzam się do Johannesburga. Mam kilka spraw do załatwienia w Londynie pod koniec marca, więc zatrzymam się w moim mieszkaniu w Chelsea na kilka tygodni.

Chciałbym się znów z Tobą zobaczyć. Jestem ciekaw, co z Ciebie wyrosło, po Twoim mało obiecującym starcie. I co się stało z domem, który Ci kupiłem tyle lat temu. Jeśli miałeś choć trochę rozumu, to wykorzystałeś sytuację na rynku nieruchomości i podniosłeś wartość domu. Peter mówi, że dzisiaj dom jest wart ponad pół miliona w wykończonym stanie, więc to powinno wystarczyć, by sponsorować Twoją „poezję”! Przeglądałem recenzje książek w „Timesie” przez minione lata, czekając w napięciu, kiedy pojawi się Twoje imię, ale niestety, nie doczekałem się!

W każdym razie nie mogę się doczekać, by wysłuchać kompletnej relacji z Twojego życia. Nie porzuciłem nadziei, że jeszcze kiedyś poczuję się z Ciebie dumny. Wkrótce będziesz miał czterdzieści lat, osiągniesz wiek, w którym mężczyzna wie, czy będzie mógł nazwać swoje życie sukcesem, gdy kostucha zapuka do jego drzwi.

Będę się kontaktował przez Petera.

Wszystkiego dobrego

Reggie (Ojciec)

9

Ustalenie, co w danym czasie mieli robić wszyscy, tak bardzo od siebie różni, lokatorzy Domu Pawia, granaczyło z cudem, więc Toby z wielkim trudem zdołał znaleźć chwilę, gdy dom był pusty, by zaprosić agenta nieruchomości do wyceny budynku.

Szczęśliwym trafem, kilka dni po otrzymaniu listu od ojca, zdarzyło się, że w tym samym czasie Ruby odbywała próbę, Joanne i Con pracowali, a Melinda zaszyła się w salonie fryzjerskim na Crouch End, gdzie miała robione pasemka.

Agent o imieniu Walter, z bujnym wąsem, pojawił się pięć minut później.

— No cóż, muszę przyznać, że to nie lada gratka — oznajmił na przywitanie, zanim jeszcze przekroczył próg domu i uściśnął rękę Toby'ego. — Taka nieruchomość nie pojawia się na rynku zbyt często. — Wytarł smugę potu z czoła wierzchem owłosionej dłoni i zapisał coś w notesie formatu A5. — O tak — mruzczał, rozglądając się po holu. — O tak, tak, tak. Wspaniale. A więc, pan jest właścicielem, panie Dobbs?

— Tak, zgadza się.

— I jak długo posiada pan ten dom?

— Piętnaście lat. Prawie. — Toby przełknął ślinę. Mając przed oczyma osobliwe połączenie garnituru, wąsa i notesu Waltera, czuł się tak, jakby przesłuchiwał go detektyw z filmu z lat siedemdziesiątych.

Walter pokiwał z aprobatą głową.

— Muszę pana uprzedzić — odezwał się Toby, czując, że Walter zaczął ekscytować się za bardzo i zbyt szybko. — Nie dbałem jakoś szczególnie o dom. Z pewnością wymaga on pewnego remontu.

— No cóż, obejrzymy go więc.

Toby poprowadził agenta. Nie zdążył posprzątać przed przybyciem Waltera, więc po całym domu walały się porzucane przedmioty: buty, kubki, papiery, szczotki do włosów, puste koperty, płyty kompaktowe, stare tosty, a na stole w jadalni, na gazecie, ktoś porzucił roślinę w trakcie przesadzania do większej doniczki. Osobny byt pięciu mieszkańców domu zapracował na wspólny bałagan.

— Przepraszam za ten rozgardiasz. Mieszkam tu z kilkoma osobami i wszyscy właśnie wyszli.

— Ach, więc nie mieszka pan sam?

— Nie. Mieszkam z przyjaciółmi.

— Rozumiem. Żadnej rodziny, dzieci?

— Nie. Tylko dorośli. — Toby zaśmiał się nerwowo.

Walter nie odzywał się za wiele podczas wycieczki po domu, odnotowywał coś w notesie i od czasu do czasu wydawał z siebie odgłosy aprobaty. Toby otwierał drzwi do pokojów lokatorów z poczuciem winy. Nigdy wcześniej, pod żadnym pozorem, nie naruszał prywatności mieszkańców domu. Starał się ze wszystkich sił na nic nie patrzeć.

W pokoju Ruby, co było do przewidzenia, panował największy bałagan. Na oknach wisiały jedwabne szale wykończone koronką i zakurzone sznury lampek. Podłogę przykrywały ciuchy, książki i płyty CD. Niezasłane łóżko ginęło wśród porzrzucanych poduszek i pojedynczych części bielizny. Na stolyczku nocnym stała pełna popielniczka, otoczona niechlujnymi kosmetykami i górami biżuterii. Pokój przypominał sypialnię studenta albo kogoś, kto właśnie wyszedł z domu i nie bardzo wiedział, jak ma o siebie zadbać. Pachniał zapomnianym seksem i papierosami.

Minimalistycznie urządzone pokój Cona i Melindy stał niemal pusty. Łóżko Melindy przykrywała ładna, szeleszcząca narzuta i dwie grube poduszki. Materac Cona leżał na podłodze, pościele zostały porzucone w nieładzie. Drewniany panel po lewej stronie okna został ozdobiony słowem „Clarabel” i małym czarnym obrazkiem ślicznej dziewczyny palącej papierosa. Clarabel, artystka cierpiąca na chorobę maniako-depresyjną, mieszkała w tym pokoju przez pół roku w 1996; wyprowadziła się, by poślubić rosyjskiego gimnastyka, i przeniosła się do Petersburga. Toby poczuł się nieco dziwnie, gdy przeszywał go świdrujący wzrok artystki z awangardowego i lekko niepokojącego autoportretu wiszącego w samym środku bezbarwnych rzeczy Cona i Melindy.

— Ile łazienek znajduje się w domu? — zapytał Walter, kierując się do pokoju Joanne.

— Dwie — odpowiedział Toby. — Po jednej na każdym piętrze.

— Dobrze — skwitował Walter. — Jakiś pokój z przyległą łazienką?

— Niestety nie.

Toby nacisnął klamkę do pokoju Joanne i zauważył ze zdziwieniem, że drzwi zostały zakluczone.

— Ojej — powiedział, odwracając się do Waltera. — Eee... są zamknięte.

Walter pokiwał głową.

— Joanne to bardzo skryta dziewczyna. — Toby na próżno pospieszył z wyjaśnieniem.

Na piętrze pokazał Walterowi swój zagracony pokój i jaskrawą sypialnię Gusa, przepaszając za smród starego kota i tłumacząc, że jego właściciel niedawno zmarł. Kiedy znaleźli się w ogrodzie za domem, Toby po raz pierwszy uświadomił sobie obecność góry kompostu gnijącej na trawniku od zeszłego lata i wszechobecnych chwastów przebijających

się z każdej możliwej i co gorsza, niemożliwej szpary, starych rowerowych opon, zardzewiałej karuzeli i wiekowej lodówki upstrzonej nieapetycznymi, brązowymi plamami, ogarnęło go całkowite przygnębienie. Musiał przeproszać za tyle rzeczy, wymyślać tyle wymówek. Nie mieściło mu się w głowie, by Walter wystawił dom na sprzedaż choćby za pięćdziesiąt funtów, nie wspominając o pół milionie.

Zaproponował filiżankę herbaty i usiadł przy kuchennym stole.

— Cóż — zaczął Walter. — To piękny dom.

— Naprawdę tak pan myśli?

— Och, bez wątpienia. Ale, tak jak wspominał pan wcześniej, istnieją pewne mankamenty związane z jego zagospodarowaniem, pomijając już kwestie dekoracyjne czy sposób mieszkania.

— Mieszkania?

— Tak. Przejdźmy do sedna. Mógłbym wystawić dla pana ten dom na sprzedaż choćby i jutro, tak jak stoi, i prawdopodobnie, gdyby znalazł się kupiec albo co bardziej prawdopodobne, developer, przygotowany, by w niego zainwestować, dla którego względy estetyczne nie byłyby przeszkodą, najprawdopodobniej mielibyśmy do czynienia z sumą około siedmuset pięćdziesięciu tysięcy funtów.

Toby przestał oddychać.

— Ale jeśli zdołałby pan odświeżyć dom, wyremontować kuchnię, łazienki, zadbać o ogród i, co najważniejsze, usunąć współlokatorów, by tchnąć w to miejsce atmosferę właściwego rodzinnego ogniska, moglibyśmy oczekiwać znacznie więcej.

— O ile więcej?

— Och, powiedziałbym, że ten dom, odnowiony, wyremontowany, przygotowany dla rodziny pod klucz byłby wart około dziewięciuset tysięcy funtów. Może nawet i milion.

— Naprawdę!?! — Toby zamrugał. — Z pewnością nie aż tyle!

— Oczywiście, że tak. Pewnie zależałoby to od jakości remontu.

— Jezus Maria. — Toby oddychał głęboko i tarmosił bokobrody.

— Ten dom jest wyjątkowy, panie Dobbs. W okolicy nie ma nic podobnego. Ludzie zapłacą ekstra za wyjątkowość.

— Więc gdybym wystawił dom na sprzedaż teraz, to co by się stało?

— Myślę, że nabyłby go developer. Może przerobiłby go na dwa lub trzy mieszkania.

Albo przygotował całość pod rodzinę.

— A gdybym to ja zajął się remontem i pozbył się lokatorów... to znaczy przyjaciół?

— Wtedy mógłby pan oczekiwać znacznie wyższej ceny wywoławczej i w efekcie zyskać więcej.

— A co pan by zrobił na moim miejscu?

— Gdybym posiadał gotówkę, wybrałbym drugą opcję. Bez wątpienia.

— Naprawdę?

Walter zdecydowanie pokiwał głową.

— Bez wątpienia. Ale musi się pan ostro zabrać do roboty. Sytuacja na rynku nieruchomości może się zmienić w każdej chwili. Niech pan pozbędzie się lokatorów, wprowadzi ekipę remontową, wystawi dom na sprzedaż. To zmaksymalizuje zysk.

— No dobrze — bąknął Toby, wpatrując się przez okno w kuchni na zdziczały ogród i czując ogarniającą go nieokiełznaną panikę. — No dobrze. Tak właśnie zrobię.

Gdy Walter zniknął za drzwiami, Toby, po raz pierwszy w życiu, napisał listę rzeczy do zrobienia.

Nagle okazało się, iż pod rozwagę trzeba wziąć tyle kwestii, że aby przejąć nad nimi kontrolę, postanowił umieścić je na papierze.

Rzeczy do zrobienia

1. Kupić nowe sofy.
2. Iść do fryzjera.
3. Kupić nowe skarpety.
4. Zabrać się za kuchnię.
5. Zabrać się za łazienki.
6. Wezwać fachowców do wyceny remontu.
7. Wezwać hydraulika do wyceny remontu.
8. Wezwać dekoratora wnętrz do wyceny pracy.
9. Pozbyć się lokatorów.
10. Sprzedać dom.
11. Przeprowadzić się do Kornwalii (?).
12. Nawiązać współpracę z wydawnictwem (?).

13. Rozwieść się.
14. Odkochać się.
15. Zakochać się w kimś odpowiednim.
16. ZACZAĆ ŻYĆ.

10

Leah nie mogła uwierzyć, że jej karierę zawodową uwieńczy etat w miejscu zwanym Różowym Koliberkiem. Gdy po raz pierwszy usłyszała nazwę sklepu od kobiety w agencji pracy, pomyślała, że to jakiś żart.

— Jak?

— Tak — odpowiedziała kobieta — wiem, jak to brzmi. Ale zrozumie pani na miejscu.

I tak trafiła do najbardziej kobiecego sklepu w Londynie. Fasadę pokrywała farba w kolorze cukrowego rózu, a okna rozświetlały maleńkie lampki przyciemniane piórkami. Jedynie dziewczyny mogły mieć ochotę na zakup rzeczy takich jak ramki na zdjęcia ozdobione kamieniami szlachetnymi i papeteria pachnąca wodą toaletową. Sufit ugiął się pod ciężarem żyrandoli obwieszonych biżuterią i pobielonych bambusowych klatek dla ptaków. Ściany pokrywały lustra z weneckiego szkła i mięciutkie, welwetowe kapelusze w odcieniach śliwki i owoców męczennicy. Ponadto sklep oferował bieliznę utkaną z jedwabnej siateczki i zapakowaną w satynowe pudełeczka wyścielone bibułkami z płatkami róż na wieczkach. I miękkie pluszowe koty w futrzanych płaszczach i szpilkach. A także ręcznie robione kartki urodzinowe ozdobione dżetami i cekinami, poduszki ze skóry z mongolskich owiec w pastelowych kolorach oraz długopisy ozdobione liliowym brokatem i rozwichrzonymi piórkami marabuta.

Cukrowa dekadencja przyprawiająca o mdłości.

Tak naprawdę Leah nie była typem różowej dziewczyny. Lubiła zakładać ciężkie buty i wytarte dzinsy. Ograniczała makijaż do minimum i nie używała perfum. Jedynym ustępstwem w stronę kobiecości były długie i kręcone włosy oraz paznokcie, zawsze zadbane i błyszczące. Leah nie potrzebowała makijażu. Miała urodę jednej z tych zdrowo wyglądających młodych kobiet pracujących w polu, które wyglądały lepiej z ledwo widocznym ey-

elinerem i muśniętymi różem policzkami. Może dlatego Ruth zaproponowała jej pracę. Może nie spojrzała w dół i nie zobaczyła ciężkich buciorów na masywnej podeszwie ze śladami starego błota wycierającego się o brzeg jej jedynych, eleganckich spodni. Pewnie nie zauważyła, że Leah miała na sobie koszulkę z wyeksponowanym logo. A może po prostu spodobała się jej świeżość Leah i te dziewczęce włosy i zdecydowała, że dziewczyna ma wszelkie zadatki, by stać się Różowym Koliberkiem.

Tak czy siak, Ruth zaproponowała jej posadę, a odkąd przeprowadziła się do Los Angeles pięć lat temu i otworzyła Różowy Koliberek II w Beverly Hills, Leah przejęła dowodzenie nad różowym sklepem. Nawet lubiła tę pracę. Traktowała to jako słodko pachnące antidotum na obskurną resztę jej życia. Uwielbiała wchodzić do sklepiku rankiem, schodzić z szarego chodnika wprost do tej delikatnej, różowej jaskini.

Ale gdyby ktoś dziesięć lat temu powiedział jej, że w wieku trzydziestu pięciu lat, wciąż w stanie panińskim, bez mieszkania na własność, będzie prowadzić sklep z upominkami na Muswell Hill, kopnęłaby go w tyłek. A tymczasem sprzedawała świecidełka o zawyżonej cenie dziewczętom, babciom i niedojrzałym kobietom i czuła od stóp do głów pędzący w jej kierunku kryzys egzystencjalny.

O godzinie piętnastej rozległ się dzwonek nad drzwiami Różowego Koliberka, dokładnie wtedy, gdy Leah otworzyła nowy numer „Heat” i miała właśnie dobrać się do sałatki tortellini. Schowała plastikowy kubek pod ladę i spojrzała na drzwi.

Stał w nich Toby.

Miał na sobie kremowy golf z grubym splotem warkoczy, wąskie czarne džinsy i czerwoną apaszkę. Głowę nakrył szarą, prążkowaną, wełnianą czapką, a na stopach błyszczały ogromne buty. Mimo tej osobliwej mieszanki stylów całość jakoś się prezentowała, nawet z tymi bujnymi i niemodnymi bokobrodami. Leah nie mogła się powstrzymać i uśmiechnęła się na jego widok.

— Witaj — zawołał, wypatrując jej twarzy zza papierowej parasolki w chińskie wzory.

— Witaj — zerknęła na niego.

— To ja — oznajmił przepraszająco — Toby.

— Tak, pamiętam — skinęła głową i uśmiechnęła się.

— Więc — omiatał nerwowo sklep wzrokiem — to tu pracujesz?

— Aha. To mój... różowy i pluszowy świat. — Rozpostarła szeroko ramiona.

— Ładnie tu — stwierdził. — Przechodziłem obok chyba z milion razy i nigdy nie zajrzałem do środka.

— No cóż, albo się jest osobą, na którą podziałają jak magnes piórkowe lampki, albo nie.

— Sam nie wiem — powiedział, rozglądając się dookoła. — Niektóre rzeczy podoba mi się. Te poduszki są świetne. — Chwycił metkę z ceną wyszywanej cekinami poduszki w kolorze kości słoniowej i skrzywił się lekko. — O mój Boże — jęknął. — Za poduszkę?

— Tak jest — przytaknęła Leah. — Lepiej, żebyś nie wiedział, jaką nakładamy marżę.

— Pewnie nie — zgodził się.

Odwrócili się oboje na dźwięk dzwonka. Do sklepu weszła starsza pani w wełnianym płaszczu. Leah przywitała ją uśmiechem.

— Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że pojawiłem się tu bez zapowiedzi. Po prostu, sam nie wiem doprawdy, ale tak jakoś dziwnie się czuję, że nie widziałem cię od tamtego wydarzenia. A wspomniałaś, że pracujesz w różowym sklepie z pamiątkami i właśnie przechodziłem obok, i pomyślałem, że to musi być ten różowy sklep. I postanowiłem wejść i się przywitać. I podziękować raz jeszcze.

— Za co?

— Że zachowałam zimną krew i opanowanie w kryzysowej sytuacji.

— Ach tam. W niczym innym nie jestem tak dobra jak w sytuacjach kryzysowych.

— To prawda.

— Już po pogrzebie?

— Tak. Był we wtorek.

— I jak?

— Beznadziejnie — odpowiedział z uśmiechem. — Okropnie. Padało cały dzień, do tego straszni krewni.

— No to nieźle.

— Ale od tego czasu wydarzyło się wiele interesujących rzeczy.

— Naprawdę?

— Tak. Mogę śmiało stwierdzić, że moje życie zostało wywrócone do góry nogami.

— Boże, serio? W jaki sposób?

— Cóż... — Toby przerwał i oblizał usta. Potem podrapał bokobrody i wykrzywił twarz. Leah przyglądała mu się z ciekawością.

— Wszystko w porządku? — zapytała.

— Słuchaj — odpowiedział — mam nadzieję, że nie uważasz mnie za ostatniego dziwaka, ale pamiętam, jak mówiłaś, że jesteś ciekawa z natury, ciekawa ludzi, ma się rozumieć, a niestety ciekawość nie jest moją mocną stroną, a jestem właśnie w rozterce i naprawdę muszę, Boże, zabrzmiało to bardzo amerykańsko i niedorzecznie, ale naprawdę muszę się wygadać. I wiem, że praktycznie się nie znamy, ale nie znam nikogo innego, przy kim czułbym się tak swojsko i mógłbym opowiedzieć o tym wszystkim...

— Chcesz ze mną pogadać?

— Tak. — Skinął potakująco.

— O twoich problemach?

— No tak.

— Fajnie. — Uśmiechnęła się, ześlizgując się z taboretu. — Chodźmy więc na kawę.

Poszli do Ruby In The Dust. Toby zamówił cappuccino, a Leah herbatę miętową i kawałek sernika. Spojrzała na Toby'ego. Pod nosem miał wąsa z piany, a czekoladowy proszek pokrył jego kilkudniowy zarost. Oparła się pokusie, by wytrzeć mu twarz serwetką, i uśmiechnęła się do niego.

— Więc — zaczął Toby — sprawa wygląda tak. Gus zostawił mi trochę pieniędzy. Pośmiertnie.

— Ma się rozumieć.

— I teraz, dziwnym zbiegiem okoliczności, mój żyjący ze mną w separacji ojciec wraca do Londynu, żeby mnie zobaczyć. Jeśli mam być szczery, to dla mnie umarł już dawno, nie sądziłem, że go jeszcze kiedykolwiek zobaczę, w przyszłym roku skończę czterdzieści lat i mam takie silne uczucie, że to moja ostatnia szansa, by zmienić swoje życie, bo utknąłem w tej okropnej, okropnej rutynie, która została teraz ze zgrzytem przerwana, jak mi się wydaje, i mam zarówno motywację, jak i środki, by coś z tym zrobić, żeby odnowić dom i wystawić go na sprzedaż. Ale jest jeden szkopuł.

— Tak?

— Moi lokatorzy. Muszę się ich pozbyć.

— Aha...

— Muszą się wyprowadzić. Wszyscy. Żebym mógł przeprowadzić remont i sprzedać dom przed powrotem ojca.

— A kiedy wraca?

— Pod koniec marca. Dziesięć tygodni.

— No dobra. To czemu nie możesz po prostu dać im wypowiedzenia?

— Bo... — Toby przerwał i westchnął. — Boże, sam nie wiem, to takie żalosne, naprawdę, wiem dokładnie, co powinienem zrobić, ale z jakichś powodów nie mogę się do tego zmusić. Z jakichś powodów czuję się za nich wszystkich odpowiedzialny.

— Ale dlaczego?

— Bo, no, bo oni wszyscy są tacy zagubieni.

— Zagubieni?

— Tak, każdy z nich, w różnym stopniu. W moim domu mieszkają tylko dlatego, że nie mają absolutnie żadnej innej opcji. Żadnych przyjaciół, rodziny, zabezpieczenia. I jeśli ich wyeksmituję, to co się z nimi stanie? Co oni wszyscy poczną?

— No tak, ale przecież to nie twój problem, prawda?

— No niby nie, z technicznego punktu widzenia, ale czuję się w jakimś stopniu odpowiedzialny. W końcu to ja zaprosiłem ich do wspólnego mieszkania. To ja zamieściłem ogłoszenie i wybrałem ich dlatego, że naprawdę potrzebowali pomocy. Mam wrażenie, jakbym chciał ich wyrzucić z ich jedyne go domu rodzinnego. A najśmieszniejsze jest to, że zawsze myślałem, że od sprzedaży domu wstrzymuje mnie jedynie Gus, a teraz on nie żyje, a ja zdaję sobie sprawę, że nie chodziło tylko o niego. O nich wszystkich.

— Więc co zamierzasz zrobić?

— I o to właśnie chodzi. Mógłbym ze spokojnym sumieniem poprosić, by się wyprowadzili, jedynie gdybym miał pewność, że mają dokąd pójść, z kim mieszkać. Mógłbym to zrobić, jedynie gdybym miał pewność, że będą...

— Szczęśliwi?

— Właśnie. Szczęśliwi. A tak naprawdę nie wiem o nich nic, poza rodzajem płatków, jakie jedzą na śniadanie. Nie lubię zadawać pytań. To mnie krępuje. Ale póki nie dowiem się czegoś więcej o moich lokatorach, to nie mam szans, by zaspokoić ich potrzeby. A przy twojej wrodzonej zdolności bycia ciekawą zastanawiałem się, czy możesz mi jakoś pomóc

albo przynajmniej zdradzić sposoby na poznanie ich myśli.

— Chcesz, żebym nauczyła cię, jak być ciekawskim?

— No chyba tak.

— To proste. Po prostu musisz zadawać mnóstwo pytań.

— O Boże, ale jakich pytań?

— No nie wiem. Po prostu zapytaj, co u nich słychać. Co zamierzają. Jakie mają plany.

— Hm. — Toby zmarszczył twarz. — Ale czy nie pomyślą sobie, że wtrącam się w nie swoje sprawy?

— Oczywiście, że nie. Ludzie uwielbiają opowiadać o sobie.

— Naprawdę? Ja tego nie lubię.

— No, nie każdy to lubi. Ale większość tak. A ja mogłabym też pomóc, jeśli chcesz.

— Mogłabyś?

— Tak. Mogłabym zacząć z nimi rozmawiać. Powęszyć tu i tam. No wiesz.

Toby spojrział na nią z podziwem.

— Zrobiłabyś to dla mnie?

— Pewnie, że tak. Mówiłam ci. Jestem nieobliczalnie ciekawska.

Uśmiechnęła się wtedy, bo jej wyobraźnia już zaczęła trawić ten pomysł. Obserwowała mieszkańców Domu Pawia przez trzy lata, zastanawiała się, kim byli, czym się zajmowali i dlaczego tu mieszkali, a teraz została oficjalnie poproszona, by dowiedzieć się tego wszystkiego.

— Słuchaj, jeśli naprawdę to żaden problem dla ciebie i mogłabyś to zrobić, to, jejku, to byłoby niesamowite. W przyszłym tygodniu wypadają moje trzydzieste dziewiąte urodziny, i tak sobie pomyślałem, że zaproszę kilka osób do pubu, i może zechciałabyś przyjść. To będzie szansa, byś mogła...

— Powęszyć?

— Tak — uśmiechnął się. — A twój, ee, chłopak? Mąż?

Leah rzuciła mu pytające spojrzenie.

— Ten lekarz. Azjatycki chłopak.

— Ach. Amitabh. Mój eks-chłopak. Zerwaliśmy ze sobą.

— O kurde. Przykro mi. Ja...

— A poza tym to pielęgniarz, a nie lekarz.

— Aha. No tak. Miałem właśnie powiedzieć, żeby przyszedł z tobą. Ale w takiej sytuacji oczywiście... Naprawdę nie miałem pojęcia.

— Wszystko gra. Z ręką na sercu. Zerwaliśmy w zeszłym tygodniu. Zaproponowałam, żebyśmy się pobrali, a on nagle zrobił się bardzo hinduski. Stwierdził, że za taki występek straciłby rodziców. I tak się to skończyło.

— Bardzo mi przykro.

— No cóż. — Leah wzruszyła ramionami, powstrzymując łzy, żeby nie wprawić Toby'ego w zakłopotanie. — Każdy może wejść w gówno. Próbuję podejść do tego filozoficznie.

— Tak, to najlepszy sposób. Absolutnie.

Na chwilę zapadła cisza. Leah spojrzała na Toby'ego. Patrzył smutnym wzrokiem za okno, wyglądał melancholijnie.

— Proszę, proszę — odezwała się ze śmiechem. — To świetna okazja, byś poćwiczył bycie ciekawskim. Ciekawski człowiek chciałby dowiedzieć się więcej o naszym rozstaniu.

Toby gapił się na nią w osłupieniu.

— Więc zadaj mi więcej pytań.

— Jakich pytań?

— Pytań na temat naszego rozstania.

— No przecież powiedziałaś mi właśnie, dlaczego zerwaliśmy. O co jeszcze mam pytać?

— Na przykład, możesz mnie zapytać, jak długo byliśmy razem.

— Aha. No dobrze. Jak długo byliście razem?

— Nie! Nie tak. Musisz brzmieć tak, jakbyś naprawdę chciał wiedzieć. Powiedz: „Och, nie, to straszne. Jak długo byliście razem?”.

Toby zaczerwienił się i chrząknął.

— Eee, och jej, moje biedactwo, jak długo byliście razem?

— Prawie trzy lata.

Toby skinął głową.

— I?

— I co?

— Zadał mi więcej pytań. Zapytał, jak się poznaliśmy.

— Więc — jak się poznaliście?

— Spotkaliśmy się na weselu jego kuzyna.

— Ach tak.

— Pannę młodą znałam z pracy. Myślę, że zaprosiła mnie tylko dlatego, że ktoś jej odmówił w ostatniej chwili. Tobi pokiwał głową zakłopotany.

— No dalej — powiedziała zachęcająco. Odchrząknął.

— To miły chłopak?

— Tak — odpowiedziała. — Bardzo miły. Ale najwyraźniej nie tak miły, jak myślałam.

— I co teraz?

— Am wyprowadził się do mieszkania służbowego, a ja muszę sobie znaleźć nowe lokum.

— I, eee, jak się z tym czujesz?

— Jestem bardzo zła, bardzo smutna i bardzo zdenerwowana. — Przerwała w tym momencie, bo dolna warga zaczęła niebezpiecznie drżeć, a uśmiech załamał się. Powstrzymała łzy i zaśmiała się. A potem, nie mogła się temu oprzeć, wzięła serwetkę i starła czekoladę z jego brody.

— Sam widzisz — powiedziała, wymuszając wąły uśmiech — to łatwe, prawda? Bycie ciekawskim.

— Przypuszczam, że tak.

— Więc, myślisz, że dasz sobie radę? Że poznasz swoich lokatorów?

— Tak, naprawdę myślę, że dam radę. — Tobi pokiwał głową.

11

Joanne weszła do kuchni. Miała na sobie dzinsy z pasem nieco powyżej talii, czerwoną, dzianinową koszulkę polo, małe, złote kolczyki, a na nogach bardzo praktyczne, skórzane buty na płaskim obcasie. Przycięte na krótkiego pazia włosy spięła z jednej strony błyszczącą klamrą, dzięki czemu strój stosowny dla bardziej dojrzałej kobiety uzyskał dziewczęcy, choć tu nieco dziwaczny akcent. Na ustach widniały resztki pomadki w niezbyt twa-

rzowym, koralowym odcieniu. Wyglądała na zszokowaną widokiem Toby'ego w kuchni i już miała wyjść bez słowa, ale udało mu się ją zatrzymać przywitaniem.

— Jak się masz? — zapytał wolno, uważnie.

— W porządku, dzięki — wymamrotała, napełniając czajnik.

Począł, aż grzecznościowo odwzajemni pytanie albo przynajmniej zaproponuje mu filiżankę herbaty, ale na próżno. Zamiast tego nuciła sobie cichutko i gapiła się w okno, podczas gdy w czajniku głośno gotowała się woda. Toby wpatrywał się w jej plecy. Była bardzo drobna. Niesamowicie szczupła. Miał wrażenie, że bez problemu objąłby dłońmi jej talię, a w ramionach nie była szersza niż książka telefoniczna.

— Joanne... — Przerwał, bo nie do końca wiedział, jak powinien kontynuować. — Jak długo już tutaj mieszkasz?

Obróciła się na pięcie.

— Co? — zapytała, wskazując na podłogę. — Tutaj?

— No tak — odpowiedział Toby. — No wiesz. W tym domu.

— Ach tak. O Boże, nie jestem pewna. — Wydeła wargi i wpatrywała się w sufit.

Toby czekał z paczką mąki w lewej dłoni i zastanawiał się, czy liczyła miesiące, czy po prostu utkwiała wzrok w wilgotnej plamie.

— Dwa lata i osiem miesięcy — odezwała się w końcu.

— Aha.

— I dwadzieścia dni.

— Aha — powtórzył Toby.

— Wprowadziłam się czwartego maja 2002 roku. To był słoneczny dzień.

— Naprawdę? — Potarł brodę, jakby sam próbował przypomnieć sobie tamten dzień.

— Tak. Przeprowadziłam się z południowo-wschodniej części Londynu. Trwała jakaś manifestacja za legalizacją marihuany czy coś. Ulicą paradowali ludzie przebrani za liście konopi. Cieszyłam się, że się stamtąd wynoszę.

Toby zaśmiał się, ulżyło mu, że Joanne wprowadziła beztroski ton do sztywnej konwersacji, ale ona tylko gapiła się na niego bez wyrazu.

— Dlaczego pytasz?

— Nie wiem — odpowiedział, sięgając po sito. — Tak się zastanawiałem.

W kuchni znów zapadła cisza zmacona jedynie dźwiękiem kręcącej się łyżeczki w

kubku Joanne.

— I jak ci się tu podoba?

— Gdzie?

— Tu, w domu. Lubisz tu mieszkać? Jesteś szczęśliwa?

— Hm. — Wzruszyła ramionami, wolno mieszając torebkę herbaty. — Wszystko jest w porządku. Na nic nie narzekam. Dlaczego? — Jej oczy zwęziły się. — Czy chcesz ze mną omówić jakiś problem?

— Boże, ależ skąd. Pomyślałem tylko, że dawno nie rozmawialiśmy, i chciałem się tylko upewnić, że u ciebie wszystko okej. To tyle.

— Uhm — skinęła krótko i przycisnęła torebkę herbaty do ściany kubka.

— A co tam w pracy?

— W porządku. — Wyrzuciła torebkę do kosza na śmieci.

— Czy wciąż, no wiesz, wciąż grasz tamtą rolę? Toby poczuł, że zaczyna się pocić.

— Nie — odpowiedziała, wrzucając łyżeczkę do zlewu.

— A ta rola? Ta, do której ćwiczyłaś, czy, eee...?

— Nie. Nic z tego nie wyszło.

— Och, a to szkoda. Coś nowego w przygotowaniu?

— Nie ma żadnych przygotowań.

— Och — powiedział. — Och. Okej. Więc ty tylko...?

— Tylko co?

— Sam nie wiem. Ale masz pracę?

— Tak. — Podniosła swój kubek. — Mam pracę. Toby kiwnął głową, nieco mechanicznie.

— To dobrze — zdążył jeszcze rzucić, gdy przemknęła obok niego, zostawiając za sobą aromat herbaty Earl Grey. — To dobrze.

12

Toby cieszył się, że nie był nastolatkiem w dwudziestym pierwszym wieku; współczesny świat wydawał się tak bardzo bezduszny i konformistyczny. Według niego wszystkie młode dziewczyny wyglądały tak samo. Odsłaniały ten sam kawałek brzucha między iden-

tycznym dzianinowym topem i džinsami biodrówkami, a w pępkach błyszczał jednakowy kamień. Podobnie układały długie włosy z przedziałkiem na jedną stronę, smarowały usta tym samym lepkiem i błyszczącym żelem i wszystkie twarze miały ten charakterystyczny odcień brązu Balearów przez cały rok. Coś dziwnego stało się również ze współczesnymi stanikami, które formowały dziewczęce piersi na kształt puszek z puddingiem, a sztywno przymocowany z przodu biust wyglądał tak, jakby stanowił osobną część ciała, którą można odzepić pod koniec dnia i schować do szuflady.

Toby, jak większość mężczyzn, uwielbiał jedynie odrobinę lajtowego porno, kilka minut ostrzejszej jazdy oraz sesje z ręką w rozporoku przed komputerem podłączonym do Internetu. Ale w prawdziwym życiu chciał, by dziewczyny wyglądały inaczej. Lubił drżące tyłeczki i piersi o różnych rozmiarach. W kobietach cenił różnorodność i charakter. Podobala mu się PJ Harvey, a także Willow z *Buffy — postrach wampirów*. Zachwycała go ta wysoka didżejka, ta z mężem didżejem, którego ojcem był Johnny Ball. Uważał Cherie Blair za bardzo atrakcyjną kobietę, chociaż jak dotąd nie spotkał człowieka, który podzielałby tę opinię. A jego ulubionym plakatem od czasów wczesnej młodości był ten z Jamie Lee Curtis. Nie miał określonego ideału. Albo mu się coś podobało, albo nie. Problem współczesnych nastolatków polegał na tym, że wszystko stało się takie pospolite. Takie nudne.

I właśnie taki był zasadniczy problem z Conem. Chłopak był nudny. Nie wnosił nic nowego do życia w domu. Jego młodość mogła z bąbelkowym pluskiem ożywić zastałą wodę trzydziestoparoletnich lokatorów; zamiast tego czaił się na dnie jak jakiś tępak.

— Witaj, Con — zaczął Toby, podchodząc do chłopaka, który siedział w pokoju gościnnym, jedząc Big Maca.

— Hej. — Con spojrzał na niego zdziwiony.

— Coś ciekawego w pracy?

— Nic szczególnego. — Con wzruszył ramionami.

— Widziałeś kogoś sławnego?

Zdarzyło się raz, że Con jechał windą z Cate Blanchett. Aktorka zajmowała całkiem wysoką pozycję na liście Toby'ego z ekscentrycznymi i pożądanymi kobietami. Kilka tygodni temu podsłuchał Cona opowiadającego Ruby o tym zdarzeniu, które głęboko zapadło mu w pamięci.

Con uśmiechnął się.

— Nie. Nie dzisiaj. Ale wiesz, że jednego dnia widziałem tego gościa pedała?

— Którego?

— Tego elegancika. Nie pamiętam, jak się nazywa. Grał razem z Madonną w takim filmie.

Jedynym filmem z Madonną, jaki Toby zdołał sobie w tym momencie przypomnieć, był *Dick Tracy*, ale Conowi z pewnością nie chodziło o Warrena Beatty'ego, który według jego wiedzy nie był ani gejem, ani elegancikiem.

— Więc — zaczął znów po chwili — myślisz, że zostaniesz w Conde Nast na długo? Czy są jakieś nadzieje na... na awans zawodowy?

Con zaśmiał się i wytarł ketchup z brody.

— Eee... nie. Na pewno nie. Chyba że chciałbym zostać menedżerem działu przesyłkowego. A tego nie chcę.

— A co z branżą wydawniczą? Magazynami? Na pewno są tam jakieś możliwości.

— To nie dla mnie. — Con znów parsknął śmiechem. — To miejsce jest jak jedno z tych pieprzonych marzeń. Z jednej strony masz rzeczywistość, czyli cała nasza ekipa działu wysyłkowego, ludzie od cateringu, sprzątaczkę, a z drugiej świat należący do eleganckich ludzi w moim wieku; mieszkają w Chelsea, nie wiedzą, jaki mamy dzień tygodnia, unoszą się w przestrzeni, jakby... nieświadomi rzeczywistości. To oni mają tam przyzwoitą pracę i robią kariery. My jesteśmy tam od tego, żeby upewnić się, że dostają swoje listy, lunch i mają czyste okna.

— Ach — powiedział Toby — rozumiem. A skoro nie chcesz zostać menedżerem działu wysyłkowego i nie liczysz na inne możliwości, to jaki jest twój wielki plan? Co dalej?

— Moja PPL.

— Twoja co?

— Moja prywatna licencja pilota.

— Będiesz się uczył latać?

— Tak. Czemu nie?

— Boże, ale czy to nie kosztuje majątek?

— Może i tak. — Wzruszył ramionami. — Czytałem trochę tu i tam. W Afryce Południowej zapłacę jedną trzecią tego co tutaj. Oszczędzam od pierwszego dnia pracy i według

moich obliczeń zostało mi jeszcze tylko osiemnaście miesięcy w Conde Nast, by zarobić tyle, ile potrzebuję. A potem spadam. Zdobędę licencję. Wyjadę na Karaiby. Będę latać wycarterowanymi samolotami. Z wyspy na wyspę. Cudowne życie. Ech, stary...

— Aha, więc, eee...

— Powiem ci coś jeszcze. Gdyby nie Nigel i jego list, i ten pokój, no wiesz, z taką stawką za czynsz, to nigdy bym nie pomyślał o lataniu. Nie byłoby mnie na to stać. Miałem farta, że cię spotkałem.

Uśmiechnął się do Toby'ego, cudownym, ciepłym uśmiechem pełnym wdzięczności i Toby poczuł, jak ściskają mu się żebra pod naporem pozbawionej powietrza klatki piersiowej. Westchnął cicho. Właśnie tego zawsze pragnął. Właśnie takie było przeznaczenie domu, który miał umożliwić ludziom podążanie za marzeniami. Wybierając lokatorów, kierował się przede wszystkim przekonaniem, że symboliczne wydatki na czynsz umożliwią realizację planów. Jedynym wyjątkiem od tej zasady była Ruby, której zaproponował pokój, licząc w zamian na seks. I Con, którego zrobiło mu się żal, bo zostawiła go matka, nie miał stałego dachu nad głową, mógł stracić pracę i skończyć na ulicy. A teraz, rok później, Con zaczął podążać za swoim marzeniem. Pragnął latać samolotami. Toby powinien być zachwycony. Zamiast tego jednak czuł się złapany w pułapkę.

Pomyślał ze smutkiem o wypchanej magicznymi pieniędzmi torbie, którą ofiarował mu los, by mógł urzeczywistnić swoje marzenia rozbudzone po śmierci Gusa. Spojrzał na Cona, chłopaka, który przybył tutaj, nie posiadając dosłownie niczego, marzył jedynie o ciepłym łóżku i utrzymaniu pracy, a teraz okazuje się, że za sprawą jakichś czarów zdołał odnaleźć swoją drogę w życiu. Toby miał prawie czterdziestkę na karku, ale nie osiągnął żadnych sukcesów i mógł mieć pretensje jedynie do siebie, że skończył w Nowheresville. Con nie posiadał żadnego zaplecza w postaci poczucia bezpieczeństwa, sam musiał je sobie zbudować. Toby zastanawiał się, czy ważniejsza była głupia potrzeba udowodnienia czegoś ojcu wpływająca z kryzysu wieku średniego czy przyszłość młodego człowieka?

Przysiadł na moment, nieobecny wzrok wbił w telewizję, bezwiednie słuchał siorbiącego Colę Cona i pozwolił myślom, niczym niegrzecznym dzieciom, wymknąć się chyłkiem. Po chwili uderzył dłońmi o uda i zerwał się na równe nogi.

— Zastanawiałem się — przerwał milczenie — czy nie zainwestować w nowe sofy. Co o tym sądzisz?

Con spojrział zaskoczony najpierw na Toby'ego, a potem na wiekowe, błękitne sofy przybrane obdartymi, etnicznymi poduszkami.

— Czemu nie?

— Super. — Toby włożył ręce do kieszeni. — Jutro idę na zakupy. Mamy czas wyprzedaży. Dobry czas na zakupy.

I pomyślał sobie, że na razie nowe sofy będą musiały wystarczyć.

13

Melinda McNulty miała czterdzieści pięć lat. Nosiła rozmiar 38 dzięki uczęszczaniu na siłownię trzy razy w tygodniu, zajęciom z power-boxingu dwa razy w tygodniu i ćwiczeniu pilates w swoim pokoju przed telewizorem w każdej wolnej chwili. Na śniadanie jadła batoniki Special K, a potem szła na lotnisko Stansted, gdzie pracowała przy stanowisku odpraw. Jej szafkę w kuchni wypełniały rzeczy typu Snack-a-Jacks i zupy w proszku. Niemal codziennie raczyła się kieliszkiem cava („to lepsze niż szampan”), a w soboty wieczorem, z dwudziestoosmioletnią przyjaciółką Zoë, zażywała klubowego życia. Preferowała zbyt ciężki makijaż, używała zbyt dużo perfum i z upodobaniem wciskała się w niesamowicie obcisły welurowy dres, podkreślający jej umięśniony brzuch.

Toby nie potrafił powiedzieć, co sądzi na temat czterdziestopięcioletnich, umięśnionych brzuchów. Robiły wrażenie, ale równocześnie było nieco niepokojące.

Tego wieczora Toby obserwował ją z okna, jak wracała z pracy w schludnym i eleganckim uniformie. Po chwili znalazł ją w salonie z rozstawioną deską do prasowania. W przesiąkniętym aromatem wilgotnej bawełny pokoju doleciały go rytmiczne dźwięki wydobywające się ze słuchawek na jej uszach. Uśmiechnęła się na jego widok i zsunęła słuchawki.

— Witaj, mój wybawco! — Miała świdrujący, niedojrzały głos piętnastolatki. Bardzo go to denerwowało. Na krótko jej twarz zniknęła w chmurze pary. — Co słyhać?

— W porządku — odpowiedział. — Wspaniale. A co u ciebie?

— No u mnie też wszystko gra. Zabrałam się właśnie za prasowanie.

Toby spojrział na stos ubrań piętrzących się na oparciu sofy. Głównie składał się z rzeczy należących do Cona.

— Masz ochotę na filiżankę herbaty? — zaproponował.

— Ooo tak. — Wydeła truskawkowe usta w pomarszczony pierścień. — Z mlekiem, łyżeczka cukru. Czy mógłbyś zaparzyć mi w kubku z kotami? Wiesz, w tym dużym?

Nie wiedział, jaki to kubek, ale znalazł go po przeszukaniu szafek. Wrócił do salonu, a Melinda siedziała już po turecku na sofie i przyglądała się uważnie swoim błyszczącym paznokciom u nóg w kolorze krwi.

— Och, dziękuję, Toby — powiedziała, wyciągając upierścienione palce w kierunku herbaty. — Właśnie tego było mi trzeba.

Toby usiadł obok niej i postawił swoją herbatę na stoliczku.

— Słyszałam, że pozbywasz się ich — powiedziała Melinda, pocierając tkaninę sofy.

— Co...?

— Sof. Con wspominał, że myślisz o zakupie nowych.

— Tak — odpowiedział — taki jest plan. Te już swoje odsłużyły.

— To prawda — zgodziła się — są ohydne. Toby skrzywił się, słysząc te ostre, choć szczere słowa.

— Jak się ma dziwny kot? — kontynuowała.

— Boris?

— Tak go nazywasz? — Zaśmiała się.

— Tak.

— Och, podoba mi się. Wygląda jak Boris. Jak się miewa?

— Z tego, co widzę, to nic mu nie dolega. Jest bardzo mało wymagający. Choć nie powiem, że przepadam za czyszczeniem kuwety. Nic miłego.

— Ooo tak. Moja mama trzymała w domu kota. Co za udręka. Ale przynajmniej człowiek wie, że nie znajdzie na poduszce zdechłego szczura albo rozszarpanego ptaka na dywanie.

Melinda odwróciła do niego twarz, głowę trzymała podpartą o jedno kolano. Włosy, ufarbowane na żółtawy odcień, jakby za długo siedziała na słońcu, nie pasowały do jej karnacji. Miała mały, haczykowany nos i usta o dziwnym kształcie, miejscami zbyt grube, a miejscami zbyt chude. Zmarszczki były niewidoczne, póki się nie uśmiechnęła, dopiero wtedy z kącików oczu eksplodował, niczym sztuczne ognie, zbiór dramatycznych kresek. Miała za to piękne oczy, w kolorze czystego karaibskiego turkus, otoczone długimi, czarnymi

rzesami.

— Wiem, że brzmi to okropnie — pochyliła się nad nim konspiracyjnie — i nie zrozum mnie źle, ale znacznie lepiej mi tutaj, kiedy Gusa już nie ma.

Toby spojrzął na nią oniemiały z przerażenia.

— Nie to, żebym go nie lubiła. Nie zrozum mnie źle. Nie za bardzo pasował do tego domu i kiedy się tu kręcił, to wyglądało trochę dziwnie. Ale teraz nie ma go tu i w domu jest idealnie. Wiesz co, Toby, kocham ten dom, naprawdę. Nie mogę sobie wyobrazić, że mogłabym mieszkać gdzie indziej. — Spojrzała na wysoki sufit. — Nie mogłabym wrócić *do* jakiegoś ciasnego, małego budynku z tapetami na ścianach. Jestem rozpuszczona. — Zaśmiała się.

Toby przełknął ślinę.

— Więc jesteś szczęśliwa, dzieląc pokój z Conem?

— Och tak, to cudowne. Wiesz, zastanawiałam się nawet, czy nie zapytać ciebie o pokój Gusa, teraz, kiedy nie żyje. Myślałam sobie, czy nie poprosić, żebym mogła się tam wprowadzić. Ale potem zastanowiłam się, czy aby na pewno chcę dzielić pokój z tym okropnym kotem. I jeszcze czy aby na pewno chcę się wyprowadzić z pokoju Cona. I doszłam do wniosku, że nie chcę. Naprawdę. Uwielbiam dzielić z nim pokój. To taki wspaniały chłopak. Byliśmy rozdzieleni przez tyle lat. Bardzo tęskniłam. Ale teraz... jesteśmy tak blisko — wyrzuciła jednym tchem. — Żyjemy jak najlepsi kumple, wiesz, jesteśmy sobie tacy równi. Jest cudownie. Wszystko jest cudowne. — Uśmiechnęła się i objęła swój kubek. — A co z tobą, Toby? Jesteś sam już sporo czasu. Pojawił się ktoś wyjątkowy w twoim życiu?

— Eee, nie — zaczął, bezwiednie odnotowując w myślach przejście z tematu relacji Melindy z synem na jego życie uczuciowe. — Nie w chwili obecnej.

— Ach! — wydała z siebie pełen współczucia dźwięk i delikatnie ścisnęła jego lewą nogę. — To szkoda. Ile masz lat?

— Trzydzieści dziewięć — odpowiedział. — W przyszłym tygodniu.

— To śmieszny wiek. Pamiętam, jak zbliżałam się do czterdziestki. Zaczynasz panikować, myślisz, że kończy ci się czas. Ironia polega na tym, że potrzeba cholernie długiego czasu, by się faktycznie zestarzeć po tych urodzinach. Myślałam, że w wieku czterdziestu pięciu lat będę już tylko reliktem, a tymczasem pierwsza zmarszczka pojawiła mi się do-

piero, jak miałam czterdzieści jeden. I moje cycki są wciąż niczego sobie. — Odstawiła kubek i zapatrzyła się gdzieś przed siebie. — Wiesz, w każde swoje urodziny patrzę na siebie w lusterku i powtarzam sobie: Jeszcze nie, Mel, wciąż tu jesteś i wyglądasz całkiem całkiem". Trochę pracy mnie to kosztuje, ale warto. Szczególnie w mojej branży dobry wygląd jest taki ważny.

— Masz na myśli bycie stewardesą?

— Niezupełnie stewardesą. Teraz pracuję w obsłudze lotniska. Dzięki temu jestem bliżej domu, bliżej Cona. Ale wygląd jest wciąż megaważny. Bo to od nas zależy pierwsze wrażenie, jakie pasażer odnosi na lotnisku. I jeśli wyglądasz byle jak, to trudno, żeby klient był spokojny o swój lot, prawda?

Toby pokiwał głową ze zrozumieniem, myśląc jednocześnie, że on sam oparłby raczej poczucie pewności o nadchodzący lot na stanie technicznym samolotu niż cieniu na powie-
kach dziewczyny z odprawy.

— Cóż — wyprostowała nogi — jesteś cudownym facetem. Jestem pewna, że spotkasz kogoś w najmniej spodziewanym momencie. I masz tyle atutów.

— Ja?

— Tak, jesteś miły i wysoki. Dziewczyny uwielbiają wysokich mężczyzn. Posiadasz niesamowity dom. I jesteś hojny i masz dobre serce. Spójrz na przykład na nas, bezdomne dzieci i włóczęgi. Gdzie my wszyscy byśmy się podzieliłi gdyby nie ty, Toby? Mojego Cona przygarnąłeś z ulicy. Mnie dałeś szansę zamieszkania z synem. Opiekowałeś się biedną Ruby, kiedy była jeszcze dzieckiem. A co stałoby się z Gusem, gdybyś się nim nie zajął? Jesteś bohaterem, Toby, prawdziwym bohaterem. A jaka kobieta nie zechciałaby bohatera?

Toby nie zdołał wymyślić ani słowa w odpowiedzi, podniósł więc kubek i opuścił pokój.

Toby wstał, po czym usiadł ponownie, rozkoszując się każdym doznaniem. Delikatnie pogłaskał jej ramiona, potem znów wstał. Odwrócił się i podziwiał jej kształt. Taka piękna, smukła, powabna i gładka, odziana w perfekcyjnie skrojoną skórzaną kreację. Spojrzał przed siebie na jej siostrę i westchnął z zachwytu.

Patrzył na najpiękniejsze sofę na świecie.

Przywieziono jej dużą, białą ciężarówką z napisem CONRAN pół godziny temu. Warte sześć tysięcy funtów granatowa skóra cielęca i zamsz barwy kawy z mlekiem. Nie zamierzał wydać aż tyle ze spadku Gusa na sofę. Korzystając z okresu wyprzedaży planował przeznaczyć tysiąc funtów na rozważny zakup czegoś praktycznego i niezniszczalnego. W sklepie Conran szukał jedynie inspiracji, udał się tam jak do muzeum czy galerii sztuki, bez zamiaru zakupów. Rozglądał się, gdy podeszła do niego śliczna, młoda, czarująca dziewczyna w czarnej garsonce, a on pomyślał, że byłoby bardzo niegrzeczne odrzucić jej uprzejmą ofertę pomocy. A poza tym tak bardzo cieszyło go to nowe doświadczenie, że po raz pierwszy w życiu mógł pozwolić sobie na coś tak drogiego, iż chciał delektować się każdym aspektem tego wydarzenia.

W sklepie, w otoczeniu bardzo drogich towarów, sofa z upustem 25 procent nie wydawała się aż tak kosztowne. Właściwie to w porównaniu z kilkoma podobnymi meblami można je było uznać za prawdziwą okazję. Tyle że gdy patrzył na nie teraz w domu, tak bardzo kontrastujące z wytartymi, tkanymi dywanikami i stoliczkiem ze sklepu charytatywnego, zaczynał czuć się głupio. Sześć tysięcy funtów. Taka kwota starczyłaby na wyposażenie dwóch łazienek albo nową kuchnię lub wykładziny i bojler czy opłacenie fachowca za wyremontowanie całego domu. Pomyślał jednak, że w taniej kuchni czy na kawałku wykładziny nie doświadczyłby tego uczucia zachwytu, i spojrzął z miłością na nowe sofę. A inspiracja? Te sofę zapowiadały odrodzenie się domu, stanowiły wzór stylu i dobrego gustu. A przy tym tchnęły w to miejsce nowatorskiego ducha.

Toby usłyszał otwierające się drzwi wejściowe i kroki za plecami. Nagle poczuł się zakłopotany, jakby ktoś złapał go na gorącym uczynku. Bezskutecznie próbował znaleźć dla siebie jakąś neutralną pozycję. Dwie sekundy później do pokoju weszła Ruby i znalazła Toby'ego przycupniętego na krawędzi stolika ze wzrokiem wbitym w magazyn „Reveal”.

— Och — odezwał się. — To ty. — Wstał i pozwolił gazecie osunąć się na podłogę.

— O. Mój. Boże. — Zobaczyła sofę. — O mój Boże — powtórzyła, podchodząc bliżej. — Co to jest?

— Nowe sofę — bąknął.

— To widzę, ale, Jezus Maria, one są cudne. — Pogłaskała jedną z namaszczeniem i porzuciła skórzaną kurtkę na podłodze.

Toby uśmiechnął się z przymusem.

— Dziękuję.

— Nie mogę uwierzyć, że je kupiłeś. Musiały kosztować majątek.

— Nabyłem je na wyprzedaży.

— Mimo wszystko. Mój Boże, czy to prawdziwy zamsz?

— Tak.

Usiadła i potarła dłońmi wzdłuż kawowego zamszu.

— No no, Toby Dobbs, kto by przypuszczał, że masz taki gust?

Toby poczuł, że fala dumy przechodzi przez jego ciało zupełnie jak bąbelki w pozio-
micy.

— Skąd je wytrzasnąłeś?

— Conran Shop — wymamrotał.

— Conran?! Rety, Toby, czyś ty je ukradł?

— Nie, oczywiście, że nie. Zapłaciłem za nie. Gotówką.

— A skąd, u diabła, miałeś tyle kasy?

Toby westchnął. Musiał się jakoś wytłumaczyć.

— Gus.

— Gus?

— Gus zostawił mi trochę pieniędzy. W testamencie.

Oczy Ruby otworzyły się szeroko.

— Nie! Ile?

— Kilka tysięcy. Nie za dużo. Na pewno nie tyle, by kupować sofę w Conran Shop.

Ale ja po prostu... Sam nie wiem...

— Spodobały ci się?

— Tak, spodobały mi się.

— Och, Tobes. — Ruby położyła dłoń na jego kolanie. — Wszystko okej. Dokładnie tak postępują normalni ludzie. To się nazywa ekstrawagancja. Ciesz się tym.

Toby uśmiechnął się.

— A zatem — odezwał się — mówisz, że ci się podobają?

— Są cudowne.

— To fajnie.

— Ale tak serio — zagadnęła Ruby. — Ile tego jest? Tej forsy od Gusa?

— Nie powiem ci!

— Dlaczego?

— Bo nie chcę, by ktokolwiek się dowiedział.

— Nikomu nie pisnę słowa.

— A skąd mam mieć pewność?

— Bo przysięgam z ręką na sercu.

— Nie — odpowiedział stanowczo, krzyżując ramiona.

— Och, Toby, nie mogę uwierzyć, że mi nie ufasz.

— Nie chodzi o to, że ci nie ufam. Tylko...

— Nie ufasz mi. Boże, Tobes, jakbym miała ukraść ci te pieniądze.

— Nie mówię, że mogłabyś je ukraść.

— Eee, wszystko jedno. I tak się dowiem. Znasz mnie.

Toby uśmiechnął się pod nosem. Mieszkał z Ruby od piętnastu lat, ale wcale nie był pewien, czy ją znał. Wiedział, jakie odgłosy wydawała z siebie podczas seksu. Poznał kolor jej sutków. Nauczył się jej humorów i przyzwyczajęń. Ale czy faktycznie ją znał?

— A co słyhać u Paula Foksa? — zapytał po chwili. — Nie widziałem go tu od jakiegoś czasu.

Ruby wzruszyła ramionami i zaczęła bawić się kawałkiem nitki wystającej ze swetra.

— Nic ciekawego. Pokłóciliśmy się w zeszłym tygodniu.

— Aha. A o co?

— O pannę Elizę.

— A czego ty się spodziewasz? Przecież to jego dziewczyna, na miłość boską.

Ruby uniosła brwi.

— O Boże, Tobes, nie zaczynaj tylko. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to żebyś mi

mówił, co mam robić.

— Nie mam zamiaru mówić ci, co masz robić, ale doprawdy, twój układ z Paulem wydaje się taki niewłaściwy, i to z wielu różnych powodów. Nie rozumiem, dlaczego musisz przez cały czas zaniżać swoją wartość.

— Chcesz powiedzieć, że powinnam się ustatkować u boku jakiegoś miłego chłopca?

— Tak. Ty tego nie chcesz?

— Nie. Ani odrobinę.

— Ale co się z tobą stanie?

— Stanie?

— Dokąd pójdziesz? Co będziesz robić?

— Nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi.

— Chodzi mi tylko o to, że... — Już miał powiedzieć:

„Masz trzydzieści jeden lat, jesteś sama, nie robisz kariery, a ja zamierzam wyrzucić cię z jedyne go domu, który znasz, odkąd skończyłaś szesnaście lat". Już miał powiedzieć: „Tocysz się w dół i nie ma nikogo, kto by cię powstrzymał". Już miał powiedzieć: „Nie chcę, żebyś tak skończyła". Ale nie zrobił tego. Uśmiechnął się tylko. — Martwię się o ciebie, to wszystko.

— To przestań się martwić. Nie ma o co, wszystko gra. Potrafię się o siebie zatroszczyć.

— To dobrze — powiedział. — To dobrze.

15

Według obserwacji Toby'ego, porządek dnia Joanne przebiegał następująco:

7.45: Suszy włosy. Pojawia się w zaskakującej fryzurze.

8.00: Zaparza dziwny substytut kawy z jakiegoś proszku z cykorią. Zabiera to do jadalni. Podczas picia czyta „Mail" i słucha stacji Virgin FM.

8.30: Opuszcza dom, zawsze ubrana w osobliwy i niepowtarzalny zestaw ubrań; czasami zakłada okulary.

18.00-23.00: Wraca do domu, czasem trzeźwa, czasem pijana, zawsze sama. Idzie prosto do swojego pokoju (okazjonalnie zatrzymuje się po sztuce, jeśli przynosi gotowe

jedzenie, albo po kieliszek, jeśli ma siatkę z monopółowego).

24.00-02.00: Wyłącza telewizję w pokoju. Zasypia (przypuszczalnie).

Wczoraj wyszła do pracy w mini w czarno-białą szachownicę, czerwonej koszulce po-
ło i butach z klamerkami na grubej platformie. Nażelowane włosy zaczesła do tyłu, a usta
pomalowała dziwną szminką w ceglastym kolorze. Dzisiaj, kiedy krzątała się w kuchni, ro-
biąc swoją niby-kawę, miała na sobie masywną, dzinsową sukienkę-ogrodniczkę, przypo-
minającą odzież ciężową, białą, bawełnianą koszulę, grube, granatowe rajstopy i czerwone
balerinki. Na środku głowy zrobiła przedziałek i zakreśliła luźno opadające włosy. Nie miała
makijażu i wyglądała jak francuska nauczycielka na granicy załamania nerwowego.

Toby otworzył nowe opakowanie muesli, wysypał trochę do miski i ze zdziwieniem
zauważył czerwone grudki. Przyglądał się im z lekkim zaskoczeniem, próbując znaleźć ra-
cjonalne wytłumaczenie obecności czerwonych grudek w swoim muesli. Podniósł jedną
kulkę i obracał ją między kciukiem i palcem wskazującym. Kleiła się. Włożył ją do ust i po-
lizął. Była słodka. Obrócił się i spojrzał na Joanne.

— Słuchaj — odezwał się — jak myślisz, co to jest w moim muesli?

Joanne podskoczyła nieznacznie, ale nie obróciła się.

— Eee... Cześć.

Toby usłyszał jej westchnienie.

— Nie dosłyszałam... co? — Odwróciła się wolno do niego.

— To czerwone coś w moim muesli. Jak myślisz, co to jest? — Wyciągnął w jej stro-
nę miskę.

Joanne spojrzała pytająco znad czerwonych okularów najpierw na niego, potem na
miskę.

— Wybacz — odezwała się w końcu — nie bardzo cię rozumiem.

Teraz westchnął Toby.

— Nie przejmuj się — powiedział. — Wyglupiałem się. Spojrzała na niego spod
zmrużonych powiek.

— Po prostu — kontynuował desperacko — jem to samo muesli każdego ranka, a dzi-
isiaj, po raz pierwszy, są w nim te czerwone kulki i zastanawiałem się, czy potrafiłabyś to
jakoś wyjaśnić. To wszystko.

Wpatrywała się w Toby'ego z zaciekawieniem.

— Nie — odpowiedziała — nie sędzę.

Toby wzruszył ramionami i z trudem próbował się uśmiechnąć.

— No nic, zjem je po prostu i mam nadzieję, że wyjdzie mi to na dobre.

Joanne uśmiechnęła się powściągliwie i wróciła do zaparzania kawy.

Toby znów spróbował.

— Co ty właściwie pijesz? — Wskazał na słoik.

— Kawę — odpowiedziała.

— Ale to nie jest normalna kawa, prawda?

— To jest normalna kawa — prychnęła.

— No właśnie że nie. — Uśmiechnął się i znów wskazał na opakowanie.

Spojrzała na słoik.

— Co masz na myśli?

— Spójrz. — Podniósł słoik. — To jest zrobione z cykorii.

— Cykorii? — Zabrała mu słoik i przyjrzała się etykietce. — Nic nie rozumiem. Jak można zrobić kawę z cykorii?

— No właśnie. I o to chodzi. To nie jest kawa. To bezkofeinowy substytut kawy.

— To dlaczego sprzedano mi to, kiedy poprosiłam o kawę?

— A gdzie ją kupiłaś?

— W sklepie ze zdrową żywnością.

— Kupiłaś kawę w sklepie ze zdrową żywnością?

— Tak. Kupuję tam prawie wszystko.

— Nawet kawę?

— Tak.

— Która jest niezdrowa z natury.

— No nic, nie zwróciłam uwagi. Zobaczyłam jedynie napis „Kawa”, a że akurat miałam ją kupić, to pomyślałam, że taka będzie zdrowsza niż ta z supermarketu.

— Niewątpliwie jest zdrowsza. — Toby uśmiechnął się, ale ona rzuciła mu jedynie pochmurne spojrzenie i odwróciła się. — Nie zauważyłaś, że smakuje trochę dziwnie?

— Może trochę. Ale myślałam, że to dlatego, że jest zdrowa. Na miłość boską. — Cmoknęła głośno z niezadowoleniem i wpatrywała się w etykietę. — Spójrz — powiedziała ze złością. — Jest tutaj. Czarno na białym. Cykoria. Myślałam, że to nazwa marki. Cholera

jasna. — Uderzyła w pokrywkę i wbiła rozgniewany wzrok w okno.

— Mam neskę, gdybyś chciała — zaproponował Toby po chwili.

— Nie — odwarknęła. — Napiję się tej głupiej cykorii. Jest okej.

— Jesteś pewna?

— Tak — syknęła, wciąż stojąc plecami do Toby'ego.

— Okej — powiedział, sięgając do lodówki po mleko. — Ty pij swoją cykorię, a ja zjem moje czerwone coś i oboje doświadczymy czegoś nowego.

Chwilę później udał się do jadalni i stanął przed Joanne.

— To jest żurawina — powiedział, stawiając miskę na stole. — To czerwone coś. Sprawdziłem opakowanie i tam to znalazłem. Maleńkim drukiem. Wychodzą z siebie, ci producenci. Wciąż wprowadzają jakieś subtelne zmiany, mając nadzieję, że nie zauważymy, a potem nagle okazuje się, że jemy żurawinę i pijemy cykorię. A co to właściwie jest ta cykoria?

Joanne odwróciła kolejną stronę gazety i zignorowała go.

— Mogę spróbować? — zapytał. — Twojej niby-kawy?

Spojrzała na niego i Toby zaobserwował, jak mięśnie jej twarzy zaczęły drgać i wykrzywiać się.

— Raczej nie.

— Hm. — Począł na uprzejmą wymówkę, ale Joanne wróciła do czytania gazety.

Najwyraźniej nie odpowiadała jej rozmowa o byle czym, więc Toby spróbował z pytaniem cięższego kalibru.

— Więc czym zajmujesz się teraz w pracy?

Toby widział, jak klatka piersiowa kobiety opada głęboko, by za chwilę, po głębokim oddechu, wrócić na miejsce.

— Słuchaj, Toby. Będę szczerą. Nie należę do rannych ptaszków. Lubię w spokoju wypić rano kawę i przeczytać gazetę i jeśli nie muszę, to nie odzywam się do nikogo. Więc jeśli nie masz nic przeciwko temu...?

Toby kiwnął głową i odetchnął cicho.

— Oczywiście — powiedział. — Rozumiem.

Wziął katalog z nasionami, który ktoś zostawił na stole, i zaczął przeglądać go bezmyślnie podczas śniadania. Z jednej strony podziwiał szczerą Joanne. Z drugiej nie mógł

uwierzyć, że potrafiła zachować się tak nieuprzejmie. Spojrzał ukradkiem na ręce Joanne. Były bardzo blade, z widocznymi żyłami. Na wskazującym palcu lewej ręki nosiła pierścionek, złoty, bez kamienia. Na lewym nadgarstku miała cienki srebrny zegarek z błękitną tarczą. Wokół szyi wisiał srebrny łańcuszek z pierścionkiem i medalionem. I właśnie wtedy zauważył pierwszy znak mówiący o prawdziwej Joanne. Na wewnętrznej stronie nadgarstka, spod mankietu białej koszuli, wystawał tatuaż. Nie mógł stwierdzić, co przedstawiał, widział zaledwie fragment; był czarny i wyblakły, jakby zrobiony dawno temu. W pierwszym odruchu otworzył usta, by go skomentować, szybko się jednak powstrzymał.

Joanne miała tatuaż. Na wewnętrznej stronie nadgarstka. Jak kryminalistka. Albo więzień wojenny. Albo nastoletnia uczennica. Joanne miała przeszłość. Musiał tylko znaleźć sposób, żeby ją z niej wyciągnąć, ale taki sposób, który nie miał nic wspólnego z normalną, codzienną, uprzejmą rozmową.

Toby wstrzymał oddech, starając się nie rzucać w oczy. Joanne stała kilka metrów przed nim, szperała w torebce na środku chodnika. Miała na sobie różową, tweedową marynarkę z czarną lamówką i obcisłą, szarą, flanelową spódnicę, różowe buty na małym obcasie i różową zamszową torebkę. Gęstą czuprynę włosów rozświetlały zrobione w domu pasemka blond, a policzki raziły zbyt dużą warstwą różu. Po kilku sekundach wyciągnęła z torebki coś, co wyglądało jak karta kredytowa, potem niepewnym krokiem podreptała w kierunku budynku, który sądząc po stalowej płycie na ścianie, stanowił siedzibę tuzina firm. Przeciągnęła kartą wzdłuż rowka w ścianie i pchnęła ciężkie, żelazne drzwi.

Spory mężczyzna siedzący za biurkiem w kształcie litery L uśmiechnął się do niej i poprosił, by coś podpisała. Posłuchała go, a potem zniknęła w głębi holu recepcji. Toby westchnął i usiadł na ławce.

Począł kilka minut, póki nie nabrał pewności, całkowitej pewności, że Joanne siedziała już za swoim biurkiem, i pospacerował w stronę drzwi, by zbadać metalową płytę:

Davies i Spółka Prawników

Rodney Pola Mody

Ultralight Beauty Systems

Larkin Abdullah Usługi Prawnicze

Tiarella Tekstyli & Moda

Toby nacisnął dzwonek recepcji i po chwili odezwał się wielki mężczyzna siedzący za

biurkiem.

— Jaka firma? — zatrzeszczało w domofonie.

— Nie jestem pewien — odpowiedział Toby. — Szukam Joanne Fish.

Czoło grubego mężczyzny złożyło się w harmonijkę fałdek, a jego palce błędziły po klawiaturze.

— Fish? — powtórzył w końcu.

— Tak. Joanne Fish. Właśnie weszła do środka, jakieś pięć minut temu. Blondynka ubrana na różowo.

— Ach, ta. Proszę bardzo. Jest w Tiarella.

— Tiarella. Właśnie.

— Ostatni dzwonek od dołu.

— Dobrze. Dzięki.

Toby uśmiechnął się powściągliwie do mężczyzny za biurkiem. A potem, ku zdziwieniu recepcjonisty, odszedł. Śledził Joanne w drodze do pracy, mając nadzieję, że zdoła odkryć jakieś szokujące i przełomowe rewelacje na jej temat, a dowiedział się jedynie, że poszła do pracy. W biurowcu. Na West Endzie. Jak milion innych ludzi.

Westchnął i ruszył w kierunku Oxford Circus.

16

W ciągu minionego tygodnia Leah obejrzała łazienkę z grzybem na podłodze, kuchnię ze szczurem biegającym po blacie i sypialnię bez okien. Spotkała mężczyznę, którego tenisówki wyczuła, zanim przekroczyła próg drzwi, kobietę świeżo po liftingu twarzy i faceta z pięcioma chihuahuaami. Zapoznano ją również z powszechnie obowiązującym zakazem oglądania telewizji po dwudziestej pierwszej oraz nakazem spędzania piątkowych wieczorów poza domem, powiedziano jej także, że nie wolno spożywać alkoholu w tak zwanych „wspólnych przestrzeniach”. Ładne mieszkania zajmowali straszni lokatorzy, te okropne zaś zamieszkiwali jeszcze gorsi.

Leah wróciła do domu po spotkaniu z mężczyzną zwanym Cuchnący Willy, który oprowadził ją po mrocznym mieszkaniu w piwnicach na Hornsey Lane, i zadzwoniła do Amitabha. Po pierwsze dlatego, że tęskniła za nim i chciała usłyszeć jego głos, a po drugie, i

co ważniejsze, bo czuła niepohamowaną wściekłość, że przez niego znalazła się w takiej sytuacji.

— Cześć, to ja.

Przez ułamek sekundy zapanowała cisza.

— Cześć.

— Co u ciebie? — Uwolniła stopy od tenisówek.

— W porządku — odpowiedział. — A u ciebie?

— Do dupy. Całkowicie do dupy.

— Ojej. — Słyszała, jak Amitabh usiadł, najprawdopodobniej na swoim łóżku. Wyobrażała sobie, jak pociera brodę, jak to miał w zwyczaju, kiedy czuł się niepewnie.

— Tak. To całe polowanie na mieszkanie to jakiś koszmar. Jestem za stara, żeby mieszkać z innymi. Za bardzo lubię żyć po swojemu. Po prostu nie mogę mieszkać z obcymi.

Amitabh westchnął.

— Nie potrafię zrozumieć, dlaczego nie szukasz czegoś do kupienia.

— Bo — zaczęła zdenerwowana, przerabiali ten temat z milion razy — na koncie mam jakieś sto dwadzieścia funtów i ostatnim razem, kiedy oglądałam mieszkania w Londynie, to kosztowały nieco więcej.

— Weź kredyt hipoteczny. Znów dają kredyty na 100 procent wartości mieszkania. Nawet na 110.

— Uhm — odpowiedziała. — Superpomysł. Do końca życia związać się z kredytem z piekła rodem, którego nigdy nie będę w stanie spłacić, ponieważ pracuję w sklepie. I nie będę wychodzić z domu, bo nie będzie mnie na to stać.

Amitabh westchnął.

— To wszystko twoja wina, wiesz o tym. Wszystko. Znów westchnął.

— O czym ty w ogóle myślałeś? Co ty sobie właściwie myślałeś?

— Nie myślałem. Po prostu, sama wiesz... byłem.

— Nie. Nie wiem. Byliśmy razem na tyłu ślubach i nigdy nie zadałeś sobie trudu, by pomyśleć, czego się od ciebie oczekuje? A jak leżałeś w nocy w łóżku, to nie zastanawiałeś się czasem, co się z nami stanie? Jak się to wszystko skończy?

— Nie — odpowiedział. — Szczerze mówiąc, nigdy.

— Więc o czym myślałeś?

— Nie wiem. O jedzeniu. Pracy. Telewizji. Chyba nie zdawałem sobie sprawy, że przybyło mi tyle lat. Że obojgu nam przybyło. Chyba myślałem sobie, że mamy przed sobą całą wieczność.

Leah pozwoliła, by krótkie milczenie podkreśliło jego słowa.

— Więc — odezwała się w końcu — gdyby ten stary człowiek nie zmarł i nie oświadczyłabym się tobie, to po prostu dalej byśmy sobie tak trwali, bez końca, aż pewnego dnia nagle byśmy się obudzili i zdali sobie sprawę, że mamy pięćdziesiąt lat?

— Tak. Nie. To znaczy zdałbym sobie sprawę, że nic z tego nie będzie, wcześniej, ale śmierć tego staruszka przyspieszyła wszystko.

— W takim razie niech będzie chwała Gusowi za to, że tak wspaniale się wstrześli. Bo jak się ma trzydzieści pięć lat, to nie jest za fajnie być w takim pieprzonym położeniu. Wyobraź sobie, jak bym się czuła z czterdziestką na karku? Wiesz co, jestem na ciebie wściekła... bardzo wściekła.

— O Boże, Leah. Przepraszam.

— Taa, pewnie, ale przepraszam tu nie pomoże. Te przepraszające bzdury możesz sobie wsadzić. Sam jesteś stekiem bzdur. Stekiem żalonych, niedojrzałych, egoistycznych, grubych bzdur.

— Grubych?

— Tak, grubych. Jesteś gruby. I owłosiony. Ale to nie ma znaczenia, bo i tak jakaś biedna kobieta będzie musiała się z tobą ożenić, bo mamusia i tatuś tak zarządzają.

Zapadła głucha cisza, a dwie sekundy później przerwał ją ryk, który Leah w pierwszej chwili odebrała jako oburzenie, ale szybko zdała sobie sprawę, że był to śmiech.

— O Boże, Leah, jesteś taka zabawna. Tęsknię za tobą.

Leah poczuła, że poziom adrenaliny drastycznie jej spada, a mięśnie się rozluźniają. Uśmiechnęła się.

— Ja też za tobą tęsknię — powiedziała. — Bardzo. Szkoda, że jesteś Hindusem.

— Tak — zgodził się. — Ja też żałuję.

Na chwilę znów zapadła cisza. Leah spojrzała na zegarek.

— Kurde — odezwała się. — Muszę lecieć.

- Dokąd?
- Do Clissold Arms. Na urodziny Toby'ego.
- A co to za Toby?
- No wiesz, ten Toby z naprzeciwka. Wychudzony Młody Facet. Z wyjątkiem tego, że wcale nie jest taki młody. Ma trzydzieści dziewięć lat.
- Jakim cudem idziesz z nim do pubu?
- Zaprosił mnie.
- Co? Jak na randkę?
- No nie, oczywiście, że nie. Chce, żebym poznała jego współlokatorów.
- Co?! Chcesz powiedzieć, że spotkasz Nastolatka? I Stewardesę? I Sybil?
- Kto wie — odpowiedziała. — Może. Nie jestem pewna, kto przyjdzie.
- I Dziewczynę z Gitarą?
- Powiedziałam ci już, Am, nie wiem.
- O Boże, to nie fair. Mieszkałem tam trzy lata, wyprowadzam się i pięć sekund później ty zaznajamiasz się z sąsiadami. Mogę przyjść?
- Nie, Am. Nie możesz. Nie chodzimy już nigdzie razem, zapomniałeś?
- Ale jesteśmy przyjaciółmi, prawda? Wciąż możemy się spotykać.
- Nie wiem. Może. Słuchaj, muszę lecieć. Odezwę się wkrótce, okej?
- Okej — prychnął. — Leah?
- Słucham?
- Kocham cię.

17

Leah wróciła z Clissold Arms tuż po dwudziestej trzeciej. Zatrzasnęła za sobą drzwi i oparła się o nie ciężko, ciało ogarnęła ulga, że w końcu znalazła się w domu. Wieczór okazał się totalną klapą. Pojawili się jedynie Con i Ruby, którzy całą imprezę spędzili na bezwstydnym flircie, po czym o godzinie dwudziestej drugiej zmyli się do domu, najprawdopodobniej, jak przypuszczała Leah, żeby uprawiać seks. Toby obserwował ten cały godowy rytuał z nieukrywanym obrzydzeniem, a Leah próbowała desperacko utrzymać pogodny nastrój. Z tego właśnie powodu wypła tak dużo. Nie dowiedziała się niczego o loka-

torach Toby'ego, oprócz tego, że mieli na siebie chętkę, a Toby zdradził się jedynie bezna-
dziejnym zakochaniem w Ruby, o której opowiadał bez przerwy przez pozostałą część wie-
czoru, a w pewnym momencie wyglądał nawet tak, jakby miał się rozplakać.

Kiedy ogarnęła ją cisza pustego mieszkania, poczuła brzęczenie w uszach i zdała so-
bie sprawę, jak bardzo jest pijana. Westchnęła i rozejrzała się dookoła. Nienawidziła tu
mieszkać bez Amitabha. Ale znów myśl, że miałyby mieszkać gdzie indziej, lub mieszkać z
kimś, wpędzała ją w czarną rozpacz. Wróciła myślami do rozmowy z Amitabhem, którą od-
była przed wyjściem, do tego, co powiedział, że ją kocha i żałuje, iż jest Hindusem. I wtedy
zrobiła coś absurdalnego. Podniosła słuchawkę i zadzwoniła do matki Amitabha.

— Witam, pani Varshney. To znaczy Malini. Mówi Leah.

— Leah?

— Dobry wieczór. Jak się pani, to znaczy, jak się miewasz?

— Leah. Jest bardzo późno.

— Wiem. Przepraszam. Chciałam tylko... — wzięła oddech i usiadła na sofie. — Sa-
ma nie wiem. Jak się miewasz?

— Jestem zmęczona, jeśli chcesz wiedzieć. Leżę w łóżku, właśnie mnie obudziłaś i
jestem zmęczona. Wszystko w porządku?

— Tak. Nie. Tylko że... Wiesz, co powiedział mi Amitabh, kiedy zerwaliśmy? Czy to
prawda? Czy naprawdę nie chciałabyś, żebym została twoją synową?

Usłyszała głośne westchnienie Malini.

— Och, Leah, Leah, Leah. Cóż mogę ci powiedzieć?

— Powiedz, że to nieprawda. Powiedz, że nie miał racji. Powiedz, że byłabyś dumna
z tego, że twój najmłodszy syn wziął sobie taką dziewczynę za żonę.

— Zrobiłabym tak — odpowiedziała miękkiem głosem. — Zrobiłabym tak, gdybym
była kimś innym. Gdybym była panią Smith, a moi rodzice mieszkali w Berkshire i cho-
dziłabym do kościoła w każdą niedzielę, wtedy żadna inna dziewczyna nie podobałaby mi
się bardziej dla mojego syna na żonę. Ale to nie jest nasza rzeczywistość.

— Ale gdybym przeszła na hinduizm? Mogłabym to zrobić?

— Tu nie chodzi o religię, Leah. Chodzi o rodzinę i rodowód, o kastę i tradycję. Nic
na to nie poradzę.

— Ale, Malini, ja kocham go tak bardzo.

— Wiem, moja słodka dziewczyno. Ale musisz stawić czoła pewnym faktom, prawda?

— Jakim?

— Fakt jest taki, że gdyby mój Amitabh kochał cię równie mocno jak ty jego, wtedy ożeniłby się z tobą, nie bacząc na to, że zostałby wydziedziczony. Fakt jest taki, że mój Amitabh nie przestał jeszcze szukać.

18

Con otworzył szafę i zaczął przeglądać swoje rzeczy. Z jakiegoś powodu wszystkie wyglądały nie tak. Albo zbyt jasne, albo zbyt czyste, zbyt wydumane. Dżinsy zbyt nowe, zbyt niebieskie, z przesadną ilością pedantycznych zamków i sprzączek. Con bardzo poważnie traktował swoje ubrania i było to widać. Ale dzisiejszego ranka miał ochotę nałożyć coś, co wyglądałoby, jakby ukradkiem wdarło się do jego szafy, coś, co włożyłby na siebie Toby. Rozważył nawet możliwość zapukania do drzwi Toby'ego i pożyczania od niego czegokolwiek, ale doszedł do wniosku, że byłoby to w stu procentach gejowskie zachowanie.

Przejrzał górę swetrów. Beż. Szukał czegoś w kolorze beżu. Albo złamanej bieli. Czegoś gładkiego. Znalazł brązowy sweter z wełny merynosowej od Paula Smith w jasno-żółtą kratkę, który jednak za bardzo trącił uczelnianym stylem Ivy League. I płócienną koszulę French Connection w jasnocytrynowym kolorze. Ale ta znów była zbyt letnia. W końcu poprzestał na lewisach, białej flanelowej koszuli w szarą kratkę i swoich brązowych, zamiszowych pumach. Wciąż nie wyglądało to dobrze — zbyt intensywna biel koszuli, zbyt nowe pumy, a dżinsy zaczynały się przecierać na kolanie i wyglądało to tak, jakby zrobił to specjalnie, choć tak nie było — ale był to krok w kierunku tego, o co mu chodziło.

Melinda obserwowała go z łóżka.

— Co się z tobą dzieje? — zapytała podejrzliwie.

— Co?

— Dlaczego wkładasz stare dżinsy?

— Nie wiem. Mam ochotę na taki oldskulowy wygląd.

— Chodzi o Ruby?

— Ruby? — zachnął się.

— Tak. Próbujesz zrobić na niej wrażenie?

— Co? — zapytał ponownie. — Po co miałbym to robić?

— A jak myślisz?!

Con westchnął i dotknął włosów, przeglądając się w lustrze.

— Nie, mamó, nie. próbuję zrobić wrażenia na Ruby. Powiedziałem ci, co się stało — to był przypadek, okej? Nic. Ruby mnie nie interesuje.

— Dlaczego więc...? — Przerwała w połowie zdania. — Nieważne, zapomnij o tym. Mężczyźni. Wszyscy jesteście dla mnie zagadką.

Con sam był stropiony na wspomnienie o piątkowym wieczorze. Ruby podobała mu się od lat, ale nie w jakiś szczególny sposób, po prostu tak, jak podobają się atrakcyjne kobiety. Świat wypełniały piękne kobiety; przypominał grubą rolkę tapety z ładnym wzorkiem. Wszystkie zlewały się w ten jeden wzór, ale zdarzało się, że jakaś dziewczyna wyskakiwała z tapety. Czasem, kiedy ładna dziewczyna znikła mu z oczu, Con zaczynał o niej myśleć, marzył o niej, a zdarzało się też, że nie mógł oderwać oczu od atrakcyjnej laski i miał ochotę po prostu stać i gapić się na nią bez końca, racząc się każdym jej łykiem, wypijając ją do dna, by pełnym niej móc wrócić do domu. A kiedy tak się działo, to wiedział, że spotkało go coś wyjątkowego. Ale z Ruby nigdy nie czuł się w ten sposób.

Mijał ją na schodach, myślał, że jest niezła, i przestawał o niej myśleć. Patrzył, jak je banana, myślał, że jest niezła, i przestawał o niej myśleć. Widział ją na ulicy w obcisłych dżinsach i niebotycznie wysokich butach, myślał, że jest niezła, i przestawał o niej myśleć. Właśnie tak było z Ruby. Żadnego rozmyślenia, snucia marzeń i gapienia się bez końca. Tylko zwykłe, ogólne podobanie się. Fakt, że przespał się z nią w urodziny Toby'ego, był więc niewytłumaczalny. Oczywiście, częściowo przyczynił się alkohol, a także chęć spróbowania czegoś nowego. Drażniła się z nim, że nigdy jeszcze nie miał starszej kobiety, a wtedy odezwał się ten mały głosik w jego głowie, który powtarzał: musisz mieć starszą kobietę, zalicz ją, sto rzeczy do zrobienia, zanim stuknie ci trzydziestka, odfajkuj to, zrób to, póki nadarza się okazja. Jak tylko zapadła decyzja, wiedział, że robi źle. Zanim jeszcze wyszli z pubu, zdał sobie sprawę, że popełnia błąd, ale było już za późno. Nie mógł się wycofać, wyszedłby na idiotę. Poszedł za nią do jej sypialni, rzucił ją na łóżko między dziewczęcą pościel, poduszki, narzuty, pluszaki i świecidełka, i dał z siebie wszystko. Zachowywał się tak, jakby za plecami stała kamera, a on odgrywał główną rolę męską w filmie porno.

Przecież po tym wszystkim nadal miał mieszkać z tą kobietą, spotykać ją codziennie. Musiał więc dać z siebie to, co miał najlepszego do zaoferowania, w przeciwnym razie nigdy więcej nie mógłby spojrzeć jej w oczy. I tak zrobił.

Nie wiedział, co stanie się potem. Nie chciał już do tego wracać, tego jednego był pewien. Raz wystarczy. Nie była w jego typie i tak naprawdę nie zależało mu na niej. Co nie powinno być problemem, sądząc po tym, jak postępowała z innymi facetami. Był jedynie kolejną kreską na ramie jej łóżka. I nie przeszkadzało mu to.

— Czy ta koszula wygląda na lekko przechodzoną? — zapytał mamę.

— Ależ skąd — uśmiechnęła się. — Jest śliczna. Ale o co tyle zamieszania? Idziesz tylko do pracy. Kto będzie się przejmował, jaką masz na sobie koszulę?

— Nikt — odpowiedział. — Nikt.

Siedziała za biurkiem przy oknie, a snop światła rozcinał ją po przekątnej. Miała na sobie kremową, szyfonową bluzkę z deseniem w róże, bawełnianą kamizelkę z kieszonkami i maleńką dżinsową spódniczkę z postrzępionym brzegiem. Spięła swoje piękne włosy, a pantofle na płaskim obcasie miały wyraziste czubki. Wyglądała jak maleńka wróżka, cała blada i przezroczyista.

Odwróciła się na dźwięk jego wózka i zerwała się na równe nogi.

— O Boże! — krzyknęła. — Kurde, przepraszam. Już piętnasta?

Con skinął głową.

— Kurde. Nie wyrobiłam się z tym wszystkim. — Jej ręce zaczęły błądzić po blacie biurka, próbując zatrzymać się na tych wszystkich ważnych kopertach i kartkach papieru. — Zajmie mi to minutę lub dwie. Może być?

I tak było za każdym razem. Te wszystkie pomyłone, cholerne nastolatki, ledwo co po maturze. Wymyśliły sobie zdobywanie doświadczenia zawodowego przed uniwersytetem. Albo te cholerne pannice, które wracały po rocznych kursach nurkowania i podobnych bzdurach zaliczonych na innych kontynentach. Nie nosiły zegarków. Wszystko robiły na ostatnią chwilę w atmosferze rozgorączkowanej paniki. Zazwyczaj wkurzało go to nieprzeciętnie. Ale nie w tym przypadku. W tym akurat przypadku Daisy mogła panikować cudnie, ile tylko chciała, i uwijać się wokół niego niczym ożywiony motyl.

— Aha — odezwała się, przebierając wśród góry kremowych kopert. — A co u ciebie?

— W porządku — odpowiedział. — Dziękuję, wszystko gra — dodał, bo poczuł potrzebę zwiększonej uprzejmości. Babcia zawsze próbowała zmusić go do przykładowego wysławiania się i odpowiedniego zachowania. Potem wysłała go do najbardziej surowej szkoły w Tottenham, gdzie dobre maniery i właściwie wypowiedziane słowa nie miały znaczenia. Ale w domu słyszało się jedynie: „Nie mów *co*, mów *stucham*” albo „A co z twoimi manierami?” i „*Mogę prosić kilka, a nie daj mi kilka*”, a także „Zabierz łokcie ze stołu”. Babcia była taką prawdziwą babcią w starym stylu, nie jedną z tych na czasie, w dresach i kolczykach. Sama została wychowana przez swoją babcie i miała bzika na punkcie porządnego zachowania.

— A co u ciebie?

— Zwariuję zaraz — odpowiedziała, owijając koperty elastyczną gumką i wręczając mu kremowy pakiecik. — Jutro wszyscy zmywają się na wycieczkę, więc oczywiście wszystko musi być zrobione na wczoraj. Każdy na każdego warczy i uważa, że jego sprawy są najważniejsze, a największym gównem obrywa ten na dole. Czyli kto? — Przerwała, by złapać oddech, i odgarnęła kosmyk włosów z oczu. — Widzisz, teraz mają mnie. Ale ja nigdy się nie stresuję. Nigdy. Nie wiem, co to stres. To kwestia genów. Mówię ci, nie mogę się już doczekać, żeby ten dzień się wreszcie skończył i żeby oni wszyscy byli już w samolocie w połowie drogi na Mauritius. Jutro będzie taaak spokojnie.

Ładowała na wózek miękkie paczki i śliskie torby z ubraniami i nie przestawała mówić.

— Wracasz teraz do działu przesylek?

— Tak — odpowiedział.

— Wiesz co... — Spojrzała na zegar wiszący na przeciwległej ścianie pomieszczenia. — Właściwie to mogłabym iść z tobą. Czekają na coś od Miu Miu i z tego, co mi wiadomo, to jeśli to coś nie pojawi się tu w ciągu następnych dziesięciu minut, to cały świat trafi szlag. Mogę tu siedzieć z założonymi rękoma i czekać na nieuchronny koniec albo wyrwać się z tobą z tego piekła choćby na chwilę.

Weszli do windy i wpatrywali się w drzwi w niezręcznej ciszy, którą w końcu przerwała Daisy:

— Gdzie mieszkasz?

— W Finchley — odpowiedział.

— Finchley? Gdzie to jest? Północna część?

— Tak. Na północ od Hampstead. Na południe od Barnet.

— Ładnie tam?

— Może być. Mieszkam w ładnym domu, więc jest okej. A ty? Gdzie mieszkasz?

— Wandsworth — odpowiedziała. — Zwyczajnie. Okolica ładna. Dom do dupy.

— Dlaczego? Co z nim nie tak?

— Należy do chłopaka mojej siostry i jest niewiarygodnie mały. Wiesz, taka mała, maleńka chatka z maleńkimi pokojami. Kuchnia jest mniej więcej wielkości tej windy. Ale nie powinnam narzekać. To miło z ich strony, że pozwalają mi ze sobą mieszkać i przynajmniej mam gdzie spać.

Con pokiwał głową ze zrozumieniem i przeszło mu przez myśl, by jej wszystko opowiedzieć, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu. Pewnie zaczęłyby się nad nim litować. Albo, co gorsza, uznałyby koczowanie przy wejściu do sklepu w Wood Green przez dwa tygodnie za coś niewiarygodnie fajnego. Na tyle oryginalnego i niesamowitego, że chciałyby pokazać go swoim wymuskanyim przyjaciółom i siostram z głupimi kwiecistymi imionami — och, oto mój nowy przyjaciel, Con, to takie tragiczne, kiedyś nie miał dachu nad głową, wicie, spał na kartonie i mył się w publicznych toaletach.

Winda dotarła na poziom -1 i drzwi rozsunęły się. Daisy pomogła Conowi wymanewrować wózkiem w przejściu.

— A z kim mieszkasz w tym twoim ładniutkim domu? Z przyjaciółmi? Z dziewczyną?

Con poczuł dreszcz emocji. Sposób, w jaki to powiedziała: „Z dziewczyną?”. Badała go, chciała wiedzieć, czy kogoś miał. I wtedy odniósł wrażenie, że wszystko w jego głowie przesunęło się trochę, by ustąpić miejsca tej nowej możliwości — możliwości, że ta dziewczyna z innego świata, ze świata kucyków i rodzinnych wakacji nad Morzem Karaibskim, prywatek, na które chłopaki zakładali smokingi, może naprawdę chcieć być z nim, z chłopakiem z Tottenham, który został wychowany przez babcię w mieszkaniu komunalnym na drugim piętrze.

— Nie — odpowiedział zachęcająco. — Nie z dziewczyną. Mieszkam z mamą.

— Och, więc wciąż mieszkasz w domu?

— Nie. To ona mieszka u mnie.

— Mieszkasz razem z mamą?

— Tak. Ale nie tylko z nią. Pełno nas tam.

— Mieszkasz w komunie?

Uśmiechnął się. Dziewczynie takiej jak Daisy spodobałaby się wizja mieszkania w komunie.

— No — powiedział — tak jakby. Taki jeden facet, poeta, jest właścicielem i wynajmuje nam pokoje.

— No co ty! Poeta.

— No. Taki dziwak trochę, raczej samotnik, ale jest bardzo w porządku. A dom jest ogromny. Mieszkali tam ludzie wszelkiego rodzaju. Artyści, piosenkarze, aktorzy i tacy tam. Niesamowite miejsce.

Con i Daisy weszli do działu wysyłkowego i natychmiast spotkali się z zaciekawionym wzrokiem chłopaków, których oczy automatycznie omiotły szczupłe nogi dziewczyny, ale ona wydała się zupełnie obojętna na te taksujące spojrzenia. Zazwyczaj, gdy ludzie „z góry” mieli powód, by zejść „na dół”, wyczuwało się ich potrzebę szybkiej asymilacji z tym wrogim otoczeniem, byle tylko dostać to, czego potrzebowali, i pędem ruszyć z powrotem windą ku jasnym światłom normalności. Ale Daisy nie przejmowała się. Jakby nie zauważyła, że znalazła się w głośnym pomieszczeniu pełnym mężczyzn, z Radiem One dudniącym w tle i skwapliwie czytаныmi brukowcami.

Zaprowadził ją do miejsca odbioru przesyłek, by znaleźć paczkę.

— Przyszło coś z Miu Miu do „Vogue'a”? — zapytał Nigela.

— Tak — odpowiedział Nigel, chwytając dużą, plastikową siatkę zza barierki. — Dopiero co, dwie minuty temu. — Wręczył torbę Conowi i uśmiechnął się do Daisy. — Cześć — wydusił z siebie tępym głosem. — A ty co za jedna?

Con rzucił Nigelowi spojrzenie pełne wyrzutu. Daisy nie przyszła tu flirtować z otyłymi facetami w swetrach Primark.

— Cześć — odwzajemniła uśmiech. — Jestem Daisy.

— Cześć, Daisy. Mam na imię Nigel.

— Lubisz Miu Miu, Nigel?

Nigel uśmiechnął się.

— Uwielbiam.

— Mają tam ładne buty.

— O tak — przytaknął — śliczne buciki. Ale nie tak ładne jak te od Christiana Louboutina. To są dopiero piękne buty.

Daisy roześmiała się, a Nigel jej zawtórował. A Con obserwował w zachwycie, jak sobie żartowali, spasiony Czterdziestoparoletni facet z Hainault i anioł z ósmego piętra. I wtedy go olśniło. Daisy wyskoczyła z tapety i była w zasięgu jego ręki. To była tylko kwestia czasu.

19

Dochodziła piąta rano i Ruby miała właśnie wdrapać się po schodach i rzucić się na swoje łóżko, kiedy w przedpokoju ukazała się jakaś postać. To była Melinda, wyczesana i wypolerowana, włosy blond spięte w kształtny kok, w pełnej gotowości do pracy w swoim granatowo-żółtym uniformie.

— Witaj. — Melinda ściągnęła swój skórzany płaszcz z wieszaka i spojrzała lodowato na Ruby.

— Dzieńdoberek — odpowiedziała Ruby, nagle świadoma woni alkoholu w wydychanym przez siebie powietrzu. Czowała swoje lepkie i brudne ręce. Chciała je natychmiast umyć.

Stały przez chwilę w milczeniu, patrząc sobie w oczy. Na dworze zaczął śpiewać jakiś ptak. Melinda odezwała się pierwsza.

— Nie będę teraz z tobą rozmawiać, bo jesteś pijana, ale wiedz jedno — jeśli w jakikolwiek sposób, powtarzam, w jakikolwiek sposób zranisz mojego chłopca, to ci przyłożę. Przysięgam. — A potem zarzuciła płaszcz przez ramię, podniosła podrabianą torebkę Mulberry i wyszła.

Ruby stała tam jeszcze przez chwilę, czując, jak wódka i czerwone wino przelewają się w jej pustym żołądku. I wtedy przypływ niepohamowanej niestrawności uderzył ją pomiędzy żebrami i pchnął w kierunku frontowych drzwi. Otworzyła je z rozmachem i ciężkimi krokami zeszła po schodkach, w kierunku oddalającej się postaci Melindy.

— Ale z ciebie chora i popieprzona suka!

— Melinda odwróciła się i spojrzała na nią, a Ruby przez moment zobaczyła tę scenę obiektywnie, jakby oczyma osoby stojącej z boku. Oto na środku ulicy, ze świtem w tle, chuda, brudna brunetka z dziką czupryną na głowie, w obcisłych dżinsach i cienkim dżersejowym topie wrzeszczy na niezłą blondynkę z pachnącą jeszcze prysznicem skórą, w czyściutkim garniturze.

— Tak jak powiedziałam — zaczęła Melinda, wyjmując kluczyki samochodowe z torebki. — Nie będę z tobą rozmawiać w tym stanie. Miłego dnia. — Zapadła cisza, którą zakłócił jedynie trzask otwierającego się zamka w samochodzie, po czym Melinda opadła na siedzenie kierowcy, zapięła pas bezpieczeństwa i bardzo powoli, niezmiernie rozważnie, wyprowadziła samochód z miejsca parkingowego.

Ruby stała przez chwilę na chodniku, chwiejąc się nieznacznie po tej surrealistycznej kolizji między końcem jej dnia a początkiem dnia Melindy. A potem wspięła się po schodach do domu, powlokła w kierunku swojego pokoju i w ubraniu zasnęła na łóżku.

20

Miłość Toby'ego do Ruby była jak przyptyw. Kiedy spotkał ją po raz pierwszy piętnaście lat temu, zalało go wszechogarniające pożądanie. Zawładnęło nim do tego stopnia, że zaczął kwestionować prawdziwość każdego doświadczonego do tej pory uczucia, intensywność każdej emocji, którą czuł, nawet tej w stosunku do Karen. Nigdy wcześniej w swoim życiu nie pragnął tak bardzo zbliżenia w akcie seksualnym z inną istotą ludzką. Czuł się całkowicie przytłoczony. Czuł przyptyw krwi w ramionach, stopach, źrenicach. Pocił się obficie w jej obecności, promieniował gorącem, które emanowało z jego ciała, jakby w podczerwieni. Musiał trzymać ręce w kieszeni, by powstrzymać się przed dotknięciem jej w niewłaściwy sposób.

Drugiej nocy w jego domu przyprowadziła ogromnego mężczyznę, który jak twierdziła, był „starym przyjacielem”, i kochała się z nim tak głośno i tak długo, że Toby musiał zejść na dół i spać na sofie. Mężczyzna pałętał się po domu jeszcze do końca weekendu, łażąc w szlafroku Ruby i paląc papierosy, gdziekolwiek się udał, nawet w łazience. Toby wytłumaczył sobie, że to zdarzenie było przypadkowym epizodem, i odetchnął z ulgą, kiedy facet zniknął w końcu w poniedziałek po południu. Tyle że trzy dni później Ruby zjawiła się

w domu z basistą ze swojego zespołu, mruknęła coś na temat dopracowania niektórych tekstów, a potem zniknęła z nim w pokoju na ponadgodzinną, rozchodzącą się po domu głośnym echem aktywność seksualną. I tak trwało to bez końca: gwardie „starych przyjaciół”, „wspaniałych chłopaków”, „najlepszych kumpli” przewalały się przez łóżko Ruby — niektórzy tylko jeden jedyny raz, inni z regularną częstotliwością. Równie atrakcyjni jak ona lub niewiarygodnie brzydzy. Kilku awansowało do etapu „chłopaka”, ale były to przelotne związki, zawsze kończone przez Ruby i nigdy nie oplakiwane.

Wyuzdana swoboda seksualna Ruby, choć to dziwne, nie rozdmuchała pożądania Toby'ego. Raczej spłaszczyła je, jak wielki tyłek robi to z poduszką pierdziawką. Toby wyszedł poza fizyczne pożądanie, przestał rozgrzewać się jak kaloryfer i zakochał się w dziewczynie. Kiedy byli tylko we dwoje i oglądali telewizję, słuchali grającego zespołu, pili drinki, dyskutowali o muzyce, były to najszczęśliwsze chwile w życiu Toby'ego. Gdy zaś Ruby przebywała w innym męskim towarzystwie, to nauczył się wyłączać; pograżał się w czymś, co odwracało jego uwagę, słuchał muzyki i przeczekiwał to jak zapowiedzianą ulewę.

Czasem Ruby wytrzymała bez seksu miesiąc lub dwa, a w Toby'ego wstępowała nadzieja — może w końcu zaczęła dojrzewać, może w końcu wyrastała z tego. Może teraz spojrzy na niego i dostrzeże w nim mężczyznę atrakcyjnego seksualnie. Tyle że kilka dni później, zazwyczaj w środku nocy, drzwi frontowe otwierały się zamasyście, a obcy, męski głos niósł się po schodach prosto do łóżka Toby'ego, który z głową pod poduszką próbował desperacko zasnąć, zanim dom wypełniły odgłosy miłosnych uniesień Ruby i jej kochanka.

Kiedys, jakieś sześć lat temu, Ruby wróciła z występu o trzeciej nad ranem z przyjaciółkami i w pijanej euforii wtargnęła do jego pokoju.

— Mogę się przytulić, Tobes?

— Co?

— Jestem naprawdę, ale to naprawdę pijana i jedyne, na co mam ochotę, to przytulić się do mojego kochanego Toby'ego. — Wdrapała się na jego łóżko, objęła go ramieniem i wtuliła głowę w jego pachę. Toby nie drgnął ani jednym mięśniem w obawie, że mogłaby zmienić zdanie.

— Jesteś nagi? — zapytała po minucie czy dwóch.

— Niezupełnie — odpowiedział.

Na dole jej koleżanki stukały obcasami w drewnianą podłogę, plądrowały lodówkę w

poszukiwaniu przekąsek i włączyły muzykę. Toby wsłuchiwał się w oddech Ruby, cierpkie opary niestrawionego alkoholu wypełniły przestrzeń między jej głową a jego ramieniem.

— Co się dzieje? — zapytał w końcu.

— Co?

— To. — Machnął ręką. — To.

— Nic — mruknęła. — Chciałam się tylko przytulić, to wszystko.

Zasnęła w jego łóżku, w jego ramionach. Jedna z przyjaciółek weszła do pokoju kilka minut później i wycofała się przeproszająco na widok Ruby w uścisku Toby'ego. Jego ręka zeszywniała godzinę później, ale nawet nie drgnął. Zasnął na godzinę, obudził się wraz ze słońcem o szóstej rano i wpatrywał się w nią przez następną godzinę, aż Ruby otworzyła oczy i podreptała do swojego pokoju, w którym spała do południa.

Nigdy później nie wspomnieli o tym zdarzeniu, gdyż, jak przypuszczał, nie miało ono żadnego znaczenia dla Ruby. W skrytości ducha Toby miał nadzieję, że to intymne, aczkolwiek niewinne doświadczenie, przyczyni się do zapoczątkowania pewnych zmian. Ale tak się nie stało. Od tego momentu już wszystko toczyło się w dół, ponieważ Ruby poznała Paula Foksa.

Toby nienawidził Paula Foksa.

Nienawidził go, bo Paul miał głupkowatą fryzurę.

Nienawidził go, bo był zamożny i odnosił sukcesy.

Nienawidził go, bo mówił do każdego „kumpel”, używając przy tym tego głupiego, udawanego akcentu cockney, mimo że chodził do szkoły prywatnej, o czym Toby dobrze wiedział, bo swój zawsze pozna swego.

Nienawidził go, bo w czasie orgazmu wrzeszczał: „O Boże, o Jezu, o kurwa”, zawsze w tej samej kolejności i w tym samym rytmie.

Nienawidził go, bo kiedyś podsłuchał, jak mówił o nim per Mr Rigsby.

Nienawidził go, bo zdradzał swoją lojalną dziewczynę (której co prawda Toby nigdy nie poznał).

Ale nienawidził go przede wszystkim za to, że zdołał przekonać Ruby, by spała z nim co najmniej raz w tygodniu przez ostatnie pięć lat.

Wszyscy pozostali faceci nie mieli większego znaczenia. Wpadali, wypadali, nie pozostawał po nich żaden ślad. Ale Paul Fox z tą niewytłumaczalną mocą, jaką wywierał na

Ruby, zadreptał Toby'ego niczym traumatyczne wspomnienie. Toby nie wyobrażał sobie, że może go spotkać coś jeszcze gorszego niż Paul Fox.

A tak się stało.

Ruby przespała się z Conem.

Według Toby'ego świadczyło to o dramatycznym obniżeniu się jej standardów. Spowodowało to również kolejny sejsmiczny wstrząs w jego spojrzeniu na Ruby. Najwyższy czas, żeby odeszła. A co ważniejsze, najwyższy czas, by przestał ją kochać. Gdyby tylko znalazł się ktoś, kto pokazałby mu, jak to zrobić.

21

Torebka wibrowała. Ruby wyciągnęła z niej telefon i starła z ekranu jakieś okruszki. Dzwonił Paul. Zawahała się przez chwilę. Odzywał się po raz pierwszy od tamtej nocy, kiedy wpadli na Elizę, i nie była pewna, czy chce z nim rozmawiać. Gapiła się na ekran przez chwilę, a potem nacisnęła zielony klawisz.

— Halo — odezwała się ostrożnie, bo nie wiedziała jeszcze, jaki ma obrać ton.

— Halo. — Brzmiał bardzo oficjalnie, ale przyjacielsko. — Gdzie jesteś?

— Na próbie z chłopakami.

— Jesteś wolna dziś po południu? Na około godzinę?

Zazwyczaj takie pytanie znaczyło, że chciał wpaść na seks. Wyszła z telefonem na korytarz.

— Eee, nie jestem pewna. Dlaczego?

— Muszę się z tobą zobaczyć. Porozmawiać. Mogę po ciebie podjechać. Co byś powiedziała na herbatę w Wolseley?

Ruby zaśmiała się.

— Herbatę w Wolseley?

— Tak. Mam spotkanie w Green Park o piątej, więc będziesz musiała sama wrócić do domu. Podjadę po ciebie o trzeciej. — Rozłączył się bez pożegnania.

Ruby wyłączyła telefon i wpatrywała się nieobecnym wzrokiem w tablicę z ogłoszeniami na przeciwległej ścianie, na kartki z propozycjami pracy dla piosenkarzy i basistów, reklamy keyboardów i klarnetów. Słyszała, jak ktoś w głębi korytarza stroi fortepian, a ktoś

inny za sąsiednimi drzwiami wali nieprzytomnie w perkusję. To była jej przestrzeń ukojenia, wypełniona rytmem, hałasem i niechlujnymi facetami.

Ruby lubiła niechlujstwo. Uwielbiała brodzić między plastikowymi kubkami od piwa po klejących się podłogach w klaustrofobicznych klubach; lubiła oglądać filmy w staromodnych, obskurnych kinach z fotelami bez miejsca dla nóg i zdartymi obiciami. Ruby nie lubiła prestiżu i elegancji. Chciała, żeby jej życie kojarzyło się z ponurością i wyświechtaniem, tak jak jej faceci. Herbata w Wolseley? To dopiero będzie dziwne.

Kobieta przy wejściu najwyraźniej знаła Paula.

— Oczywiście. — Uśmiechnęła się, kiedy zapytał ją, czy mieli wolny stół bez wcześniejszej rezerwacji.

Drobna dziewczyna poprowadziła ich przez wnętrze przeogromnej restauracji i wskazała na stół w tyle. Ruby rozejrzała się dookoła przerażona. Czuła się jak w przepastnej, polakierowanej na czarno katedrze, podtrzymywanej przez filary wysokie na tysiąc metrów i obwieszanej żyrandolami wielkości tranzytowych ciężarówek.

W drodze do restauracji Paul większość czasu rozprawiał przez telefon z kimś o imieniu Mike, więc nie mieli jeszcze okazji porozmawiać, ale Ruby przeczuwała, że coś jest nie tak. Obyli się bez ciepłych uśmiechów, nie doświadczyła również żadnych opuszek palców gładzących wewnętrzną część jej przedramienia, żadnej dłoni ściskającej jej udo. Czuła zaś subtelny, ale jednoznaczny dystans.

Ruby zamówiła pół tuzina ostryg i kieliszek szampana, kombinując, że kanapkami i ciastem może do woli opychać się w domu. Spojrzała na Paula.

— A więc — zaczęła — o co chodzi?

— Muszę ci coś powiedzieć.

— Zamieniam się w słuch.

— Poprosiłem Elizę o rękę.

Ruby wzdrygnęła się i złapała krawędź stołu, by utrzymać równowagę.

— Słucham?

— W zeszłym tygodniu. Poprosiłem ją o rękę, a ona się zgodziła.

— O mój Boże! — Zaśmiała się, chociaż wcale nie była rozbawiona. — Jaja sobie robisz?

— Nie.

— Ale znacie się dopiero od sześciu miesięcy.

— Właściwie to od ośmiu.

— Osiem czy sześć, pal diabli. To nie za długo.

— To prawda. Ale nie jestem już bardzo młody. Ona też nie.

— No tak, ale... Rety! Żenić się? Przecież to cholernie poważna sprawa. To znaczy, że... — I wtedy zdała sobie sprawę, co to dokładnie znaczyło. Że dla niej nie było już miejsca. — A co z nami?

— I o to właśnie chodzi, Rubes. Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać.

— O Boże. — Ruby zakryła twarz dłońmi. Zmęczenie, z którym próbowała walczyć przez cały ranek na próbach, chwyciło ją teraz dokładnie między oczyma, niczym zawieszony haczyk od wędki.

— Nie możemy tego ciągnąć ani chwili dłużej. — Gestem dłoni wskazał na ich oboje. — Nie ma mowy. Czym innym jest skok w bok, kiedy jest się w przelotnym związku. Ale widzisz, tutaj mówimy o pierścionkach zaręczynowych. Mówimy o tym najważniejszym cholernym zobowiązaniu w życiu.

— Tak, tak, dobrze wiem, o czym mówisz. — Ruby odgarnęła włosy z twarzy i spojrzała na niego.

— W moim życiu nie ma już miejsca dla ciebie.

— Nie bądź nedorzeczny. — Zaśmiała się. — Oczywiście, że jest. Jesteś moim najlepszym kumplem.

— Nie, Ruby, nie jestem. „Najlepszy kumpel” to określenie, którym sypiesz na prawo i lewo, bo czujesz się lepiej z faktem, że sypiasz z facetami bez zobowiązań. Nie jestem twoim najlepszym kumplem. Ty nie masz najlepszego kumpla.

— Co? — Ruby wyprostowała się.

— No nie masz. Przykro mi. Masz przyjaciół. Mnóstwo przyjaciół. I kochanków. Mnóstwo kochanków. Ale nie masz najlepszego kumpla. — Przerwał i wpatrywał się w nią przez chwilę badającym wzrokiem, tak jakby ważył, czy powiedzieć coś ostrzejszego. — W każdym razie... — Westchnął i przejechał dłońmi po twarzy. — Nie zaprosiłem cię tutaj, by pastwić się nad twoim charakterem. Przyprowadziłem cię tutaj, bo chciałem to zrobić właściwie. Bo zasługujesz na to. Więc proszę, to jest...

Rozchylił marynarkę i z wewnętrznej kieszeni wyjął pudełeczko. Podał je Ruby.

— Co to jest? — zapytała.

— Otwórz — powiedział, wskazując na pudełko.

Pudełko otworzyło się z kliknięciem i coś ze środka zabłyszczało do Ruby. Był to szylkretowy grzebień, taki w hiszpańskim stylu. Ozdobiony maleńkimi różowymi rubinkami w kształcie kwiatków. Ruby wpatrywała się w niego przez chwilę, nie wiedząc, jak zareagować. Przepiękny podarek, ale co, do cholery, miał oznaczać?

— Podoba ci się?

— Tak — odpowiedziała. — Jest cudny. Ale na co mi to?

— Do twoich włosów — odpowiedział. — To grzebień.

— To wiem, ale chodzi mi o to, dlaczego mi go dajesz?

— By ci podziękować. By się pożegnać.

— Aha. — Zamknęła wieczko pudełka i położyła je delikatnie na stole przed sobą.

— Coś nie tak?

— Nie. — Westchnęła. — Nie. Grzebień jest przepiękny. Miło będzie mieć jakąś pamiątkę po tobie. Po nas.

— Kpisz sobie?

— Nie — odpowiedziała. — Oczywiście, że nie. Nie jesteś mi nic winien. To był zawsze taki czysty układ — łatwo przyszło, łatwo poszło. Wszystko w porządku. — Przerwała i wstrzymała oddech, bo przemknęła jej przez głowę straszna myśl. — Ale co z naszą umową?

Paul spuścił wzrok i poczekał, aż kelnerka rozstawi ich drinki na stole.

— No cóż — odezwał się po chwili — oczywiście to już nie obowiązuje.

— Aha — powiedziała, czując, jak przeszywa ją panika. — Więc co ja teraz zrobię? Jak zapłacę czynsz?

— Toby z pewnością odpuści ci czynsz.

— Tak — stwierdziła Ruby — ale co z całą resztą? Z jedzeniem, ciuchami i... i... życiem?

— Znajdziesz sposób — powiedział. — Pójdiesz do pracy, sprzedasz piosenkę. Czas, żebyś wreszcie dorosła Ruby...

— Chryste... — Poczwała, jak panika zaczyna ją paraliżować. — Co się ze mną stanie? Wiszę Kewowi za dzisiejszą próbę. Jestem spłukana. Kurde. Nie mógłbyś przypadkiem po-

życzyć mi trochę kasy? Żebym jakoś przetrwała?

— Nie, Ruby. Nie mogę. To już wszystko. To... — Wskazał na pudełko z prezentem. — I to... — Machnął ręką w stronę ostryg, które właśnie jej podano. — Po tym już nic nie będzie. Musi tak być.

— Nie dasz mi nawet pięćdziesiątki?

Paul westchnął i wyciągnął portfel. Wyciągnął plik banknotów dwudziestofuntowych i przesunął je po blacie w jej kierunku. Przykryła pieniądze dłonią. Było tego więcej niż pięćdziesiąt funtów, coś koło stu. Jeszcze ciepłe. Nie spojrzała na pieniądze, tylko wrzuciła je do torebki.

— Dziękuję — powiedziała, a potem wbiła wzrok w ostrygi, próbując zebrać myśli. Ciekawe, zastanawiała się, dłubiąc z wyczuciem widelcem w talerzu, kim był pierwszy człowiek, który zjadł ostrygę. Kto po raz pierwszy otworzył tę muszlę i wpadł na pomysł, by skosztować jej środka? Wlała łyżeczkę różowego octu winnego i wrzuciła szalotki, chwyciła ostrygę kciukiem i palcem wskazującym i uniosła na wysokość nosa. Zapach przypominał jej letnie wakacje, wraki statków pokryte warstwą pąkli i okładzinki pozostawione na pustych plażach Kentucky, smażone ryby z frytkami jedzone drewnianymi widelcami i wiaderka pełne wodorostów i małych półprzezroczystych krabów. Włożyła ostrygę do ust i ugryzła ją, raz, drugi, połknęła. Spojrzała na Paula. Przyglądał się jej smutno spoza opalonych palców.

— Nie martwisz się o mnie? — zapytała łagodnie. — Nie martwisz się, że nie przeżyję?

— Nie — odpowiedział, biorąc sztucce.

— Dlaczego nie?

— Chciałabyś, żebym się o ciebie martwił?

— Tak — odpowiedziała.

— Poważnie? — Roześmiał się.

— Tak. Ja się boję. Ja... Ja... — Poczowała, że jest zbyt bliska łez, więc przerwała na moment. — Nie wiem, kim jestem, i boję się, że bez ciebie mogę się zagubić. — Wpatrywała się w Paula szklistymi oczyma. Paul uśmiechał się ze współczuciem i przykrył jej dłoń swoją.

— Dasz sobie radę — powiedział. — Znam cię. Jesteś silną kobietą i dasz sobie radę.

Ruby uśmiechnęła się z przymusem i zabrała rękę. Jeśli naprawdę właśnie tak o niej myślał, to wcale jej nie znał.

22

Con mył w kuchni płytki talerz. Toby, sięgając po szklanę z suszarki, uśmiechnął się do niego.

— W porządku? — zapytał Con.

— Aha — odpowiedział Toby. — Przyszedłem po wodę. Skierował głowę w kierunku schodów i już miał wychodzić z kuchni, kiedy zatrzymał go Con.

— Toby? — zagadnął. Spojrzał na niego pytająco.

— Powiedziałbyś o sobie, że pochodzisz z wyższych sfer?

— Ja? — Toby nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Tak. Kim ty właściwie jesteś? Przecież wiadomo, że nie należysz do klasy robotniczej, więc jesteś z wyższej, średniej czy jakiej?

— Boże — odpowiedział Toby — nie mam pojęcia. Tak naprawdę nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

— Po prostu... To śmieszne, prawda? Spotykasz ludzi, a oni wypowiadają się w taki czy inny sposób albo wyglądają szczególnie, a tobie się wydaje, że wiesz, z jakiej klasy społecznej pochodzą, ale potem okazuje się, że nie zawsze masz rację. Chodzi mi o to, że istnieją ludzie, którzy mieszkają w okazałych rezydencjach, a nie mają grosza przy duszy. Ty na przykład — posiadasz ten wielki dom, a jesteś splukany. Więc czy mimo to jesteś z wyższych sfer? Albo czy bycie biednym oznacza bycie prostakiem?

Toby uśmiechnął się i oparł się o krzesło.

— Dlaczego pytasz?

— Nie wiem. — Con wzruszył ramionami. — Po prostu jestem ciekaw.

— Hm, przypuszczam, że w pewien sposób należę do klasy średniej. Mój ojciec jest biznesmenem. Moja mama była modelką. Wychowywałem się w domu z czterema sypialniami w Dorset, ładny budynek, ale bez ogrodu. Myślę, że rodzice spłacali hipotekę. Posłali mnie prywatnej szkoły mającej dobrą opinię i tam miałem do czynienia z elegancikami z wyższych sfer. A teraz, jak sam mówisz, jestem splukany. Nie zrobiłem kariery, ale posia-

dam nieruchomości. — Wzruszył ramionami i uśmiechnął się. — Powiedziałbym, że mój przypadek jest trochę zagmatwany.

— No ale w porównaniu ze mną to wciąż jesteś wysferzony. Można powiedzieć, że moja matka jest bezdomna. Nie wiem, czym zajmował się ojciec. Wychowywałem się w mieszkaniu komunalnym, uczyłem się w szkole publicznej. W tym wszystkim chodzi o dziedzictwo, o to, z czym zostajesz, kiedy odchodzą twoi przodkowie. Cokolwiek by się z tobą stało, to masz ten dom, może dostaniesz jeszcze coś po śmierci ojca. Ja nie dostanę nic. No chyba że mój ojciec jest naprawdę bogaty i nagle przypomni sobie, że ma syna...

Przerwał i przez chwilę wpatrywał się w Toby'ego, który bawił się szklanką i czekał, aż Con zacznie mówić dalej. Chciał rozmawiać o Ruby, to było jasne jak słońce.

— Poznałem taką dziewczynę — powiedział w końcu. Toby skinął głową. No to teraz się zacznie.

— W pracy. I próbuję rozgryźć, na ile ona jest wysferzona. Toby zamrugnął i spróbował ukryć zdziwienie.

— Aha. Rozumiem. A co ci o niej wiadomo?

— Jest chyba w moim wieku. Dopiero zaczęła pracować w dziale mody w „Vogue” więc pewnie zarabia mniej ode mnie. Na imię ma Daisy, a jej siostry mają imiona kwiatów, o których nigdy wcześniej nie słyszałem. Mieszka w Wandsworth z siostrą i jej chłopakiem. On jest właścicielem. Dom ponoć jest bardzo mały. I to tyle. Mówi z akcentem charakterystycznym dla wyższych sfer i na jedną z nich wygląda. Ale nie ma nic przeciwko ludziom, którzy nie są tacy jak ona. Zachowuje się bardzo swobodnie w towarzystwie, no wiesz, normalnych ludzi.

— I to wszystko?

— Jak na razie.

— Więc w czym problem? Z tego, co mówisz, to urocza osoba.

— Sam nie wiem — odpowiedział. — Wydaje mi się, że jest mną zainteresowana, ale nie chciałbym tego schrzanić.

— A co normalnie robisz, kiedy podoba ci się dziewczyna?

— Nie wiem. — Wzruszył ramionami i usiadł na stole. — Po prostu jestem sobą.

— No właśnie to jest dokładnie to, co powinieneś zrobić. To, że jest „wysferzona”, wcale nie oznacza, że różni się od innych dziewczyn.

— Masz rację. Powinienem być sobą, prawda?

— Tak — odpowiedział Toby, próbując przybrać ton eksperta od inteligencji emocjonalnej. — Tak, dokładnie na tym polega cała sztuczka. Bądź sobą.

— Okej. — Con podniósł się. — Przepraszam za to, nie miałem zamiaru, no wiesz. Muszę już lecieć. Do zobaczenia. — Przemknął obok Toby'ego do pokoju dziennego.

Toby wrócił do swojego pokoju, trochę speszony, ale przede wszystkim wzruszony, że Con mu zaufał. Fakt, że Con zainteresował się dziewczyną bez (jak przypuszczał) silikonowych implantów i bez sztucznej opalenizny (jak przypuszczał, chociaż Bóg jeden wie, w dzisiejszych czasach wszystkie dziewczyny dążą do wyglądu modelki z okładki), tchnął nadzieję w Toby'ego. Może Con rozszerzał swoje horyzonty i zostawił w tyle dzieciństwo. Może stawał się gotowy, by ruszyć dalej. Może nie będzie to tak trudne wyrzucić go z domu.

Toby wchodził po schodach i uśmiechał się do siebie.

Usiadł przed komputerem i spojrzął na drugą stronę ulicy. W salonie Leah światła były zgaszone. Zastanawiał się, gdzie teraz jest. Może właśnie oglądała kolejne mieszkanie do wynajęcia. A może poszła na randkę. Obserwował ją z pokoju przez lata, jak wchodziła i wychodziła ze swojej sypialni, i nie poświęcał jej nawet ułamka sekundy ze swojego antenowego czasu w myślach. Miała przecież chłopaka. Toby traktował dziewczyny mające chłopaków, jakby zakładały czapki niewidki. Dla niego one po prostu nie istniały.

Wyglądał przez okno i wtedy ją zobaczył. Szła w kierunku drzwi wejściowych i niosła dwie duże siatki z M&S. Włosy miała związane w kitkę. Zatrzymała się przed domem i zaczęła przeszukiwać torebkę. Ponieważ nie była w stanie znaleźć tego, czego szukała, westchnęła, odłożyła siatki, oparła torebkę o mur i ponownie zaczęła ją przeszukiwać, coraz bardziej niecierpliwie. W końcu wyciągnęła pęk kluczy, podniosła siatki i skierowała się ku drzwiom. Światło włączyło się automatycznie i przez chwilę stała oświetlona jasnym snopem niczym aktorka na scenie. Drzwi wejściowe otworzyły się, a ona weszła do środka. I wtedy, zupełnie nagle, jakby usłyszała czyjeś wołanie, odwróciła się i spojrzała prosto na Toby'ego.

Toby już miał się schylić, ale nie zrobił tego. Zamiast tego uśmiechnął się do niej i pomachał ręką. Odwzajemniła uśmiech. I wyglądała, przez jedną krótką, ulotną i rozkoszną sekundę, jak najpiękniejsza kobieta, jaką Toby widział w życiu. Ta myśl spowodowała ude-

rzenie krwi do jego głowy. Przełknął ślinę i skierował wzrok z powrotem na monitor.

23

Przez okno swojego pokoju Ruby obserwowała, jak wracał do domu. Trzymał żółtą siatkę z Selfridges. Włosy ułożył inaczej niż zwykle; pozbawione grubej warstwy żelu opadały miękko w rytm kroków. Widziała go po raz pierwszy od urodzin Toby'ego i zaskoczyła ją własna reakcja. Poczula nagłe podniecenie i drzenie ze szczęścia. Chłopak, z którym mieszkała pod jednym dachem od ponad roku, chłopak, którego postrzegala jako dorabiającego uczniaka, zmienił się w mężczyznę.

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Wyglądała dobrze. Zastanawiała się, czy się nie rozplakać po przyjsciu do domu po niekończącej się, dziwnie otepiałej podróży metrem z Wolseley, ale zmieniła zdanie i zamiast tego postanowiła się wykapać. Teraz była zadowolona z tej decyzji, bo jej uroda nie dochodziła szybko do siebie po upokarzających łzach.

Wyciągnęła korektor Rimmela i wsmarowała go trochę pod oczyma. Potem nałożyła na usta półprzezroczysty różowy błyszczak i zeszła na dół.

Con czekał w kuchni na gotującą się wodę. Podskoczył, kiedy usłyszał jej kroki za plecami.

— Cześć, nieznajomy — powiedziała, otwierając lodówkę.

— Hej — odpowiedział, odwracając się do zlewu.

Wyciągnęła karton soku z mango i passiflory i naląa sobie szklanę.

— Jak się masz?

Skinął głową.

— W porządku. A ty?

— Wspaniale. — Uśmiechnęła się. — Ciężki dzień, ale teraz jest już lepiej. —

Uśmiechnęła się do niego.

— Napijesz się herbaty? — zapytał.

— Nie, dzięki. — Wysunęła krzesło i usiadła. — Nie mogę uwierzyć, że widzimy się dopiero teraz. To takie dziwne.

— Co jest dziwne?

— No wiesz... po tym, co się stało w zeszłym tygodniu. Nie unikałam cię. Byłam tyl-

ko zajęta.

— Hm... — Wrzucił wyciśniętą torebkę herbaty do kosza. — Ja też.

— Zeszłej nocy mieliśmy występ. Wróciłam o piątej.

— Boże, masz więcej energii ode mnie. Nie dałbym już rady zarywać nocek.

Ruby zaśmiała się.

— Masz dopiero dziewiętnaście lat!

— No właśnie. Cały czas rosnę, więc potrzebuję snu.

Ruby znów się zaśmiała. Spojrzała na niego. Wyglądał tak, jakby zamierzał opuścić kuchnię. Chciała zyskać na czasie.

— Podobają mi się twoje włosy — powiedziała. — Wyglądają lepiej bez tych wszystkich mazideł.

— Tak myślisz?

— Uhm. Delikatniej. Wyglądasz bardziej... dojrzałe. Chrząknął zmieszany.

Ruby poczuła, jak zalewa ją fala tęsknoty. Ten chłopak był taki nowy, taki czysty, tak nieukształtowany. Miała ochotę go dotknąć.

— Jakie masz plany na wieczór? Wzruszył ramionami.

— Czekam na kilka telefonów. Pewnie spotkamy się z kumplami.

— Towarzystwo z Tottenham, tak?

— Uhm. Ze szkoły.

— A jeśli nie...?

— Co?

— Jeśli nie pojedziesz do Tottenham? Jakiś plan B?

— Nie, raczej nie. Wypożyczę film i zamówię jedzenie.

— Twoja mama jest w domu dzisiaj wieczorem?

— Nie. Spotyka się z Zoë po pracy. Wychodzą gdzieś.

— To dobrze — powiedziała. — Może więc powinieneś przemyśleć jeszcze raz swoje plany. Może byłoby lepiej, gdybyś... został w domu. — Uśmiechnęła się znacząco i przechyliła lekko głowę, ale wydawało się, że on nie odczytuje jej sygnałów.

— Tak sądzisz? — zapytał. — A dlaczego?

— Och, no nie wiem. Ja nigdzie się dzisiaj nie wybieram. Twojej mamy nie ma. Szkoda by było, no wiesz, nie wykorzystać tego.

— Och. — W końcu złapał w czym rzecz. — Aha, rozumiem, co chcesz powiedzieć.

— Więc... — Wstała i spojrzała na niego. — To co? Mam odtwarzacz DVD w pokoju.

— Chryste. To znaczy... — Złapał się za szyję. — Brzmi super. Ale obiecałem kumplom, że się z nimi zobaczę.

— Aha — bąknęła, analizując w głowie ostatnie trzy minuty rozmowy, kiedy mówił o wieczornym wyjściu bez specjalnego przekonania. — Sorry, brzmiało to tak, jakbyś nie miał pewnych planów. Więc zaproponowałam jedynie coś innego.

— Tak, tak, wiem.

— I jest to wciąż aktualne, gdyby kumple cię wystawili.

— Dzięki.

Ruby dotknęła jego ramienia. Nie miała takiego zamiaru, ale nie mogła się powstrzymać.

— Będę w pokoju — rzuciła — gdybyś zmienił zdanie.

A potem dotknęła dłonią jego policzka. Miał taką gładką w dotyku skórę, chłodną i delikatną.

— Do zobaczenia. — Sięgnęła po szklanekę z sokiem i wolnym krokiem wyszła z kuchni z nieprzyjemnym wrażeniem, że trafiła jak kulą w płot ze swoją propozycją.

24

Con pociągnął koniec bawełnianej koszuli w niebiesko-białą kratę, która wystawała spod beżowego swetra z wełny merynosowej. Spojrzał w dół na swoje wąskie czarne dżinsy i skórzane buty z czubkiem. Ten cały rynsztunek kosztował go 150 funtów. Obiecał sobie, że nie będzie już więcej wydawać na ciuchy, że będzie odkładał wszystkie pieniądze na prywatną licencję pilota. Tyle że właśnie przelano pensję na jego konto i zanim się spostrzegł, przepuścił połowę pieniędzy, buszując z kartą kredytową po sklepach w Covent Garden.

Kupił też apaszkę. Taki cienki pasek przypominający krawat. W jednym z kolorowych magazynów matki zobaczył zdjęcie Brada Pitta z szyją obwiązaną czymś takim, ale teraz nie był wcale taki pewien swego zakupu. Chłopaki z wydziału przesyłek spojrzeli na

niego nieco dziwnie, gdy rano zjawił się z szyją omotaną apaszką, więc rozwiązał ją i upchnął w kieszeni. Ale tutaj, na piętrze, to co innego. Na piętrze liczył się przede wszystkim indywidualny i niepowtarzalny wygląd, jakby nie miało się pojęcia o istnieniu Brent Cross. Wyciągnął apaszkę z kieszeni i zawiązał ją wokół szyi. A potem popchnął drzwi działu „Vogue”, starając się wyglądać fajnie, stylowo i luzacko.

Daisy, ubrana w szary płaszcz i chustkę, z zawieszoną w poprzek torebką dzierganą na drutach, szła szybko w jego kierunku.

— O, cześć — powiedział. — Gdzie idziesz?

Uśmiechnęła się do niego, potem chwyciła go za rękaw i wyciągnęła na korytarz.

— Zwiewam — wyszeptała. — Właśnie im powiedziałam, że zmarła moja ciotka.

Uniósł brwi.

— Wszystko w porządku — uspokoiła go. — Właściwie to nawet nie mam ciotki, więc nikogo nie uśmierciłam. Ale tak mi się nudzi. Muszę się stąd wyrwać.

Con nigdy nie opuścił żadnego dnia w pracy, więc był lekko zszokowany.

— A co zamierzasz robić?

Wzruszyła ramionami i wcisnęła kciukiem guzik windy.

— Jeszcze nie zdecydowałam. Myślałam, żeby wrócić do domu.

— To bez sensu.

— Dlaczego? Co byś zrobił, gdyby twoja ciotka naprawdę umarła?

— Nie wiem. Ale pewnie i tak nie poszedłbym do domu.

— Hm... — Ściągnęła brwi. — Może masz rację. Może powinnam bardziej ruszyć głową. Wiem! — krzyknęła. — Już wiem, co powinniśmy zrobić.

— My?

— Tak. Pójdziemy na Borough Market i kupimy mnóstwo pysznego jedzenia.

— Ale ja nie mogę się urwać.

— Oczywiście, że możesz.

— A niby co mam im powiedzieć?

— Że twoja ciotka umarła.

— Nigdy w życiu!

— No to powiedz im, że musisz się zaopiekować zrozpaczoną przyjaciółką, której zmarła ciotka.

— Nie ma mowy. Tak zachowują się dziewczyny.

— Boże, no to już sama nie wiem. Powiedz, że się źle czujesz.

Daisy rozmazała mu na czole trochę balsamu do ust i Con powiedział swojemu szefowi, że właśnie zwymiotował. Pięć minut później spotkał się z Daisy na rogu Bruton Street i chichocząc jak dzieci, pognali razem w stronę Oxford Circus.

Borough Market to był inny świat. Con rzadko przekraczał próg supermarketu, nie wspominając już o rynku z jedzeniem. Nie należał do smakoszy. W jedzeniu liczyła się jedynie cena i musiało być sycące. Oczywiście dobrze, jeśli przy tym było smaczne, dlatego też lubił McDonalda. Zawsze niezawodny. Próbował nie jeść chipsów i słodczy, bo babcia zawsze powtarzała, że głód należy zaspokajać porządnym posiłkiem. Ale kiedy była już zbyt chora, by dla niego gotować, zaczął się stołować w McDonalddie. Nie mógł znieść, że obolała krzątała się po kuchni, więc przeszedł na dietę fastfoodową.

Con wiedział, że zapycha usta śmieciowym jedzeniem, ale nie miał powodów, by się tym przejmować. Cera nie sprawiała mu kłopotów, włosy rosły bez zarzutu, trzymał linię. Pewnie gdyby przybierał na wadze, zaczęłyby się martwić. Jedzenie było paliwem, brzuch nabłonkiem, alkohol absorbentem — i to wszystko.

Ale Daisy najwyraźniej miała inne zdanie na ten temat.

Biegała między straganami, jakby co najmniej wyprzedawano tu za połowę ceny designerskie próbki. Pieściła słoiki z brejowatymi, brązowymi oliwkami i bezkształtne bochenki chleba. Obwąchiwała kawałki serów o wyrazistym zapachu i nieregularne fallusy sfermentowanego mięsa. Kosztowała wystawione krówki i tłuste oliwki. Przesuwała się od stoiska do stoiska jak oszalały pies, wręczała wymięty banknot pięciofuntowy i uzbrajała się w coraz większą ilość oklapniętych, plastikowych siatek.

— Lubisz gravadlax? — zapytała w pewnym momencie, odgarniając kosmyk włosów ręką pełną siatek.

— Grava-co?

— Gravadlax. Łosoś marynowany z koperem.

— A co to koper?

— Zioło.

— Nie wiem. Jak to smakuje?

— Trochę jak wędzony łosoś — odpowiedziała — ale nie jest tak słony.

Wzruszył ramionami. Słyszał o wędzonym łososiu, ale nigdy go nie jadł.

— Nie przepadam za rybami — powiedział.

— W takim razie — stwierdziła z przekonaniem, wyciągając kolejny banknot pięciofuntowy — to ci zasmakuje. Nie przypomina ryby. Smakuje bardziej jak... szynka.

Kupiła ogromne paluszki serowe i kawałeczki salami w rdzawym odcieniu, kredowo-biały ser w kształcie walca i opakowanie dużych jaj w kolorze chmur. Czując się winny, że Daisy wydaje wszystkie swoje pieniądze na jedzenie, które najprawdopodobniej nie będzie mu nawet smakować, Con wymknął się na minutę, by znaleźć butelkę wina.

— Z czym będzie podawane? — zapytał mężczyzna w lnianej koszuli w paski.

— Eee, z jedzeniem — odparł Con.

— Kurczak? Ryba? Pikantnie? Tłusto?

— Nie wiem. Jakieś ryby, ostrygi, oliwki i takie tam.

— Brzmi smacznie — uśmiechnął się. — Co powiesz na butelkę Pouilly Fuisse?

Con głośno przełknął i rozstał się z banknotem dwudziestofuntowym, po czym odebrał od mężczyzny butelkę owiniętą w papier.

— Wino powinno być schłodzone — ten rzucił na pożegnanie. — Ale nie za bardzo. Okej?

Znalazł Daisy, która właśnie raczyła się organiczną czekoladą.

— Otwórz! — Wycelowała kawałkiem w jego usta. Podniósł rękę.

— Nieee, dzięki, tak naprawdę to nie lubię czekolady.

— Nie bądź śmieszny. — Kawałek czekolady wciąż krążył wokół jego ust. — Wszyscy lubią czekoladę. Dalej, otwieraj.

Rozchylił usta i poczuł jej palce ocierające się o jego wargi.

— No to popatrzmy — świergotała podekscytowana — powiedz, czy nie jest to najlepsza czekolada, jaką kiedykolwiek miałeś w ustach?

Zamknął oczy i pozwolił czekoladzie się rozpuścić. W pierwszym odruchu miał ochotę ją wypluć. Smakowała jak błoto. Ale kiedy rozlała się na języku, zdał sobie sprawę, że smakuje nie jak czekolada, ale jak czekolada pomnożona przez sto.

— To naprawdę dobre.

— Widzisz — skinęła głową. — A nie mówiłam? Kupię ci trochę.

Dom Daisy wyglądał jak normalny dom, tylko że skurczony do krasnoludkowych

rozmiarów. Od frontu miał drzwi, dwa okna i to było wszystko. Drzwi wejściowe otwierały się prosto na maleńki pokój dzienny z maleńką sofą i fotelem. Z tyłu była kuchnia z wbudowaną oranżerią, która prowadziła na ogród wielkości wiaty na przystanku autobusowym. Ale wszystko było bardzo eleganckie i nowoczesne. Ściany pomalowano na zgaszony odcień kawy, na szafce stał nowiuteńki, panoramiczny telewizor, zasłony wyglądały na drogie, a kuchnia została zabudowana szaro-niebieskim segmentem oświetlonym lampkami halogenowymi. Przez drzwi do ogrodu Con zobaczył chromowany grzejnik do patio i tropikalne rośliny w kobaltowo błękitnych donicach.

— Ładny dom.

— Dziękuję. Co prawda mały, ale za to perfekcyjnie zagospodarowany. — Mówiła tak, jakby brakło jej oddechu, i po chwili zaniósła się suchym kaszlem.

— Wszystko w porządku?

— Co? — zapytała. — A, kaszel. To nic takiego. Zakrztusiłam się czymś.

— Czy to twoja siostra? — Podniósł oprawione zdjęcie z blondynką, która wyglądała tak jak Daisy, tyle że była grubsza.

— Uhm, to Mimi. — Postawiła siatki w kuchni, na małym, antycznym stoliku z drzewa sosnowego i zaczęła je wypakowywać. — A to James, siedzi za nią.

— Jej chłopak?

— Zgadza się. Jej chłopak. Mój gospodarz. Kochany, kochany James.

— Ładnie wyglądają — powiedział, odstawiając ramkę. Faktycznie wyglądali ładnie. Ładnie i nudno.

Wrócił do kuchni, gdzie Daisy kroić cytryny na ćwiartki. Mżawka na dworze przestoczyła się w prawdziwą ulewę i szyby w dobudowanej części kuchni zaparowały. Stół przypominał już jeden z tych na Borough Market. Na srebrnej tacy piętrzył się pokruszony lód i ciemne ostrygi, na talerzach prezentowały się mięsa i sery ozdobione kaskadami dojrzałych winogron.

— Spróbuj oliwek. Są pyszne.

Spojrzał do miseczki i podumał przez chwilę. Oliwki, z tego, co pamiętał, były małe, czarne, pomarszczone i tkwiły na czubku pizzy. Te zaś miały kolor niezbyt ciemnej zieleni, wielkością dorównywały orzechom włoskim i pływały w oliwie w odcieniu khaki z czymś czerwonym w środku. Już miał włożyć jedną do ust, ale pomyślał, co miałby zrobić, gdyby

okazało się, że oliwka smakuje równie tragicznie, jak wygląda. Może zrobi mu się niedobrze. Albo wypłuje ją i poplamy swój nowy sweter z wełny merynosowej.

— Dzięki — odpowiedział. — Raczej nie przepadam za oliwkami.

Odwrociła się i wbiła w niego badawcze spojrzenie.

— Czy ty właściwie lubisz cokolwiek? — zapytała z drwiną w głosie.

Wzruszył ramionami. Przejrzała go.

— Lubię niektóre rzeczy — zaczął. — Tylko nie... — Spojrzał na stół.

— Oliwek, czekolady i ryb?

— No właśnie.

— Ale ser lubisz?

— Nie mam nic przeciwko serom — uśmiechnął się.

— A salami?

— Myślę, że tak.

— A chleb?

— Uwielbiam chleb.

— A chleb z oliwkami?

— Hmm... — Uśmiechnął się. — Chyba tak.

Zaśmiała się.

— Więc co ty właściwie jesz? Jakie jest twoje ulubione jedzenie?

— McDonald.

— Nie! — Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

— Uwielbiam McDonalda. Naprawdę, kocham to jedzenie.

— Ale dlaczego?

— Nie wiem. Jest smaczne.

— Nieprawda.

— Prawda.

— Może i smakuje dobrze przez trzydzieści sekund, których potrzeba na połknięcie, ale potem nie zostaje nic.

— No tak, ale jest smaczne, kiedy się je.

— A poza McDonaldem. Co jeszcze lubisz? Wzruszył ramionami.

— Czasami kurczaka z rożna albo coś chińskiego. Dobrze wysmażone.

— O Boże. — Skrzyżowała ręce na piersi. — To przeznaczenie! Już wiem, dlaczego pojawiłeś się w moim życiu. Mam reedukować twoje podniebienie. Natychmiast zjedz jedną z tych oliwek! — Zanim zdążył zaprotestować, wepchnęła mu jedną do ust i nagle poczuł, że żuje coś o fakturze starej suszonej śliwki i smaku zjełczalej karmy dla psów. Zęby trafiły na coś twardego w środku, ale nie przestawał żuć. Daisy wpatrywała się w niego wyczekująco. W końcu i inne smaki zaczęły się przebijać — pieprz, tuńczyk, ser, sól — i, zanim skończył przeżuwanie, zaczął delektować się smakiem. Przełknął, a jego twarz rozświetliła się triumfalnym uśmiechem.

— A gdzie pestka? — zapytała Daisy.

— Co, to coś twardego ze środka?

— Tak, to twarde coś ze środka.

— Połknąłem. — Wzruszył ramionami.

Uniosła ręce do góry i przysłoniła usta, by powstrzymać śmiech.

— Żartujesz chyba?!

— Naprawdę — odpowiedział. — Nie miałem tego robić?

— Nie. Pestki się wypluwa.

— Co? Naprawdę?

— Tak.

— O kurde. Czy może mi zaszkodzić?

— Nie — potrząsnęła głową, uśmiechając się. — Nie sędzę. Co najwyżej wyrośnie ci tam drzewko oliwkowe. — Wskazała na jego brzuch.

Spojrzał w dół, potem na nią i uśmiechnął się.

— No cóż — powiedział. — Przypuszczam więc, że skoro zjadłem pestkę oliwki i nie zauważyłem tego, to najprawdopodobniej nic mi nie będzie, jeśli spróbuję reszty. — Wskazał na stół. — Proszę podawać.

Przez kolejne dwie godziny Con robił coś po raz pierwszy w życiu. Jadł. Ucztował. Delektował się. Raczył smakiem. I chociaż nie wszystko przypadło mu do gustu (szczególnie kozi ser, który smakował jak coś, co można znaleźć pod paznokciami), większość zdobyła jego aprobatę. Największą zaś przyjemność sprawiło mu siedzenie przy stole pod matowym, zaparowanym, szklanym dachem, obserwowanie wolno obsuwającego się za szeregowce słońca, popijanie perfekcyjnie schłodzonego białego wina i słuchanie paplaniny Da-

isy.

Wszystko w Daisy hipnotyzowało go, począwszy od jej lekko chropawego „kurde”, które w jej ustach brzmiało jak czułe słówko, po sposób, w jaki ssła palce, jeden po drugim, gdy zjadła coś tłustego. Fascynowały go jej opinie na każdy temat, począwszy od stóp („Szkarada, choć i tak nie są tak obrzydliwe jak język. Przyglądałeś się właściwie kiedykolwiek językowi?”), przez Sycylię („Moje ulubione miejsce we wszechświecie, poza domem moich rodziców”), po psy („Wystarczy, że raz spojrzysz w oczy owczarka pirenejskiego i przepadasz. Resztę życia spędzisz na usychaniu z tęsknoty za jednym z nich”).

— Powiedz mi coś o sobie, coś naprawdę interesującego — powiedziała, nalewając kawę z ekspresu do dwóch białych filiżanek.

— Naprawdę interesującego?

— Tak. Coś odlotowego.

— Kurde — stwierdził, pocierając podbródek. — Dlaczego?

— Bo jest w tobie jakaś tajemnica i nie wiem, co to jest. Skinął powoli głową.

— No dobra. Po tym, jak moja matka wyjechała do Turcji w zeszłym roku, straciłem dach nad głową i nie miałem gdzie mieszkać. Spałem na ulicy. Przy wejściu do sklepu. Przez dwa tygodnie.

— Ty?

— Tak.

— Boże, nie mogę sobie tego wyobrazić. Jesteś przecież taki... nieskazitelny.

— Nieskazitelny?

— Tak, twoje włosy i ubrania. Żadnego zagięcia czy plamki. Pachniesz persilem. Wyglądasz tak, jakbyś właśnie zszedł ze strony jakiegoś katalogu. Jak to przeżyłeś? Było okropnie? Myłeś się?

— Tak, myłem się. Nawet zmieniałem bieliznę. Nie było tak źle. Wciąż codziennie chodziłem do pracy.

— Żebrałeś?

Znów się zaśmiał.

— Nie! Zarabiałem w pracy! Trwało to tylko dwa tygodnie.

— Boże, mimo wszystko. Co za okropność. Sama myśl, że pod koniec dnia nie możesz wejść do ciepłutkiego łóżka. Że nie możesz zgasić światła, obrócić się na bok i poczuć

się bezpiecznie i błogo. Okropność.

Znów wzruszył ramionami.

— A co z tobą? Powiedz mi o sobie coś, co mnie zupełnie zwali z nóg.

Zmrużyła mocno oczy, potem znów je otworzyła.

— Hmm — mruknęła. — Jesteś pewien, że chcesz to usłyszeć? To totalny depresant.

— Tak — potwierdziła. — Chcę wiedzieć.

— Jest taka jedna rzecz, o której zwykle nikomu nie mówię, ale tobie powiem, bo... Sama nie wiem. Myślę o tobie tak jakoś... — Przerwała na chwilę i spojrzała na niego. — Chodzi o pewną przypadłość, o moje płuca. Produkują zbyt dużo śluzu i muszę brać te wszystkie lekarstwa i mieć takie masaże, żeby moje drogi oddechowe się nie zablokowały. Poza tym jestem bardziej podatna na infekcje i takie tam. W zasadzie to ta choroba zmienia cię w totalnego palanta. Kiedyś wylądowałam w szpitalu na cały tydzień ze zwykłym przeziębieniem. Wszystko się miesza. Życie i śmierć. Żałosne.

Con gapił się na nią przez chwilę, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Ostrzegałam, że to totalny depresant.

— Ale nie wyglądasz na chorą.

— Nie. I nie czuję się chora. No, ale żyję z tym od urodzenia, więc w zasadzie nie wiem, co to znaczy być zdrową.

— Jak się nazywa ta przypadłość?

— Mukowiscydoza.

— Aha, obilo mi się o uszy.

— Tak. Choruję na coś sławnego. W zasadzie to przypadłość gwiazd. Moja choroba jest zapraszana na premiery filmowe każdego wieczora.

— Przepraszam, ja...

— Nie, nie drwię sobie. Nie jestem przewrażliwiona na tym punkcie. Po prostu tak jest. I kto by tam tak naprawdę przejmował się głupim choróbskiem? Życie jest po to, by żyć. I jeść. I pić. A skoro o tym mowa — roześmiała się — otworzyć następną butelkę?

Con pokiwał głową i patrzył, jak wyciąga butelkę z lodówki. Jej drobna budowa, pół-przejrzysta skóra nabrały nowego, niepokojącego znaczenia w świetle tego, co powiedziała. Mleczny alabaster jej cery był podszyty niebieskim cieniem, a jej piękne włosy wyglądały na bardzo delikatne i łamliwe. Nie była żadną wróżką czy nimfą. Nie była też trzpiotką z

Conde Nast. Była chora. Poważnie chora.

Con wziął głęboki oddech i zrezygnował z pytania o to, kiedy miała wyzdrowieć.

25

Ruby przewróciła ostatnią stronę „Barnet Timesa” i westchnęła. Nie mogła ruszyć dupy. Po prostu nie mogła ruszyć dupy, by złożyć podanie o którąkolwiek z tych głupich prac, a potem pojawić się na głupich rozmowach kwalifikacyjnych w głupich ciuchach, które do niej nie pasowały, i pieprzyć głupoty przez pół godziny do jakiegoś głupka za biurkiem. Nie chciała być administratorką biura charytatywnego w Golders Green. Ani sprzedawczynią w sklepie fotograficznym w Finchley Central czy recepcjonistką w firmie księgowej w Whetstone.

Pragnęła być piosenkarką i autorką tekstów. To była jedyna rzecz, którą od zawsze chciała robić, i póki miała zabezpieczenie w postaci comiesięcznej wpłaty Paula na konto bankowe, mogła się oszukiwać, że realizowała to marzenie. Czar prysł i teraz była jedynie bezrobotną dziewczyną bez grosza przy duszy.

Rozważała nawet oferty dla tancerek przy rurach i striptizerek. Miała ładne ciało i potrafiła tańczyć. Jednak myśl, że musiałyby bez przerwy dbać, by mieć świeżo wyskubane, wygolone, wypolerowane i opalone ciało, była na tyle odstręczająca, że nie zdążyła już nawet wyobrazić sobie, co by poczuła na widok spasionego przedstawiciela handlowego z Chingford o imieniu Dean wpychającego w jej majtki banknot dziesięciofuntowy.

Stan jej konta był już bliski zera, a w przyszły poniedziałek miała zapłacić czynsz. Nie posiadała żadnych kart kredytowych, na których mogłaby się wesprzeć. Jakoś nigdy nie mogła się zebrać, by wystąpić o jedną; zresztą wychodziła z założenia, że nikt nie był na tyle głupi, żeby jej taką dać.

Tego popołudnia przed domem zatrzymała się ciężarówka z Conrana i dwóch facetów zaczęło wnosić rzeczy do środka, mnóstwo rzeczy, w pudłach i torbach. Obserwowała ich w zdumieniu z pokoju, zaczekała, aż zamkną tylną klapę ciężarówki i odjadą, i zeszła na dół. Toby gorączkowo rozrywał taśmę z paczek w holu.

— Co do cholery...?

— Kurde! — Podskoczył, łapiąc się za serce. — Ale mnie przestraszyłaś.

— Co to, do cholery, jest?

— Różne rzeczy — wymamrotał. — Rzeczy do domu.

— No, no. — Podniosła skórzany kosz na śmieci i z uniesionymi brwiami zaczęła studiować metkę z ceną. — Ładne rzeczy, Tobes. Kupiłeś coś pożytecznego?

— To jest pożyteczne — syknął, wrywając jej pakunek z ręki. — To kosz na śmieci.

— Kosz za dziewięćdziesiąt pięć funtów.

— Płacisz za jakość. Jest niezniszczalny.

— A co jest w tym gigantycznym pudle? — Wskazała głową na pakunek oparty o drzwi.

— Stolik.

— Chcę go zobaczyć.

— Za chwilę — powiedział.

— Boże, zupełnie jak w święta — stwierdziła. — Pozwól mi coś otworzyć, dobrze?

— Nie — warknął Toby, wyciągając z pudła globus z pleksiglasu.

— Co to ma być? — Wskazała na niego oskarżycielsko.

— A na co ci to wygląda?

— Na plastikowy globus. Ale dlaczego?

— Bo... bo... podobał mi się. Właśnie dlatego.

— Niech ci będzie. — Przysiadła na obcasach i obserwowała go przez chwilę. Zrywał folię zabezpieczającą z globusa, wyglądał na nieco zestresowanego i speszzonego. — Więc — zaczęła — te pieniądze od Gusa, ile tego było dokładnie?

Toby cmoknął z niezadowoleniem.

— Pytam serio. Myślałam, że mówimy o kilku patykach, ale tak poważnie — spójrz na to wszystko. Ile tego było? Dwadzieścia? Trzydzieści? Sto tysięcy?

Toby znów cmoknął i spojrzał na nią rozgniewanym wzrokiem.

— Ruby. Proszę. Powiedziałem ci już. To nie twoja sprawa.

— Właśnie, że tak. To moja sprawa, bo jesteś moim przyjacielem. I to moja sprawa, bo... — Wstrzymała oddech i poczekała, aż złapie z Tobym kontakt wzrokowy. — Bo Paul mnie rzucił i przestał mi wypłacać kieszonkowe, i jestem kompletnie spłukana.

— Paul? Paul Fox?

— Tak. Paul Fox. Żeni się z tym starym babskiem i uważa, że żonaci mężczyźni nie

powinni utrzymywać młodych kobiet. To w sumie jest okej, ale jestem wpięprzona, Tobes, kompletnie wpięprzona. A te pieniądze, które masz, pieniądze Gusa... Myślę sobie, że skoro starcza na plastikowe globusy i skórzane kosze, to prawdopodobnie starczy i na pożyczkę?

Ruby skrzywiła się nieznacznie i czekała, aż twarz Toby'ego złagodnieje. Toby nigdy jej nie zawiódł. Zanim poznała Paula, zawsze zapraszał ją na obiady, pozwalał nie płacić czynszu, od czasu do czasu pożyczał piątkę. A teraz naprawdę miał pieniądze, przyzwoite pieniądze, więc z pewnością się z nią podzieli.

Przerwał na moment i Ruby obserwowała, jak zamysłony przygryzał wewnętrzną część policzka. A potem zwrócił się do niej.

— Nie.

— Co?

— Nie. Sorry, Ruby, ale nie. Masz trzydzieści jeden lat. Prawie trzydzieści dwa. Jesteś dorosłą kobietą. Nadszedł czas, byś, no wiesz, sama zadbała o siebie.

— Nie proszę cię byś o mnie zadbał — prychnęła. — Proszę, żebyś pożyczył mi trochę pieniędzy. Na przetrwanie. Dopóki nie zrobię ze sobą porządku.

— Tak, ale właśnie w tym cały problem, Ruby. Nie zrobisz ze sobą porządku. Nie zrobisz ze sobą porządku aż do momentu, kiedy nie będzie absolutnie innej możliwości.

— Co to, kurwa, znaczy? Toby westchnął.

— Chcę tylko powiedzieć, że zawsze miałaś dookoła siebie ludzi, na których się opierałaś, i może dobrze by ci zrobiło, gdybyś zaczęła brać za siebie odpowiedzialność. Stań choćby na chwilę na własnych nogach.

Ruby spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Sama?

— Tak.

— Przepraszam bardzo, czy ty jesteś Toby Dobbs?

— Słucham?

— No wiesz, pan Dbający i Rozdający, pan Mój-Dom-Jest-Twoim-Domem. Toby Nikt-Nie-Powinien-Być-Sam Dobbs?

Cmoknął.

— Co się z tobą dzieje, Toby? Kiedyś byłeś najbardziej szczodrym człowiekiem, jakiego znałam.

— Tak — mruknął. — No cóż. Zobacz, do czego mnie to doprowadziło.

Ruby westchnęła. Toby uzalał się nad sobą. Marnowała tylko czas.

— Dobra — powiedziała — co mi tam. Wymyślę coś innego.

— To dobrze.

— No dobra. — Wstała i przyjrzała mu się z góry.

Na czubku głowy powstawał łysiejący placek, a skóra na karku zaczynała się marszczyć niczym stary zamsz. Starzał się. Dla niej od zawsze był stary, bo poznała go jako nastolatka, ale teraz, gdy faktycznie dostrzegła oznaki mijającego czasu, poczuła niepokój. Stary i samotny. Stary, a do tego trwonił pieniądze na durne plastikowe globusy i skórzane kosze. Przejechała dłonią między jego włosami.

— Do zobaczenia.

— Tak — odparł zwięźle. — Do zobaczenia.

Była już w połowie drogi na schodach, kiedy coś sobie przypomniała.

— Tobes?

— Tak?

— Nie jestem w stanie zapłacić czynszu za ten miesiąc, wiesz?

— W porządku.

— Na pewno?

— Tak. Tylko nie mów reszcie.

A potem obrócił się do niej i mały uśmiech zadrgał w kącikach jego ust i Ruby wiedziała, że wciąż ma duże szanse, by przekonać Toby'ego, żeby podzielił się z nią częścią pieniędzy.

26

W sobotę rano do sklepu wszedł mężczyzna. Niezwykły widok, ponieważ jeśli mężczyźni wchodzili do środka, to zawsze w towarzystwie kobiety szukającej prezentu urodzinowego dla najlepszej przyjaciółki albo małych skórzanych baletek z paczkami róż dla córeczki siostry. A ten był zupełnie sam.

Mężczyzna prezentował się okazale, mierzył około metra dziewięćdziesiąt i był szeroki w plecach. Miał bardzo ciemne włosy, przerzedzone na czubku, ale gęste na pozostałej

części głowy, najprawdopodobniej liczył około czterdziestu pięciu lat albo był dobrze trzymającym się pięćdziesięciolatkiem. Miał na sobie skórzany płaszcz, dzinsy i trochę zniszczone buty w stylu żeglarskim. Pod ramię wepchnął numer „Guardiana” złożony na czworo. Mógł się podobać kobietom, ale nie był w typie Leah. Wydawało się, że bardzo interesuje się meblami, szczególnie małym, kremowym biurkiem z namalowanymi, bladymi amarylisami. Podeszła do niego, a on odwrócił się z uśmiechem. W lewym policzku ukazał się dołeczek, oczy zdobiły bardzo gęste rzęsy. Z pewnością był to charyzmatyczny, czarujący mężczyzna, ale jeśli chodzi o gust Leah, nieco zbyt pewny siebie.

— Ile kosztuje to biurko? — zapytał. Mówił z bardzo miękkim akcentem. Leah postawiła na włoski.

— Trzysta pięćdziesiąt funtów — odpowiedziała, prezentując swój najlepszy uśmiech Różowego Koliberka. — Mamy taborety w zestawie — wskazała za siebie — z tapicerowanym siedzeniem. Można dobrać różne pudełka pod kolor. Obite płótnem — dokończyła.

— Dowozicie towar?

— Tak. — Skinęła. — W promieniu pięciu kilometrów za darmo.

Pokiwał głową.

— Jak szybko?

— A na kiedy pan sobie życzy?

— Natychmiast.

— Poniedziałek rano? Uśmiechnął się do niej promiennie.

— Właśnie dlatego przyszedłem tutaj. Lokalne sklepy. Indywidualna obsługa. Idzie człowiek do Johna Lewisa i jedyne, co słyszy, to proszę zapłacić tu, dostawa w ciągu dziesięciu dni, tego nie mamy na magazynie, bla, bla, bla.

Leah uśmiechnęła się.

— Pani jest właścicielką?

— Nie. Jestem menedżerem sklepu.

— Dobrze — powiedział. — To bardzo dobrze. Może będzie pani w stanie mi pomóc. Właśnie wprowadziłem się do tej dzielnicy, jestem po rozwodzie i chcę zadziwić moje dziewczynki; mam dwie córki, trzynasto i piętnasto lat. Spędzają ze mną co drugi weekend i chcę ofiarować im pokoje jak ze snu. Rozumie pani? — Posłał jej kolejny zniwielający uśmiech.

— Myślę, że tak.

— Chciałbym, żeby odliczały dni z matką, żeby nie mogły się doczekać przyjazdu do mnie na Muswell Hill, do tych pięknych nowych pokoiów, w moim pięknym nowym domu. Chcę, żeby ich przyjaciółki usychały z zazdrości, żeby myślały, że moje córeczki mają najlepszego ojca na świecie. Chcę świecidełek, pluszu, kwiatków, światełek — tego wszystkiego. Wszystko, co może mi pani zaoferować. Czy świadczą państwo usługi wystroju wnętrz?

— Niestety nie, ale chętnie posłużę radami.

— Cena nie gra roli.

— Mam rozumieć, że...?

— Pieniądze się nie liczą. W zasadzie — ściszył konspiracyjnie głos — zapłacę pani za to pięćset funtów. Spojrzała na niego, trochę przerażona.

— Za co?

— Za wybranie mebli. I dodatków. Za przyście do mojego domu. Zaaranżowanie wszystkiego. Pięćset funtów. Gotówką.

Leah rozejrzała się dookoła, żeby upewnić się, że żadna z dziewczyn nie słyszała tej rozmowy. Pięćset funtów. Czynn za miesiąc.

— Zgoda — powiedziała. — Ale mogę podjąć się jedynie umeblowania. Nie remontu.

— W porządku — stwierdził. — Pokoje są świeżo wymalowane.

— Wspaniale — rozpromieniła się. — W jakim kolorze?

— Różowym — uśmiechnął się do niej.

— No to idealnie.

Tego dnia Leah została w pracy do dwudziestej drugiej. Zamówiła pizzę i wieczór spędziła na udawaniu, że jest piętnastoletnią córką zamożnego włoskiego biznesmena. Jack opisał jej w skrócie swoje dziewczynki (Lottie: trzynaście lat, mądra, towarzyska, lubi piłkę nożną i muzykę; Lucie: piętnaście lat, mądra, nieśmiała, ma słabość do książek i swojego chłopaka). „Moje dziewczynki nie są księżniczkami, ale chcę, żeby ich pokoje były godne królewskiego rodu” — powiedział Jack.

Leah wybrała pluszowe poduszki, poduchy wypełnione kuleczkami, lusterka, papier listowy, lampy, pościele. Zamówiła parę miniaturowych szezlongów z aksamitnym obiciem w cukierkowym różu i dwa stylizowane łóżka w kremowoliliowym kolorze. Dla Lucie wybrała czerwony regał na książki z pleksiglasu, a dla Lottie ogromną, błyszczącą, dyskoteko-

wą kulę na sufit, a dla obu dziewczynek gigantyczne, pastelowe dywaniki z owczej skóry.

Rachunek wyniósł niemal 6000 funtów. Leah przełknęła ślinę i miała nadzieję, że Jack go zaakceptuje. A potem zgięła pudełko od pizzy na pół, wrzuciła je do kosza, zgasiła światło i ruszyła do domu.

Leah skręciła w Silversmith Road i spojrzała na Dom Pawia. Światła w pokojach Ruby i Cona były zgaszone, ale Toby, jak zawsze, siedział przed komputerem — jego twarz oprawioną w okienną futrynę oświetlał monitor. Leah poczuła, jak przeszywa ją ciepły dreszcz. Biedny Toby, mieszka w tym domu pełnym ludzi, ale zawsze jest sam. Oderwał wzrok od komputera i zobaczył wpatrującą się w niego Leah. Podniosła rękę i uśmiechnęła się. Odmachał jej, potem wstał i dał jej znak, że ma czekać, że schodzi na dół. Czekwała na chodniku, obserwując wstążki pary wydobywające się z jej ust. W końcu drzwi otworzyły się i ukazał się Toby, w ogromnym zielonym swetrze, czarnych dresowych spodniach i kapciach z cielecej skóry. Leah zauważyła, że obciął włosy. Wciąż przypominały gęsty brązowy busz, ale jakby nieco bardziej ukształtowany. Dzięki temu wyglądał nieco mniej absurdalnie.

— Cześć! Cześć! — Pędził do niej w podskokach, przebiegając ulicę w futrzanych laczkach. Biegł jak dziewczynka, albo raczej jak mężczyzna, który próbuje biec jak dziewczynka. Leah zdusiła uśmiech.

— Cześć! — Pomachała na przywitanie.

— Jak się masz?

— W porządku — odpowiedziała. — A ty?

— Też w porządku. Słuchaj, chciałem cię przeprosić za tamtą noc.

— Och, naprawdę, Toby, nie ma sprawy.

— Właśnie że jest. To musiało być dla ciebie straszne. Nie mam pojęcia, o czym myślało tamtych dwoje — wskazał głową na dom — a ja nie byłem dużo lepszy. Jestem pewien, że masz ciekawsze rzeczy do robienia w wolnym czasie niż siedzenie w pubie z takim starym pierdołą jak ja. I chciałem jeszcze powiedzieć, że dziękuję ci, że próbowałaś. Naprawdę to doceniam. Ale postanowiłem zrezygnować z całego pomysłu.

— Co?

— Tak. Nie sprzedam domu. Ojciec będzie musiał zaakceptować mnie takim, jaki jestem.

— Ale Toby. Odniosłam wrażenie, że nie chodziło jedynie o ojca. Myślałam, że chodzi o ciebie żeby się wyprowadzić, przerwać rutynę.

— No tak, niby tak. Ale naprawdę, próbowałam rozmawiać z tymi ludźmi i oni absolutnie nie są gotowi na wyprowadzkę. Widzisz, nie mogę wydusić jednego zdania z Joanne. Con oszczędza na lekcje pilotażu, co jest niesamowite, ale równoznaczne z tym, że naprawdę musi tu mieszkać, a Melinda nie ruszy się nigdzie bez niego. A jeśli chodzi o Ruby — z nią jest gorzej niż kiedykolwiek przedtem, rzucił ją facet, przespała się z Conem, błaga mnie o jałmużnę. Nie stać ją nawet na zapłacenie czynszu. Próbowałam umówić się z fachowcami na kosztorys, ale oni nie odpowiadają na moje telefony albo mówią, że przyjdą, a potem się nie pojawiają, a jeśli łaskawie przychodzą, to są niebotycznie drodzy, albo niebotycznie podejrzani i, szczerze mówiąc, zaczynam już sobie przypominać, dlaczego utknąłem w tej rutynie. Bo zmiana czegokolwiek jest tak niewiarygodnie trudna.

Wzruszył ramionami.

— To moja rutyna — kontynuował. — Sam ją sobie stworzyłem i teraz muszę w niej żyć. Ale bardzo ci dziękuję. Dziękuję, że się starałaś. Jesteś naprawdę bardzo, bardzo miłą osobą. — Uśmiechnął się przepaszająco, potem odwrócił się i ruszył w stronę domu.

Leah obserwowała, jak przechodził przez ulicę, wspinał się po schodach do drzwi wejściowych. Zdawało się, że gipsowe lwy mruknęły, kiedy mijał je pan domu. Wsunął klucz do zamka i obrócił się, by spojrzeć na Leah. Potem uśmiechnął się i zniknął.

Leah weszła do środka, wciągnęła na siebie piżamę, wskoczyła do łóżka i śniła o różowych lwach z łapami wykończonymi piórkami marabuta.

27

Toby słuchał tej swojej gównianej muzyki. Con słyszał ją, stojąc przed drzwiami do jego pokoju. Nie wiedział, co to jest, ale nie było to nic nowoczesnego. Nawet nie indie. Con nie znosił muzyki indie, ale przynajmniej mógł się jakoś do niej odnieść, przynajmniej tworzyli ją ludzie mniej więcej w jego wieku, ludzie, którzy wciąż żyli, ludzie, którzy nie zażywali narkotyków mających głupie hippisowskie nazwy i nie ginęli w wypadkach samochodowych. Ale to, czego słuchał Toby, przechodziło wszelkie pojęcie; zakręcone gitary, nieznośne bębny, żadnych chórków, a niektóre kawałki ciągnęły się przez dziesięć minut. W

pokoju dziennym Con obejrzał okładki albumów — dziwni, starzy faceci z brodami i szyfonowymi apaszkami, kapelusze z opadającymi rondami i pomalowane twarze. Od samego patrzenia na te zarośnięte twarze Con czuł się niepewnie.

Zastukał mocno w drzwi, raz, dwa razy, trzy, aż w końcu ukazał się Toby. Miał na sobie wzorzysty sweter do ud i czarne, rurkowate dżinsy, przypadkiem akurat bardzo modne. Na policzku został mu rozmazany czarny tusz, a rękaw przyozdobiły okruszki po toście.

— Cześć. Przepraszam, że ci przeszkadzam. Toby uśmiechnął się.

— Ale skąd. Nie robię nic ważnego, tylko, no wiesz... — Zamilkł, kładąc rękę na kark.

— Mogę cię o coś prosić?

— Pewnie. Chcesz wejść do środka?

— Potrzebny mi twój komputer.

— Dobra, nie ma sprawy.

— Tyle że nie wiem, jak się go obsługuje. Znam jedynie program w pracy i nie potrafię korzystać z internetu. Pomożesz mi coś znaleźć?

— Boże, no oczywiście, że tak.

Toby usunął z podłogi talerz z tostem, jakieś papiery, notatniki i zeszyty. Przesunął wszystkie rzeczy na wielką kupę, potem wyciągnął taboret dla Cona.

— To wszystko twoje wiersze?

Toby spojrział na stertę i potrząsnął głową.

— Częściowo tak. Różne notatki i pomysły. Nowe wiersze zapisuję na bieżąco w komputerze.

— Aha. A jakiego rodzaju wiersze piszesz? Toby skrzywił się.

— Takie... Trudno powiedzieć. Są bardzo różne.

— No, ale są długie czy krótkie? Mają rymy? Toby uśmiechnął się.

— Nie, nie rymują się. I są raczej krótkie. Okej. — Położył swoją wielką dłoń na myszce i kliknął. Jego komputer ożył i ukazała się przeglądarka Google. — Więc co chcesz znaleźć?

— Chorobę. Mukowistydzydozę.

— No dobrze.

— Nie jestem pewien, czy dobrze to wymawiam.

— Nie szkodzi. Wydaje mi się, że wiem, jak to napisać.

— Wystukał litery na klawiaturze i uderzył w klawisz. Na monitorze ukazała się długa lista. — Co dokładnie chciałbyś wiedzieć?

— Hmm, kurde... — Przejechał dłońmi po włosach i spojrzał na Toby'ego. Właściwie to może mu powiedzieć.

— Pamiętasz tę dziewczynę, o której ci opowiadałem?

— Ta z pracy? Ta elegantka?

— Właśnie. Tak jakby chodzimy razem. Byłem u niej, ugotowała dla mnie i w ogóle. A potem powiedziała mi, że cierpi na tę chorobę, tę muko...

— Mukowiscydoza.

— Właśnie. I to pasuje, bo ona jest bardzo drobna i delikatna, a jej skóra jest jakby, no wiesz, niebieskawa. A do tego kaszle. Nie chciałem pytać jej za wiele, no wiesz. Żeby nie poczuła się jak jakieś dziwadło. Byłem dzisiaj w księgarni, bo chciałem coś znaleźć, ale nie wiedziałem dokładnie, jak to się pisze, więc nie mogłem nic znaleźć w indeksach. A chciałbym wiedzieć, co to jest. Co to oznacza. Czy ona naprawdę jest chora? Czy umrze? Tego rodzaju rzeczy.

— Kurde. — Toby wciągnął powietrze i przejechał dłonią po brodzie. — No dobra, zobaczmy, co da się znaleźć.

Zanim jeszcze Toby zaczął klikać na listę i czytać artykuły, Con domyślił się, że nie jest za dobrze. To było oczywiste, jak tylko Daisy wspomniała o chorobie. Miała taki szczególny ton głosu, ton kogoś, kto wie, że miał cholernego pecha i że nie chce tracić czasu, by się nad tym rozwodzić.

Według danych z internetu życie Daisy już teraz musiało być bardzo trudne i uciążliwe. Potrzebowała codziennej fizjoterapii, by usunąć śluz zgromadzony w płucach, musiała brać leki wspomagające absorbowanie składników odżywczych i zapobiegające infekcjom płuc. Musiała spożywać więcej kalorii niż przeciętny człowiek, ale przyrost jej wagi był znikomy; poza tym miała małe szanse na donoszenie ciąży.

Najwyraźniej też groziła jej śmierć w wieku trzydziestu lat.

Con i Toby siedzieli przez chwilę w głuchej ciszy. Toby oddychał naprawdę głośno i tarmosił włosy. Con wiedział, że próbował wymyślić coś pocieszającego.

— Boże, Con, naprawdę mi przykro — odezwał się w końcu.

— Kiepsko, co?

— Kiepsko, ale pamiętaj, że są te wszystkie badania, że medyczne przełomy zdarzają się każdego dnia. A poza tym ona może żyć dłużej niż przyjęto za przeciętny wiek, nawet bez przełomu w medycynie.

— Nie. — Con potrząsnął głową. — Jest źle. Jakkolwiek by na to spojrzeć. Nie może mieć dzieci, a nawet gdyby miała, to nie mogłaby patrzeć, jak dorastają. I wiesz, dlatego musi mieszkać z siostrą. Założę się, że ta siostra robi to całe gówno z jej klatką piersiową każdego dnia. Rozumiesz? Jest kompletnie zależna o innych ludzi, nie może tak po prostu wyjść rano z domu. Do dupy takie życie.

Toby westchnął i dotknął kolana Cona.

— Myślisz, że ona uważa, że jej życie jest do dupy?

Con wzruszył ramionami. Przypomniawszy sobie, z jakim entuzjazmem traktowała jedzenie, miłość rodziny, z jaką pasją wypowiadała się na każdy temat, w szczególności na te zupełnie prozaiczne. Nie zachowywała się jak ktoś, kto nienawidzi swojego życia. Zachowywała się tak jak ktoś, kto wprost nie wierzy we własne szczęście.

— Nie — odezwał się po chwili — nie sądzę, że ona tak myśli.

— No to najlepsza rzecz, jaką możesz zrobić — powiedział Toby — to zachowywać się tak, jakbyś nigdy nie widział tego tutaj. — Pokazał na monitor. — Najlepsza rzecz, jaką możesz zrobić, to pomóc jej cieszyć się życiem.

Toby wręczył Conowi wiersz przed wyjściem.

— Napisałem go w dniu pogrzebu mojej mamy — powiedział. — Być może pomoże ci rozgryźć, co czujesz do Daisy.

— Nie wiedziałem, że twoja mama nie żyje.

— Zmarła, kiedy miałem trzynaście lat. Na raka piersi.

— Boże, przykro mi.

— No cóż...

— Dziwne, co? Mieszkam tu prawie od roku, a nie miałem pojęcia, że twoja mama nie żyje. Nie mówisz o sobie zbyt często, prawda? Nie odzywasz się za dużo.

— Nie — odrzekł Toby. — Raczej nie.

Ostatnią osobą, którą Con miał ochotę spotkać po wyjściu z pokoju Toby'ego ze ścianą w dłoni wierszem, była Ruby.

— Cześć. — Rozpromieniła się na jego widok. W ustach miała brązową grudkę, chyba gumę do żucia. Wyglądała jak nicorette.

— Cześć — odpowiedział. — Co to za guma? Rzucasz ćmiki?

Roześmiała się.

— No co ty, zwariowałeś? Trzymam gumy w szufladzie na wypadek, gdyby skończyły mi się fajki i nie chciało mi się wyjść po nową paczkę. Lubię ten smak.

— Aha. — Pokiwał głową, czując nagle oburzenie, że ktoś obdarowany parą zdrowych, funkcjonujących płuc niszczył je tak bezsensownie. — Rozumiem. — Spróbował przejść obok niej do swojego pokoju, ale zatarasowała mu drogę.

— Co porabiasz dziś wieczorem? — zapytała. Wzruszył ramionami, mózg wirował w poszukiwaniu potencjalnych kłamstw.

— Nie jestem jeszcze pewien.

— Twojej mamy nie ma dzisiaj.

— Wiem.

— Godzinę temu widziałam, jak wychodzi.

— Wiem — uśmiechnął się sarkastycznie.

— Masz ochotę na kieliszek wina?

— Co?

— Właśnie szłam po kieliszek dla siebie. Masz ochotę napić się ze mną?

Con potrząsnął głową.

— Nie — odpowiedział. — Dzięki. Mam coś do zrobienia. — Wierzchem dłoni uderzył kartkę z wierszem Toby'ego.

— Co to? — Spojrzała na wydruk.

— Wiersz. Toby'ego. Dał mi do przeczytania. Ruby zaśmiała się.

— O Boże! Tylko nie wiersz Toby'ego. Con spojrzął na nią.

— A w czym problem?

— Czytałeś kiedykolwiek wiersze Toby'ego?

Potrząsnął głową.

— No to, kiedy przeczytasz — zaśmiała się znowu — zrozumiesz, o co mi chodzi.

— Hmm — mruknął, czując w klatce piersiowej ukłucie złości. Wszystko w Ruby było nie tak. Jej brązowa guma do żucia, jej propozycja, jej drwiny z Toby'ego. Bez smaku i

nie na miejscu. Przepchnął się delikatnie obok niej, by dostać się do swojego pokoju.

Czuł, jak oczy Ruby wiercą mu dziurę w plecach.

— Czy zrobiłam coś, co cię wkurzyło, Con?

— Co?

— Jesteś na mnie zły?

— Nie!

— Dlaczego więc zachowujesz się wobec mnie tak... chłodno?

— Chłodno?

— Tak. Oficjalnie.

— Sorry — powiedział. — Nie zdawałem sobie sprawy. Zamknął za sobą drzwi, zrzucił tenisówki i usiadł po turecku na materacu. A potem przeczytał wiersz Toby'ego:

Młoda

Widziałem cię wczoraj.

Miałaś na sobie babciny szlafrok, nie był twój.

Byłaś młoda.

Widziałem cię przedwczoraj.

Miałaś ochotę tańczyć, ale nie mogłaś wstać z łóżka.

Byłaś młoda.

*W Boże Narodzenie byłaś młoda, w fartuchu ze
świętecznym motywem i kapeluszu z bibułki.*

*I w każde moje urodziny. W spódniczkach mini,
w spódnicach maxi, w długich i krótkich włosach.*

W pachnących ciastach i owocowych tartach.

Młoda. I piękna. Wkrótce będzie zima.

Ja będę starszy.

Ty będziesz młoda.

Spojrzę w lustro, zobaczę siwy włos.

Chłopiec na ulicy zawoła do mnie:

Hej! Staruszk!

A ty wciąż będziesz młoda.

Młoda i piękna.

Zawsze.

Con złożył kartkę z wierszem, odłożył ją na szafkę przy łóżku i zapłakał po raz pierwszy od dnia pogrzebu swojej babci.

28

Leah nigdy dotąd nie widziała ładniejszego domu od rezydencji Giacomina Carusa. Budynek mieścił się przy najbardziej reprezentatywnej ulicy w Muswell Hill, posiadał hol wielkości pokoju dziennego Leah. We wszystkich pokojach były drewniane podłogi, a okna zdobiły witraże. Zadbany ogród otaczał posiadłość z czterech stron, z tyłu znajdował się odkryty basen. Z barkiem.

Jack przywitał Leah szklanką zmrożonej wody, którą nalał z pojemnika z filtrem znajdującego się w ogromnej amerykańskiej lodówce ze stali nierdzewnej, i pozwolił jej rozejrzeć się dookoła. W tym czasie chłopcy z samochodu dostawczego rozładowywali pakunki z Różowego Koliberka. Na parterze znajdowały się dwa pokoje dzienne: jeden z dwuspadowym sufitem i żyrandolem; drugi z olbrzymim dębowym kominkiem z wyrzeźbionymi dookoła gargulcami. Ponadto na tym poziomie znalazła jeszcze salę bilardową, gabinet, jadalnię i luksusową kuchnię z aneksem jadalnym w ogromnej oranżerii z tyłu domu. W każdym pomieszczeniu dominowały antyczne meble, a dom został wyposażony w najnowocześniejszy sprzęt audiowizualny oraz salę kinową zaprojektowaną w pokoju z wieżyczką.

Na piętrze znajdowały się cztery sypialnie i pięć łazienek. Leah nie zapytała, do czego służy ta piąta. Pochwaliła znakomity gust Jacka, ale on nie przyjął komplementu, informując, że dom kupił w pełni umeblowany.

— Czym się właściwie zajmujesz? — zapytała, usadowiając się w kuchni na stołku barowym z pleksioglasu.

— Tekstylia — odpowiedział. — Produkuję tkaniny.

— Jakiego rodzaju tkaniny?

— Bardzo, bardzo piękne tkaniny. — Uśmiechnął się. — Pełen luksus. Jedwab, organza, tiul, szyfon.

— Pięknie.

— Ale teraz jestem już na emeryturze. Nadal jestem właścicielem zakładów włókienniczych, ale nie muszę już do nich zaglądać.

— Czy twoje zakłady są we Włoszech?

— Tak. Leżą nad samymi jeziorami. Mam tam dom, ale korzystam z niego jedynie na wakacje. — Westchnął. — Kocham Anglię. Naprawdę. Ale nie tu pragnąłem zamieszkać. Zostałem tu ze względu na dziewczynki. Dla Lottie i Lucie. I mieszkam tu, bo nie mogę się oprzeć angielskim kobietom!

Leah roześmiała się.

— Przyjechałem do Londynu, kiedy miałem dwadzieścia jeden lat. Poznałem dziewczynę o imieniu Jenny i zakochałem się. I tak już zostało. Moją pierwszą żoną została Angielka, Elaine. Piękna dziewczyna. Brzoskwinie i śmietana. Małżeństwo trwało zaledwie rok, ale zdążyłem się uzależnić. Potem była Paula, moja eks-małżonka, matka dziewczynek. Jasne włosy, niebieskie oczy, duży tyłeczek. Kocham angielskie tyłeczki. Uwielbiam te wszystkie fałdeczki! I ten akcent — ach! Tak więc moim przeznaczeniem jest Anglia, na zawsze. Ze względu na miłość do moich dziewczynek i do angielskich tyłeczków!

Leah znów się zaśmiała, nagle bardzo świadoma swoich jasnych włosów, niebieskich oczu i dżinsów w rozmiarze czterdzieści dwa.

— Jak długo jesteś po rozwodzie?

— Rok. Wynajmowałem mieszkanie w Hampstead i każdego dnia szukałem mojego idealnego pałacu! Pragnąłem znaleźć coś, co byłoby kwintesencją angielskiego charakteru, i to... — wskazał na dom — tym jest. Jeszcze tylko — westchnął — muszę znaleźć moją królową.

Chłopcy skończyli rozładowywać ciężarówkę i Leah udała się na górę, gdzie przez dwie godziny układała poduszki, narzuty i ramki na zdjęcia, instalowała kolorowe światełka, zawieszała lustra, a w szuflady włożyła czerpaną papeterię i pojemniczki z żelowymi długopisami. Na stylizowanych łóżkach położyła pościel w pastelowe kropki, a na oknach zawiesiła pasy liliowego, mieniącego się jedwabiu. Zaczynało się już ściemniać, kiedy Jack wszedł do góry, żeby zobaczyć postępy jej pracy. Pokoje prezentowały się pięknie z rozświetlającymi zapadający mrok lampkami.

— Idealnie. — Twarz Jacka rozpromieniła się. — Absolutnie idealnie. — A potem zaczął płakać.

Leah spojrzała na niego przerażona.

— Wybacz mi — powiedział. — Wciąż reaguję bardzo emocjonalnie. To otwarta rana. — Pięścią uderzył w serce. — Nie chciałem, żeby to się tak skończyło. Nie chciałem mieszkać sam bez moich dziewczynek i żony. Nie chciałem zostać weekendowym ojcem. — Pociągnął głośno nosem. — Nie miałem zostać sam. Nie jestem do tego stworzony. Ale to — wskazał na pokój Lottie — jest takie piękne. Idealne. Będzie zachwycona. Obie padną z zachwytu. Dziękuję ci! — A potem objął ją i przytulił mocno do siebie. Jego łyzy zostawiły mokłą plamę na jej policzku, którą wytarła najbardziej dyskretnie, jak potrafiła. — Słuchaj — odezwał się — może zostaniesz? Zostań. Ugotuję dla ciebie. Co lubisz? Rybę? Mam świeżutkiego tuńczyka w lodówce. Tuńczyk i kapary? A może sałatka nicejska?

— O Boże, dziękuję ci, ale nie mogę.

— Może coś innego. Makaron? Coś prostego. *Aglio e olio**? Proszę. — Obie ręce przyłożył do piersi. — Pozwól mi ugotować dla siebie. Sprawiałabyś mi ogromną przyjemność.

* *Aglio e olio* — makaron z czosnkiem i papryczką chili (przyp. tłum.).

— O Boże, bardzo bym chciała, naprawdę — skłamała — ale muszę wrócić do sklepu, podliczyć utarg, wszystko pozamykać.

— No cóż. Może innym razem. A póki co — wręczył jej kopertę, którą wyciągnął z tylnej kieszeni — to dla ciebie.

Uśmiechnęła się i wzięła kopertę. Była satysfakcjonująco gruba.

— Dziękuję bardzo — powiedziała.

— I zawsze — poprowadził ją do drzwi wejściowych — kiedykolwiek będziesz przechodziła obok, masz moją wizytówkę, zadzwoń do mnie. Jeśli jestem w domu, przyjdź. Ugotuję dla ciebie.

— Zrobię tak — odpowiedziała. — A kiedy ty będziesz przechodził obok sklepu...

— O tak. — Uśmiechnął się. — Z pewnością wstąpię i się przywitam. — Uniósł jej dłoń do ust i pocałował ją. Leah poczuła delikatny rumieniec na twarzy. Nikt wcześniej nie całował jej dłoni. Rzuciła na niego ostatnie spojrzenie, by ostatecznie się przekonać, czy aby na pewno nie uważała go za atrakcyjnego. Spojrzenie potwierdziło wcześniejsze wrażenie.

Nie był w jej guście.

Westchnęła i wyszła na chłodne, wieczorne powietrze. Wydawało się, że duży i żółty księżyc otoczyło więcej gwiazd niż zazwyczaj. Odwróciła się, by spojrzeć na dom Jacka, i ruszyła z powrotem do sklepu przy akompaniamencie chrzęszczącego pod jej stopami żwiru wysypanego na podjeździe.

29

Daisy i Con jedli lunch na ławce w Green Park. Było zaledwie osiem stopni, ale słońce grzało mocno. Daisy ugryzła kolejny kęs kanapki i uśmiechnęła się.

— To — wskazała na kanapkę — jest absolutnie pyszne. Naprawdę sam ją zrobiłeś?

— Uhm. — Połknął to, co miał w ustach, i pokiwał głową. — Toby mi pomógł, ale większość zrobiłem sam.

— Naprawdę jestem pod wrażeniem. Skąd wziąłeś ten chleb?

— Toby go upiekł.

— Toby poeta?

— Tak. Każdego dnia piecze bochenek chleba.

— Naprawdę? Ale miło! A jaki on jest, ten Toby? Czy jest niebezpiecznie przystojny i tajemniczy?

Con zaśmiał się.

— Eee, nie. Nie za bardzo. On jest... On jest bardzo duży. Wysoki. Duże ręce. Duże stopy. Duży nos. Trochę zapuszczony. Busz na głowie i bokobrody. Jest naprawdę nieśmiały i bardzo mądry. Lubię go.

— A czy jest uznanym poetą? Con znów się zaśmiał.

— Nic mi o tym nie wiadomo. Nie sędzę, by kiedykolwiek coś opublikował, i nigdy nie ma pieniędzy.

— Jakiego rodzaju wiersze pisze? Czytałeś coś kiedyś?

— Tak. — Skinął głową. — Pokazał mi jeden wczoraj wieczorem.

— I co? Dobry?

— Tak. Sprawił, że... — Przerwał i spojrzał na Daisy, a potem odetchnął głęboko. — Sprawił, że się rozplakałem.

— Niesamowite! — krzyknęła zdziwiona.

— To był wiersz o jego mamie. Napisał go w dniu jej pogrzebu. Chodziło o... — Przerwał. Nie mógł powiedzieć, o czym naprawdę mówił wiersz. — Napisał, jak bardzo ją kochał i jaką wspaniałą była mama. Przypomniał mi moją babcie. — Wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

Ścisnęła delikatnie jego przedramię.

— Naprawdę ją kochałeś, co? Znów wzruszył ramionami.

— To ona mnie wychowała. A taką osobę kocha się najbardziej, prawda? Tego, kto cię wychował.

— W przeciwieństwie do twojej mamy, tak?

— Tak mi się wydaje.

Minęła ich para, kobieta i mężczyzna, w pasujących do siebie strojach z lycry. Con skończył kanapkę i wepchnął papier śniadaniowy do plastikowego worka. Spojrzał na dłoń Daisy. Długie palce, pierścionek w kształcie niezapominajki, niebieskie żyły, rozmazane masło. Zanim znalazł powód, żeby tego nie robić, chwycił jej rękę. Była zaskakująco ciepła. Ona uściśnęła jego dłoń i uśmiechnęła się.

— Jestem naprawdę poruszona — przerwała ciszę — że zadałeś sobie tyle trudu z tymi kanapkami.

— Nic wielkiego — powiedział, pocierając koniuszkiem kciuka o jej paznokcie. — Uśmiechnął się. — Muszę przyznać nawet, że była to czysta przyjemność.

— Chcesz powiedzieć, że sprawiło ci przyjemność przygotowanie czegoś, co nie potrzebowało czajnika i mikrofalówki?

— Nie nazwałbym tego wielkim gotowaniem, ale to była, no wiesz, frajda. Podobało mi się.

— W takim razie — powiedziała Daisy — mam dla ciebie prawdziwe wyzwanie, Connorze McNulty.

— Co takiego?

— A gdybyś tak zaprosił mnie do siebie na obiad?

— Obiad?

— Tak, obiad. Z przystawką, daniem głównym i deserem. I winem.

— Mówisz poważnie?

— Śmiertelnie.

— Ale mój dom. Tam jest pełno ludzi.

— Nie szkodzi. Lubię ludzi.

— Tak, ale to są dziwni ludzie.

— Dziwaków lubię jeszcze bardziej. — Uśmiechnęła się.

— Co innego skłapnąć ze sobą dwa kawałki chleba, co innego przygotować cały posiłek... Mogę cię otruć.

Potrząsnęła głową.

— Dasz sobie radę. Wierzę w ciebie.

— Naprawdę?

— Tak. Całkowicie. Moim zdaniem jesteś jedną z tych osób, które będą dobre we wszystkim, do czego się przyłożą.

Potrząsnął głową i zaśmiał się.

— A skąd taki pomysł?

— Nie wiem — odpowiedziała. — Po prostu tak myślę. Masz tę aurę. Naprawdę super. Jesteś prawdziwie zdolny.

— To dlaczego ukończyłem zaledwie dwie klasy szkoły średniej? I co robię w dziale wysyłkowym?

— Masz dopiero dziewiętnaście lat. Byłeś bezdomny, na miłość boską. I zmarła twoja babcia. Ale poczekaj tylko. Pewnego dnia polecisz prywatnym odrzutowcem nad Morzem Karaibskim. Ale, oooch, poczekaj, nie, nie będziesz jedynie pilotem. Będziesz właścicielem. Obok ciebie piękna kobieta będzie piła szampana, a ty polecisz nad swoim rozległym majątkiem przy plaży, albo nie, czekaj, będziesz leciał nad swoją prywatną wyspą i pomyślisz sobie, pomyślisz tylko, że kiedyś mieszkałeś w domu pełnym dziwaków w Finchley, całe dni rozwoziłeś listy od wrednych bab w wielkim budynku, i uśmiechniesz się, a ta piękna dziewczyna też się uśmiechnie, i przypomnisz sobie, jak ci to mówiłam. Naprawdę tak będzie. — Obiema dłońmi ścisnęła mocno jego rękę. — Daj sobie szansę. Jesteś wyjątkowy, Con, naprawdę wyjątkowy. A twoje życie dopiero się zaczyna.

Con przełknął ślinę. Zaledwie dziewiętnaście lat.

Daisy miała jedynie osiemnaście lat i dwie trzecie życia za sobą; połowę, jeśli dopisze jej szczęście.

— Ale to ty będziesz tą dziewczyną? Tą dziewczyną w samolocie. To będziesz ty, prawda?

Uśmiechnęła się. Ale nie odpowiedziała.

30

Telefon Leah zadzwonił o 19.05. To był Amitabh.

— Cześć. — Usłyszała jego głos. — Co robisz?

— Spoglądam przez okno. A ty?

— Kąpię się.

Leah uważała dzwonienie z wanny za bardzo dziwny zwyczaj. Swoiste zaproszenie do wyobrażania sobie namydlonych, nagich ciał rozmówców.

— Czego chcesz? — zapytała nieco bardziej szorstko, niż zamierzała.

— Nic — odpowiedział. — Po prostu myślałem o tobie. Chciałem się upewnić, że u ciebie wszystko w porządku.

— Och.

— Znalazłaś już jakieś nowe lokum?

— Nie — odpowiedziała, owijając kabel od telefonu wokół nadgarstka. — W zeszłym tygodniu zarobiłam trochę ekstragotówki, więc zdecydowałam się zostać tu miesiąc dłużej.

— Co! Takie marnotrawstwo pieniędzy! Płacić cały ten czynsz jedynie za siebie.

— Więc co sugerujesz, że powinnam zrobić?

— Nie wiem. Myślę tylko, że jeśli masz trochę wolnej gotówki, to powinnaś wpłacić ją do banku. Zaczynij oszczędzać na wkład.

Leah przewróciła oczami.

— O Boże, Am, możesz już zostawić ten temat, proszę. Mam dość tego gadania. A poza tym to nie jest już twoja sprawa.

— Och, nie mów tak, Leelee.

— I nie nazywaj mnie Leelee.

— Dlaczego nie?

— Bo tak mogłeś mnie nazywać, kiedy byłam twoją dziewczyną, a nie, kiedy jestem twoją eks-dziewczyną.

— No tak, ale dla mnie już zawsze będziesz Leelee.

— Nawet kiedy ożenisz się z jakąś piękną z Bombaju i doczekasz się gromady owłosionych dzieci?

Amitabh zaśmiał się, a potem westchnął.

— O Chryste, Leah. Sam nie wiem. Może to wszystko jest nie tak, no wiesz.

Leah zmrużyła oczy i jednocześnie wydeła usta, jej ciało instynktownie się skuliło.

— Co?

— Może nie powinniśmy poddawać się tak łatwo.

— My?

— No dobra, ja. Może powinienem... Boże, sam nie wiem.

— Amitabh, co dokładnie chcesz mi powiedzieć?

— Sam nie wiem, co mówię. Ale tęsknię za tobą, to wszystko. Nie sądziłem, że będę, ale tak jest.

Leah zauważyła cień po drugiej stronie ulicy, długi i cienki, wyeksponowany przez światło uliczne. Przywarła dłonią do szyby i spojrzała przez okno. Usłyszała odgłos przyspieszonych kroków. To była Joanne.

— Sorry, Am — powiedziała, nie zważając na jego słowa. — Muszę lecieć. Oddzwonię. Cześć.

Rzuciła słuchawkę i pognała do drzwi. Joanne miała właśnie otworzyć furtkę.

— Joanne! — krzyknęła. — Cześć!

Joanne odwróciła się i wbiła w nią wzrok. Miała na sobie czarny, skórzany płaszcz, czarne koronkowe pończochy i czarne buty do kostek z futrzanymi pomponami. Włosy ufarbowała również na czarno i spięła je do tyłu spinkami z diamentowymi wisienkami. Usta pomalowała czerwoną szminką, oczy podkreśliła czarnym eyelinerem i wyglądała jak Juliette Binoche, która ma bardzo zły dzień.

— Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć.

— Nie zrobiłaś tego — odpowiedziała Joanne lodowatym głosem.

— Dobra. Miałam właśnie, eee... Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że zaczepiam cię w ten sposób na ulicy, ale chciałam ci o czymś powiedzieć.

Joanne zmrużyła oczy, wpatrując się w Leah, jakby chciała odgadnąć, z której planety się urwała.

— Słuchaj — odezwała się, wyciągając klucze z torebki — ale kim jesteś i skąd znasz moje imię?

Leah spojrzała na nią zaskoczona. Przecież musiała ją zauważyć choćby raz podczas dwóch minionych lat?

— Eee, jestem Leah. Przyjaciółka Toby'ego. Mieszkam tam. — Wskazała na drzwi frontowe do swojego mieszkania.

— Po drugiej stronie ulicy.

— Och — powiedziała Joanne. — Rozumiem.

— I powód, dla którego chciałam z tobą porozmawiać, może wydawać się nieco dziwny, ale zauważyłam, że przywiązujesz dużą wagę do swojego wyglądu...

Joanne spojrzała na swój skórzany płaszcz.

— Hm — przerwała — ja bym tak tego nie nazwała.

— Och, ale to prawda. Za każdym razem zauważam twoje eleganckie stroje, zawsze inne ubrania, nowe fryzury. Ja należę do leniwców, jeśli chodzi o ciuchy, makijaż i takie tam. Dzinsy, buty, trochę tuszu do rzęs i to wszystko, jeśli o mnie chodzi. Nie zmieniłam wyglądu od lat. I właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać. Prowadzę sklepik z upominkami w Muswell Hill, Różowy Koliberek.

— Ach tak. — Kiwnęła głową. — Kojarzę go.

— W piątek wieczorem organizujemy wyjątkowe spotkanie promocyjne, żeby uczcić wprowadzenie na rynek nowej linii kosmetyków. — Wyciągnęła różowy kartonik z kieszeni i wręczyła go Joanne. — Kosmetyki są w stu procentach organiczne, sprowadzane z Kalifornii. Jesteśmy jednymi z pierwszych dystrybutorów tej marki w Londynie. Przysyłają nam swoich wizażystów, będą robić pokazy makijażu, będzie wino, przekąski i różne takie. Impreza jest zamknięta, wolno mi zaprosić jedynie garstkę ludzi i pomyślałam sobie, że może to być coś, co sprawiłoby ci przyjemność.

Joanne obróciła kartonik i wpatrywała się w niego spod zmrużonych powiek.

— Kiedy to ma być?

— W piątek wieczorem. Od 18.30 do 21.

— Hmm. — Joanne ponownie obróciła zaproszenie. — Nie wiem. — Udawała brak zainteresowania, ale Leah była pewna, że połknęła haczyk. Pojawi się, z całą pewnością.

— Cóż — dodała Leah od niechcienia — jeśli nie będziesz mogła przyjść, daj mi, pro-

sze, znać. Liczba gości jest ograniczona i wolałabym przekazać to zaproszenie komuś innemu, jeśli miałabyś zrezygnować.

— Dobrze. — Joanne wrzuciła kartonik do torebki. — Okej. Przyjdę.

— Naprawdę?

— Tak. Możesz mnie wliczyć.

— Wspaniale. — Leah rozpromieniła się. — Bardzo się cieszę. To będzie cudowny wieczór. Spodoba ci się.

I wtedy stało się coś niezwykłego — Joanne uśmiechnęła się.

— Nie mogę się doczekać — powiedziała. — Dziękuję za zaproszenie.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odpowiedziała Leah.

Po powrocie do domu Leah spojrzała na telefon. Oczyma wyobraźni zobaczyła wielkiego, pomarszczonego Amitabha leżącego w zimnej wodzie w wannie i czekającego na jej telefon. Dotknęła telefon opuszkami palców, zaraz jednak cofnęła rękę. Nie miała na to siły. Zadzwoń do niego jutro.

Zamiast tego podeszła do okna i znów zerknęła na ulicę.

Przez duże okno w Domu Pawia widać było cień postaci wspinającej się po schodach. Przypuszczała, że to Joanne wraca do swojej pustej twierdzy z różowym zaproszeniem w torebce. Spojrzała do góry i zobaczyła Toby'ego, który jak zawsze siedział w oknie przed komputerem. Zastanawiała się, w co się tak wpatrywał. Może rozmawiał na czacie z grubą dziewczyną z Meryland o imieniu Paris? Albo rozmyślał nad kolejnym wierszem? A może po prostu gapił się bezmyślnie w monitor.

Zastanawiała się, czy widział ją, jak rozmawiała z Joanne na ulicy.

Zastanawiała się, czy poprze jej pomysł, czy raczej pomyśli, że za bardzo się wtrąca.

Kilka minut później wstał, przeszedł na drugą stronę pokoju, potem wrócił i zaciągnął zasłony i nagle, w jednej chwili Leah miała przed sobą ciemny, głuchy dom. Czując się nieco dziwnie, zasłoniła okna i poszła spać.

W piątek wieczorem w Różowym Koliberku Joanne pojawiła się jako pierwszy gość.

Czarny skórzany płaszcz narzuciła na czarną dżersejową spódnicę, a na nogach miała buty w kolorze butelkowej zieleni ze skórzanymi sznurowadłami, zawiązanymi na krzyż nad kostkami. Włosy wyglądały tak, jakby użyła karbownicy do ich ułożenia, a oczy pomalowała ciemnozielonym cieniem. Leah wzięła od niej płaszcz i zaniósła go na zaplecze.

— Tak się cieszę, że przyszedł — powiedziała, częstując Joanne kieliszkiem białego wina. Leah zauważyła po raz pierwszy, że pozbawiona płaszcza figura Joanne, w obcisłej dżersejowej sukience prezentowała się bardzo ładnie: wąska talia, kształtne ramiona, okrągłe piersi. — Przyszedł prosto z pracy?

Joanne skinęła automatycznie głową i upiła spory łyk wina. Błądziła wzrokiem po sklepie, zatrzymując się na każdym detalu — lampach, jedwabnych kwiatach, lustrach.

— Gdzie pracujesz? — zapytała Leah. — W centrum?

— Tak — odpowiedziała Joanne. Popiła wino. — Gdzie make-up?

Leah otworzyła szeroko oczy, lekko zszokowana opryskliwością dziewczyny.

— Eee, są tam, z tyłu. Przygotowują się.

Joanne spojrzała na zegarek, starszy model Swatcha z gładkim, plastikowym paskiem.

— Myślałam, że mówiłaś osiemnasta trzydzieści? Jest osiemnasta trzydzieści dwie.

— Tak, wiem. Nie potrwa to długo. Jeszcze minutka czy dwie. Czym się zajmujesz, Joanne?

— Zajmuję?

— Tak. Co robisz?

Joanne westchnęła.

— Jestem aktorką.

— Naprawdę? Więc tym się teraz zajmujesz, tam, gdzie pracujesz w centrum?

Potrząsnęła głową.

— Nie, teraz zajmuję się czymś innym. Ładne rzeczy tu macie.

Leah pomyślała, że podtrzymywanie rozmowy z osobą ciągle zmieniającą temat jest bardzo trudne.

— Och — zwróciła się do Joanne. — Tak. Są bardzo kobiece.

— Tak — zgodziła się Joanne. — Podobają mi się te krótkie haleczki. — Wskazała na różową, koronkową bieliznę wykończoną jedwabną wstążką.

— Śliczne, prawda? Mamy pasujące majteczki i spodnie.

— Naprawdę?

— Skuszona?

— Mmmm. — Joanne uśmiechnęła się. — Może. Macie jakieś inne ubrania?

— Nie. Raczej nie. Trochę bielizny, kapelusze, kaptcie.

— Och. — Wyglądała na nieco rozczarowaną. — Nieważne.

— Lubisz ciuchy, co? Joanne znów się uśmiechnęła.

— Ubrania są dla mnie jak farba dla artysty albo słowa dla pisarza.

— Zauważyłam — odparła Leah, starannie dobierając słowa — że nie boisz się eksperymentować z ciuchami.

— Tak — przytaknęła Joanne — nie boję się. — Dopiła wino. Leah naląła jej kolejny kieliszek. Zauważyła zniecierpliwienie Joanne i zdawała sobie sprawę, że jeśli dziewczyna natychmiast nie dostanie tego, po co tu przyszła, to istnieje realne niebezpieczeństwo, że wyjdzie.

— Zerknę, jak im idzie.

Clarice i Maya z Santa Monica, zwarte i gotowe czekały z pędzlami w dłoni. Rozległ się dzwonek nad drzwiami. Leah wpuściła stadko apetycznych mamusiek z Muswell Hill, odzianych w modne džinsy i skórzane płaszcze od Josepha. Poprosiła jedną ze swoich asystentek, by przejęła otwieranie drzwi, po czym sama poszła poszukać Joanne. Znalazła ją wpatrzoną z podziwem w parę jedwabnych kaptci w kolorze kości słoniowej z wyhaftowanymi różowymi motylami.

— Śliczne — powiedziała, odkładając je z powrotem.

— Cudowne, prawda? Wizażystki już gotowe. Idziemy?

Joanne entuzjastycznie reagowała na wszelkie szczegóły dotyczące linii organicznych kosmetyków. Słuchała z taką uwagą, co Maya ma do powiedzenia na temat dobroczynnego działania pszczelego wosku, sproszkowanej pokrzywy oraz ekstraktu z czarnych jagód, jakby co najmniej chodziło o prawdę o życiu. Leah obserwowała, jak Clarice oczyszcza twarz Joanne z makijażu miękkim bawełnianym wacikiem i płynem do demakijażu o zapachu zielonej herbaty. Potem wymasowała jej twarz czymś o nazwie „Anielski olejek”. Pozbawiona

makijażu twarz Joanne, choć obnażyła zmęczenie, wyglądała ładnie.

— Więc — odezwała się Clarice — czym się zajmujesz, Joanne?

— Jestem aktorką — odparła.

— No co ty!?! Naprawdę? Taką prawdziwą?

— Tak, uczyłam się w Central School of Drama.

— Niesamowite. Grałaś już w czymś, o czym mogłam usłyszeć, w jakimś filmie?

— Nie. I raczej nie będę. Głównie zajmuję się grą sceniczną. Chociaż od jakiegoś czasu mam przerwę w pracy.

— Och, rozumiem. Dzieci?

— Słucham?

— Przerwałaś ze względu na dzieci?

— Dlaczego o to pytasz?

— No nie wiem — odpowiedziała. — Rozmawiam z tyloma kobietami mniej więcej w twoim wieku i one zawsze opowiadają o tym, czym kiedyś się zajmowały. Kiedyś byłam modelką, kiedyś byłam dyrektorem od spraw marketingu. Więc po prostu zgadywałam.

— Nie, nie chodzi o dzieci — powiedziała Joanne.

— Zrobiłaś sobie przerwę, tak?

— Tak — przytaknęła Joanne — zrobiłam sobie przerwę.

— No to super. Muszę przyznać, że masz cudowną skórę, Joanne. Najwyraźniej ta przerwa ci służy.

Leah czekała z przodu sklepu, aż Joanne pojawi się w nowym makijażu. Różowy Koliberek pełen kobiet wrzał gwarem. Wydawało się, że wszyscy się znają, a atmosfera gęstniała od rozmów na temat lekcji Gymboree, pływania i narciarstwa w Morzine. Leah z trudem myślała o tym, że otaczają ją rówieśniczki, które prowadzą tak bardzo odmienny tryb życia. Większość kobiet musiała mocno się starać, by wyglądać tak dobrze, szczególnie po urodzeniu dzieci. Swojego wyglądu nie zawdzięczały szczęściu. Pracowały na niego na pełnym etacie.

Minęła ją Joanne.

— Pokaż się — zagadnęła Leah.

Joanne rozejrzała się dookoła, wyglądała na nieco przerażoną.

— Wyglądasz pięknie — powiedziała Leah.

I była to prawda. Pozbawiona ciężkiego makijażu twarz Joanne była delikatna, ładna i ciepła.

— Podoba ci się?

— Tak — odparła Joanne. — No nic, dziękuję za zaproszenie. Spędziłam miły wieczór.

— Och, chyba nie chcesz wyjść już teraz?

— Właśnie wychodzę.

— A co z tymi jedwabnymi papciami? Chciałaś kupić parę?

— Nie. Raczej nie. Może innym razem.

— Ależ nie! — Leah odetchnęła głęboko, by uspokoić nieco głos. — Nie. Kup je teraz! Dam ci upust. Dwadzieścia procent?

Joanne poruszyła nosem i obróciła głowę, żeby spojrzeć na pantofle.

— Hmm. Ile kosztują?

— Dwadzieścia. Szesnaście funtów ze zniżką.

— A ta dżersejowa haleczka?

— Trzydzieści dziewięć dziewięćdziesiąt dziewięć. Dla ciebie trzydzieści dwa.

— Okej — powiedziała i machnęła torebką. — Mogę zapłacić kartą?

Leah poleciła asystentce przynieść kaptcie i haleczkę, żywiąc nadzieję, że dziewczyna zrobi to równie wolno, jak miała w zwyczaju.

— Więc — zagadnęła wpatrzona w profil Joanne — wracasz teraz do domu? Do Toby'ego?

Joanne odwróciła głowę.

— Tak.

— Toby jest cudowny, prawda? Rzuciła Leah dziwne spojrzenie.

— Tak — odpowiedziała. — Przypuszczam, że tak.

— I ten dom jest niesamowity.

— Tak. Tylko bardzo zaniedbany. — Odwróciła się zniecierpliwiona, by sprawdzić, co robi sprzedawczyni. Ta właśnie wróciła z butami w pudełku i otworzyła je dla Joanne.

— Wyglądają na duże — stwierdziła Joanne. — Jaki to rozmiar?

— Duży — odparła sprzedawczyni. — Jaki rozmiar pani nosi?

— Trzydzieści siedem.

Leah wysłała asystentkę po właściwy rozmiar kapci i próbowała wymyślić sposób, by rozmowa potoczyła się po jej myśli.

— Powiedz mi, jak to jest mieszkać z tymi wszystkimi ludźmi? — zaczęła.

— Jakimi ludźmi?

— No tymi w domu Toby'ego? Wzruszyła ramionami.

— W porządku.

— Naprawdę? Chodzi o to, że właśnie zerwałam z chłopakiem i muszę się wyprowadzić. Obejrzałam mnóstwo mieszkań ze współlokatorami i nic. Po prostu czuję się już taka stara, mam swoje zwyczaje. Sama myśl, że miałabym mieszkać z ludźmi, których nie znam, jest okropna. Jak ty to robisz?

— Ignoruję wszystkich. Udaję, że ich tam nie ma.

Leah spojrzała na nią ze zdumieniem, a potem roześmiała się. I wtedy, zupełnie niespodziewanie, Joanne zrobiła to samo.

— Wiem — powiedziała — to niezbyt miłe. Ale gdybym faktycznie przyjęła ich obecność do świadomości, to pewnie bym oszalała.

— Wiesz co — powiedziała Leah — myślę, że to właściwa postawa.

— Z pewnością dobry pomysł na przetrwanie.

— Więc myślisz o wyprowadzce? Sprzedawczyni pojawiła się z właściwym rozmiarem i ruszyła na poszukiwania haleczki.

— Nie. Niestety nie.

— Żadnego przystojniaka na horyzoncie, z którym mogłabyś się wprowadzić do wymarzonego gniazdka?

— Nie.

— Szkoda.

— Niezupełnie.

— Aha, rozumiem. Chwilowo niezainteresowana facetami?

— Chwilowo nie jestem zainteresowana kimkolwiek.

— Ach — odparła Leah. — Bywa i tak. — W miarę rozmowy Joanne zaczęła łągodnieć i Leah była pewna, że gdyby miała jeszcze kilka minut, wreszcie zaczęłyby dokądsz zmierzać. — Zaczynam czuć bardzo podobnie — powiedziała, biorąc haleczkę od asystentki. — Myślałam, że moja przyszłość opiera się na pewnych perspektywach, a tu bach, nagle

okazuje się, że mam trzydzieści pięć lat i muszę wszystko zacząć od początku. To sprawia, że czuję się trochę... zgorzkniała.

— Zgorzkniała? — zapytała Joanne. — Ja nie jestem zgorzkniała.

— Nie, nie, nie — wycofała się Leah. — Nie zgorzkniała, ale trochę — zagubiona.

Wiesz, o co mi chodzi?

Joanne wydeła usta.

— Zdarzają się gorsze rzeczy niż zerwanie z facetem.

— Och, tak — potwierdziła Leah. — Oczywiście, przypuszczam, że tak.

— Na pewno tak.

— Jestem zdrowa. Żyję.

— Właśnie.

Leah wzięła kartę Joanne i przesunęła ją wzdłuż terminala.

— Zerwałaś z kimś kiedyś? Dlatego musiałaś przeprowadzić się do domu Toby'ego?

— Nie. — Wystukała pin. — Niezupełnie.

— Niezupełnie?

— Życie składa się z epizodów. Pewien rozdział w moim życiu musiał się skończyć.

Nadszedł czas, żeby ruszyć dalej.

— To jeden ze sposobów, w jaki można na to spojrzeć.

— To jedyny sposób. — Przesunęła terminal bliżej Leah i obie wpatrywały się w niego przez chwilę w milczeniu.

— Ale nawet zakładając, że życie to jedynie zbiór epizodów, z pewnością istnieje jakaś kontynuacja między rozdziałami?

— Niekoniecznie. Jestem bohaterką mojej powieści. Mogę pójść, gdzie mi się tylko spodoba, i nigdy nie spotkać tej samej osoby drugi raz.

— Jak w filmie drogi.

— Właśnie, jak w filmie drogi.

Leah umieściła pantofle i haleczkę w torebce i wręczyła ją Joanne nad kasą.

— Tyle że — kontynuowała — w filmie drogi zwykle bywa tak, że główny bohater albo ucieka przed czymś, albo szuka czegoś.

— A kto mówi, że ja tego nie robię? — Joanne przewiesiła torebkę przez ramię i zacięła pasek skózanego płaszcza.

— Uciekasz? Czy szukasz czegoś?

— To i to.

Właśnie dochodziły do sedna sprawy, a Leah skończyły się już pomysły, jak zatrzymać Joanne w sklepie. Kolejne pytanie musiało trafić w dziesiątkę.

— I jak daleko jesteś w drodze?

— Słucham?

— Między tym, od czego uciekasz, a tym, czego szukasz?

Joanne uśmiechnęła się.

— W połowie.

— Ach — odparła Leah. — Najtrudniejsze miejsce.

— Dokładnie — stwierdziła Joanne.

A potem odwróciła się i wyszła, wycinając sobie drogę przez rozgadany gąszcz kobiet z Muswell Hill, jak mały, ale bardzo ostry nóż.

32

Toby i Con ramię w ramię działali w kuchni. Toby wpychał kawałki greckiego sera w surowe piersi z kurczaka, a Con owijał je cienkimi plastrami szynki parmeńskiej. Młode ziemniaki miniaturowych rozmiarów oraz ząbki czosnku, skropione oliwą z oliwek i posypane orzeszkami pinii i rozmarynem, leżały na blasze w piekarniku. Na blacie kuchennym, w garnku do gotowania na parze, znajdowały się parujące brokuły, a w lodówce czekał domowy pasztet z tuńczyka, serwowany z bułeczkami z nasionami dyni i słonecznika, które Toby specjalnie upiekł po południu.

Con nie mógł uwierzyć, ile Toby wiedział o jedzeniu. Skąd wiedział na przykład, że czosnek można w całości włożyć do piekarnika? Albo że surową pierś z kurczaka da się otworzyć, nafaszerować wedle życzenia, a na koniec owinać szynką niczym taśmą klejącą z mięsa? Toby zachowywał się tak, jakby były to najprostsze i niewyszukane czynności, a Con miał wrażenie, że obcuje z magią.

— Dzięki — zwrócił się do Toby'ego. — Dzięki za to wszystko.

I wtedy, zupełnie niespodziewanie, zdał sobie sprawę, że obejmuje Toby'ego. Nie był to niedźwiedzi uścisk, raczej przytulenie się. Con poczuł, że ciało Toby'ego jest mocne, i

zdziwiło go to. Należało przecież do człowieka, który wyglądał tak, jakby letnia bryza była w stanie go unieść.

— Nie ma za co. Miło mieć wymówkę, no wiesz, żeby coś porządnie ugotować. Gotowanie tylko dla siebie wydaje się marnotrawstwem. W każdym razie mam nadzieję, że oboje spędzicie cudowny wieczór. I nie powinno się wam przeszkadzać. Tak się składa, że Joanne nie ma w domu i nie przypuszczam, żeby Ruby miała się tu pojawić, mamy przecież piątek.

Toby poszedł na górę, a Con dokładnie umył ręce płynem antybakteryjnym. Zawsze miał bzika na punkcie higieny. Na samą myśl, że mógłby przypadkiem otruć Daisy i wyładowałyby przez niego w szpitalu, robiło się mu słabo.

Sprawdził zegarek. Dwadzieścia pięć po dziewiętnastej. Usłyszał dźwięk otwierających się drzwi wejściowych i zamarł. A potem wstrzymał oddech, mając nadzieję, że kokolwiek to jest, pójdzie dalej swoją drogą i nie będzie się zastanawiał, dlaczego z jadalni dobiega nastrojowa muzyka, a w całym domu pachnie rozmarynem.

W przedpokoju ktoś zatupał, zmierzając w stronę kuchni. Zatrzymał się. Powolotku otworzyły się drzwi, w których stanęła Ruby. Con wypuścił powietrze.

— Co tu...? — Ruby ze zdumieniem rozejrzała się po słabo oświetlonym pomieszczeniu. — Co tu się, do cholery, dzieje?

Con westchnął.

— To tylko kolacja — odpowiedział.

— Dla kogo?

— Dla mnie — odparł — i koleżanki.

— Koleżanki, co? — Uśmiechnęła się znacząco i przyciągnęła do siebie krzesło.

Con westchnął.

— Tak. Koleżanki z pracy.

Usiadła i wyciągnęła paczkę papierosów z torebki.

— Nie! — krzyknął Con. — Nie rób tego.

— Czego?

— Nie pal tu. W ogóle nie pal dzisiaj w domu.

— Eee... Słucham?

— Moja koleżanka. Nie czuje się najlepiej. Ma coś z płucami, taką chorobę. Proszę, żebyś dzisiaj nie paliła.

— O mój Boże, czy nie wylądowałam przypadkiem na jakiejś innej pieprzonej planecie? Rozmamłana muzyka, świece, chore laski.

— Po prostu nie pal, to wszystko. Proszę.

Ruby kiwnęła głową, krótko, raz, pudełko papierosów wylądowało w torebce.

— Tylko dla ciebie — stwierdziła. — Ten jeden jedyny raz. Więc kim jest ta szczęściara?

— Nikim — odpowiedział Con. — To tylko dziewczyna. — Zauważył, że wskazówki zegara na telewizorze przeskoczyły z 19.29 na 19.30. — Słuchaj, Ruby — powiedział — Nie wygłupiam się ani nic takiego, ale ona będzie tu za minutę i tak sobie wymyśliłem, że dom będziemy mieć dziś dla siebie. Więc...

— Chcesz, żebym stąd spieprzała?

— No tak. Westchnęła i wstała.

— No dobra — powiedziała. — Nie ma sprawy. Ale nie oczekuj, że na całą noc zakluczę się w moim pokoju.

Wzięła torebkę i odwróciła się, żeby wyjść z kuchni.

— Co dolega tej dziewczynie? Astma czy coś?

— Tak. — Skinął głową Con. — Ma astmę.

I wtedy zadzwonił dzwonek.

33

Przez szpary w podłodze Ruby słyszała ich rozmowę. Nie rozróżniała słów, jedynie symfoniczne serie basowego gwaru, półtonowy radosny świergot i od czasu do czasu salwy gromkiego śmiechu. Z tego, co mogła wywnioskować, nie zdarzyła się jeszcze choćby jedna minuta krępującej ciszy, a „koleżanka” Cona siedziała tu już dwie godziny.

Zeszła na dół, składała trzecią nieuzasadnioną wizytę w kuchni. Dziewczynę widziała zaledwie przez ułamek sekundy, bo Con prosto od drzwi wejściowych poprowadził ją do jadalni.

Była bardzo drobna, szczuplejsza od Ruby, z pięknymi blond włosami, które Ruby

przypisywała *chalet girl**. Zdażyła poczuć zapach kwiatowych perfum i mignęły jej srebrne balerinki i szydełkowy szal.

* *Chalet girl* — kobieta zatrudniona w małych, górskich pensjonatach, do której obowiązków należy gotowanie, sprzątanie, zabawianie gości, dbanie o miłą, kameralną atmosferę (przyp. tłum.).

W kuchni naląła sobie szklanekę wody i poczęstowała się resztkami chleba i pasztetu. Con i dziewczyna rozmawiali o kimś o imieniu Nigel i zaśmiewali się głośno. Ruby miała ochotę zapalić papierosa i dmuchnąć dym przez dziurkę od klucza, prosto w tył głowy dziewczyny. Miała ochotę wejść do jadalni, usiąść przy stole i powiedzieć: „No to, dziewczynko, opowiedz mi coś o swoim niewiarygodnie krótkim życiu. Opowiedz mi o pięciu minutach, które upłynęły, odkąd przestałaś być dzieckiem. Opowiedz mi, jak mało osiągnęłaś i doświadczyłaś”. A potem sama opowiedziałaby wszystko o swoim życiu, o mężczyznach, bólu i nocach, które nigdy nie powinny były się zdarzyć. Pokazałaby jej swoje tatuaże i blizny i z najdrobniejszymi szczegółami opisałaby noc, kiedy pieprzyła się z Conem. Bo mimo że Ruby była jedenaście lat starsza od Cona, to miała z nim znacznie więcej wspólnego niż ta panienczka o dziecinnej twarzyczce w jego wieku. Ten to przynajmniej choć trochę pożył. Wiedział, co to znaczy nie mieć nic i nikogo, co to znaczy radzić sobie samemu.

Jej ciąg myśli zakłócił odgłos szurających po drewnianej podłodze krzesel.

— Nie, zostaw to — usłyszała głos Cona.

— O nie, nie, nie — odpowiedziała dziewczyna. — Pozwól mi. Ty zrobiłeś wszystko.

Zanim Ruby zdażyła zdecydować, czy zostać, czy może uciekać, dziewczyna stała już naprzeciwko niej, trzymając górę brudnych talerzy.

— Och — odezwała się. — Witaj.

— Cześć. — Ruby przez sekundę przeanalizowała swój wygląd i położenie. Dzinsy, szary T-shirt, włosy umiarkowanie czyste, twarz umiarkowanie umalowana, pije szklanekę wody i pilnuje własnych spraw. Dziewczyna nie miała żadnych powodów, by uznać jej obecność w kuchni za niestosowną. Ruby wyprostowała się i uśmiechnęła. — Jestem Ruby.

— Cześć. Con wspominał mi o tobie. — Odłożyła talerze i wyciągnęła dłoń w kierunku Ruby. — Jestem Daisy.

Daisy.

Istotnie wyglądała jak stokrotka.

Była ładna w ten nieokreślony, charakterystyczny dla takich dziewczyn sposób. Mały prosty nosek, ładne brwi, mała broda. Pod kośćmi policzkowymi miała małe zagłębienia, dzięki którym jej twarz nabierała wyrazu. „Dosyć ładna — pomyślała Ruby — ale nie tak ładna jak ja”.

I wyglądała tak nieznośnie młodo, najwyraźniej była młodsza od Cona.

— Miło cię poznać — odezwała się, lustrując ciało dziewczyny. Dopasowana kremowa bluzka, szare, wełniane spodnie do kolan, płaskie buty, czarna kamizelka, dziwny naszyjnik, na którym wisiało coś skórzanego. Taki miszmasz, ale ze smakiem.

— Więc — odezwała się — słyszałam, że pracujesz z Conem?

— Tak. Jestem z „Vogue'a”.

— Ach. — Ruby kiwnęła głową. Oczywiście. Dziewczyna ze świata mody. Teraz wszystko się zgadzało. — Wiem, że ugotował dla ciebie. I jak?

— Pyszności. — Daisy uśmiechnęła się. Miała nieco krzywe zęby, które uroczo do niej pasowały.

— Naprawdę? — skrzywiła się Ruby. — Jesteś pewna?

— Z ręką na sercu! Jestem pod wrażeniem. Biorąc pod uwagę, że kiedy spotkałam go po raz pierwszy, stołował się jedynie w McDonaldzie.

— To prawda. Jego ukochane McPosiłki.

— No właśnie! I to jest moje zadanie. Jestem zdeterminowana, by przekonać go do zdrowszego odżywiania się.

— Z tego, co widzę, już udało ci się odwalić kawał dobrej roboty.

— Con wspominał, że jesteś piosenkarką.

— Zgadza się.

— Jakiego rodzaju?

— No wiesz, trochę rocka, bluesa, soul. Tak naprawdę zależy to od nastroju.

— To musi być niesamowite. Wyjść na scenę i śpiewać dla tych wszystkich ludzi. Jak ty to robisz?

— Wódka — odpowiedziała Ruby, nagle czując potrzebę ubarwienia swoich rockowych kompetencji. — Mnóstwo wódki. Nigdy nie wychodzę na scenę trzeźwa.

— Nie dziwię się.

Daisy pochylała się nad talerzami, żeby zeszkrobać z nich resztki jedzenia do kosza na śmieci. Ruby widziała jej łopatki przebijające się przez bluzkę, kościste i ostre jak kosa.

— Daisy, ile masz lat?

— Dziewiętnaście. No prawie. W lutym mam urodziny.

— Młódka — skwitowała Ruby.

— Tak.

— Boże. Nie potrafię sobie wyobrazić, że kiedyś byłam taka młoda.

— Z pewnością nie jesteś dużo starsza ode mnie.

— Mam trzydzieści jeden lat — odpowiedziała Ruby przygotowana na to, że spotka się z niedowierzaniem.

— Nie! — zareagowała Daisy jak na zawołanie. — Boże. Myślałam, że jesteś znacznie młodsza.

— Aha. A myślałaś, że ile mam lat?

— Boże, nie wiem, jakieś dwadzieścia trzy. Ruby uśmiechnęła się.

— Tak — odpowiedziała. — Słyszałam to już nie raz.

Drzwi otworzyły się i ukazał się Con. Spojrzał na Daisy, potem na Ruby. Na jego twarzy pojawił się chłód.

— Nie wiedziałem, że zesłaś na dół.

— Właśnie przyszedłam po wodę. — Pokiwała szklanką.

— Aha.

— Rozmawialiśmy sobie z Daisy.

— Aha — powtórzył.

— Słyszałam, że twoje zdolności kulinarne robią wrażenie?

Wzruszył ramionami.

— Toby mi pomógł. Ale wyszło całkiem niezłe.

— Super. Kiedyś będziesz musiał ugotować coś dla mnie. Przekonamy się, czy ocenię twoje wysiłki równie wysoko co Daisy.

— Uhm. Dobra. W każdym razie my już wychodzimy. — Owinął rękę delikatnie wokół talii Daisy, by wyprowadzić ją z kuchni. Ruby poczuła w gardle gorzką i lodową grudkę.

— Miło było cię poznać — powiedziała Daisy.

— Tak — odpowiedziała Ruby. — Nawzajem.

Drzwi przymknęły się.

— Bawcie się dobrze — zawołała za nimi.

Ale oni już nie słyszeli. Ruby nasłuchiwała chwilę przy drzwiach, żeby przekonać się, czy będą mówić o niej, ale rozmowa przeszła gładko na ich wspólne tematy, jakby spotkanie z Ruby nigdy się nie odbyło. Widziała dłoń Cona na plecach Daisy niczym znamię zostawione na jej siatkówce przez błysk światła. Słyszała ich wspólny śmiech — szorstki, londyński chichot Cona i kryształowe dzwoneczki Daisy z Chelsea. Zobaczyła swoje odbicie w poczerniałej szybie kuchennego okna i zatrzymała się na chwilę. Kim była? Co się z nią działo? W ciągu zaledwie dwóch tygodni dwukrotnie dostała kosza, w obu przypadkach mężczyźni wybrali kobiety diametralnie różne od niej. I to nie dlatego, że domagała się zobowiązań czy czegoś więcej poza seksem i odrobiną zabawy. Co, u licha, odbiło facetom? Na co liczyli, wybierając płaskie astmatyczki czy czterdziestodwuletnie rozwódki z rozstępami?

Ruby naląła sobie duży kieliszek wódki Toby'ego i w drodze do swojego pokoju „niechcący” wylała trochę na szydełkowy szal Daisy.

34

Con wpatrywał się w głowę Daisy. Jej piękne jasne włosy skręciły się w dwa osobne zwoje, przypominające rogi. Pojedynczy, niesforny kosmyk opadł na jej policzek. Od dziesięciu minut walczył z pokusą, by go odgarnąć, powstrzymywała go jednak myśl, że może ją obudzić. Zaczęła się kręcić, więc Con szybko zmienił pozycję, żeby nie przyłapała go na podglądaniu jej podczas snu.

Otworzyła oczy i rozejrzała się po pokoju. Con widział, jak dziewczyna sprawdza otoczenie, przypominając sobie, gdzie się właściwie znajduje.

— Dzień dobry — przywitał ją.

Odwróciła się i uśmiechnęła.

— Dzień dobry. — Podparła się na łokciach i spojrzała na niego. — Boże, rankiem wyglądasz bardzo przystojnie — powiedziała.

Zaczerwienił się.

— Dzięki. Ty też całkiem nieźle.

— Wątpię — powiedziała, odgarniając włosy z twarzy. — Poranki to nie jest moja ulubiona pora dnia. Która godzina?

Spojrzał na budzik.

— Dziewiąta piętnaście.

— Boże, naprawdę?

— Uhm.

— O kurde. Muszę się zbierać.

— No co ty?

— Tak. Fizjo. — Poklepała się w klatkę piersiową i zaczęła kaszleć. — Przepraszam — powiedziała, odwracając się od niego. — Ranki są najgorsze. Mimi zazwyczaj zaczyna swoją pracę ode mnie. Muszę do niej zadzwonić, dać jej znać, że jestem w drodze. — Przyciągnęła do siebie torebkę, pochyliła się, a jej chude plecy wygięły się w kościsty łuk, chrząstki kości przebijały się przez mleczną skórę, tworząc białe punkty wzdłuż kręgosłupa. Wyjmując komórkę z torebki, zakaszlała ponownie. Jej oddech stawał się coraz bardziej chrapliwy i ciężki.

Porozmawiała z siostrą. Mimi nie kryła zdenerwowania i troski. Najwyraźniej podobne sytuacje nie zdarzały się Daisy zbyt często.

— Nie jest jeszcze tak późno! — zaprotestowała Daisy. — Tak. Właśnie wychodzę. Nie wiem. Metro. Okej, więc taksówka. Nie, nie ma samochodu. Nie wiem, okej. Słuchaj, Meems, bardzo cię przepraszam, okej? Nie wiedziałam, że dzisiaj wychodzisz. Będę najszybciej, jak się da. Zadzwonię do ciebie z taksówki. — Rozłączyła się i uśmiechnęła się przepaszająco. — Nie jest zachwycona — mruknęła.

— Słyszałem.

— Nie mam do niej żalu. Jest uwiązana przez tę codzienną, poranną rehabilitację. To nie zabawa, a dla niej oznacza, że nie może się nigdzie ruszyć, póki nie załatwi pielęgniarki na zastępstwo, nie może nic zrobić, no wiesz, spontanicznie. Zawsze najpierw musi pomyśleć o mnie.

— Ta fizjoterapia — zapytał — to, co twoja siostra robi dla ciebie. Czy to jest trudne? To znaczy czy ktoś inny mógłby to dla ciebie robić?

Wzruszyła ramionami.

— Pewnie tak. To tylko walenie mnie po plecach, walenie w klatkę piersiową, ustawianie mnie w różnych pozycjach.

— Jak długo?

— Tak długo, aż wydzielina się rozluźni.

— Mógłbym to dla ciebie zrobić? Daisy odwróciła się i spojrzała na niego.

— W ten sposób nie musiałabyś się tak spieszyć. Mogłabyś zostać. Gdybyś zechciała.

— Przełknął ślinę.

Uśmiechnęła się i przyciągnęła czubek jego głowy do swoich ust. Con słyszał świsty z jej chorych płuc dobiegające z klatki piersiowej.

— Jesteś taki kochany, Connorze McNulty. Taki dobry. Wiedziałam, że taki jesteś, kiedy po raz pierwszy cię zobaczyłam. Ale to nie takie proste. Trzeba przejść specjalne szkolenie. Mimi musiałaby ci pokazać, co należy robić. A poza tym — dodała — to trochę jak chodzenie do ubikacji i zostawianie otwartych drzwi, prawda? Nic romantycznego.

Con uśmiechnął się i pocałował ją w usta. A potem włączył swoją komórkę.

— Zadzwońię po taksówkę.

— Dziękuję ci — powiedziała Daisy. — Dziękuję.

35

Leah otworzyła książkę telefoniczną i wertowała kartki tak długo, aż znalazła numer Central School of Speech and Drama. Wykręciła numer, odbyła trzy rozmowy i w końcu trafiła na osobę, która mogła jej pomóc.

— Szukam informacji na temat pewnej absolwentki. Nazywa się Joanne Fish.

— Czego dokładnie chciałaby się pani dowiedzieć?

— Asystuję przy castingu i zastanawiamy się, czy nie zaprosić jej na przesłuchanie, ale wpierw chcielibyśmy dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Pomocne będą wszelkie informacje, wszystko, co tylko może mi pani powiedzieć.

— Tak naprawdę będzie to zależało od tego, ile informacji ona sama nam zostawiła — odpowiedziała kobieta — i czy utrzymywała kontakt. Proszę poczekać sekundę, zobaczę, czy uda mi się znaleźć jej teczkę.

Leah wpatrywała się w okno i czuła, jak podekscytowane kłamstwami serce miota się

pod żebrami.

— Halo — odezwała się kobieta po drugiej stronie kabla. — Mam jej dane. Spójrzmy. Tak, naukę ukończyła w 1993 roku.

— A jeśli chodzi o jej stan cywilny, rodzinę? Czy ma pani jakieś informacje na ten temat?

— Nie, ale numer kontaktowy w razie nagłych wypadków podany jest do mężczyzny o nazwisku Nicholas Sturgess.

— Och, świetnie. Czy ma pani ten numer?

— Tak, ale proszę wziąć pod uwagę fakt, że mogą to być zdezaktualizowane informacje. Ten numer ma jeszcze stary kierunkowy.

— Czy mogłabym go dostać?

— Nie widzę przeszkód. Ma pani długopis?

— Tak.

— 081 334 9090.

— Świetnie. Bardzo dziękuję. Czy coś jeszcze?

— Chyba nie — odpowiedziała kobieta. — Nie mamy żadnych danych na temat jej pracy po ukończeniu szkoły. Zdarza się tak w przypadku osób, które nie utrzymują kontaktu ze szkołą. Wielu studentów po prostu znika. Ale, hmm, mam tu coś jeszcze, no cóż, mam nadzieję, że nie wpłynie to negatywnie na jej ewentualny udział w castingu, ale według moich danych pierwsze umiejętności aktorskie zdobyła w... Holloway.

— Holloway?

— Tak, w więzieniu.

— Była w więzieniu?!

— Najwyraźniej tak. Zrobiła tam kurs przygotowawczy. Przypuszczam, że musiało to być, kiedy była, ee, pod nadzorem więziennym.

— Boże, czy wiadomo, z jakich powodów tam trafiła?

— Nie. To wszystko, co wiem. Boże, jakie to fascynujące.

— Faktycznie — odparła Leah. Bardzo dziękuję. Była pani bardzo pomocna.

Damian Ridgeley był mężczyzną średniej budowy, około trzydziestki, z włosami w kolorze napoju Lucozade i miał na sobie szary T-shirt marki French Connection. Mówił z charakterystycznym akcentem, leniwe nosowe brzmienie Hicksville mogło wskazywać na West Country, ale równie dobrze na East Anglia, tak czy owak kilkuletni pobyt w Londynie i tak zrobił swoje. Na serdecznym palcu nosił pierścionek, a na szyi naszyjnik. Na przedramieniu przeżyła się wytatuowana syrena. Stał w drzwiach Toby'ego, ale Toby nie miał pojęcia dlaczego.

— Przysyła mnie Leah — oznajmił.

— Leah?

— No wiesz, Leah. Mieszka po drugiej stronie ulicy. Powiedziała, że masz dla mnie robotę.

— Naprawdę?

— Tak. Nie wspominała ci?

— No nie. Ale nie widziałem się z nią od kilku dni.

— No nic — powiedział. — Więc masz? Pracę?

— No to zależy. Do jakiej pracy masz kwalifikacje?

— Jestem kierownikiem budowlanym. Odnawiam stare domy.

— Jesteś przyjacielem Leah?

— Kuzynem. Albo raczej półkuzynem. No coś w tym stylu.

— Rozumiem. Dobrze więc, zapraszam do środka.

Damian usadowił się na krawędzi sofy z Conrana i popijał herbatę miętową (Toby'emu spodobało się, że poprosił właśnie o taką).

— I co myślisz? — zapytał. — Czy to jest praca, której chciałbyś się podjąć?

Damian wolno pokiwał głową. Wszystko robił powoli. Toby pomyślał, że miał w sobie coś z zen. Nie zdziwiłby się gdyby Damian medytował w wolnym czasie, a rankami ćwiczył tai-chi.

— Tak — odpowiedział. — Pewnie. Nie ma tu prac rekonstrukcyjnych ani budowlanki. Rozumiem, że głównie zależy ci na zwykłym remoncie, tak?

— Tak.

— Super. — Z wewnętrznej kieszeni dżinsowej kurtki wyjął notes i długopis wyglądający na bardzo drogi i zrobił parę notatek. — Właśnie odwołano mi dużą robotę, więc mam kilku wolnych chłopaków. Możemy zacząć w przyszłym tygodniu. Kiedy przywiozą sprzęt do łazienki i kuchni?

— No, jeszcze nic nie zamówiłem.

— Nie ma sprawy. Zabierzemy się wpierw za hydraulikę i dach. A ty jak wybierzesz kuchnię i resztę, daj mi znać. Załatwię ją dla ciebie po cenach hurtowych.

— Naprawdę?

— Pewnie. Idź na zakupy, powiedz mi, co chcesz, a ja ci to przywiozę.

— Poważnie?

— No pewnie. Możemy też załatwić cały sprzęt AGD. Cokolwiek potrzebujesz, daj mi znać. Policzę ci za mój czas, ale i tak wyjdzie to dużo taniej.

— Boże, to byłoby wspaniale. Zdaje mi się, że zacząłem już nabierać zwyczaju wydawania za dużo na dom, więc to wspaniale, że będę mógł na czymś zaoszczędzić.

— Oszczędzaj więc ekstra na mnie. — Damian uśmiechnął się, a Toby odetchnął z ulgą. Z całą pewnością Damian ukończył inną szkołę dla fachowców. Z całą pewnością był profesjonalistą.

— Czy mam zapłacić zaliczkę? Coś na początek, zanim zaczniecie?

— Zrobię dziś kosztorys, później w ciągu dnia podrzucę go do twojej skrzynki. Jeśli nie będziesz miał zastrzeżeń, to umówimy się co do szczegółowego planu prac. Kiedy chłopaki wejdą z robotą i wszyscy będziemy zadowoleni, wystawię fakturę na dwadzieścia procent od całości. Resztę płacisz po zakończeniu prac. Proste. Jasne. Żadnych komplikacji. Właśnie tak, jak lubię.

Kilka minut później, w drzwiach, Toby uściśnął rękę Damiana serdecznie i mocno, być może o ułamek sekundy zbyt długo. Czuł się jak mężczyzna, który właśnie spotkał dziewczynę swoich marzeń i już zaczynał wpadać w paranoję, że ona wcale nie jest zainteresowana i że już nigdy więcej jej nie zobaczy. Zaniósł kubek Damiana do kuchni, wolno, ostrożnie, wydłużając w ten sposób poczucie kontaktu z obiektem swojego uwielbienia. Oparł pięknie zaprojektowaną wizytówkę Damiana o czajnik i wpatrywał się w nią z utęsknieniem. A potem poszedł na górę, wyciągnął listę rzeczy do zrobienia i bardzo powoli, z namysłem, mając nadzieję, że nie za wcześnie, pociągnął poprzeczną linię wzdłuż szóstego,

siódmego i ósmego punktu.

37

Toby widział, że Leah wróciła dziś do domu kilka godzin wcześniej niż zazwyczaj. Dał jej półtorej godziny na ochłonięcie, przebranie w piżamę, zrobienie tego wszystkiego, co miała w zwyczaju po powrocie z pracy, a potem ruszył na dół. Zatrzymał się w holu, żeby sprawdzić w lustrze, jak wygląda. We włosy zaplątała mu się jakaś pajęczyna. Nie wiedział, skąd i jak się tam znalazła, ale ucieszył się, że odkrył ją, zanim wyszedł z domu.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i nagle poczuł, jak bardzo jest zdenerwowany. Stał pod jej drzwiami przez pięć minut, zanim zebrał się na odwagę i nacisnął dzwonek. Leah wyglądała na szczerze ucieszoną, kiedy zobaczyła go w drzwiach. Miała na sobie sprane dżinsy z wszytym paskiem z nubuku i czarny, kaszmirowy sweter. Włosy opadały jej luźno na ramiona, a na nosie błyszczały okulary.

Wprowadziła go do środka, zdjęła okulary i położyła je na otwartej książce. Spróbował zobaczyć, co czytała, ale nie rozpoznał nazwiska autora.

Mieszkanie Leah, bardzo schludne, urządzono supernowocześnie. W pokoju dziennym stała duża szara sofa, czarny stolik i telewizor. Było też kilka lamp w stylu Różowego Koliberka i lustra, które łagodziły wystrój wnętrza, ale w gruncie rzeczy całość miała raczej męski charakter.

— Tak się cieszę, że wpadłeś — powiedziała, zgarniając kosmyk jasnych włosów za ucho. — Sama miałam wybrać się do ciebie, ale za każdym razem widzę cię tam, w twoim oknie, i wyglądasz na tak... pochłoniętego. Dostaję gęsiej skórki na myśl, że mogłabym przypadkiem przeszkodzić tobie w połowie pisania wiersza i zniszczyć całe dzieło.

— Och nie, nigdy się tym nie przejmuj. Wybitnie potrzeba mi tego rodzaju przerw, zapewniam cię. Jakiegokolwiek wymówki, żeby wyrwać się sprzed komputera. Spędzamy razem o wiele za dużo czasu. — Wyszczrzył zęby w uśmiechu i wepchnął ręce do kieszeni.

— Napijesz się kawy? Herbaty?

— Z przyjemnością herbaty. Dziękuję. — Podążył za nią wzrokiem do kuchni i obserwował, jak napełnia czajnik. — Widziałem się dziś z Damianem.

— Wspaniale. Tak się cieszę. I jak poszło?

— Chyba się zakochałem.

— Jest niesamowity, prawda?

— Tak. I zaczyna pracę w przyszłym tygodniu.

— Fantastycznie!

— Bardzo ci dziękuję, że zorganizowałaś to dla mnie. Jestem ci dozgonnie wdzięczny.

— A mnie kamień spadł z serca. Martwiłam się, że pomyślisz sobie, że się za bardzo wtrącam.

— Wtrącasz? Nigdy w życiu, dlaczego tak pomyślałaś?

— Mówiłaś, że zmieniłaś zdanie na temat sprzedaży domu.

— No tak, ale głównie dlatego, że miałem serdecznie dosyć szukania ludzi do pracy, bo jak dotąd miałem szczęście jedynie do kompletnych partaczy. Ale teraz poznałem czci-
godnego Damiana...

— I zmieniłaś zdanie?

— No, myślę, że tak. Chociaż problem przesadzenia moich głęboko zakorzenionych lokatorów jest daleki od rozwiązania.

— Właśnie. Mam jeszcze coś na sumieniu w tej kwestii.

— Tak?

— W zeszłym tygodniu zaprosiłam Joanne na przyjęcie do sklepu.

— Naprawdę?! Mój Boże, pojawiła się?

— Tak.

— No to jesteś niesamowita. Najwyraźniej masz wspaniałą zdolność przekonywania. Zdołałaś dowiedzieć się czegoś interesującego?

— Ustaliłam, że studiowała w Central School of Drama. Zadzwoiłam do nich, zada-
łam im mnóstwo pytań na jej temat i zgadnij co?

— Co?

— Siedziała w więzieniu.

— Niemożliwe! Za co?

Leah wzruszyła ramionami.

— Tego nie wiem. Ale to było wiele lat temu, kiedy była młoda. I zgadnij, co jeszcze?

— Co?

— Mam telefon kontaktowy do jej krewnego. Mężczyzny o imieniu Nicholas.

— Niesamowite! A kim on jest?

— Nie wiem. Próbowałam się do niego dodzwonić jakieś pięćdziesiąt razy, ale nikt nie odbiera, nie ma też automatycznej sekretarki, więc po prostu muszę próbować. Ale najwyraźniej to ktoś szczególnie ważny. I to nie wszystko.

— Nie?

— Nie. Znalazłam mężczyznę. Dla Melindy. Duży, przystojny Włoch z ogromnym domem w Muswell Hill. Facet jest słodki i samotny i ma bzika na punkcie angielskich blondynek. Są dla siebie stworzeni. Musimy ich zrobić w randkę w ciemno.

— Mój Boże! Leah, jesteś cudowna! Uśmiechnęła się.

— Wiem!

— Wiesz co — odebrał kubek herbaty z jej wyciągniętej ręki — tak się cieszę, że to właśnie ty znalazłaś Gusa na chodniku. Nie znam cię za dobrze, tak naprawdę wcale cię nie znam, ale to oczywiste, że jesteś dobrym człowiekiem, nie tylko dobrym, ale prawdziwie wyjątkowym.

— Och, nie... — Leah wzdrygnęła się w dziwny sposób.

— Naprawdę. Jesteś śmiała, pewna swoich decyzji, a przy tym prostolinijna. Należysz do tych ludzi, na których się raz spojrzy i od razu chce się być takim samym człowiekiem, choćby przez jeden dzień, by patrzeć na życie w taki jasny i inteligentny sposób, by wiedzieć, kim się jest, rozumieć innych, widzieć, co nimi kieruje, co ich uszczęśliwia. I szczerze mówiąc, twój chłopak, ten pielęgniarz, chodzi mi o to, że nie rozumiem, co on w ogóle sobie myślał? Mogę sobie jedynie wyobrazić, że przestraszył się twojej absolutnej... wspałości i dlatego nie chciał się z tobą ożenić, ale naprawdę, pod każdym względem, spełniasz wszelkie warunki i jesteś naprawdę bardzo... pożądana.

Przerwał. Z oddali dobiegło ich wycie policyjnej syreny. Leah zaśmiała się.

— O Boże. Czy właśnie powiedziałem pożądana? Leah skinęła.

— O mój Jezu. O Boże. Naprawdę nie miałem na myśli... to brzmi okropnie. Chciałem jedynie powiedzieć, że w taki sam sposób, w jaki pożąda się kawałka antycznego szkła albo że pewien wynik sytuacji jest pożądany, nie, że ja ciebie pożadam, seksualnie, chociaż jesteś seksualnie atrakcyjna, ale nie to chciałem powiedzieć. O Boże...

— Och, Toby — śmiała się Leah — wszystko w porządku. Pochlebiasz mi.

— Naprawdę?

— No tak. Mam trzydzieści pięć lat, właśnie zostawił mnie facet, nie jestem już taka szczupła jak kiedyś. Ostatnia rzecz, jaka przychodzi mi do głowy na mój temat, to że mogę być seksualnie pożądana. Więc bardzo ci dziękuję. Ja też się cieszę, że znalazłam Gusa na chodniku, bo gdyby tak się nie stało, to wyprowadziłabym się z tego mieszkania, nie zamieniając z tobą słowa, a to byłoby bardzo smutne. Bo ty też jesteś wspaniały. Więc... proszę bardzo... — Zamilkła, a Toby zauważył, że jej twarz zaróżowiła się nieznacznie.

— Bardzo dziękuję za te słowa — powiedział zmieszany. — Bardzo ci dziękuję. — Podniósł kubek ze stolika i wziął duży łyk, nieco zbyt duży, jak się okazało, bo kiedy herbata dostała się do jego gardła, zaczęła płynąć w niewłaściwym kierunku. Spróbował naprowadzić płyn na właściwy tor, ale im bardziej starał się powstrzymać krztuszenie, tym intensywniejszy dławił go kaszel, aż w końcu wytrzeszczył załzawione oczy i nie był już w stanie dłużej kontrolować buzi pełnej herbaty. Resztkami sił spróbował jeszcze skierować niechcianą herbatę do kubka, ale siła eksplozji była tak potężna, że nie dał rady. Zamiast tego herbata oblała jego, rozbryzgała się na całym stoliczku Leah i na drewnianej podłodze.

Leah zerwała się na równe nogi.

— Boże, Toby, wszystko w porządku?

Toby nie był w stanie odpowiedzieć; zanosił się zbyt intensywnie tym silnym, bolesnym i suchym kaszlem, od którego człowiek myśli, że może umrzeć.

— Przyniosę ci trochę wody. — Popędziła do kuchni i po chwili pojawiła się ze szklanką wody i rolką papierowego ręcznika. Urwała kawałek i zaczęła wycierać koszulkę i dzinsy Toby'ego, podczas gdy on kaszłał jak koń. Podała wodę i pomogła mu zamoczyć w niej usta. Zbyt wcześnie, jak się okazało. Jego mięśnie w gardle wciąż się buntowały i w efekcie spryskał wodą jej czarny sweter.

W końcu udało mu się przestać kaszleć, a Leah spojrzała na niego z troską.

— Wszystko okej?

Skinął głową, czując, że odzyskał głos.

— Zapryskałem twoje okulary. I książkę. Bardzo, bardzo cię przepraszam.

— To nic — powiedziała z uśmiechem — ale ostatni raz powiedziałam ci komplement.

Wyszczерzył do niej zęby w uśmiechu.

— Minęło sporo czasu, odkąd ktoś powiedział mi coś miłego, więc omal nie przypłaciłem życiem tego komplementu!

Leah zaśmiała się i usiadła.

— Słuchaj — powiedziała — a gdybyśmy tak znów spotkali się za jakiś czas, i jeśli pozwolisz, powiedziałabym ci kilka miłych rzeczy, tylko tak dla praktyki?

— To byłoby wspaniale — odparł — ale potraktuj mnie łagodnie. Jestem komplemmentowym nowicjuszem.

— Och — uśmiechnęła się — będę bardzo delikatna, obiecuję.

Toby uwielbiał kłaść się do łóżka. Była to najmiłsza część dnia. Szczególnie uwielbiał ten moment, kiedy zaginał narożnik strony z książki, wyciągał swoją drugą poduszkę spod głowy, zrzucał ją na ziemię i wyłączał lampkę przy łóżku. Uwielbiał to poczucie, że dzień się zakończył, a on sam mógł teraz oddać się swobodnie kaprysom i niespodziankom czekającym na niego w drugim świecie — świecie jego marzeń. Toby uwielbiał marzyć. W jego marzeniach błyszczało słońce, a on podróżował po świecie. W tych snach nawiązywał długotrwałe, bliskie kontakty z nieznanymi i przyjaciółmi. W tych marzeniach zawsze był stosownie ubrany i mówił stosowne rzeczy. Od czasu do czasu miewał niespokojne sny, na przykład, że jest przez wszystkich ignorowany na przyjęciu albo że kłóci się z kimś, kogo kocha, ale mimo wszystko były to wciąż o wiele lepsze wizje niż jego rzeczywistość bez przyjęć, na których mógłby być ignorowany, czy ukochanej osoby, z którą mógłby się kłócić.

Tego wieczora jednak położył się do łóżka, ale pozostał dziwnie obojętny na wizję snu. Upuścił poduszkę na podłogę, poczuł pod palcami pstryczek lampy i pokój pograżył się w ciemnościach. Ale Toby nie był gotowy na sen. Przyjaciele z jego intymnego świata czekali na niego zwarci i gotowi, niczym cienie w świadomości, ale nie miał ochoty już się z nimi spotkać. Teraz chciał się zanurzyć w rzeczywistości.

Rzeczywistość bowiem, po raz pierwszy od piętnastu lat, okazała się o wiele, wiele lepsza od czegokolwiek, co jego zmęczony, zagubiony, porozrywany umysł mógł wymyślić. I chociaż ten jeden raz przydarzyło mu się coś dobrego. Spędził czas z kobietą. Wypili butelkę wina, a ich rozmowa zdawała się nigdy nie skończyć. Umówili się na popołudnie w sobotę, na spacer w Heath. A potem jeszcze stali przed domem kobiety i przez krótką chwilę

patrzyli na siebie bez słowa, i chociaż nie pocałowali się, poczuli dreszcz, przeszła ich jakaś niewidzialna fala czegoś ważnego, czegoś całkowicie możliwego, czegoś, co nadawało radosną i porywającą perspektywę jutrzejszemu dniu. I właśnie dlatego w końcu Toby pograżył się we śnie. Nie żeby uciec od teraźniejszości, ale żeby przyspieszyć nadejście przyszłości.

38

Choć wydawało się to niemożliwe, Boris stawał się coraz chudszy. Futro pokryło się większą ilością kołtunów i pogłębił się wytrzeszcz kocich oczu. Toby martwił się, że nie są to jedynie charakterystyczne cechy dziwnie wyglądającego kota, ale że chodziło o coś poważniejszego i że Boris przygotowywał się do spotkania ze swoim stwórcą. Umówił się więc na wizytę do najbliższego weterynarza.

Stał w oknie i rozmyślał, jak zabrać się za to logistyczne przedsięwzięcie, jakim było przetransportowanie kota z Silversmith Road do gabinetu oddalonego o dziesięć minut drogi pieszo, bez odpowiedniego kosza dla kota, z czego właśnie zdał sobie sprawę.

Samochód Melindy.

Właśnie na nim spoczął jego wzrok.

Stało zaparkowane przed domem, czerwone i błyszczące. Oznaczało to, że Melinda przebywa w domu, bo nie miała w zwyczaju chodzić pieszo ani korzystać z miejskich środków transportu. Zanim pozwolił sobie na wymyślenie tuzina powodów, dlaczego nie powinien tego zrobić, Toby zapukał do drzwi sypialni Cona i Melindy.

Melinda podeszła do drzwi odziana w różowy szlafrok frotte. Toby zauważył, że bez makijażu wyglądała znacznie młodziej i przystępniej. Uśmiechnęła się na jego widok, nie próbując przykryć szlafrokiem rowka między piersiami.

— Witaj!

— Cześć! — Toby uśmiechnął się i przez moment zastanawiał się, nie po raz pierwszy zresztą, jakim cudem ta różowa, serdeczna blondynka znalazła się w jego domu.

— To rzadki przywilej.

— Co takiego?

— Wizyta samego pana dziedzica! Jestem zaszczycona! Co mogę dla ciebie zrobić,

kochanie?

— Czy jesteś dziś zajęta?

— Nie, nieszczególnie. Czy chcesz, żebym poprosowała dla ciebie? Albo coś posprzątała? Zrobię to z przyjemnością. Przynajmniej będę miała zajęcie!

— Nie, nie, nie. Nic takiego. Chodzi o to, że martwię się trochę o Borisa. Zamówiłem dla niego wizytę u weterynarza i zastanawiałem się, czy nie byłby to dla ciebie zbyt duży kłopot, gdybyś nas tam podwiozła swoim samochodem?

— O której godzinie?

— O pierwszej? Uśmiechnęła się.

— Nie ma sprawy. Z przyjemnością. Spotkajmy się na dole o pierwszej.

Toby nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz siedział w samochodzie kobiety. Samochody kobiet były obcym, nieznanym terytorium. Miały śmieszne kształty, krągłości, wyglądały pokracznie. W środku leżały chusteczki, a w przypadku Melindy pluszowe zabawki. Poza tym pachniały specyficznie, nie tak jak samochody. Auto Melindy pachniało brzoskwiniami. Ale nie cudowną wonią brzoskwiń, zerwanych świeżo z drzewa, tylko przypominającymi o mdłości słodkimi brzoskwiniami zanurzonymi w syropie. Ta cukierkowa woń ulatywała z małego plastikowego owocu zwisającego z wstecznego lusterka.

Do godziny trzynastej Melinda zdążyła przywrócić swój codzienny styl „glamour” — pojawiła się w jasnych postrzępionych dżinsach, różowym topie z kapturem, różowych trampkach i daszkiem na głowę z logo Burberry. Pedaly naciskała delikatnie i metodycznie, jakby grała na kościelnych organach. I gadała. Gadała jak nakręcona.

Toby usiadł z tyłu z kartonem na kolanach, w którym umieścił Borisa. Cierpliwie oczekiwał momentu, by zacząć rozmowę, na którą liczył od chwili, kiedy jego wzrok zatrzymał się na samochodzie Melindy. Począł, aż dojadą do ronda, i gdy zauważył, że na chwilę musiała przestać gadać, by skoncentrować się na drodze, wyartykułował pierwszą myśl, jaka przyszła mu do głowy:

— Melinda, a... spotykasz się z kimś?

Odwróciła się do niego i wyszczerzyła zęby w szerokim uśmiechu.

— Dlaczego? Czyżbyś był zainteresowany?

— Jezu Chryste, nie. To znaczy nie. Nie, że nie chciałbym... nie, że mi się... ale nie.

Zastanawiałem się tylko.

— Nie — odpowiedziała, odwracając głowę na drogę. — Nie. Jestem młoda, wolna i bez faceta. I tak mi się podoba.

— Naprawdę?

— Tak. Cholerni faceci. Mam ich serdecznie dosyć. Ofiary losu.

— Och, z pewnością nie wszyscy. Znow uśmiechnęła się do niego.

— No ty oczywiście do tych nie należysz, Toby. Ty jesteś inny. Ale ogólnie mówiąc, jeśli chodzi o moje zdanie, faceci to sami kłamcy, ofiary losu i idioci.

Toby wstrzymał oddech, bo zamierzał właśnie zrobić coś, co tak bardzo nie leżało w jego charakterze, że miał wrażenie, iż odpadnie mu głowa.

— Więc — powiedział — nie będziesz pewnie zainteresowana spotkaniem z moim przyjacielem Jackiem?

Zaśmiała się. Nie mógł mieć o to do niej pretensji.

— Twoim przyjacielem Jackiem?

— No niezupełnie moim przyjacielem. Przyjacielem przyjaciółki. Przyjaciel. Przyjaciółki. Jest nim zachwycona. Mówi, że jest wspaniały. Najwyraźniej. — Odetchnął, czując, że z zażenowania trochę kręci mu się w głowie.

— Naprawdę? — Kręciła głową bez przerwy, gdy dojeżdżali do skrzyżowania, na którym mieli skręcić w prawo. — No więc jeśli jest taki wspaniały, dlaczego nie zatrzyma go dla siebie?

Wzruszył ramionami, a potem wykrzywił się, bo pazury Borisa najpierw przedarły kartonowe dno, następnie dzinsy, aż wreszcie i skórę.

— Nie wiem — odpowiedział. — Może nie jest w jej typie.

— No to z pewnością to jakaś miernota.

— Nie, ależ nie. Ponoć jest bardzo przystojny. I bardzo bogaty.

— Tak ci naopowiadała twoja przyjaciółka, co? — Zaśmiała się znowu, nieco protekcyjnie. Toby zaczął podejrzewać, że zabrał się do tematu z niewłaściwej strony.

— Tak — odpowiedział, zsuwając wiercące się i drapiące pudełko z kolan na siedzenie. Na dzinsach miał plamkę krwi, którą przydusił opuszką palca. — Muszę przyznać, że nie spotkałem jeszcze tego mężczyzny, ale z tego, co wiem, to całkiem świetna partia.

— Och, Toby, Toby. Ty i ten twój dobór słów. Całkiem świetna partia, tak?

— Najwyraźniej.

Melinda zaparkowała samochód za gabinetem weterynarza i wyłączyła silnik.

— Co ty próbujesz mi powiedzieć, mój drogi? Chcesz mnie spiknąć z jakimś bogatym ramolem, który nie podoba się twojej kumpeli?

— No, nie powiedziałbym, że jest stary...

— Więc ile ma lat?

— Nie jestem pewien. Jest mniej więcej w twoim wieku. Może ciut starszy. Włoch.

Zauważył, że znieruchomiała na moment, jak dziecko, które słyszy w oddali samochód rozwożący lody.

— Włoch? — zapytała.

— Tak. Jack. To skrót od Giacomo.

— Giacomo. — Pozwoliła, by imię przebiegło po jej języku i ustach. — Jest ciemny?

— Nie wiem. Przypuszczam, że tak. Mogę się tego dowiedzieć dla ciebie, jeśli chcesz.

— A kiedy mówiłeś bogaty, to jak bogaty dokładnie?

— Nie wiem dokładnie, ale ma dom z czterema sypialniami na Cranmore Gardens. Z basenem.

— I nie jest żonaty?

— Nie. Od niedawna rozwiedziony. Dwie nastoletnie córki. Desperacko samotny, według mojej przyjaciółki.

— Eee... — Machnęła ręką. — Zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Podejrzana sprawa. — Wyciągnęła kluczyki ze stacyjki, zawiesiła torebkę na ramieniu i ruszyła w kierunku weterynarza.

Weterynarz nie znalazł żadnej medycznej przyczyny pogarszającego się stanu Borisa.

— Boris jest bardzo stary — powiedział ze współczuciem. — Przypuszczam, że usycha z tęsknoty za swoim właścicielem, a takie chucherko jak on z racji wieku najprawdopodobniej nie może poradzić sobie z pogarszającym się stanem zdrowia równie dobrze jak młodsze, a co za tym idzie, silniejsze i odporniejsze koty. Zostawimy go tak, obserwujcie, jak sobie radzi, a jeśli jego stan znacznie się pogorszy, to proszę go przywieźć i wtedy go uśpimy.

— Jak dużo czasu mu zostało? — zapytała Melinda tonem z brazylijskiej telenoweli.

— Trudno powiedzieć. — Weterynarz pogłaskał Borisa. — Może kilka dni, może kilka tygodni.

— Czyli zasadniczo to on umiera, tak? — upewnił się Toby.

— Zasadniczo tak.

Melinda zaczęła płakać, szerokie rzeki tuszu do rzęs płynęły po jej policzkach.

Toby miał to szczególne wrażenie, kiedy zrzuca się z siebie ciężar, poczuł, że luzują się węzły trzymające go w rutynie. Boris umierał, ale wolno, dzień po dniu odradzał się Toby.

39

Po południu, gdy Toby wychodził z domu, na dworze zaświeciło słońce. Słoneczna aura doskonale komponowała się z jego humorem. Ostatni raz spacerował w Heath bardzo dawno temu. Jak się dłużej nad tym zastanowić, to uprzytomnił sobie, że nie pamięta nawet, kiedy ostatnio wychodził z domu w sobotnie popołudnie. Sobotnie popołudnia należały, jak się Toby'emu zdawało, do innych ludzi; do rodzin z dziećmi, par i tych, którzy całe przedpołudnie spędzili w łóżku, odsypiając piątkowe balangi. Sobotnie popołudnia wiązały się z braniem udziału w aktywnościach, w których Toby nie miał żadnego doświadczenia — w sportach, cotygodniowych zakupach, spotkaniach z przyjaciółmi. Ludzie robili te wszystkie rzeczy, na które nie mieli czasu w ciągu tygodnia, ponieważ byli wtedy w pracy. Toby, który nie miał zatrudnienia przynoszącego dochody, nie odczuwał też potrzeby, by wyjść z domu w sobotę. Ale teraz Toby miał przyjaciółkę i miał gdzie pójść. Maszerował High Road w kierunku metra przepełniony dziwną euforią.

Spotkał się z Leah przed stacją East Finchley i razem przeszli Bishops Avenue, grając w grę „który dom jest najohydniejszy”. Toby'ego zawsze poruszało to, że ludziom z grubymi portfelami pozwalano wydawać zatrważające kwoty na tak okropne domy. Widział kiedyś jeden wystawiony na sprzedaż w magazynie z ofertami nieruchomości, które od czasu do czasu znajdował wepchnięte w skrzynce. Takie niskie szkaradztwo z kolumnami, czerwoną cegłą i oknami w stylu katedralnym. Całość dopełniał złoty hol, kino, siłownia i dwa baseny. Wyceniony na 35 000 000 funtów.

Nie tylko Toby i Leah wpadli na pomysł, by skorzystać z pogody i wybrać się na spacer w Kenwood. Wokół domów kłębiło się od modnych wózków, dużych psów i maluchów w polarowych czapczkach. Słoneczna kula na cudownie niebieskim niebie oślepiała pro-

mieniami zza bezlistnych drzew.

Wspinali się właśnie na małe wzgórze i Toby poczuł, że jego płuca buntują się z powodu ilości wdechów, które musiał zrobić.

Leah zatrzymała się i spojrzała na niego.

— Wszystko w porządku?

— Tak — wysapał, trzymając rękę na klatce piersiowej i mrużąc nieznacznie oczy. — Tylko trochę brak mi tchu.

Leah uśmiechnęła się.

— Naprawdę aż tak bardzo brakuje ci kondycji? Toby skinął głową.

— Zbyt dużo czasu... przed... komputerem.

— O mój Boże, to straszne. Wiesz, widziałam cię tam przy twoim biurku, codziennie, każdego wieczora przez trzy lata. Nigdy nie przyszło mi jednak do głowy, że właściwie to przyglądam się, jak umierasz.

— Och, Boże, nie jest tak źle.

— Ależ tak. Spójrz. — Wskazała na wzgórze, na które się właśnie wspięli. — To nawet nie pagórek. To straszne — powiedziała. — Straszne. Powinieneś zacząć ćwiczyć.

— Nie, nie, nie. — Toby potrząsnął głową i zaczął znów maszerować. — To nie w moim guście. Nie nadaję się do uprawiania sportów.

— To nie muszą być sporty.

— Nie pójdę do siłowni.

— Pływanie — powiedziała. — Spróbuj pływania. To najlepsze, ogólnorozwojowe ćwiczenie.

— Och, sam już nie wiem. Mam małą fobię przed basenami. Zapach chloru, upiorne echo, kobiety w gumowych czepkach. I w tych okularkach czuję się klaustrofobicznie. Leah roześmiała się.

— W takim razie chodź ze mną. Pływam raz w tygodniu. I nie noszę gumowego czepka.

— Naprawdę?

— Z ręką na sercu.

— No to może i pójdę. Chociaż uprzedzam, że nie spełniam kryteriów fizycznych do noszenia kąpielówek.

— A jakie są te kryteria?

— No wiesz, mięśnie, ramiona, pośladki — cały ten interes.

— Mnie za to nie brakuje ani mięśni, ani ramion, tym bardziej pośladków, więc razem się jakoś zrównoważymy.

Toby oczyma wyobraźni ujrzał Leah w mokrym kostiumie kąpielowym, jej mięśnie, ramiona i pośladki, całość błyszcząca i mokra.

— Okej — zgodził się. — Dlaczego nie? Idziemy na pływalnię.

— Super — roześmiała się Leah. — Umowa stoi.

Udali się do kawiarni w parku i stanęli w kolejce po kawałek ciastka. Było na tyle ciepło, że zdecydowali się poszukać wolnego stolika na zewnątrz.

— Dziewczyna Cona została na noc — odezwał się Toby, mieszając zaparzającą się w czajniczku torebkę herbaty.

— Ta elegantka?

— Przygotował dla niej kolację. A ściślej, przygotowaliśmy ją razem. Jej płaszcz wciąż wisiał rano w przedpokoju.

— To cudownie.

— Wiesz, Con stał mi się tak jakoś bliski. Polubiłem go. W taki rodzicielski sposób. Jest w nim znacznie więcej, niż myślałem na początku. Tak naprawdę jestem coraz przychylniej usposobiony do wszystkich lokatorów. I wiesz jeszcze co, trochę to dziwne, ale podoba mi się ten cały projekt. Muszę przyznać, że polubiłem bycie...

— Ciekawskim?

— Tak. — Uśmiechnął się i nalał do kubka herbaty z czajniczka. — Tak, bycie ciekawskim. To niezła frajda.

— No, mam na ciebie dobry wpływ, prawda?

— Tak — odpowiedział Toby. — Muszę przyznać, że tak. — Spojrzał na Leah. Zgarbiała bitą śmietaną ze swojej gorącej czekolady i zlizywała ją z łyżeczki. Jej policzki nabrały koloru truskawkowego sosu. Wyglądała bosko. Wpatrywał się przez chwilę w swoją dłoń opartą o filiżankę z herbatą. Czuł drżenie ręki, pragnęła się ruszyć, chciała przesunąć się po drewnianym blacie i spocząć na dłoni Leah. Toby przemawiał do swojej dłoni: „Nie rób tego, ręko. Wystraszysz ją. Wszystko zepsujesz”. Ale ręka najwyraźniej nie miała ochoty słuchać poleceń Toby'ego. Obserwował, jak ruszyła przez stół, powoli, oderwana od jego ciała,

jak w filmie o żywych trupach. Była już w połowie drogi, kiedy niespodziewanie ktoś wrzasnął do ucha Toby'ego: „Leah! Leah!” i dłoń, niczym przestraszony kot, czmychnęła skulona z powrotem.

Za nim stał spory mężczyzna, ubrany w podszytą futerkiem kurtkę i modne dżinsy.

— Am! — krzyknęła Leah. — Mój Boże!

— Witaj — powiedział Amitabh.

— Am, znasz Toby'ego, mieszka po drugiej stronie ulicy?

Amitabh uśmiechnął się do Toby'ego. Miał cudowną twarz.

— No, nie znam, ale rozpoznaję ciebie z okna. Miło mi cię poznać. — Uścisnęli sobie ręce. Dłoń Amitabha była ciepła i mięsista.

— Z kim jesteś? — zapytała Leah.

— Z nikim. — Amitabh wzruszył ramionami. — Przyszedłem sam. Miałem się uczyć tego popołudnia, ale nie dałem rady. Pomyślałem, że się przewietrzę.

— Aha — odpowiedziała Leah. — Właśnie przyszedłeś czy wracasz do domu?

— Przyszedłem dopiero co. — Wskazał na stolik za nimi z herbatą i kawałkiem ciasta. — Nie macie nic przeciwko jeśli... — Wskazał na ich stół.

— Nie — odpowiedziała Leah. — Czemu nie?

Amitabh poszedł po jedzenie, a Leah zrobiła grymas, jej usta bezgłośnie wymówiły: „Sorry”.

Toby wzruszył ramionami, próbując wyglądać tak, jakby fakt pojawienia się ekschłopaka Leah i zrujnowanie najmilszego od piętnastu lat popołudnia nie robiły na nim najmniejszego wrażenia.

Amitabh położył na stole kawałek sernika i cappuccino i usiadł obok Leah. Był mocnej budowy ciała i wyglądał na bardzo zdrowego. Czysta cera i bujne, błyszczące włosy. Śnieżnobiałe zęby i wysokooktanowa osobowość.

— Świetnie wyglądasz — zwrócił się do Leah. — Pomalowałaś się.

— My, samotne dziewczyny, musimy się bardziej starać.

Uśmiechnął się.

— Więc co tutaj porabiacie we dwoje?

— Nic wielkiego — odparła Leah. — Spacerujemy. Gawędzimy sobie.

— Muszę ci to powiedzieć, stary, i nie zrozum mnie źle, ale to dziwne widzieć cię...

— Jak...?

— No wiesz — poza domem. Widziałem cię tylko przez okno. Ja i Lee, myśleliśmy, że masz agorafobię, jeśli mam być szczery.

— Naprawdę?

— Am!

— Co?! Tylko mówię. No. Dobrze cię widzieć poza domem. Dobrze wiedzieć, że masz nogi. Masz nogi, prawda? — wyszczerzył zęby i zajrzał pod stół. — Fiu, fiu — ciągnął dalej — pomyśl tylko, jakbyś nie miał i musiał siedzieć na wózku inwalidzkim. Kurde.

Toby uśmiechnął się i próbował wyglądać na ubawionego wizją beznogiego siebie. Wpatrywał się w usta Amitabha, które poruszały się w szczególny sposób, kiedy mówił, co robił nieprzerwanie. Obserwował, jak przyjmowały duże kawałki sernika i pozbywały się, dzięki wielkiej, ciemnej dłoni, cappuccino z wąsa. Biła z niego taka intensywność, żywiołowość, dynamizm, sypał nowinkami jak z rękawa, gadał jak najęty i plótł trzy po trzy. Zachowywał się nieco niedojrzale, nie wyglądał na swoje trzydzieści lat i według Toby'ego był głupkowaty. W pewnym sensie Toby rozumiał, dlaczego stanowili parę z Leah. Oboje byli młodzi duchem, stylem ubierania bliżsi nastolatkom i charakteryzowało ich młodzieńcze, pełne zapału podejście do świata. Ale Toby rozumiał też, dlaczego ze sobą zerwali. Leah była gotowa na drugi etap dorosłego życia. Amitabh wciąż tkwił mocno w fazie numer jeden.

Toby dokończył herbatę i zapiał płaszcz.

— Słuchajcie — powiedział. — Myślę, że już pójdę, zostawiam was, żebyście nadrobili zaległości.

— Co? Nie — zaproponowała Leah. — Nie idź.

— Naprawdę. Tak będzie lepiej. Mam parę rzeczy do zrobienia, a wy nie widzieliście się przez jakiś czas. Zobaczymy się wkrótce, Leah. Miło było cię poznać, Amitabh.

— Och, Toby. — Leah zerwała się na równe nogi. — Nie chcę, żebyś szedł. A co z naszym piwem w Spaniards?

— Innym razem. — Uśmiechnął się i pocałował ją lekko w policzek. — Do zobaczenia.

A potem skierował się ku wyjściu. Próbował nie odwracać się za siebie, ale nie zdołał oprzeć się pokusie. Zobaczył dwoje ludzi, perfekcyjnie dopasowanych pod względem atrak-

cyjności, stylu i wyglądu, siedzących razem wczesnym zmierzchem, śmiejących się swobodnie. Zastanawiał się, jak odmiennie wyglądał ten obrazek przed pojawieniem się Amitabha: nadnaturalnie wysoki mężczyzna z nieposkromionymi włosami, niezgrabnymi manierami, w starym płaszczu i z wielkim nosem, siedzący z kimś tak świeżym, normalnym i uczciwym jak Leah.

Przez moment, przez godzinę, Toby czuł się jak inny człowiek, który wyszedł w sobotnie popołudnie z domu, spędzał je z przyjaciółką, uczestniczył w świecie, który do tej pory oglądał jedynie jako widz. Dopóki nie pojawił się wielki, pełen życia mężczyzna i zniszczył ten moment normalności, i przypomniał mu, że tu wcale nie było jego miejsce.

Wrócił z powrotem na Bishops Avenue; bezduszny, ohydny charakter ulicy połączył się z jego samotnym światem. A potem zaczęło padać.

40

Ruby stanęła przed drzwiami małego szeregowca. Od jej ostatniej wizyty pięć lat temu dom został przemalowany. Wyglądał na odnowiony. W oknach wisiały nowe zasłony i stało kilka roślin w błyszczących doniczkach. Ruby przyglądała włosy za uszami, poprawiała pasek torebki na ramieniu i naduszyła dzwonek.

W drzwiach ukazała się mała, piersiasta kobieta o ciemnych włosach. Miała na sobie fartuch pielęgniarski, a nogi bose. Wyglądała na zmęczoną.

— Cześć, mamó.

— Witaj, Tracey. Co ty tutaj robisz?

Ruby wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Nie odzywałam się jakiś czas. Chciałam życzyć szczęśliwego Nowego Roku. Zobaczyć, jak się miewasz.

Matka spojrzała na nią spod zmrużonych powiek.

— Czego chcesz?

Ruby cmoknęła z niezadowoleniem.

— Niczego, mamó. Nic nie chcę.

Kobieta westchnęła i uchyliła szerzej drzwi.

— No to lepiej wejdź do środka. Będziemy musiały usiąść w kuchni. Chłopcy grają w

gierkę. — Wskazała na drzwi do pokoju dziennego.

Ruby zdołała dojrzeć trzech nastoletnich chłopców rozwalonych na nowiuteńkiej kanapie. Jej przyrodni bracia. Pięć lat temu po domu biegała trójka energicznych, ruchliwych dzieciaków. Teraz zobaczyła nastolatków z silnymi kończynami, statycznych, rozwalonych na kanapie niczym wasy mokrych wodorostów.

Matka napełniła błyszczący nowością czajnik wodą z nowego kranu nad nowym zlewem.

— Herbaty? Ruby skinęła.

— Dom wygląda ładnie.

— Tak. Kosztował nas dużo pracy. Mieliśmy do wyboru albo to, albo kupić coś nowego.

— Więc wciąż jesteś z nim, tak?

— Z Eddiem? Tak.

— Gdzie teraz jest?

— A jak myślisz?

— Nie wiem. W pubie?

— Zgadza się. Słodzisz? Nigdy nie pamiętam.

Ruby potrząsnęła głową. Rozejrzała się po kuchni. Na blacie leżał kurczak zawinięty w folię, siatka ziemniaków, a w zlewie, w durszlaku, leżało kilka brukselek.

— Więc co nowego?

Matka wzruszyła ramionami, po czym naląa wody do dwóch kubków.

— Nic specjalnego. Wyremontowaliśmy dom, święta się skończyły, chłopcy wrócili do szkoły. Wracamy do starego rytmu, wiesz.

— A jak w pracy?

— W porządku.

— Nadal pracujesz w domu starców?

— Nie. Teraz pracuję prywatnie, dla pani Scott.

— Pani Scott z kościoła?

— Tak. Wielebny Scott zmarł kilka lat temu. Mieszka teraz sama. Jestem u niej pięć razy w tygodniu plus w sobotę i niedzielę do południa.

— Musi ci dobrze płacić.

Podawała kubek Ruby. Był na nim złoty zamek i młotki West Ham United.

— Nieszczególnie — odpowiedziała.

— Ale lepiej niż dom starców, co?

— Mniej więcej tyle samo.

— Mamo! — Szorstki chłopięcy głos dobiegł z korytarza.

— Co?

— Zrobisz mi herbaty?

Matka Ruby cmoknęła z niezadowoleniem i uniosła brwi. Potem znów napełniła czajnik i włączyła go. „Służąca swoich mężczyzn” — pomyślała Ruby. „Wszystko po staremu”.

— A co nowego u ciebie? Wciąż mieszkasz w tym dziwnym domu?

— Tak. Bez zmian.

— Masz pracę?

— Wciąż śpiewam, jeśli o to pytasz.

— Boże, ile ty masz już lat?

— Trzydzieści jeden.

— Zgadza się, oczywiście, że tyle. Czy nie czas, żebyś dała sobie z tym spokój? Jeśli do trzydziestki nic z tego nie wyszło, możesz już sobie odpuścić, prawda? Czy nie tak to działa?

Ruby westchnęła i upiła łyk herbaty. Wiedziała, że tak będzie. Zawsze tak było. Dlatego nigdy tu nie wracała. To i Eddie.

— Tommy! Twoja herbata jest gotowa!

Tommy podszedł do drzwi kuchennych. Wyglądał jak Eddie, mały, masywny, z włosami w kolorze piasku i małym nosem. Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

— Wszystko w porządku? — zapytał. — Co ty tutaj robisz?

— Przyszłam w odwiedziny.

— Ale mówiłaś, że już nigdy więcej tu nie wrócisz.

— No, zmieniłam zdanie.

— Zostaniesz na lunch?

— Nie wiem. — Spojrzała na matkę. — To zależy...

— Możesz zostać. Jedzenia starczy dla wszystkich. Ale Eddie wróci do domu na lunch, a był w pubie. Jak chcesz.

— Nie. — Odwróciła się do Tommy'ego. — Zostanę, dopóki twój ojciec nie wróci. Potem spadam.

Tommy wzruszył ramionami i zabrał swoją herbatę do pokoju.

— Słuchaj — zwróciła się Ruby do matki — powiem ci prawdę. Mam kłopoty. Jestem bez grosza.

— Aha. Proszę bardzo.

— Proszę bardzo co?

— Wiedziałam, że ta wizyta to coś więcej niż tylko przyjacielska pogawędka.

— Mamo, kiedy poprosiłam cię o pieniądze? Masz mnie z głowy, odkąd skończyłam szesnaście lat. Sama radziłam sobie w świecie, bez żadnej pomocy z twojej strony. Wszystko, o co proszę, to kilka stów, żebym mogła spłacić długi.

— Idź do pracy.

— Nie mogę iść do pracy.

— Dlaczego?

— Bo nic nie potrafię. Kto, do diabła, zatrudni mnie gdziekolwiek?

— Jezu, Tracey, czy ty naprawdę myślisz, że dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek dziewięć procent tej populacji potrafi cokolwiek? Myślisz, że ja coś potrafię? Myślisz, że gdybym miała wybór, to latałabym do pani Scott siedem dni w tygodniu? Czyścić jej tyłek, prać bieliznę? Myślisz, że nie wolałabym być w czymś dobra, mieć talent, być wyjątkowa? Każdy chce być wyjątkowy, ale klucz do dorosłości to zdanie sobie sprawy, że się takim nie jest!

Ruby westchnęła i uszczypnęła się w czubek nosa. Rodzinne motto. „Nie jesteś nikim wyjątkowym”. Jej dzieciństwo pełne było zwrotów takich jak „zmanierowanie się”, „puszenie”, „damulka”, „za wysokie progi na lisie nogi”, „la-di-da”. Wytrzymała to wszystko, aż w końcu w szesnaste urodziny spakowała manatki i prysnęła do Londynu, gdzie pierwszy napotkany facet oświadczył jej, że w każdym calu uważa ją za wyjątkową, czyli taką, jaka się czuła. Co prawda powiedział tak tylko dlatego, żeby zaciągnąć ją do łóżka, ale to nie miało znaczenia. Uciekła. Zmieniła prawnie imię z Tracey na Ruby i sama zaczęła się o siebie troszczyć.

— Słuchaj. Nie przyszłam tu po to, żebyś mi przypominała o mojej beznadziejnej przeciętności. Przyszłam tu, bo jestem twoją córką i potrzebuję pomocy. Bardzo.

— Jak bardzo?

— Posłuchaj tylko. Bank zabrał mi kartę kredytową i jeszcze wiszę pieniądze innym ludziom.

— Jakim ludziom?

— Przyjaciele, ludzie z pracy.

— Nikt podejrzany?

— Nie.

— Więc nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo.

— No nie. Nie grozi mi, że oberwę od jakichś bandziorów, jeśli o to ci chodzi. Ale grozi mi utrata wielu przyjaciół i to, że mnie wykopią z domu.

Matka odwróciła się do niej plecami i patrzyła przez okno, ręce trzymała w kieszeniach swojego pielęgniarzkiego fartucha. Ruby przyjrzała się jej. Zaczynała siwieć. Ramiona pochyliły się. Skóra na piętach stwardniała. Zaokrągliła się w pasie. Nagle, bardzo szybko stała się kobietą w średnim wieku.

— Nie — odezwała się w końcu. — Nie mogę ci pomóc, kochanie. Przykro mi.

— Co?

— Nie mogę ci dać żadnych pieniędzy. To nie fair w stosunku do chłopców i do mnie.

— Fair?

— Tak. Ciężko pracuję na to, co mam. Naprawdę ciężko. Robię rzeczy, których nie potrafisz sobie nawet wyobrazić. Ty nie robisz nic oprócz wdzięczenia się i udowadniania wszystkim dookoła, jaka to jesteś wyjątkowa. Musisz znaleźć sobie inny sposób.

— Aha, więc to jest w porządku, kiedy Eddie przepija te twoje ciężko zarobione pieniądze, ale własnej córce odmówisz kilku funtów, tak?

Matka wzruszyła ramionami, uniosła brwi do góry, jakby miała już dość.

— Nic nie jestem ci winna, Tracey.

— Mój Boże, a właśnie jesteś mi coś winna. Sprowadziłaś do naszego domu tego mężczyznę. Przyprowadziłaś go i pozwoliłaś, żeby wszystko zniszczył. Patrzyłaś, jak niszczy moje dzieciństwo, pozwalałaś, żeby mnie lekceważył, bił i poniżał, nic nie zrobiłaś. Właśnie że jesteś mi winna, mamó. Jesteś mi winna moje pięć minut.

Matka pociągnęła nosem, dotknęła folii owiniętej wokół kurczaka, znów pociągnęła nosem.

— Wiesz — Ruby wstała i chwyciła torebkę — nie zamierzałam tu przychodzić. Naprawdę nie chciałam. Wiedziałam, że będzie to tylko strata czasu. Ale gdzieś głęboko słyszałam ten cichy głosik: „Ona jest twoją matką. Ona jest twoją matką. Ona jest twoją matką”. Jakby to coś naprawdę znaczyło. Jakby bycie matką było czymś ważnym, czymś wyjątkowym. Ale najwyraźniej, jak wszystko inne w twoim małym, zwyczajnym, smutnym życiu, nie jest.

Wyszła z kuchni i przeszła obok pokoju dziennego. Otworzyła drzwi i zwróciła się do braci.

— Nie słuchajcie ich! — krzyknęła. — Nie pozwólcie im, żeby wam wmówili, że nie jesteście wyjątkowi. Każdy jest wyjątkowy. Nawet wy. — Trzy pary mrugających, nierozumiejących oczu wpatrywały się w nią. — Zobaczymy się, kiedy dorośniecie. Kiedy będziecie gotowi, żeby się stąd wynieść.

A potem wyszła, trzaskając za sobą drzwiami.

41

W poniedziałek wieczorem chłopaki Damiana zdążyli najpierw wynieść wszystko ze starej łazienki, a następnie wyposażyć ją na nowo. Do wtorku wieczorem uporali się z drugą łazienką. W środę rano przyszedł Damian, aby sprawdzić postępy.

— Ładne — pochwalił nowe instalacje w łazience. — Wyglądają świetnie. — Zajrzał do pudła z wapiennymi płytkami. — Te są na ściany?

— Tak. I na podłogę.

— Śliczne — powiedział. — Eleganckie.

— Znasz się na rynku, prawda, Damian? Wiesz, jacy ludzie chcieliby kupić tak wielki dom jak ten. Myślisz, że dobrze wybrałem? Czy te łazienki będą odpowiednie?

— Trafieś w dziesiątkę — odpowiedział Damian. — Tak. W samo sedno. W dzisiejszych czasach nie ma jak wapienne płytki.

— A co z wykończeniem? Myślałem o szarych ścianach, białym drewnie, niebieskich akcentach gdzieniegdzie.

— Niebieskie akcenty? — Toby i Damian odwrócili głowy na dźwięk damskiego głosu. To była Ruby. Miała na sobie T-shirt z pionowym rozcięciem przy szyi i skrawek wy-

blakłego dżinsu, który, jak się domyślił Toby, służył za spódnicę.

— Och — powiedział Toby. — Witaj.

— Witaj. Co się dzieje?

— To Damian. Zarządza całym przedsięwzięciem.

— Przedsięwzięciem?

— No, nie przedsięwzięciem, ale odpowiada za wszystkie prace. Za, no wiesz, łazienki i kuchnię.

— Witaj, Damian! — Rzuciła mu jeden ze swoich uśmiechów i wypięła biodra w jego stronę. Jej mowa ciała nie zostawiała najmniejszych wątpliwości. Toby poczuł za nią wstyd.

— Muszę przyznać — zajrzała do łazienki — że jestem zdumiona, że uważasz, że zasługujemy na takie luksusy, Tobes. Wapienne płytki, ekstraprysznic. Nie jesteśmy tego warci.

— Jeśli coś robić, to porządnie, prawda?

— Boże, nie narzekam. Uważam, że płytki są obłędne. Jestem tylko trochę zdziwiona, że wyrzuciłeś na nie tyle pieniędzy, to wszystko.

— Nie kosztowały wcale tak dużo.

— Ha! — prychnęła z niedowierzaniem. — Pewnie. — Odwróciła się do Damiana. — Odziedziczył mnóstwo kasy po jednym z lokatorów i szasta nią na prawo i lewo. Widziałeś meble w naszym pokoju gościnnym?

— Sofy?

— Tak, sofy. Warte sześć kawałków. Śmieszne.

— Ale są bardzo piękne.

— Wiem. Tylko biorąc pod uwagę ogólną sytuację, wydaje się to takie niewłaściwe. Chodzi mi o to, że to taka strata pieniędzy.

— Cóż — odezwał się Damian — właśnie tego pragnie rynek.

— No tak, ale kogo obchodzi, czego pragnie rynek. My nie jesteśmy rynkiem. Jesteśmy tylko bandą łobuziaków.

Toby przestał oddychać. Twarz Damiana wyrażała konsternację.

— Ale ludzie, którzy się tu po was wprowadzą, będą chcieli oglądać dobrze prezentującą się dom, będą chcieli oglądać łazienki o wysokim standardzie.

Ruby roześmiała się.

— Ludzie, którzy wprowadzą się po nas? Nikt nowy się tu nie wprowadza! Toby nig-

dy nie sprzeda tego domu!

Damian spoglądał to na twarz Toby'ego, to na Ruby.

— Och — odezwał się po chwili — prawda.

— Toby nie może sprzedać tego domu — kontynuowała Ruby. — Co by się stało ze wszystkimi jego bezdomnymi dziećmi i przybłędami? Co by się stało ze mną? — Otarła się o Toby'ego i ścisnęła jego ramię. Spojrzała na twarz Damiana i zauważyła jego zakłopotanie. — Sądziłeś, że Toby robi te wszystkie remonty, żeby sprzedać dom?

— Tak — odpowiedział. — Takie odniosłem wrażenie, ale najwyraźniej...

— Toby, czy ty sprzedajesz ten dom?

— Nie — odpowiedział — w żadnym wypadku.

— Jesteś pewien? — zapytała. — Bo umarłabym, gdybyś miał taki zamiar. Załamałabym się.

— Zdaję sobie z tego sprawę. Dlatego go nie sprzedaję.

— To dobrze. — Poglaskała go po policzku i uśmiechnęła się do niego. — To dobrze. — Potem odwróciła się i uśmiechnęła do Damiana. — Mieszkam tu, odkąd skończyłam szesnaście lat. To jedyny prawdziwy dom, jaki miałam.

Damian pokiwał niepewnie głową. Ruby wróciła do swojego pokoju.

— No nieźle — odezwał się Damian.

— No właśnie — mruknął Toby.

42

W środę wieczorem Toby policzył pieniądze.

Zostało mu 32 650 funtów. Wystarczy na nową kuchnię, opłacenie Damiana, nowe zasłony, ogrodnika, a może zostanie jeszcze coś na komputer i panoramiczny telewizor. Wstukał sumy w arkusz kalkulacyjny, uśmiechnął się. Wszystko zmierzało w dobrym kierunku. A on wysunął się na samo czoło. Panował nad sytuacją.

Ktoś zapukał do drzwi i Toby szybko zamknął szufladę i wyłączył monitor.

— Tak?

— To ja, Con. Mogę wejść?

— Oczywiście.

Con wszedł do pokoju.

— Te łazienki — kciukiem wskazał za siebie — są strasznie wypasione.

— Podobają ci się?

— Są niesamowite. Jak w hotelu.

— Cieszę się, że przypadły ci do gustu.

Con przesunął się do przodu i spojrzał na monitor.

— Przeszkadzam ci w czymś?

— Nie, ależ skąd. Co mogę dla ciebie zrobić?

— Właśnie. — Usiadł na brzegu łóżka. — Właściwie to trochę krępujące. Ale zastanawiałem się, czy możesz mi w czymś pomóc.

— Okej.

— Zastanawiałem się, czy byłbyś w stanie pokazać mi, jak się... robi wiersz.

— Robi wiersz?

— Właśnie. Chciałbym dać Daisy coś wyjątkowego. A ona nie jest z tych dziewczyn, które pójdą na świecidełka i takie tam. Więc pomyślałem sobie, że mógłbym, no wiesz, napisać coś dla niej. Coś ładnego.

— Wiersz miłosny?

— No, coś w tym rodzaju. Ale nic zbyt gejowskiego. Toby uśmiechnął się.

— No dobra — powiedział. — Niekoniecznie pokażę ci, jak to zrobić, ale z pewnością mogę ci pomóc. Zacznijmy od tego, jakiego rodzaju uczucia chcesz wyrazić.

— No — odpowiedział — wiedziałem, że o to zapytasz. I nawet wiem, co chciałbym przekazać. Tylko nie potrafię tego skleić w wiersz.

— No dobra. — Toby wyciągnął blok z biurka i długopis z kubka i podał je Conowi. — Zapisz tu jakieś wyrazy, frazy. Nie musisz ich pisać w liniach, po prostu nabazgraj je tutaj.

Con wziął papier i zmarszczył brwi.

Toby odwrócił się z powrotem do komputera.

— Czy te słowa mają się rymować? Toby uśmiechnął się.

— Nie. Mają wyrażać uczucia.

— Aha. — Con stukał długopisem Biro w kartkę. — Okej.

Upłynęło kilka minut. Toby udawał, że szuka czegoś bardzo ważnego w Internecie,

podczas gdy Con skrobał długopisem.

— Skończyłem — wręczył Toby'emu blok.

Toby spojrzął na kartkę. Pismo Cona było małe i chaotyczne.

— Dasz radę przeczytać?

— Tak — odparł Toby. — Bez problemu. Okej. Co my tutaj mamy? — Zaczął głośno czytać: „Zmieniłaś mój świat”, „perfekcyjna”, „droga”, „inna niż wszyscy”, „prawdziwa”, „wyjątkowa”, „czuję się tak, jakbym odnalazł swoją drogę”, „lepszą ode mnie”, „anioł”, „magiczna”, „inspirująca”, „więcej, niż kiedykolwiek marzyłem”.

Con zaśmiał się krótko i nerwowo.

— To trochę zawstydzające — powiedział.

— Nie. Wcale. To wspaniały materiał. Naprawdę.

— Będę w stanie zrobić z tego wiersz?

— Tak — odpowiedział. — Z całą pewnością. Okej, jaka jest twoja intencja?

— Moja co?

— Po co jest ten wiersz? Żeby powiedzieć jej, że ją kochasz?

— No — odpowiedział — chyba tak. Chciałbym, żeby wiedziała, co do niej czuję. Ale chciałbym też, żeby sobie pomyślała, że jestem, no wiesz, mądry.

— Mądry. — Toby uśmiechnął się. — Rozumiem.

— No, kreatywny. Przypuszczam, że ona wie, że nie jestem mądry.

— Okej, zacznijmy więc, dobra?

— Co, teraz?

— Dlaczego nie? Najpierw musimy wymyślić tytuł. Jakies pomysły?

— Tak — odpowiedział Con. — Dokładnie wiem, jak chcę go zatytułować. Chcę go nazwać „Moja Słoneczna Dziewczyna”.

Con wyszedł z pokoju Toby'ego dwie godziny później, przyciskając do piersi swoją odę do Daisy.

Toby odetchnął i poczuł łagodne fale szczęścia przepływające przez jego ciało.

Wiersz Cona nie był szczególnie piękny ani za bardzo poetycki, ale była z niego szczerść i prawda, słodycz i surowość. I wzruszył Toby'ego, bardzo głęboko. Wbił wzrok w okna Leah. W mieszkaniu paliły się światła, ale zasłony zostały zaciągnięte. Próbował ją sobie wyobrazić, w spodniach od pizamy, w koku, okularach na nosie, z kieliszkiem wina

na stoliczku, książką w ręce. Nie odezwała się od tamtego popołudnia w Kenwood, ale też z drugiej strony Toby nie ułatwił kontaktu. Wieczorami zasłaniał okna i pograżał się w swoim świecie. Ale teraz, kiedy zerkał przez zasłony, czuł, jak ogarnia go przypływ pozytywnej energii. Skoro Con mógł wkroczyć zupełnie bez strachu w świat miłości z kimś tak bardzo odmiennym od siebie, dlaczego on nie mógłby zrobić tego samego? Ludzie w związku nie musieli być do siebie podobni jak dwie krople wody. Leah i Amitabh pasowali do siebie pod każdym względem poza kolorem skóry i to ich rozdzieliło. I chociaż Leah była wysportowana, zorganizowana, uporządkowana, świeża, beztroska i pełna entuzjazmu, to przecież mogłaby zechcieć spędzić życie z leniwym, bałaganiarskim, niechlujnym, neurotycznym i antyspołecznym Tobym. Dała jasno do zrozumienia, że uważa jego towarzystwo za miłe. W końcu to z jej inicjatywy spotkali się w weekend, zaproponowała również wspólne pływanie. Toby musiał jedynie zgodzić się na te oferty. Następny ruch należał do niego. Przez to siedzenie w pokoju i wymyślanie powodów, dla których nie powinien kontynuować przyjaźni z Leah, tworzył samospełniającą się przepowiednię. Wychodził z założenia, że nie nadawał się do miłości, więc robił wszystko, żeby pozostać niekochanym. Uważał, że nikt go nie zechce, więc dokładał wszelkich starań, żeby zostać sam.

Otworzył drzwi szafy i spojrzał na listę rzeczy do zrobienia, na punkt czternasty i piętnasty.

14. Przestać kochać Ruby.

15. Zakochać się w kimś odpowiednim.

I wtedy to do niego dotarło. Przestał kochać Ruby. Już dawno temu i nawet tego nie zauważył. Po piętnastu latach ogłupiającej obsesji i bezsensownego oddania odzyskał wolność. A zawdzięczał to Leah Pilgrim, jego jedynej słonecznej dziewczynie.

Paul Fox nie odbierał prywatnego telefonu. Dostęp do tego numeru miały jedynie najbliższe mu osoby. Wyjątkowy numer dla wyjątkowych ludzi. Wiedziała, że specjalnie ignoruje jej telefony, i doprowadzało ją to do szału. Chciała się jedynie przywitać, porozmawiać chwilę. Tęskniła za nim. Przecież nie miała zamiaru się z nim żenić ani nic takiego.

Hailey Brown miała koncert w środę wieczorem w klubie w Soho. Paul zajmował się jej promocją, więc z pewnością miał tam być. Ruby włożyła niebieską, jedwabną sukienkę z obcisłymi rękawkami, wykończoną postrzępioną lamówką, kabaretki i czerwono-brunatne bucioro do kostek. Wypicie pięciu kieliszków wódki Toby'ego nad zlewem kuchennym zajęło jej pięć minut. Potem pomalowała usta na czerwono, oczy na koralowo i wyszła z domu w swoim płaszczu vintage ze sztucznego futra. Użyła sieciówki Cona (Oyster Card, wzięta bez pytania z kieszeni jego kurtki), by dostać się do miasta, a po pięciu minutach od wejścia do klubu jakiś nieznajomy postawił jej drinka.

Wzięła kieliszek i skierowała się za kulisy. Dziewczyna z obsługi, z papierosem w ręce, spojrzała na nią bez słowa, gdy ruszyła w stronę przebieralni. Natknęła się na Paula przed pokojem Hailey, rozmawiał z kimś przez telefon. Na jego widok poczuła delikatny ścisk w sercu. Wyglądał tak samo, może nieco bardziej zaokrąglił się w pasie. Bez wątpienia przyczyniły się do tego domowe obiady Elizy.

Wciągnęła brzuch, poprawiła włosy i ruszyła w jego kierunku.

— Cześć, Paul.

Na dźwięk jej głosu odwrócił się i spojrzał na nią zdziwiony.

— Eee, Lizy, kochanie, przepraszam, mogę oddzwonić do ciebie za minutę? — Zamknął telefon i spojrzał na Ruby. — Co ty tutaj robisz?

— Przyszłam zobaczyć Hailey, oczywiście. A co?

Wyciągnęła z torebki paczkę papierosów i poczęstowała Paula. Wziął jednego i pozwolił, by podała mu ogień. Zapaliła swojego i razem zaciągali się dymem.

— Co słyhać? — zaczęła.

— W porządku. Wspaniale.

— Przytyłeś. — Poklepała go po brzuchu.

— Tak — odpowiedział, wzdrygając się od jej dotyku — pewnie tak. A co u ciebie?

— Okej — odpowiedziała. — Jestem trochę... niespokojna.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Coś wisi w powietrzu. Myślę, że Toby planuje sprzedać dom. Ładuje w niego kupę forsy. I w dodatku zachowuje się tak jakoś inaczej. Dużo wychodzi, zmienił fryzurę. Dzieje się coś dziwnego, a ja nie mam pojęcia co.

— Dlaczego go nie zapytasz?

— Zrobiłam to. Powiedział, że nie sprzedaje domu, ale nie wierzę mu. Skłamał już raz, kiedy pytałam go o te pieniądze od Gusa. Powiedział, że dostał tylko kilka tysięcy, a najwyraźniej jest tego o wiele więcej.

Paul wzruszył ramionami, wyglądał, jakby myślał o czymś innym.

— Cóż, to jego dom — stwierdził. — Jeśli chce, może go sprzedać, to jego sprawa.

— Tak, ale co się stanie ze mną? Nie mam gdzie mieszkać. Skończę na ulicy.

Paul spojrział na zegarek i na drzwi.

— Słuchaj, Ruby. Hailey wychodzi za pięć minut. Nie jestem pewien, czego ode mnie oczekujesz w tej sprawie. Powiedz, czego chcesz?

— Chryste, dlaczego wszyscy zawsze myślą, że czegoś chcę? Nic nie chcę.

— No to dlaczego tu przyszłaś?

— Powiedziałam ci. Żeby zobaczyć Hailey.

— Nawet jej nie lubisz.

— Lubię.

— Nie znosisz jej muzyki.

— Ale mogę chyba przyjść i jej kibicować. Paul westchnął.

— Muszę już iść, Ruby. Zobaczymy się później, dobra?

— Nie! — Ruby ścisnęła kurczowo rękaw jego marynarki. — Nie! Nie odchodź. Tęsknię za tobą. Chcę z tobą porozmawiać.

Paul wyrwał rękaw z jej dłoni.

— Ruby. Mówiłem ci. To już skończone. Koniec.

— Ale Paul, boję się. Boję się, jestem splukana i jestem...

— Co?

— Samotna. — I wtedy zaczęła płakać. Prawdziwymi łzami. Bo właśnie zdała sobie sprawę, że bez Paula i Toby'ego nie miała absolutnie nikogo innego, kogo mogłaby nazwać

swoim.

— O Boże. — Paul westchnął i przewrócił oczyma. — Chodź tutaj. — Otoczył ją ramionami, pocałował w głowę i uspokajał cichymi słowami. — Wszystko będzie dobrze — powtarzał. — Wszystko będzie dobrze.

— Nie jest dobrze — załkała Ruby. — Nie jest.

— Znajdziesz swoją drogę. Znajdziesz swoje miejsce. Zobaczysz.

— Ale co, jeśli moją drogą i moim miejscem jest rynsztok? Jeśli to jest moim przeznaczeniem?

— Ty? Ruby Lewis? W rynsztoku? Nie sędzę.

— Nie jestem Ruby. Jestem Tracey.

— Tracey. Ruby. To jedna osoba.

— Tak. — Pociągnęła nosem. — I właśnie to mnie przeraża. Ruby potrafi wszystko. Tracey ciągnie w dół.

— No to nie pozwól jej na to. Pokaż jej, kim jesteś. — Przestał ją obejmować i położył ręce na jej ramionach. — Słuchaj — powiedział — naprawdę muszę już iść. Przykro mi.

Po jego tonie wiedziała, że mówił poważnie. Wzięła głęboki oddech.

— Masz jakąś gotówkę? Cokolwiek. Jestem taka... Boże, to brzmi żałośnie, ale jestem spłukana, Paul. Spłukana do bólu.

— O Boże, Ruby.

— Mogę je... zarobić. Zmrużył oczy.

— Co?

— Jeśli to ci ułatwi sprawę, mogę coś za nie zrobić... Boże, Paul, nie zmuszaj mnie, żebym to powiedziała na głos.

— Masz na myśli...?

— Tak. Wszystko, co chcesz. Kiedy chcesz.

— Och, Ruby, przestań.

— Dlaczego? Jestem zdesperowana.

— A ja nie. — Paul wyciągnął portfel z marynarki i oddzielił trzy dwudziestofuntowe banknoty. — Proszę. — Wręczył je szorstko Ruby. — Żebyś przestała oferować się następnemu napotkanemu mężczyźnie. Ale to... koniec. Nic więcej, Ruby, nic więcej.

Wsunął portfel z powrotem do marynarki, zgasił papierosa butem i trzasnął za sobą

drzwiami do garderoby Hailey.

Ruby stała na korytarzu i głaskała palcami gładkie banknoty. Sześćdziesiąt funtów. Wystarczy na tydzień, może dwa. Wepchnęła je do kieszeni płaszcza, a potem obróciła się — ciało, odrętwiałe od upokorzenia, mrowiło ją nieznośnie. Skierowała się prosto do baru, gdzie zamówiła trzy kieliszki wódki, które wypić jeden po drugim. Mężczyzna w czarnej, obcisłej koszuli zapalił jej papierosa i próbował z nią rozmawiać, ale ona nie słuchała. Zgasły światła i na scenie ukazał się Paul. Zobaczył ją przy barze, zobaczył mężczyznę w czarnej, obcisłej koszuli mówiącego coś do niej i rzucił jej smutne, pogardliwe spojrzenie. Ruby zostawiła mężczyznę w połowie zdania i przepchnęła się przez klub w stronę wyjścia, torując sobie drogę w morzu ludzi posuwających się w kierunku sceny, by zobaczyć śpiewającą Hailey. Kiedy znalazła się na zewnątrz na Dean Street, zdała sobie sprawę, jak bardzo jest pijana. Soho przypominało kalejdoskop z wirującymi błyskami świateł, wysokimi obcasami, samochodowymi oponami i zębami.

Siedzący na chodniku mężczyzna o wynędzniałej twarzy spojrzał na nią błagalnym wzrokiem. Kolana miał owinięte brązowym kocem. Na jego stopach leżał pies — mieszaniec owczarka alzackiego i jeszcze jakiejś rasy. „Masz jakieś drobne kochana?”. Włożyła rękę do kieszeni płaszcza i wyczuła dwa pozostałe banknoty dwudziestofuntowe i garść monet. Wyciągnęła banknoty i wręczyła je mężczyźnie. Patrzył na nią z niedowierzaniem. „Dziękuję” — powiedział. „Dziękuję. Niech cię Bóg błogosławi. Niech Bóg cię błogosławi”. Oddalała się, a on wciąż wołał: „Dobrej nocy. Dobrego życia. Niech cię Bóg błogosławi. Niech cię Bóg błogosławi!”

Ruby szła przed siebie na oślep. Nie chciała wracać do domu. Coś musiało się teraz zdarzyć, coś, co oderwałoby ją od myślenia o rozmowie z Paulem, coś, co ruszyłoby jej życie z obecnego stanu zjełczałej nicości. Musiała kogoś poznać. Kogoś nowego.

Zeszła z krawężnika, przeszła na drugą stronę ulicy i z ciężkim sercem skierowała się do nieznanego zakątka Soho.

Con wepchnął kartkę z wierszem do kieszeni kurtki i już miał wychodzić z domu, kiedy usłyszał kroki na schodach. Obrócił się i zobaczył Ruby, w szlafroku, przypartą do ściany przez grubego faceta w garniturze. Rozwiązany szlafrok obnażał prawą pierś dziewczyny. Drugą przykrywała dłoń mężczyzny. Całował jej szyję, a Ruby gapiła się w sufit.

Właśnie ten mężczyzna obudził go w nocy o trzeciej trzydzieści, trzaskając drzwiami i śpiewając. Potem rznął Ruby głośno i zacięcie do czwartej trzydzieści nad ranem. Ten mężczyzna, jeśli ufać niepohamowanym krzykom ekstazy Ruby, miał na imię Tim.

Tim odsunął się od Ruby, obejrzał się i spojrzał na Cona. Jego twarz była jedną z tych pulchnych, zadowolonych z siebie i rozpieszczonych, miał bardzo gęste włosy i bardzo drogi garnitur. Mógł mieć trzydzieści pięć lat, a na palcu nosił obrączkę.

— Dzień dobry — odezwał się.

— Dzień dobry — odpowiedział Con.

Ruby związała szlafrok, unikając wzroku Cona.

— To Tim — powiedziała.

— Tak — odpowiedział Con — wiem.

— Tim, to mój współlokator Con.

— Con? — Tim ożywił się. — Co to dokładnie za con*? Con artist? A może ex-con?

* Gra słów z użyciem wyrazu *com Con artist* — oszust, kanciarz, *ex-con* — były więzień (przyp. tłum.).

Con spróbował się uśmiechnąć, bezskutecznie. Zostawił ich tam, na schodach. Ruby w rozmazanym makijażu i grubego bankiera z obrączką, a sam skierował się na Hanover Square, do Daisy.

Leah rozkleiła powieki i czekała przez chwilę, aż jej oczy przyzwyczają się do światła dziennego. Obróciła głowę w prawo, żeby spojrzeć na budzik. Wskazywał ósmą trzydzieści. Zamrugła. To było niemożliwe, budzik nastawiła na siódmą czterdzieści pięć. I wtedy zaczęły się otwierać maleńkie drzwi jej świadomości, i przypomniała sobie, że nie nastawiła go wczoraj wieczorem, bo wczoraj wieczorem...

Obróciła głowę w lewo.

Amitabh.

W jej łóżku.

Pozwoliła głowie opaść na poduszkę i westchnęła.

Wczoraj wieczorem poszli razem do pubu. Na ten pomysł wpadł Amitabh w Kenwood, gdy przypadkiem spotkali się w sobotę po południu. „Szkoda — stwierdził — gdybyśmy nie zostali przyjaciółmi. Zawsze byliśmy świetnymi kumplami, ty i ja — i tęsknię za tobą”.

Ponieważ i ona za nim tęskniła, zgodziła się na spotkanie w środę wieczorem. Plan nie zakładał lądowania w jej łóżku. To akurat pod żadnym pozorem nie miało prawa się stać. Ale po kilku piwach najnaturalniejszą rzeczą na świecie wydawał się wspólny powrót do jej mieszkania, zamówienie curry z ich ulubionej restauracji z jedzeniem na wynos, odkorkowanie butelki ulubionego wina, a kiedy wymienili spojrzenia, zdali sobie sprawę, że nic się nie zmieniło, że ona to wciąż Leah, a on Amitabh i że nie przestali się kochać, a w ich życiu nie pojawił się nikt inny, kogo mogliby skrzywdzić, że tak przyjemnie było poczuć w objęciach znane i ciepłe ciało, całować osobę, którą się znało na wylot, a seks po takiej przerwie wydawał się lepszy niż kiedykolwiek przedtem i że to, co miało się stać później, nie było wcale ważne, bo liczyło się jedynie tu i teraz i poprawienie sobie samopoczucia choćby na tę jedną noc. Ku pamięci starych dobrych czasów.

— Am. — Potrząsnęła jego ramię. — Am. Obudź się. Jest ósma trzydzieści.

— W porządku. W pracy muszę być dopiero na piętnastą — wymamrotał z zamkniętymi oczyma.

— Ale ja muszę być w pracy za pół godziny, więc ruszaj się.

Jęknął i obrócił się na drugi bok, owijając się kołdrą. Leah westchnęła i wstała z łóżka.

— Dalej, Am, nie żartuję. Musisz się zbierać.

— Och, Lee, pozwól mi spać. Proszę. Wciąż mam swój klucz. Sam wyjdę.

Leah zamilkła na chwilę, pomyślała o zasypiającym mężczyźnie, zastanowiła się, jakie konsekwencje mogą wyniknąć z faktu, że pozwoli mu zostać.

— No dobra. Tylko nie zrób bałaganu.

— Nie zrobię.

— Idę pod prysznic. Chcesz herbaty?

— Mmm, tak, proszę. Stęskniłem się za twoją herbatą, Leelee. Twoja herbata jest najlepsza... — Wepchnął ręce pod policzek i zasnął z bardzo zadowolonym uśmiechem na twarzy.

Leah przełknęła ślinę i udała się do kuchni.

46

Kiedy Toby zszedł na dół po pocztę, Ruby jadła śniadanie z grubym mężczyzną w garniturze. Siedzieli razem przy stole w jadalni, Ruby w szlafroku usadowiła się na kolanach mężczyzny i obserwowała, jak połykał tosta.

— Cześć, Tobes.

— Cześć, Ruby.

— To Tim.

— Cześć, Tim.

— Muszę przyznać, że to wszystko jest bardzo dziwne — przemówił Tim. — Ta cała struktura. Ten dom.

— Co w tym dziwnego? — zapytała Ruby.

— Nie wiem. Ci wszyscy ludzie. To takie dziwne. Nie żebym mówił, że ty jesteś dziwny — zwrócił się do Toby'ego — tylko... czy nie jesteś już trochę za stary na wspólne wynajmowanie mieszkania?

— Nie wynajmuję mieszkania.

— No, jakkolwiek by to nazwać. Komuna czy coś innego. Przed chwilą widziałem stewardesę. W całym ekwipunku. O co tu chodzi? Co stewardesa robi wśród hippisów?

Toby wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

— To bardzo dobre pytanie.

Ruby zeszła z kolan Tima i zmierzwiła jego włosy. Jej szlafrok rozchylił się z przodu i oczom Toby'ego ukazała się lewa pierś dziewczyny. Przez wszystkie te lata nie raz zdarzało się, że oglądał jej piersi przez przypadek, co potęgowało tylko jego pożądanie, ale dzisiaj widok jej piersi nie zrobił na nim wrażenia. Patrzył na ten idealny, miękki, brązowy sutek, ale nie czuł pokusy, by go dotknąć. Widział grube ręce Tima obejmujące jej uda, ale nie doświadczył nawet ziarenka zazdrości. Powietrze zgęstniało od ich zapachu, ale w najmniejszym stopniu mu to nie przeszkadzało. Wyzdrowiał. Miał to gdzieś. Odzyskał wolność. I z tą myślą włożył swój nowy płaszcz i przeszedł na drugą stronę ulicy do mieszkania Leah.

Toby nie zauważył znikającej w oddali postaci Leah, kiedy przechodził na drugą stronę ulicy. Nie widział pędzącej w kierunku Fortis Green dziewczyny, z nieuczesanymi włosami, z tostem w ręku. Miał świadomość, że może już jej nie zastać, że mogła być już w drodze do pracy i na taką ewentualność przygotował odręcznie napisaną wiadomość.

Czekając przed drzwiami Leah, sprawdził przód koszulki i był przyjemnie zaskoczony, że nie znalazł tam żadnych plam ani zabrudzeń. Przejechał językiem po zębach, by wytropić wszelkie zabłakane drobinki płatków śniadaniowych, potem policzył do dziesięciu. Pomyślał, że jeśli drzwi pozostaną zamknięte, kiedy skończy liczyć, będzie to oznaczało, że już wyszła, i zostawi kartkę.

Kiedy doszedł do ośmiu, ktoś ukazał się w przedpokoju.

Zanim otworzyły się drzwi, Toby postarał się, by jego twarz wyrażała ciepło i dobre intencje. Jak tylko się otworzyły, mina mu zrzędła. Przed nim stał on, ten mężczyzna, ten pielęgniarz. Amitabh.

Miał na sobie bardzo mały szlafrok frotte, który ledwie dopinał się w pasie. Jego twarz była wciąż opuchnięta od spania, a brodę pokrywała gęsta, kilkudniowa szczecina. Otworzył drzwi, ziewając szeroko, tak że Toby mógł zobaczyć wszystkie plomby.

— Och — mruknął na przywitanie. — Myślałem, że to listonosz.

— To tylko ja — odparł Toby. — Chociaż faktycznie mam list. Do Leah. Zostałem ją w domu?

— Nie, przykro mi, stary. Minałeś się z nią. Wyszła jakieś dwie minuty temu.

— Kiepskie wycucie czasu — stwierdził Toby. — Nieważne. Mógłbyś jej to przekazać w moim imieniu? — Podał kopertę Amitabhowi.

— Pewnie. Nie ma problemu. Na pewno to dostanie. — Ziewnął ponownie i zaczął zamykać drzwi.

Toby poczekał chwilę.

— A czy... znów się wprowadziłeś? Amitabh podrapał się w głowę.

— Nie — odpowiedział. — Jeszcze nie. Ale szukaj mnie tu następnym razem. — Uśmiechnął się i mrugnął, a potem zamknął drzwi.

Przez chwilę Toby stał bez ruchu i wpatrywał się w przydymioną szybę w drzwiach Leah.

Czuł się jak idiota. Kompletny i skończony głupiec. Dlaczego nie zauważył, co się święci? Dlaczego nie wziął pod uwagę możliwości, że nieoczekiwane spotkanie Leah z ekskochankiem w sobotnie popołudnie może doprowadzić do ponownego zejścia? Dlaczego zapomniał, jak zagmatwane i nieprzewidywalne może być życie, jakim nieposkromionym uczuciem jest miłość. Nazywał siebie poetą, a jednak nieprzerwanie udowadniał, że nie rozumie nawet najbardziej podstawowych zasad rządzących ludzką naturą. Wciąż funkcjonował w tym świecie jako nowicjusz, kompletny naiwniak.

Kiedy Karen zostawiła go piętnaście lat temu, pustkę wypełnił ludźmi ze wszystkich środowisk, ludźmi, którzy mieli do opowiedzenia przeróżne historie i doświadczenia z podróży. Ale on, zamiast uczyć się od nich, wybrał izolację od świata. A teraz, kiedy w końcu zaczął się budzić i odkrywać siebie, czuł się bardzo rozczarowany, że zamiast ekscentrycznego, walczącego artysty miłującego niezwykłych ludzi zobaczył zwyczajnego, starego Toby'ego Dobbsa, najwyższego chłopca w szkole, porażkę ojca, mężczyznę, z którym własna żona nie chciała mieszkać dłużej niż miesiąc.

Westchnął, odwrócił się i ruszył z powrotem do domu. Zaparzył sobie filiżankę herbaty i zamiast do swojego pokoju, zabrał ją do sypialni Gusa. Położył się na kosmatym dywanie i głaskał umierającego kota, zastanawiając się, głęboko i szczerze, jaki jest pieprzony sens tego wszystkiego.

— Daisy dzisiaj nie przyszła — poinformowała go dziewczyna mówiąca z tak bardzo wysferzonym akcentem, że Con z ledwością ją zrozumiał.

— A wiesz dlaczego? — zapytał.

— Nie mam pojęcia. Nie pytałam.

Przeszył go lodowaty dreszcz strachu. Pojechał windą na dół do działu wysyłkowego i wyciągnął telefon komórkowy z kieszeni. Nie odebrała, więc wziął głęboki oddech i zadzwonił pod domowy numer chłopaka jej siostry. Znowu cisza. Dzwonił pod oba numery co dziesięć minut, aż w końcu, o czternastej trzydzieści, ktoś odebrał komórkę Daisy. W słuchawce usłyszał zniecierpliwiony i szorstki głos mężczyzny.

— Dzień dobry. Czy to telefon Daisy?

— Tak. Kto mówi?

— Nazywam się Con. Jestem jej przyjacielem. Kto mówi?

— Ojciec Daisy.

— Och. — Con przestał podpierać się niedbale o ścianę i wyprostował się. — Witam. Czy z Daisy wszystko w porządku?

— Przepraszam, jak masz na imię?

— Con. Connor. Jestem przyjacielem Daisy z pracy.

— Rozumiem. Jesteśmy w szpitalu...

— Szpital. Kurde. To znaczy Boże. Czy to coś poważnego? Jak ona się czuje?

Ojciec Daisy westchnął.

— Czekamy na zdjęcia rentgenowskie. Prawdopodobnie kolejna odma opłucnowa.

— Co... co to takiego?

— To znaczy, że wokół jej płuc nagromadziło się powietrze.

— Kurde. Przepraszam. Czy ona wyzdrowieje?

— Słuchaj. Przepraszam cię, ale muszę już kończyć. Może powinieneś ją odwiedzić.

— A mogę?

— Oczywiście. Bardzo się ucieszy na widok przyjaciela. Leży w szpitalu Saint Mary. Przynieś jej coś dobrego do jedzenia. Fatalnie tu karmią.

Con podążał za znakami prowadzącymi na oddział Daisy, w rękach ścisnął torbę ka-

napek i bukiet róż. Na plastikowym krześle siedział mężczyzna w szlafroku, do dłoni miał przymocowaną przezroczystą, plastikową rurkę prowadzącą do kroplówki przyczepionej do stojaka. Pielęgniarka pchała w kierunku windy wózek z kobietą o szarej twarzy. Connor zadrżał. Ta szarość i wyniszczenie zupełnie nie pasowały do Daisy.

Jej łóżko stało pod oknem, na samym końcu małej sali. Mimi siedziała po jednej stronie łóżka, mała kobieta ze srebrnymi włosami po drugiej. Mimi czytała głośno czasopismo, a ta druga śmiała się z tego, co właśnie usłyszała.

Przesunął się nerwowo do przodu. Właśnie czekała go konfrontacja zarówno z chorobą Daisy, jak i jej rodziną. Czuł się przytłoczony.

Mała kobieta odwróciła się i uśmiechnęła, kiedy podchodził. Miała dołeczki w policzkach i nierówne zęby.

— Connor! — krzyknęła, zrywając się natychmiast na nogi, żeby się z nim przywitać. — Jestem Helen. Mama Daisy.

— Dzień dobry — odpowiedział, akceptując smakujący kawą pocałunek na policzku.

— Daisy — zwróciła się do córki, dotykając jej kolana — spójrz, kto przyszedł. Twój przyjaciel Connor.

Daisy leżała uniesiona na warstwie poduszek, a do jej klatki piersiowej przymocowano rurkę prowadzącą do pojemnika z wodą. W prawej ręce ścisnęła maseczkę tlenową przymocowaną do zbiornika. Jej skóra miała niebieskawy odcień, a włosy leżały w strąkach na poduszce. Uśmiechnęła się do niego blado.

— Sexy, co?

Położył róże na łóżku i uśmiechnął się do niej.

— Wyglądasz ślicznie — powiedział. — Trochę blado...

— Chciałeś powiedzieć niebiesko — wychrypięła w odpowiedzi. — Nie wspominając już o uroczych rurkach i chorobie.

— Proszę. — Matka Daisy przysunęła w jego stronę plastikowe krzesło. — Usiądź, Connor.

— Nie, dziękuję naprawdę.

— Nalegam. Tyłek mi ścierpł od siedzenia. Właściwie to się przejdę rozprostować trochę nogi. Meems, idziemy?

— Tak — odparła Mimi, podnosząc się. — Mnie też spacer dobrze zrobi. Do zoba-

czenia za minutę.

Con poczekał, aż dwie kobiety opuszczą salę, i pocałował Daisy w usta.

— Twoja mama jest bardzo miła — powiedział.

— Tak. Mówiłam ci, że mam fantastycznych rodziców, prawda?

— Przyniosłem ci trochę kanapek. — Wskazał na torebkę.

— Ooo, psychota. Co tam dzisiaj masz?

— Tuńczyk i kapary.

— Och, cudownie. Uwielbiam kapary.

Rozpakował kanapki i podał jej jedną. Potem napełnił plastikowy kubek wodą z przezroczystego plastikowego dzbanka.

— Więc — odezwał się — co to jest ta opłucno... opłucno...?

— Odma opłucnowa. Powietrze wokół płuc. Okropieństwo. Miałam to już kiedyś, ale nie było tak fatalnie. Myślałam, że umieram, naprawdę.

— A czy to ma coś wspólnego z mukowiscydozą?

— Oczywiście. Jak wszystko inne. No nic. Muszę tu leżeć z tym czymś między żebrami przynajmniej przez trzy dni...

— A potem możesz wrócić do domu?

— Potem mogę wrócić do domu.

— Więc to nie jest coś, no wiesz, coś, co może...

— Nie. Na to nie umrę. Tylko zrujnuje mi życie towarzyskie na kilka dni.

— Och — powiedział Con — to dobrze, to naprawdę... o Boże... — I wtedy poczuł, jak nagromadzony w ciągu dnia lęk nagle opuszcza jego ciało z potężną falą emocji, i zaczął płakać. — O Boże. — Pociągnął nosem. — Tak mi przykro. Kurde. Myślałem już... kiedy twój tato powiedział, że jesteś w szpitalu, to spanikowałem. A on nie powiedział mi, czy wyzdrowiejesz, i myślałem już... że możesz... i nie mógłbym, naprawdę nie poradziłbym sobie, gdyby cokolwiek się stało. Nie dałbym sobie z tym rady...

Con przycisnął pięści do oczu, próbując powstrzymać potok łez. Daisy podała mu chusteczkę papierową z pudełka stojącego na wózku przy jej łóżku. Wziął ją bez słowa i odychał głośno, wdech, wydech, próbując się opanować.

— Przepraszam cię — powiedział w końcu. — Zachowuję się żałośnie. Pewnie masz mnie za debila.

— Oczywiście, że nie — odezwała się łagodnie, obejmując jego zaciśnięte pięści dłońmi. — Myślę, że to bardzo słodkie.

— O Boże. — Zaśmiał się i otarł twarz chustką. — To jeszcze gorzej.

— Nie wierzę, że tak bardzo martwiłeś się o mnie.

— Oczywiście! Wiem, że znamy się zaledwie od kilku tygodni, ale jesteś dla mnie bardzo ważna. Jesteś, no wiesz, bardzo mi droga. — Przełknął ślinę.

Daisy ścisnęła jego dłoń.

— Ty też jesteś mi bardzo drogi.

— Naprawdę?

— Oczywiście, że tak. Tak samo jak mama i tata, siostry, najlepsza przyjaciółka. Naprawdę zależy mi na tobie. Ty... — Przerwała, próbując złapać oddech. Przyłożyła maseczkę tlenową do ust i kilka razy głęboko zaciągnęła się tlenem. Jej błękitne oczy wpatrywały się w niego znad maseczki, blade, przestraszone i takie młode. — Przepraszam — powiedziała chwilę później. — Muszę przestać mówić na chwilę... to takie... ciężkie...

— Nie. Nic nie mów. Nic nie musisz mówić. Spójrz tutaj. Mam coś jeszcze. — Wyciągnął kartkę z wierszem z kurtki i wręczył jej.

Rozwinęła kartkę i zaczęła czytać, a Con wpatrywał się w nią intensywnie i próbował odgadnąć jej reakcję. Zwinęła kartkę, położyła ją na kolanach i uśmiechnęła się.

— Con? — powiedziała.

— Tak?

— Ja też cię kocham.

Mimi i Helen wróciły kilka minut później z kawą w plastikowych kubkach i paczką owocowych drażetek. Potem pojawił się tato Daisy i serdecznie uściśnął dłoń Cona. Stanowili głośną rodzinę, rozgadaną, otwartą, w której na porządku dziennym były przekleństwa i wybuchy śmiechu. Chcieli wiedzieć wszystko na temat Cona i zachowywali się tak, jakby połowa ich znajomych miała kilkanaście lat i pochodziła z Tottenham. Wcale nie wyglądali na speszonych czy załamanych sytuacją Daisy albo faktem, że chodziła z kimś takim jak on. Con nigdy przedtem nie spotkał takich ludzi. Zachowywali się tak pewnie, łączyła ich tak mocna więź, że nie zostawiali miejsca na zwątpienie, strach czy niezręczność.

Rozmawiano o tym, że Daisy musi na jakiś czas wziąć zwolnienie z pracy i wrócić na tydzień do domu, by dojechać do siebie.

— I oczywiście — powiedziała Helen, dotykając kolana Cona swoją maleńką jak ptaszek dłonią — musisz nas odwiedzić. Przyjedź i zostań tak długo, jak będziesz chciał.

— O tak — zawtórował ojciec Daisy — właśnie gościmy jednego kawalera.

Con spojrzał na niego pytająco.

— Przyjechała do nas Camellia, a za nią jej chłopak, który nie mógł znieść minuty rozłąki. Miły chłopak. Gra na fagocie w London Philharmonic Orchestra. Myślę, że polubisz go...

Con wyszedł ze szpitala o dwudziestej, pozwalając, by pochłonęło go zimne powietrze. Szybko przemierzał ulice Paddington, podążając za znakami do metra. Oddychał gwałtownie i z trudem, serce przepęłniała euforia ucieczki. Właśnie ujrzał rzeczywistość, nagą prawdę o sobie i Daisy, tego, co robili i dokąd zmierzali. I nie mógł sobie z tym poradzić. Przerastała go ta zżyta rodzina, ich rozmowy o domu, chłopakach grających na fagotach, zaproszeniach. Przerastała go ta bezwarunkowa akceptacja jego osoby, bo dobrze wiedział, że pochodziła jedynie z uprzejmości klasy średniej. Ale przede wszystkim przerastał go fakt, że pierwsza pokochana przez niego kobieta nie miała szans na wyzdrowienie i pewnego dnia miała umrzeć, a on w żaden sposób nie mógł temu zaradzić.

48

Cały czwartek Toby spędził w oknie. Widział, jak o czternastej Amitabh opuszcza mieszkanie Leah, uzbrojony na zimne powietrze w swoją kusą kurtkę i dzierganą czapkę. Obserwował fachowców wchodzących i wychodzących z domu, wyładowujących kłamoty z ciężarówki, a potem władowujących je z powrotem, przyglądał się, jak wyrzucali śmieci do kontenera i jedli kanapki na murku. Widział też ludzi, tuziny ludzi, idących tam i z powrotem, dzieci wpychane do samochodów i z nich wyciągane, przyglądających się agentów nieruchomości, koty patrolujące swoje terytorium. Patrzył na ciężarówkę dostawczą Tesco, kobietę, która po przeciwnej stronie ulicy wyrzucała śmieci do pojemnika na kółkach, mężczyznę z fluorescencyjną siatką zostawiającego ulotki z restauracji w drzwiach pobliskich domów. Wpatrywał się w zachodzące słońce i wschodzący księżyc, zmiana warty trwała pół godziny i podzieliła niebo w kolorze indyga. Widział, jak Melinda zaparkowała samochód i wchodziła po schodach, rozmawiając z kimś przez telefon. Patrzył na Ruby, która wyszła z

gitarą. O dwudziestej wróciła też Leah, obserwował, jak otwiera drzwi wejściowe, schyla się, by podnieść pocztę, potem znika. Widział, jak zapala światła, zaciąga zasłony. Zastanawiał się, czy już przeczytała jego wiadomość i co może sobie pomyśleć o tych kilku zdaniach w żartobliwym tonie, w których wyraził chęć dotrzymania jej towarzystwa na pływalni na Crouch End (obiecał, że nie będzie próbował pływać motylkiem) któregoś dnia w tym tygodniu. Zastanawiał się, czy Amitabh wróci na noc.

Już miał zejść na dół po coś do jedzenia, kiedy zobaczył jeszcze coś. Joanne szła bardzo szybko i wciąż się za siebie oglądała. Wyglądała na wytrąconą z równowagi, wręcz ogarniętą paniką. Miała na sobie ogrodniczki i skórzaną kurtkę pilotkę. Za nią podążał mężczyzna. Wysoki, szczupły, z pięknymi włosami do ramion. Wołał coś do niej. Toby nie słyszał słów. Joanne odwróciła się do mężczyzny i coś do niego krzyczała. A potem zaczęła biec w stronę domu. Usłyszał tupot jej pospiesznych kroków na wejściowych schodach i zobaczył pędzącego za nią mężczyznę. Rozległ się huk zatrzaskiwanych drzwi, a potem usłyszał walenie w drzwi. Zerwał się i natychmiast pobiegł na dół. Joanne stała bez tchu na dole.

— Jezu, Joanne. Co się dzieje? Nic ci nie jest?

— Wszystko w porządku — rzuciła krótko i przepchnęła się obok niego w drodze do swojego pokoju.

— Ale kim jest ten mężczyzna przy drzwiach? Dlaczego cię śledzi?

Drzwi zadudniły. Toby usłyszał stłumione krzyki.

— Nie wiem — odpowiedziała. — Nie znam go.

— Mój Boże. Czy mam wezwać policję?

— Nie — odpowiedziała. — Nic nie rób. To tylko szaleniec. Za minutę odejdzie.

— Ale Joanne. On wygląda naprawdę groźnie. Co mam zrobić?

— Nic — odpowiedziała, znikając na schodach. — Nic nie rób.

Toby rozejrzał się po pustym holu. Mężczyzna wciąż walił w drzwi. Toby przykucnął i na czworakach doczołgał się do drzwi wejściowych. Powoli podniósł blaszkę od skrzynki na listy i zbliżył do niej usta.

— Odejdź — powiedział stanowczo — albo wezwę policję.

Para oczu wpatrywała się w niego przez szparę na listy, więc Toby zamknął ją pośpiesznie. Wstał.

— Odejdź! — krzyczał do zatrzaśniętych drzwi. — Odejdź. Wzywam policję.
— Chcę się zobaczyć z Joanne.
— Ale ona nie chce widzieć się z tobą. Wystraszyłeś ją.
— Chcę z nią tylko porozmawiać.
— Powiedziałem ci już. Kimkolwiek jesteś, ona nie chce z tobą rozmawiać.
— Proszę — powiedział mężczyzna. — Proszę. Pozwól mi ją tylko zobaczyć. Muszę ją zobaczyć.

Głos mu złagodniał i zabrzmiał tak, jakby mężczyzna miał się rozplakać.

— Kim jesteś? Czego chcesz?

— Mam na imię Nick — odpowiedział. — Jestem mężem Joanne.

49

Trzeci tydzień lutego zaczął się bezchmurnie i słonecznie, a temperatura wzrosła o kilka stopni. Toby nie musiał już nakładać czapki na czas wyrabiania ciasta wczesnym rankiem i nie krzywił się, siadając na ubikacji.

Prace remontowe nabrały rozpędu. Dom zmieniał się w oczach. W łazienkach położono nowe płytki i zamontowano oświetlenie. Toby'emu wystarczyło jedno spojrzenie na wykończone łazienki, by natychmiast wydać 300 funtów na grube ręczniki w odcieniach taupe i czekolady. Na dachu pracowali dekarze, a hydraulik wymieniał zbiornik na wodę i wszystkie kaloryfery. Firma sprzątająca wywiozła resztę mebli Gusa, a włochata wykładzina została ściągnięta, zrolowana i wyrzucona do kontenera na śmieci. Boris mieszkał teraz w pokoju Toby'ego, gdzie marniał, wpadł w depresję, odmawiał jedzenia i powoli przemieniał się w mały, czarny szkielet.

Dekoratorzy mieli zacząć w przyszłym tygodniu i Toby wpatrywał się w kolorowe kartoniki całymi dniami, próbując wybrać jeden z kilkuset odcieni beżu i szarości. Jego pokój pełen był pojemników z próbkami farb, a ścianę pokrywały smagnięcia pędzlem z dopisanymi ołówkiem uwagami: „Piaskowy labrador 12”. Pod biurkiem stało pudło wypełnione kawałkami wykładzin (sisal czy morska trawa? A może powinien jedynie wycyklinować deski?). Dwaj młodzi mężczyźni o imionach Liam i Guy wymieniali właśnie kuchnię, więc lodówka stała w holu i wszyscy korzystali z dwupalnikowej kuchenki elektrycznej zamon-

towanej w jadalni. Wzdłuż ścian piętrzyły się pudła wypełnione jedzeniem, zastawą, garnkami i patelniami. Panował ogromny bałagan, ale dom ulegał stopniowej transformacji.

Do końca marca, do przyjazdu ojca Toby'ego, dom miał być skończony i wystawiony na sprzedaż. Tyle że wciąż był pełen ludzi. Problem delikatnego pozbycia się lokatorów utknął w martwym punkcie.

Ruby wciąż sypiała z grubym, żonatym facetem i wiązała jakoś koniec z końcem dzięki zasiłkom i marnie opłacanym występom. W świeżo upieczonym związku Cona z elegantką z „Vogue'a” nastąpił regres. Melinda upajała się luksusową transformacją domu i wyglądała na bardziej niż kiedykolwiek przedtem zdeterminowaną, by tu zostać. A Joanne zniknęła. Dosłownie. Wyszła do pracy następnego ranka po tym, jak „mąż” śledził ją w drodze do domu, i od tego czasu nikt jej nie widział. Pod drzwi Toby'ego wsunęła kopertę z czekiem na miesięczny czynsz i wiadomość sugerującą, że wybrała się na wakacje.

A Leah — Leah znów mieszkała z pielęgniarzem.

Nigdy nie odpowiedziała na wiadomość Toby'ego dotyczącą wspólnego wyjścia na basen i od tamtego czasu ani razu nie wpadli na siebie. Znów, jak kiedyś, stała się obcą kobietą mieszkającą z azjatyckim pielęgniarzem po drugiej stronie ulicy. A bez niej Toby czuł się zgubiony. Nie radził sobie z niuansami i dziwactwami życia emocjonalnego swoich lokatorów. Nie potrafił aranżować przypadkowych spotkań i zastanawiać się, czego potrzebowali. Lista przymocowana w jego szafie wisiała nietknięta, wszystko zatrzymało się na punkcie dziesiątym niczym zamrożony kadr w oglądanym filmie. Toby siedział więc w swoim pokoju, w oknie, udawał, że pisze wiersze, i czekał na cud. Wrócił do punktu wyjścia.

50

Leah czuła, że wszystko poszło nie tak. Amitabh ponownie się wprowadził i naprawdę nie miała pojęcia, dlaczego tak się stało. Z początku było jej miło, że widzi go znowu w miejscach, do których należał, na ich sofie czy łóżku; że może przejść koło pubu bez zastanawiania się, czy siedzi w środku z inną kobietą. Po prostu wiedziała, gdzie jest i co robi. Nie mogła znieść tego, że po ich rozstaniu zniknął jej z oczu. To ciągłe wymyślanie scenariuszy i wyobrażanie sobie sytuacji. Ale minęły dwa tygodnie i urok nowości płynący z

wiedzy o tym, gdzie przebywa Amitabh przez cały czas, wypalił się i teraz Leah została z długą listą pytań: Co my robimy? Dokąd zmierzamy? Czy postawisz się rodzinie i ożenisz się ze mną? Czy mnie kochasz? Czy ja cię Kocham? Czy właśnie tego chcę? Przecież to o tym marzyła tak długo i myślała, że być może to się zmieniło, napełniała ją niepokojem. Jeśli nie chciała Amitabha, to czego naprawdę pragnęła? Miała trzydzieści pięć lat. Z oczywistych względów powinna już do tego czasu wiedzieć.

Rozważała swoją sytuację podczas cichego ranka w sklepie. Właśnie przywieźli dużą dostawę foremek do ciasteczek w kształcie liter i rozpakowywała je na zapleczu, zastanawiając się nad koncepcją posiadania czasu czy chęci na wypiekanie ciasteczek w kształcie literek.

Bawiła się nimi na podłodze, bezmyślnie układając je w słowa. LEAH, AMITABH. I, co dziwne, TOBY. Zmieszała je pospiesznie w stos literek, potem zabrała na górę. W sklepie była sama. Jej asystentka miała pojawić się dopiero po jedenastej. Rozejrzała się po sklepie i westchnęła. Co ona tutaj robi? Dlaczego układała foremki w kształcie liter na półkach? Coś było nie tak. Czegoś jej brakowało. Przygniotła ją nagła potrzeba ucieczki, zapragnęła zamknąć sklep i uciec gdzieś na cały dzień. Tak jakby równoległe istniejący świat wtargnął na moment w jej prawdziwe życie, jakby przez ulotny ułamek sekundy zobaczyła inny scenariusz, który spodobał się jej bardziej niż to, co miała teraz. A jeśli tu zostanie, jeśli podąży za tym z góry ustalonym rytmem dnia, to przepuści swoją szansę wskoczenia na ten równoległy tor i przekonania się, co jeszcze życie mogło jej zaoferować.

Tyle że musiała tu zostać. To nie był jej sklep i nie miała prawa zamknąć go ot, tak, po prostu.

Westchnęła, odkluczyła drzwi, zmieniła znak z „Zamknięte” na „Otwarte”, mając nadzieję, że może właśnie dzisiaj nadejdzie i odnajdzie ją jej przeznaczenie.

mysle o tobie, moj rubinowy cukiereczku mysle ze cie Kocham! potrzebuje cie. nie mogę bez ciebie oddychać. do zobaczenia wieczorem. buziaki T

Ruby uśmiechnęła się powściągliwie i wyłączyła telefon. Siedziała w pralni na High Road i obserwowała bieliznę wirującą powoli w środku gigantycznej suszarki. Suszarka bębnowa w domu została rozbrojona na czas wymiany kuchni, więc Ruby została zmuszona przynieść swoje pranie tutaj. Nie żeby miała coś przeciwko. Lubiła publiczne pralnie. I ludzie, którzy z nich korzystali. Czowała z nimi nie porozumienia. Ludzie, którzy nie posiadali pralek, zazwyczaj nie mieli również na głowie kredytów hipotecznych, dzieci i pracy. Z publicznej pralni korzystali studenci, emeryci albo imigranci mieszkający gdzieś tymczasowo. Lubiła zapach unoszący się w tym miejscu, suche i gorące powietrze, uczucie, że przez najbliższą godzinę nie ma się nic lepszego do roboty jak poczytanie książki czy czasopisma. Podobały jej się te niedzisiejsze oznakowania, automat z proszkiem do prania; miała wrażenie, że przebywa w miejscu, które dwadzieścia lat temu wyglądało dokładnie tak samo.

Otworzyła skrzynkę odbiorczą w telefonie i jeszcze raz przeczytała wiadomość Tima. Powinna odpisać, ale nie wiedziała co. Nigdy wcześniej nie powiedziała żadnemu mężczyźnie, że go kocha, nawet jeśli tak było. Wzdrygała się na myśl, że miałyby fałszywie użyć tych słów. Wypowiedzenie ich zazwyczaj zmieniało wszystko. Ona straci swoją moc, on będzie oczekiwał od niej więcej. Ale co gorsze, Tim Kennedy najprawdopodobniej zostawi żonę.

Ruby sypiała już wcześniej z żonatymi facetami; nasłuchiwała się tych wszystkich frazesów o problematycznych małżeństwach i nieczułych żonach. Wielu mężczyzn powtarzało, jak bardzo nieszczęśliwi czuli się w domu, że nie odchodzili jedynie ze względu na dzieci. Ale z Timem było inaczej. On naprawdę był nieszczęśliwy. I naprawdę zostawiłby żonę. Zostawiłby ją choćby i dziś. W jednej chwili. Wystarczy, że wypowie te dwa słowa. Jeszcze nikt nie zakochał się w niej tak jak Tim Kennedy. Przysyłał jej esemesy dwadzieścia razy w ciągu dnia. Dostawała kwiaty i biżuterię. Ofiarował jej swoje serce na dłoni.

Tim pracował jako makler giełdowy. Mieszkał ze swoją żoną Sophie w domu w stylu georgiańskim w Hammersmith, minutę od rzeki. Był żonaty zaledwie od roku. Zanim się

pobrali, chodzili ze sobą pięć lat. Nie mieli dzieci, zamiast nich posiadali buldoga o imieniu Mojo, na którego zapisali się jeszcze przed jego urodzeniem. Właśnie wrócili z nart z Austrii czy Szwajcarii, często grali razem, w parach, w tenisa. Tim pił czerwone wino, grał w squasha i martwił się o swoją wagę. Sophie, kościsty chudzielec, biegała na siłownię pięć razy w tygodniu, zaraz po powrocie z pracy, gdzie zajmowała stanowisko dyrektora w dziale sprzedaży w sieciowym sklepie z meblami.

To wszystko było zbyt nudne, żeby o tym opowiadać. Nic dziwnego, że Tim stracił dla Ruby głowę. Nigdy wcześniej w swoim życiu nie spotkał kogoś podobnego, a gdyby nie zbieg okoliczności, który doprowadził Ruby do tego samego baru, w którym siedział tamtej nocy, i ten jej szczególny nastrój, nigdy by się nie spotkali. Pochodzili z dwóch różnych światów.

W zeszłym tygodniu, prosto po pracy, przyleciał w tym swoim garniturku i krawacie do klubu przy Holloway Road, wcisnął się między przeupoconych mężczyzn w cienkich koszulkach i kobiety z tatuażami, z plastikowym kubkiem piwa w ręce, tylko po to, by ją zobaczyć. Po koncercie zeszła ze sceny, a on patrzył na nią z zachwytem, mrugał oczami i nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Jesteś cudowna" — wysapał w końcu. „Absolutnie cudowna".

Uwielbiał ją. A Ruby, co trzeba przyznać, nawet się to podobało. Minęło sporo czasu, odkąd ktoś zapalał do niej tak gorącym uczuciem, i nie mogło się to zdarzyć w lepszym momencie. Ale nie kochała go. Nawet nie lubiła jakoś szczególnie. Od biedy mogła uprawiać z nim seks. Teraz jednak, gdy wszyscy w jej życiu wypięli się na nią, Toby sprzedawał dom, matka odprawiła ją z kwitkiem, Con ignorował, a Paul unikał, Tim był wszystkim, co jej zostało, i Ruby potrzebowała go bardziej, niż mogła sobie wyobrazić.

Chwyciła komórkę i zaczęła pisać:

chyba też cie kocham. Do zobaczenia wieczorem xxx

— Już czas — wyszeptała Melinda, spoglądając przez ramię Toby'ego na kota, zwinętego w kłębek przy ścianie; wychudzone ciało unosiło się i zapadało niczym kiepsko obsługiwane dudy.

Toby skinął głową bez słowa.

— Idziemy?

Podniósł kota i zawinął go w stary ręcznik. Ostrożnie włożył zwierzę do kartonowego pudła i zabrali je razem na dół, do samochodu.

W poczekalni weterynarza siedzieli koło siebie w milczeniu. Zamyślony Toby głaskał palcem wskazującym głowę Borisa. Melinda przeglądała jakieś cienkie, błyszczące czasopismo.

— Boris Veldtman?

Toby podniósł wzrok. Rejestratorka uśmiechnęła się do nich.

— Możecie już wejść.

— No tak — powiedział weterynarz, spoglądając na Borisa umieszczonego w pudełku. — Tak. Jest już bardzo bliski końca. Bardzo. Rekomendowałbym zastrzyk. Skrócić tę drogę.

— Nie sądzi pan, że lepiej byłoby poczekać, żeby odszedł naturalnie?

Weterynarz uniósł palec do ust i rozważył pytanie.

— Można zabrać go do domu i pewnie pożyje jeszcze kilka godzin, może dzień, może dwa. Ale sądzę, że w chwili obecnej Boris doświadcza całkiem wysokiego poziomu dyskomfortu. Zależy to od państwa, ale w większości podobnych wypadków właściciele czworonogów skłaniają się ku zastrzykowi.

Toby i Melinda wymienili spojrzenia. Melinda kiwnęła głową.

— Okej — odezwał się Toby. — Zróbmy tak.

Weterynarz pokiwał posępnie głową. Pielęgniarka przyniosła strzykawkę, a Toby i Melinda podczas wstrzykiwania płynu głaskali kościsty grzbiet Borisa. Kot nie wzdrygnął się nawet, gdy igła przebiła mu skórę, a jego krew zalały zimne chemikalia.

Toby i Melinda obserwowali kota, w skupieniu i bez słowa. Przez kilka minut oddychał jeszcze przeciągle i ciężko, zapadnięte ciało unosiło się w górę i w dół, aż w końcu od-

dech zaczął spowalniać. Melinda złapała dłoń Toby'ego i ścisnęła ją mocno. On też ją uści-
snał, zdziwiony uczuciem spokoju, które spłynęło na niego dzięki temu dotykowi. Minutę
później Boris przestał oddychać. Toby zwrócił się do weterynarza:

— Czy on...?

Weterynarz przyłożył stetoskop do klatki piersiowej Borisa. Skinął głową.

— Tak — powiedział. — Kot nie żyje. Czy mam wyjść na chwilę, żebyście mogli się
pożegnać?

— Tak — odpowiedział Toby. — Jeśli moglibyśmy.

Weterynarz i pielęgniarka wyszli z gabinetu, a Toby i Melinda stali nad Borisem, gła-
skając jego ciepłe, choć bez życia ciało, i ściskali się za ręce. Melinda pociągnęła nosem.
Toby spojrział na nią. Po jej mocno pomalowanych policzkach ściekały łzy.

— Biedny, stary Boris — wyłkała. — To takie smutne.

— Wiem — pocieszał Toby. — Wiem.

— Ale przynajmniej są już razem. On i Gus. Tam — powiedziała, spoglądając do gó-
ry.

— Tak myślisz? — zapytał Toby, który skłaniał się raczej ku nieromantycznym po-
glądom na temat życia po śmierci.

— Oczywiście — zapewniła Melinda. — On też jest teraz aniołkiem. Pięknym, ma-
leńkim, kocim aniołkiem ze skrzydłami, odleciał, by znaleźć swojego tatusia. Zawsze o tym
marzył. Tatusia. Prawda, że tak, maleńki? — Pogłaskała nieruchomą głowę Borisa i wytarła
łzy z policzków.

— No dobrze — odezwał się Toby, który zaczynał się czuć nieswojo. — Chodźmy do
domu.

— Ale co z Borisem? Co zrobimy z Borisem?

— Nie wiem — odparł Toby. — Przypuszczam, że oni się nim zajmą.

— Och nie! — krzyknęła. — Nie możemy go tu zostawić. Musimy go godnie pocho-
wać. Godnie pożegnać. Odprowadzić do tamtego świata.

— Naprawdę?

— Oczywiście — powiedziała stanowczo. — Tak nakazuje przyzwoitość.

Rozpadało się na dobre, gdy po południu wrócili do domu z Borisem, zimnym i
sztywnym leżącym w kartonie. Toby poszedł do szopy w ogrodzie i kręcił się w niej przez

chwilę, szukając łopaty między stertami worków z kompostem, taczkami, starymi meblami, oponami rowerowymi i doniczkami. Pojawił się pięć minut później pokryty pajęczynami z kielnią w dłoni.

— Nie mogłem znaleźć łopaty — wysapał bez tchu. — Tak sobie myślę, że właściwie nie kupiłem nigdy ani jednej.

— Dostaniesz ją ode mnie na Gwiazdkę, skarbie.

Toby uśmiechnął się ponuro i zaczął kopać w miejscu wskazanym przez Melinę na końcu ogrodu. Zapach mokrej ziemi przypominał stare psy. Melinda stała nad nim przez chwilę, trzymając parasol, ale wkrótce zdała sobie sprawę, jak długo to potrwa, i wycofała się. Toby walczył z ziemią i w pewnym momencie czmychnęła obok niego mysz, maleńka, brązowa i całkowicie przerażona. Serce Toby'ego zamarło na chwilę, ale nie przestawał kopać. Ręce skostniały mu z zimna, marzły też mokre i zabłocone kolana. Życie wcale nie było weselsze od śmierci.

Wykopał dziurę, a Melinda wyniosła Borisa na zewnątrz. Toby delikatnie ułożył na dnie kota owiniętego w ręcznik. Melinda rzuciła garść błota na ręcznik i natychmiast weszła do środka, by umyć ręce. Toby przykrył dziurę tak szybko, jak mógł, i pognął do domu. Pragnął kąpieli, gorącej, parującej kąpieli w jego pięknej, nowej łazience. Chciał poleżeć w wannie przez godzinę i wygrzać się po czubki palców, i podumać nad egzystencją, może nawet napisać wiersz. Ale w drzwiach stała Melinda z butelką cava w jednej ręce i dwoma kieliszkami w drugiej.

— A to na co?

— Na okoliczność stypy.

— O Boże, naprawdę?

— Tak. Pogrzebaliśmy kota. Musimy mieć stypę.

— Ale właśnie miałem...

— Dalej — powiedziała, ciągnąc go za rękaw do jadalni. — Zdejmuj płaszcz. Siadaj. Urzniemy się.

Leah z przyjemnością odnotowała, że dochodzi siedemnasta, a na dworze wciąż jest jasno. Tego odkrycia dokonywała co roku, mniej więcej w tym samym czasie, zawsze z tym samym przyjemnym zaskoczeniem. Zbliżał się kres zimy i nieznośnie długie wyczekiwanie wiosny dobiegało końca. Otworzyła torebkę w poszukiwaniu miętówek. W ręce wpadła jej karteczka. Wyciągnęła ją i otworzyła. To była wiadomość od Toby'ego dotycząca pływania:

Najdroższa Leah, dzisiaj zrobiłem trzy pompki. Czuję, że odzyskałem formę i jestem gotów na pływanie. Jeśli obiecuję solennie, że nie będę próbował pływać motylkiem, to zgodzisz się, bym dotrzymał Ci towarzystwa w czasie następnej wizyty na basenie?

Twój, z wyrazami czułości,

Toby x

Uśmiechnęła się i złożyła kartkę. Czytała ją chyba po raz czterdziesty i za każdym razem na jej twarzy pojawiał się uśmiech. Uwielbiała ten jego specyficzny sposób wysławiania się i fakt, że podpisywał się ze znaczkami całusa, jak dziewczyna. Rozległ się brzęk dzwonnka przy drzwiach i Leah podniosła wzrok. Jack. Miała wrażenie, jakby dwa miłe momenty stopiły się ze sobą i podwoiły wrażenie przyjemności. Uśmiechnęła się szeroko.

— Jack! Witaj!

— Dzień dobry, Leah. Wyglądasz na bardzo szczęśliwą!

— Och, nie daj się zwieść. To tylko chwilowe.

Jack zrobił strapioną minę.

— Nie jesteś szczęśliwa?

Uśmiechnęła się.

— Nic mi nie jest. A co u ciebie?

— Wspaniale. Jestem na diecie i schudłem już prawie kilogram.

Przyjrzała mu się uważnie. Nie zauważyła różnicy.

— Świetnie! — powiedziała. — Wyglądasz wspaniale.

— Dziękuję. I muszę przyznać, Leah, że ty wyglądasz jeszcze bardziej przepysznie niż dotąd.

— Przepysznie?!

— Tak. Jak smakowity deser. Coś słodkiego i kremowego, z bitą śmietaną na szczycie. Przepysznie!

— Aha — zaśmiała się niepewnie. — Nie bardzo wiem, jak mam to rozumieć, ale dziękuję.

— To komplement! — uśmiechnął się. — Potraktuj to jako komplement. Ale nie przyszedłem tu dzisiaj prawić ci komplementy. Chciałbym zaprosić cię na kolację.

— Och!

— Tak. Mam profesjonalną kuchnię, zjawiskową jadalnię, ale nie mam dla kogo gotować. Czekałem i czekałem, aż zapukasz do moich drzwi, ale nie doczekałem się. A teraz żona zabrała moje dziewczynki na cały tydzień! Na narty! Więc oto jestem, samiuteńki w moim ogromnym domu. Błagam cię, byś towarzyszyła mi przy kolacji. Przyrowadź swojego przyjaciela, jeśli chcesz.

— Mojego wyjątkowego przyjaciela?

— Tak, przypuszczam, że kobieta tak piękna jak ty musi mieć chłopaka?

— Tak, właściwie to mam.

— Ach — westchnął Jack.

— Ale jeśli nie masz nic przeciwko, to chciałabym przyrowadzić mojego przyjaciela Toby'ego. I może jeszcze kogoś. Przyjaciółkę?

— Kobietę! Tak. Proszę. Kobietę dla Jacka. Jesteś taka miła, kochana Leah. Taka miła.

Leah uśmiechnęła się.

— Czy to ładna kobieta? A właściwie, nie, nie, nic nie mów. Niech to będzie niespodzianka. Będę sobie wyobrażał okropną kobietę z żółtymi zębami, strąkami na głowie i tatuażami na całym ciele i wtedy mogę się tylko przyjemnie rozczarować.

— Nie ma żółtych zębów. Jest...

— Psss... — Jack przyłożył palec do jej ust. — Ani słowa więcej. Ty, Toby i twoja okropna kobieta u mnie o dwudziestej w sobotę. Przyjdźcie głodni. Ugotuję dla całej armii.

Słońce zdążyło już zajść, okna w jadalni przeobraziły się w czarne lustra, a Toby i Melinda pili nieprzerwanie od dwóch godzin.

— Toby, wiesz, że jesteś śmiesznym, starym sukinsynem? Toby wzruszył ramionami.

— Naprawdę?

— Tak. Nigdy wcześniej nie spotkałam kogoś takiego jak ty. — Melinda wlała resztę cava do swojego kieliszka i pozwoliła drugiej opróżnionej butelce opaść głośno na stół.

— Hmm — mruknął filozoficznie Toby. — To dobrze czy źle?

— Dobrze ma się rozumieć. Jesteś dobrym człowiekiem. Ale zanim sobie to uświadomiłam, minęło trochę czasu.

— Och, Boże, naprawdę?

— Tak. Z początku myślałam, że trochę zadzierasz nosa. Zachowywałeś się z rezerwą. Byłeś zamknięty w sobie, nie zatrzymałeś się choćby na słowo. Ale przez ostatnie kilka tygodni zmieniłeś się, otworzyłeś. I jesteś cudowny, wiesz? Naprawdę cudowny. Masz tyle do zaoferowania, naprawdę. Ale za mało komplikujesz sobie życie.

— Co masz na myśli?

— Chodzi mi o to, że powinieneś więcej wychodzić, dawać z siebie więcej. Wiesz, nie wyglądasz najgorzej. Masz kawał kinola, ale twoja twarz jest ładna. Piękne brązowe oczy. I tylko...

— Tylko co?

— No twoje włosy, te... paprochy, co ci wyrastają z policzków, sposób, w jaki się ubierasz. Nie ułatwiasz sobie życia.

Toby wpatrywał się z niedowierzaniem w Melinę, czekał, aż zacznie chichotać i powie: „Żartuję tylko, skarbie. Wyglądasz wspaniale”. Ale nie zrobiła tego.

— Wiesz, co by ci dobrze zrobiło, Toby? Ogolona głowa. No wiesz, jak Justin Timberlake. Maszynka do strzyżenia. Numer jeden. Całość — do zgolenia.

— Moja czaszka ma dziwny kształt. Nie jestem pewien, czy najlepiej wyglądałbym...

— I pewnie przydałaby ci się wizyta u dentysty.

— O mój Boże, chcesz powiedzieć, że mi śmierdzi z ust?

— Och, nie. Nie byłabym taka chamska. Chciałam tylko powiedzieć, że przydałaby

się odrobina wyczyszczenia, odrobina połysku. Nic nie postarza tak bardzo jak niezadbane zęby, wiesz?

— Naprawdę?

— Tak. Masz tyle atutów, doprawdy. Posiadasz ten piękny dom; najwyraźniej też, sądząc po tym, ile ostatnio wydajesz, masz też pieniądze; jesteś poetą. Która kobieta oprze się poecie? Ale potrzebujesz kapitalnej zmiany wyglądu. Na przykład, czemu tak się uparłeś na te ciuchy z lumpeksów?

— A co jest z nimi nie tak?

— No, na przykład śmierdzą. Prawda? I inni ludzie je nosili. — Wzdrygnęła się delikatnie i wstała. — W sklepach jest mnóstwo tanich ciuchów. Nie musisz kupować używanych, znoszonych łachów.

— Ale kupiłem ostatnio kilka nowych rzeczy. Marynarkę, buty, płaszcz.

— Tak. Widziałam. Bardzo ładne, naprawdę. Ale musisz zacząć od zera, Toby, skarbie. Zacząć wszystko od początku. — Rzuciła mu pełne współczucia spojrzenie i sięgnęła do kartonowego pudła po butelkę tequili.

— Kieliszek? — zapytała, machając mu butelką przed oczyma.

Toby skrzywił się. Jak na poniedziałkowy wieczór, to już dawno przekroczył rozsądną granicę.

— Ooo, no dalej. Jest tak miło. Co tam. Uśmiechnął się.

— No dobra. Ale dla mnie taki mały.

— Pójdę z tobą na zakupy, jeśli chcesz. Pokieruję cię we właściwym kierunku.

Toby wpatrywał się przez moment w Melinę, zastygł, nie był w stanie myśleć, oddychać, ruszyć się. Miała na sobie krótką, kremową bluzę, utkaną z czegoś, co wyglądało jak stary łazienkowy dywanik, obcisłe, różowe bawełniane spodnie, brązowe spiczaste buty i wielkie koła w uszach. Włosy zaczesła w kitkę, a paznokcie błyszczały na brązowo. Nawet jeśli Toby ośmieliłby się dopuścić do siebie myśl, że potrzebuje radykalnej zmiany wyglądu, Melinda była ostatnią osobą na ziemi, której pozwoliłby asystować sobie w ewentualnej transformacji.

— To bardzo miło z twojej strony — powiedział. — Naprawdę. Ale wydałem już prawie wszystkie pieniądze na dom.

— Oferta jest zawsze aktualna, gdybyś jej potrzebował. Cudownie, że remontujesz tak

pięknie dom dla nas wszystkich. Nie zrozum mnie źle. Podobało mi się i wtedy, ale to, co zrobiłaś, wywiera piorunujące wrażenie. Nigdy bym nie przypuszczała, że masz taki dobry gust. Postawiłabym wszystko, że pójdziesz w starocie, graty i takie tam. No wiesz, z lumpeksów!

— No, tak. — Uśmiechnął się i wziął kieliszek tequili. — Sam siebie zaskoczyłem.

Uniosła kieliszek do góry.

— Toast — powiedziała — za ciebie. Za całą twoją dobroć. Niech cię Bóg błogosławi, Toby, że zaopiekowałeś się mną i moim chłopcem. Bóg jeden wie, gdzie byśmy się teraz podziwiali, gdyby nie ty. Twoje zdrowie!

Stuknęli się kieliszkami i natychmiast je opróżnili.

— Toby, mogę ci zadać osobiste pytanie?

— Eee... no proszę bardzo.

— Kiedy ostatni raz uprawiałeś seks?

— Boże, eee, uhm, cóż, to musiało być jakieś piętnaście lat temu.

— Nie! O mój Boże, od razu się lepiej poczułam!

— Dlaczego... kiedy ty ostatni raz, ee...?

— Zeszłego lata. W Turcji. Tuż zanim się tu wprowadziłam

— Aha. I było to, jak przypuszczam, z mężczyzną, z którym mieszkałaś.

— Mieszkałam? Byłam z nim zaręczona.

— Aha.

— Tak. Byłabym już mężatką. Panią Akhun Erbakan. I wtedy ten sukinsyn mnie uderzył.

— Och! — Toby aż cofnął się z przerażenia.

— Tak. Wiem. Dałam radę dociągnąć do czterdziestki piątki bez jednego męskiego palca podniesionego w moją stronę, a tu raptem bach!

— Boże, czy zrobił ci krzywdę?

— Nie, niezbyt. To nie było takie bicie. Ale zwiałam stamtąd szybciej, niżbyś zdążył powiedzieć „bilet w jedną stronę na lotnisko Luton”. Żaden mężczyzna nie będzie bił Melindy McNulty. Nie i basta. — Potrząsnęła zawzięcie głową i ponownie napełniła kieliszki tequilą. — Nigdy tak się nie cieszyłam na widok angielskiej ziemi. Prawie pocałowałam asfalt, jak tylko wysiadłam z samolotu. A potem dowiedziałam się, że mój śliczny chłopiec

mieszka w tym wspaniałym domu, w ładnej części Londynu. Można powiedzieć, że to na dobre zabiło we mnie pęd do podróży.

— Wiesz, Melinda, zawsze zastanawiałem się, ale nigdy wcześniej nie chciałem cię o to pytać, ale dlaczego... dlaczego zostawiłaś Cona? Dlaczego go nie wychowywałaś?

— Aaa, tak. — Melinda pociągnęła łyk tequili. — Zła matka. Niegrzeczna dziewczynka. Dać jej po łapach. — Uderzyła się po rękach. — Nie wiem. Sama zadawałam sobie to pytanie tyle razy, i myślę, że jedyne, do czego doszłam, to pewność siebie, wiesz? Miałam dwadzieścia sześć lat, ale to było młode dwadzieścia sześć. Ojciec Cona nawet nie chciał wiedzieć. A ja starałam się, naprawdę się starałam. Rzuciłam pracę i sześć miesięcy przesiedziałam w domu, byłam matką na cały etat, ale uważałam, że byłam w tym totalnie do dupy. Tak jakbym nic nie robiła dobrze. Con ciągle chorował i nie chciał jeść porządnie, a te wszystkie kobiety w poradni traktowały mnie tak, jakby to była moja wina. I wtedy zjawiała się moja matka, twarz Cona rozjaśniała się, przestawał ryczeć i jadł jak aniołek, a ja myślałam sobie, no wiesz, co ja tu, do cholery, robię, w tym żalonym pieprzonym kraju z dzieckiem, które mnie nienawidzi? On nie jest szczęśliwy, ja nie jestem szczęśliwa. I wiedziałam, że moja matka lepiej wywiąże się z zadania wychowania go niż ja. Więc przyjąłam pracę rezydentki w Hiszpanii. Z początku przyjeżdżałam do domu co kilka tygodni, żeby zobaczyć Cona, ale w końcu nie mogłam tego dłużej znieść. Przyjazdy i wyjazdy, cały ten emocjonalny stres. A oni trzymali sztamę, Con i mama. Funkcjonowali jak zgrana, mała drużyna. Czułam się trochę wyautowana. Więc w końcu przestałam przyjeżdżać. Próbowałam o nim zapomnieć... — Pociągnęła nosem i wytarła oczy papierowym ręcznikiem. — Nigdy tego nie zrobiłam. Nie można zapomnieć o własnym dziecku, prawda? Nie, kiedy jest się matką.

— Więc kiedy znów go zobaczyłaś? Po tym, jak wyjechałaś na dobre?

— Na pogrzebie mamy. O Boże, to było straszne. Naprawdę. Potrafisz sobie wyobrazić? Matka ladacznica z hiszpańską opalenizną pojawia się po dwunastu latach w jakimś żalonym pieprzonym krematorium w Seven Sisters. I wtedy zobaczyłam Cona, po raz pierwszy, tego dorosłego faceta, takiego przystojnego, takiego smutnego, takiego dobrego. A wszyscy się na mnie gapili, pokazywali, to ona, to matka Cona, to dziewczyna Ediego, ta, która spieprzyła do Hiszpanii. — Zadrżała. — Najgorszy dzień w moim życiu. No ale po wszystkim — mały uśmiech rozświetlił jej twarz — kiedy mamę pochowano i wszyscy

przestali się gapić, zostałam z Conem zupełnie sama i siedzieliśmy w pubie, i wiesz co? Było idealnie. Nie osądzał mnie. Nie wzbudzał we mnie poczucia winy. Po prostu pocieszał mnie, bo zmarła moja mama. Rozwalił mnie wtedy, rozwalił mnie kompletnie.

— No to dlaczego znowu go zostawiłaś? Dlaczego wyjechałaś do Turcji?

Wzruszyła ramionami i westchnęła.

— Rety. Nie wiem. Wynajęliśmy razem mieszkanie, ja i Con, naprawdę fajne miejsce w Leyton. Wybrałam najdroższą ofertę, jaką udało mi się znaleźć, nie zwracałam uwagi na koszt. Naprawdę chciałam pokazać Conowi, że myślałam o nas poważnie, o naszej więzi. Idiotka ze mnie. Wyobrażałam sobie, że przeżyjemy razem coś niesamowitego, że będziemy bez przerwy wychodzić, że się poznamy, że zatracimy się w sobie, naprawdę. I kiedy zdałam sobie sprawę, że on ma własne życie, własnych przyjaciół, że nie miał zamiaru postawić mnie w centrum swojego świata, odbiło mi znowu. Pomyślałam: „A pieprz się”. I zrobiłam to, co zawsze. Uciekłam. To miały być tylko wakacje, ale poznałam Akhuna i nagle ktoś umieścił mnie w centrum swojego świata i pomyślałam sobie, że Con mnie nie potrzebuje, nikt mnie nie potrzebuje. Więc zostałam. Nie sądziłam, że może za mną tęsknić. Do głowy mi nie przyszło, że wyrzucą go z mieszkania. Po prostu myślałam, że wszystko jakoś się ułoży. A gdy wróciłam i dowiedziałam się, że mieszkał na ulicy, o Boże, miałam ochotę podciąć sobie żyły. Nigdy nie czułam się tak okropnie, myślałam jedynie o moim biednym, pięknym synku, na ulicy, bez domu. Często o tym myślę w nocy, wierz mi.

I nigdy, przenigdy już, nie zostawię go, tego jestem pewna.

— No tak, rozumiem, jak się czujesz, ale przecież matka na pewnym etapie musi pozwolić dziecku... zająć się swoim życiem.

— Jeśli Con będzie chciał się ode mnie uwolnić, to wpierw musi mnie o to poprosić. W przeciwnym razie nie odstąpię go na krok. Ja i mężczyźni — to już przeszłość. W moim życiu jest teraz miejsce tylko dla jednego faceta, Cona.

— Och — odpowiedział Toby. — Nie jestem całkowicie przekonany...

— Co?

— Wciąż jesteś bardzo młoda. I świetnie wyglądasz. To taka szkoda odcinać siebie od, no wiesz, możliwości... miłości.

— E tam. — Potrząsnęła głową. — Próbowałam miłości i jest do dupy. Wielkie rzeczy. Jedyna miłość, która się liczy, to miłość do dzieci. Wszystko inne to tylko czcza gada-

nina.

Wypili resztę tequili i przez chwilę siedzieli w ciszy pełnej zadumy. I wtedy rozległ się dzwonek u drzwi.

Toby ociężale stanął na nogach. Był przeraźliwie pijany. Podłoga pod jego stopami wydawała się gąbką, a kartonowe pudła uparcie odrywały się od ścian i stawały mu na drodze. Walnął się w palec o stopień i nie mógł sobie przypomnieć, w którą stronę ma przekreślić klamkę, by otworzyć drzwi. Minęła minuta lub dwie, zanim rozpoznał mężczyznę stojącego przed jego domem z walizką i krwawiącym nosem. Wiedział, że skądś go znał, ale potrzebował więcej informacji, by zidentyfikować twarz.

— Witaj, Toby — powiedział mężczyzna.

— Witaj, eee...

— Tim. Pamiętasz? Przyjaciel Ruby. Zostałem ją?

— Boże. Nie wiem. Byłem... Szczerze mówiąc, to nie zwróciłem uwagi. Może jest. Sprawdzę zaraz. — Stanął u dołu schodów. — RUBY! RUBY!

Pojawiła się na podeście, ścisnęła papierosa i wyglądała na wściekłą.

— Co?

— Twój przyjaciel przyszedł.

— Jaki przyjaciel?

— Ee... — Toby westchnął. Już zdążył zapomnieć. — Przepraszam, jak masz na imię?

— Tim — syknął mężczyzna, rozmazując sobie krew z nosa.

— TIM!

— Co?! — krzyknęła Ruby. — O Boże. Toby uśmiechnął się przepraszająco do Tima.

— Już schodzi. Czy chcesz...? — Otworzył szerzej drzwi. — Przepraszam, ale jestem pijany. Spieszę dodać, że rzadko

się upijam. Szczególnie nie w poniedziałkowe wieczory. Ale właśnie pochowaliśmy kota, i wiesz, wypadki potoczyły się lawinowo i... aaa, oto ona...

— O Boże, Tim. Co się stało z twoim nosem?

— Sophie.

— Co?

— Uderzyła mnie.

- Uderzyła cię? Jezu. Dlaczego?
- Bo powiedziałem jej o tobie.
- O kurwa, Tim.
- I zostawiłem ją. Spójrz. — Wskazał na srebrną walizkę Samsonite. — Zostawiłem ją, Ruby. Jestem wolny.

55

Leah właśnie podchodziła do drzwi wejściowych swojego mieszkania, gdy na ulicy zatrzymała się taksówka, z której wysiadł mężczyzna. Ciągnął za sobą wielką walizkę na kółkach aż do stopni Domu Pawia. Leah stała po drugiej stronie ulicy i zastanawiała się, kim był nieznajomy i co robił. Przeszło jej przez myśl, że być może to ojciec Toby'ego przyjechał, ale facet wyglądał zbyt młodo. A poza tym ojciec Toby'ego miał się zjawić dopiero w przyszłym miesiącu. Stała i czekała, aż ktoś pojawi się w drzwiach domu. Otworzył Toby. Wyglądał na rozgorączkowanego i chwiał się na nogach. Nie słyszała, o czym rozmawiali, ale wyglądało na to, że Toby nie znał tego mężczyzny. W końcu otworzył szerzej drzwi i mężczyzna wszedł do środka. A potem Toby znów je zamknął.

Leah wpatrywała się przez chwilę w dom. Zżerała ją ciekawość. Kim był ten mężczyzna? Dlaczego przyjechał z walizką? Czyim był przyjacielem? Kompletnie straciła rozeznanie, co się dzieje w Domu Pawia, odkąd Amitabh z powrotem się wprowadził. Ale teraz miała idealną okazję, żeby nadrobić zaległości. Zaproszenie Jacka.

Przeszła przez jezdnię i zapukała do drzwi. Otworzył Toby. Z tej bliskiej odległości zauważyła natychmiast, że był kompletnie pijany.

- O mój Boże — powiedział. — Leah. Jak totalnie cudownie znów cię widzieć.
- Minęło trochę czasu.
- Wiem. Minęło. To całkowicie moja wina.
- Nie, moja. Przepraszam. Miałam przyjść już dawno temu...
- Cóż — Toby uśmiechnął się — najważniejsze, że tu jesteś. Obawiam się jednak, że zastałaś mnie nieco pijanego. Melinda i ja mamy właśnie stypę.
- Och, nie. A kto umarł?
- Boris. Nasze małe Borysiatko. Już nie ma go pośród nas, to przykre. Ale szczęśli-

we też. Jeśli wierzysz w aniołki. Wierzysz w aniołki, Leah?

Leah uśmiechnęła się. Pijany Toby był bardzo zabawny.

— Nie — odpowiedziała. — Nie wierzę. Ale wiara w anioły przychodzi wtedy, gdy umiera ktoś, kogo kochamy. A ty w nie wierzysz?

Toby potrząsnął głową.

— Nie — odparł. — Nie. Szczególnie nie w kocie anioły.

— A co z duszą?

— Nie. Żadnych dusz. Chyba że oplakanych tequilą. Masz ochotę na jedną?

Leah zamrugwała.

— Nie, dziękuję. O dziewiętnastej w poniedziałek to raczej niezbyt kusząca propozycja.

Toby oparł się o framugę drzwi i uśmiechnął się do niej. Ona odwzajemniła uśmiech.

— Czy sądzisz, że powinienem zgolić włosy? — zapytał, przeczesując dłońmi burzę niesfornych loków.

Leah zaśmiała się.

— Co?

— Melinda uważa, że moje włosy są okropne. Powiedziała, że powinienem je wszystkie zgolić, jak jakaś gwiazda pop. Co myślisz, Leah?

— Nie — potrząsnęła głową i znów się zaśmiała. — Kształt twojej czaszki nie jest stworzony do ogolonej głowy.

— Powiedziałem dokładnie to samo. — Wyprostował się. — Dokładnie. Jesteś bardzo spostrzegawcza, Leah. Zdziwiał mnie, ile potrafisz dostrzec. Chciałbym być taki jak ty.

Leah wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

— Jesteś bardziej spostrzegawczy, niż ci się wydaje.

— Nie sądzę. Na przykład, gdybym był bardziej spostrzegawczy, zgadłbym, że ty i twój były chłopak znów się zejdziecie. A gdybym był naprawdę spostrzegawczy, przewidziałbym, że nowy facet Ruby zjawi się w moim domu w poniedziałek wieczorem z nosem rozkwaszonym przez porzuconą żonę. Ale nie jestem. Nic nie widzę. Nic nie słyszę. Siedzę sam, oderwany od reszty świata. Wyspa...

— Żaden człowiek nie jest wyspą, Toby.

— W takim razie jestem cypelkiem, a ty, Leah, jesteś drogą.

Uśmiechnął się blado i oparł o framugę.

— O Boże — jęknął, pozwalając, by głowa opadła mu na pierś. — Posłuchaj mnie. Posłuchaj tylko. Co za pijany, pretensjonalny idiota. Jestem całkowicie pewien, że nie przyszłaś tutaj wysłuchiwać mojego żalosego gładzenia. Co mogę dla ciebie zrobić, kochana, najdroższa Leah? Czy chciałabyś wejść do środka?

Odwróciła się i spojrzała na swoje mieszkanie, w którym jasne okna zdradzały oznaki życia.

— Nie — odpowiedziała. — Nie. Lepiej już pójdę...

— Tak, tak, tak. Oczywiście, oczywiście. — Toby energicznie pokiwał głową.

— Chciałam ci tylko powiedzieć, że dzisiaj do sklepu wpadł Jack, Jack Włoch.

— Tak?

— I zgadnij co? Zaprosił mnie w sobotę na kolację. I powiedział, że mogę przyjść, z kim zechcę.

— Proszę, proszę.

— Więc? Jesteś wolny? W sobotę wieczorem?

— Co? Ja?

— Tak. Ty i Melinda.

— O mój Boże. Masz na myśli, że to już to? Wielki plan?

— Tak — odpowiedziała Leah. — Chodzi mi dokładnie o to.

— O Boże. To bardzo ekscytujące. Tak, jestem wolny. I jestem pewien, że Melinda też. Melinda! — krzyknął za siebie.

— Tak?

— Co powiesz na kolację w sobotę wieczorem?

— To zależy. Kto pyta?

— Ja. Ja pytam.

— To tak.

Toby uśmiechnął się.

— Wspaniale — powiedział. — Więc kto jeszcze tam będzie?

— Ty, ja, Jack i Melinda.

— A co z Am... Ami...?

— Nie. Amitabh nie. Nudziłby się.

— To wspaniale. Po prostu idealnie.

— A poza tym czy nie czas, żebyśmy wybrali się w końcu na pływalnię?

— Ach, więc czytałaś moją wiadomość?

— Tak. Amitabh mi ją przekazał. Tylko że jakoś tak, no wiesz...

— Tak, wiem. Wiem, wiem. Jestem wszechwiedzący.

— Więc idziemy?

— Gdzie idziemy, cudowna Leah?

— Na pływalnię. Może w tym tygodniu?

— Tak. Musimy. Definitywnie. Kiedy byś chciała iść?

— W czwartek po południu? Wtedy mam wolne.

— A więc czwartek po południu. Zainwestuję w nowe kąpielówki. I może samoopalacz St Tropez.

— Wychodzę w sobotę wieczorem — obwieściła Amitabhowi kilka minut później.

— Dobra — powiedział, rozplątując kabelki od słuchawek. — Gdzie?

— Wychodzimy z Tobym.

— Co, z tym z naprzeciwka?

— Tak. Spojrzał na nią.

— Co? — zapytała bojowo. — Co w tym złego?

— Nie ma w tym nic złego. Tylko to trochę dziwne, to wszystko.

— Dziwne?

— No. Dziwne. Bo on jest taki trochę inny. Jakoś nie pasuje mi do twoich przyjaciół.

— Wcale nie jest inny. Jest czarujący, jeśli chcesz wiedzieć.

— Okej, okej. Nie musisz się tak jeżyć. Po prostu sam nie wiem, co o nim myśleć, to wszystko. Myślisz, że mu się podobasz?

Leah wsypała farfale do garnka z gorącą wodą i westchnęła.

— Oczywiście, że mu się nie podobam.

— Jest gejem?

— Nie. Nie bądź głupi. Kiedyś był żonaty.

— Oboje wiemy, że to nic nie znaczy...

— Tak czy owak nie jest. Jest zakochany w tej ciemnej dziewczynie, Ruby.

— Skąd, do diabła, wiesz o tym wszystkim? Powiedział ci?

— Nie. To tylko takie... oczywiście.

Leah zamieszała widelcem makaron i wyciągnęła z lodówki słoik pesto. Ta rozmowa zaczynała ją bardzo denerwować. Amitabh zaczynał ją bardzo denerwować. Cała ta sytuacja skojarzyła jej się z filmem *Głęboko, prawdziwie, do szaleństwa*, w którym zmarły kochanek wraca jako duch na ziemię i doprowadza do szalu oplakującą go kobietę. Amitabh był bez wątpienia ciepłym i kochanym człowiekiem. Ale był również niewiarygodnie bierny i denerwująco rozlazły. Żył w kapsule tu i teraz. Nie miał ambitnych planów, nie zadawał sobie ważnych pytań. Chodziło jedynie o przytulność, wygodę i ogólną łatwość w przejściu przez życie. Nie krył w sobie żadnych kącików, zakamarków, żadnych interesujących zaułków, w których można szukać intrygującej tajemnicy. Podczas gdy Toby był jak wiktoriańskie biurko, pełne maleńkich szufladek, schowków i tajemniczych skrytek, Amitabh kojarzył się raczej z pustym pudełkiem.

— Dokąd cię zabiera ten pan czarujący?

— Wychodzimy na kolację.

— Bardzo miło — powiedział Amitabh, wpychając słuchawki w swoje hi-fi. — Doprawdy, bardzo miło.

Leah wyskrobała widelcem trochę pesto ze słoika do miski i mimowiednie zgrzytnęła zębami.

56

Ruby otworzyła oczy.

Jej wzrok spoczął na wielkiej aluminiowej walizce.

Znów je zamknęła.

Wzięła głęboki wdech i odwróciła głowę w lewo. Tim leżał zwrócony twarzą do niej i wpatrywał się w nią intensywnie. Wzdrygnęła się.

— Przepraszam — powiedział, odgarniając włosy z jej oczu. — Przepraszam. To tylko... to takie niesamowite obudzić się przy tobie.

— O Jezu, Tim, dopiero otworzyłam oczy. Daj mi szansę, no wiesz...

Odwróciła się na drugi bok.

— To dopiero wielkie pieprzone megacoś, prawda? — zapytał.

— Można tak to ująć.

Przysunął się do niej i pocałował jej ramię.

— Wszystko będzie dobrze, mój rubinowy cukiereczku, zobaczysz. Zrobię wszystko, żeby się ułożyło.

Wstał z łóżka i zaczął się ubierać. Ruby przyglądała mu się kątem oka. Patrzyła na jego wielkie, białe ciało, z narciarską opalenizną kończącą się tuż pod brodą, tak jakby został zanurzony w puszcze z kreozotem; na czarne futerko w kształcie anielskich skrzydeł wyrastające z klatki piersiowej i miękkiego penisa, który zwisał pod jego brzuchem jak nagi zawodnik zjeżdżający po linie, uwięziony pod okapem skały. Westchnęła i odwróciła się na bok.

— Gdzie idziesz?

— Do biura. Właśnie wróciłem z wakacji. Nie mogę wziąć więcej wolnego. Ale w sobotę ty i ja wybieramy się na poszukiwania mieszkania.

— Tak?

— Tak. Gdzie ci się podoba? Zawsze chciałem mieszkać w Clerkenwell. Co ty na to? Jakieś nieduże mieszkanko. A może Soho? Jakiś mały, ładny apartamencik w środku miasta?

— Co, chcesz mi kupić mieszkanie?

— Nie. Nie kupić. Wynająć. Na teraz.

— Ale mnie nie stać na czynsz tutaj, co dopiero na West Endzie.

— Nie bądź niemądra — powiedział, uśmiechając się do niej pobłaźliwie. — Nic nie musisz płacić. Od tego ja tu jestem. Słuchaj... — Zawiązał krawat od Thomasa Pinka i wywinął kołnierzyk koszuli. — Ty się nad tym tylko zastanów. Zrób listę miejsc, gdzie byś chciała mieszkać. Porozmawiamy o tym wieczorem.

— Okej — zaszczebotała Ruby, której poziom humoru gwałtownie się podniósł na myśl o ekscentrycznych małych kawalerkach nad sex-shopami w Soho. — Tak zrobimy.

Con otworzył żółty kartonik i wyciągnął Bic Maca. Przyjrzał mu się uważnie, zanim włożył go do ust, patrzył na blade ziarenka sezamu i jęzor mięsa w kolorze mułu wystający z bułki. Zajrzał do środka i przez chwilę wpatrywał się w zmiażdżone smakołyki: wilgotną sałatę i rozsmarowany, lśniący majonez. Złożył bułkę i schował ją z powrotem do pudełka.

Siedział w jadalni w pracy, otoczony mężczyznami i gazetami, zjedzonymi do połowy kanapkami i plastikowymi kubkami. Wziął papierowy pojemnik z frytkami i zaczął przeżuwać je automatycznie, przeglądając strony „Evening Standard”.

— Connorze McNulty, nie wierzę! Na pięć minut straciłam cię z oczu, a ty wracasz do McDonalda!

Con podniósł wzrok. Tak jak reszta towarzystwa w pokoju. Przy stoliku stała Daisy. Miała na sobie brązowe skórzane szorty, kremową bluzkę i szarą kamizelkę. Włosy miała splecione w cienki warkocz, a w dłoniach ścisnęła dużą papierową torbę ze sklepu za rogiem.

— Daisy. Wróciłaś. Nie wiedziałem.

— Tak. — Położyła papierową torbę na stole i usiadła obok niego. — Właściwie to już wczoraj byłam w pracy.

— I jak się czujesz? Wyglądasz... wspaniale.

— Tak — pokiwała głową. — Czuję się całkiem nieźle. Fajnie było spędzić trochę czasu w domu pod troskliwą opieką rodziców. A co u ciebie?

— W porządku.

— To dobrze — uśmiechnęła się i przyciągnęła do siebie torbę. — Przyniosłam dla nas panini. Tuńczyk i ser albo szynka i ser. Które wolisz? Jeśli w ogóle zostało ci miejsca po tych frytkach z McDonalda.

Con wziął panino z tuńczykiem i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Mamy remont w kuchni. Nie ma gdzie robić kanapek.

— To nie jest dobra wymówka. — Daisy zlizwała tłuszcz z kciuka. — Od tego są delikatesy.

— A wiesz co? — Wskazał na pudełko. — Nie mogłem tego zjeść. Serio, przyjrzałem się temu, naprawdę się przyjrzałem. I na tym się skończyło. Musiałem to zamknąć w pu-

dełku.

— Hura! — krzyknęła. — Jesteś wyleczony! Moja misja powiodła się.

Con uśmiechnął się i ugryzł panino.

— Wiesz — odezwała się nieśmiało. — Tęskniłam za tobą.

Con spojrział na nią. Próbował wymyślić jakąś odpowiedź, która nie byłaby zbyt wy-
lewna, ale jednocześnie nie byłaby pozbawiona cieplejszych uczuć. Nic takiego nie przyszło
mu do głowy. Uśmiechnął się więc powściągliwie.

— W sumie to... nie wiem — powiedziała. — Myślałam, że może mnie odwiedzisz.
Albo przynajmniej zadzwonisz.

— Tak — powiedział, wpatrując się w kanapkę. — Tak. Wiem. Ja tylko... to było...

— W porządku. Nie musisz się tłumaczyć. Wiem, że choroba może wystraszyć.
Szczególnie jak się jest w twoim wieku. Wiem, że nie każdy daje sobie z tym radę. Ale tele-
fon byłby miły.

— Tak. Masz rację. Przepraszam.

— Mimi powiedziała... — przerwała.

— Co?

— Powiedziała, że może wystraszyli cię nasi rodzice. To całe gadanie, żebyś przyje-
chał i mieszkał u nas.

— Nie. — Potrząsnął głową. — Czemu miałbym się tego wystraszyć?

— Nie wiem. Może było tego za dużo? Za szybko.

— Nie. Powiedziałem ci. Twoi rodzice są super.

— Dlaczego więc?

— Dlaczego co?

— Dlaczego... — Jej oczy wypełniły się łzami. — Dlaczego nie odezwałeś się sło-
wem przez prawie dwa tygodnie?

Wpatrywał się w nią, desperacko próbując wymyślić jakieś wytłumaczenie, od które-
go nie rozplakałaby się jeszcze bardziej.

— O Boże, Daisy.

— Przeze mnie? To nie ma nic wspólnego z moją chorobą czy rodziną? Dlatego, że
nie jesteś już mną zainteresowany? — Łza pociekła jej z oka i wylądowała na policzku. Po-
toczyła się dalej do kącika ust. Daisy wytarła ją dłonią. — Bo jeśli o to chodzi, to naprawdę

chciałabym wiedzieć.

— Nie — powiedział. — Oczywiście, że nie.

— Więc o co? Bo to naprawdę nie jest całkowicie normalne napisać dla kogoś wiersz, powiedzieć mu, że się go kocha, potem zostawić go w szpitalu, poważnie chorego i nie odezwać się słowem!

Cały pokój zamilkł. Słysząc było jedynie brzękliwe głoś Rachel Stevens z Radia Capital i Daisy.

— Dla mnie to nie ma żadnego sensu — ciągnęła. — Ani trochę. Ale przyszłam tutaj, tłumaczyłam sobie twoje zachowanie na tysiąc sposobów — że wystraszyłeś się mojej choroby, mojej rodziny. I miałam być opanowana i wszystko mieliśmy spokojnie sobie wyjaśnić i miało być okej. Ale tak nie jest, prawda?

Con kątem oka widział pozostałych facetów. Wszyscy patrzyli i słuchali. Wzruszył ramionami.

— Wszystko gra — powiedział.

— Tak?

— Tak. Ja tylko... To tylko nie jest... Boże.

— Nie. W porządku. — Daisy upuściła swoje panino na stół i wstała. — Naprawdę. Wszystko absolutnie gra. Nie zwracaj sobie głowy wyjaśnianiem. To tylko pogorszy sytuację. — Złapała paski torebki kredowobiałą ręką, patrzyła na Cona przez chwilę, a potem wyszła.

W pokoju zapanowała głucha cisza. Con usłyszał walenie swego serca w klatce piersiowej. Kanapka wypadła mu z rąk.

— Jezu, Con — odezwał się głos z końca pokoju — ale z ciebie pieprzony kutas.

We wtorek wieczorem do pokoju Toby'ego wkroczyła Melinda. Z pudełkiem.

— Toby — odezwała się, przemknąwszy obok niego w stronę łóżka. — Nie denerwuj się się, przyszłam cię uporządkować.

— Uporządkować co?

Otworzyła pudełko i wyciągnęła czarny przedmiot wielkości telefonu komórkowego z wystającym sznurkiem. Rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu gniazdek elektrycznych i podłączyła przedmiot do kontaktu.

— A teraz — powiedziała, odciągając od komputera jego krzesło na kółkach w kierunku łóżka — chodź tutaj. — Postukała w siedzisko. — Usiądź.

— Eee, Melinda, co...?

— Zaufaj mi, Toby. To dla twojego dobra. Nigdy przenigdy nie będziesz tego żałował, nawet przez minutę. Usiądź już.

Podporządkował się jej instrukcjom i spojrzał nerwowo na to czarne coś w jej ręce. Zerwał się na równe nogi, gdy włączone przez nią urządzenie zaczęło bardzo głośno wibrować.

— O Jezu — powiedział, patrząc na nią z przerażeniem. — Co ty chcesz mi zrobić?

— Po prostu usiądź i sam się przekonasz.

Toby spróbował się zrelaksować. Wyobraził sobie, że to wibrujące czarne coś jest przyrządem do masażu, i przygotował się na przyjemne doznania między łopatkami. Zamiast tego jednak Melinda zaczęła pocierać urządzeniem jego kości policzkowe. Jeździła przedmiotem wte i wewte po lewej stronie jego twarzy, co nawet sprawiło mu przyjemność.

— Miło? — zapytała.

— No, nie jest okropnie, ale... — Przerwał, gdy jego wzrok spoczął na pustym pudełku leżącym na łóżku. Pod zdjęciem przedmiotu na wieczku widoczny był napis: „Przybornik do stylizacji włosów” i „Maszynka do strzyżenia”. Spojrzał na podłogę. Leżały na niej maleńkie kępki włosów. Złapał się za lewy policzek, gdzie przez blisko połowę życia rosły mu włosy. Poczuł skórę, delikatną i gładką jak na brzuchu kociątka.

— O mój Boże! Melinda! Nie!

Zerwał się, kiedy poczuł, jak przedmiot ślizga się między jego włosami.

— Kurde, Toby, przestaniesz się wiercić?

— O Boże! — Złapał się za głowę i wyczuł łysy placek. — Jezus Maria!

— Toby, usiądź tylko!

— Nie! Nie usiądę. Coś ty zrobiła? Coś ty zrobiła?! — Popędził do lustra i wlepił wzrok w swoje odbicie. Miał tylko jednego bokobroda i brakowało mu części włosów na głowie. Wyglądał, jakby cierpiał na okropną, naprawdę okropną chorobę.

— Toby, przestań panikować. Chodź tutaj, a ja zrobię z tym porządek.

— Nie wierzę, że zgoliłaś mi bokobroda.

— A myślałeś, że co będę robiła maszynką do strzyżenia?

— Nie wiedziałem, że to maszynka.

— A niby co, u diabła?

— Nie wiem, jakiś przyrząd do masażu. Myślałem, że chcesz mnie wymasować.

Melinda zasłoniła usta dłonią i wybuchnęła śmiechem.

— O kurde. Ja cię pierniczę, Toby. Przepraszam. Myślałam, że każdy wie, jak wygląda maszynka do strzyżenia!

— Jak widzisz, najwyraźniej nie. — Toby znów spojrzął na siebie w lustrze. Przerazony odwrócił głowę. — O Chryste, Melinda. Co my teraz zrobimy?

59

Con głęboko wciągnął powietrze. Dotknął włosów i zerknął w ciemne okno na swoje rozmyte odbicie. Wypuścił powietrze. Potem popchnął przed siebie drzwi do działu mody, przybierając, jak miał nadzieję, spokojną i rzeczową minę. Pierwsze, co zobaczył, to głowa Daisy. Dziewczyna stała nad faksem i obserwowała, jak maszyna wypluwała kartkę po kartce. Miała na sobie niebieski sweter do ud, kremową, koronkową sukienkę i jasnobrązowe buty. Włosy spięła w kok. Con szybko przesunął wózek do tacki z listami obok biurka, mając nadzieję, że Daisy się nie odwróci i nie zobaczy go. Dziewczyna w okularach w rogowej oprawce podała mu kopertę bąbelkową, bez uśmiechu. Wrzucił ją do wózka i szedł dalej. Właśnie doszedł do tacki z listami, kiedy zaczął dzwonić telefon Daisy. Ona cmoknęła, westchnęła i odwróciła się. Zesztywniała na jego widok, potem odwróciła wzrok. Podeszła do biurka i podniosła słuchawkę.

— Halo. Daisy Beens.

Con odwrócił się i zaczął załadowywać wózek. Wydawało się, że Daisy rozmawia z przyjaciółką.

Minutę później odłożyła słuchawkę i skierowała się w jego stronę.

— Mam jeszcze kilka listów — odezwała się zimno. — Możesz poczekać sekundę?

Skinął głową i czekał, a ona sortowała koperty. Wpatrywał się w zachmurzone niebo za oknem. Jakaś dziewczyna siedząca kilka biurk dalej rozmawiała przez telefon i parskała śmiechem.

— Nie! — wysapała do telefonu. — To najbardziej skandaliczna rzecz, jaką słyszałam w życiu!

Z przyległego gabinetu wyszła kobieta w średnim wieku, za nią dreptała udręczona, załadowana stertą notatek dziewczyna. Daisy odwróciła się i podała Conowi mały wachlarz kremowych kopert.

— Priorytetem — rzuciła krótko. — Proszę. — A potem wróciła do faksu i wzięła kopiowany dokument.

Con wypchnął wózek na korytarz i odetchnął, a jego ciało skurczyło się od wstydu, poczucia winy i smutku.

60

Toby sprawdził godzinę na komputerze.

11.23.

Westchnął i wyciągnął buty spod łóżka.

Zawiązał chustkę wokół szyi i podniósł stary kubek.

Zatrzymał się i zanim wyszedł z pokoju, zerknął na swoje odbicie w lustrze. Wciąż nie mógł przyzwyczać się do tego pozbawionego owłosienia mężczyzny, który się w niego wpatrywał. Musieli zgolić wszystko. Melinda próbowała jeszcze obciąć go na krótko z tyłu i po bokach, ale Toby wyglądał jak neonazista, więc nie zatrzymywała maszynki, aż na głowie została mu jedynie króciutka szczecina. Bokobrodów nie dało się uratować. Goliła drugi, a Toby ze ściśniętym sercem przyglądał się, jak spada w kępkach na podłogę.

Przerażała go ta obnażona twarz. Czuł się tak, jakby nie zapiął rozporaka albo wysta-

wała mu bielizna. Bez przerwy łapał się za policzki w poszukiwaniu owłosionych miejsc. Czaszka wyglądała tragicznie, cała różowa i wyschnięta, przypominała męskie jądro. Niemal bez przerwy zakładał teraz czapkę. Melinda upierała się, że wyglądał wspaniale, „jak ten facet z *Doktora Who*". Ale jego oczy nie kłamały: był łysym i trochę przerażającym facetem. Wyszczrzył zęby do odbicia w lustrze i przełknął ślinę.

Za pół godziny miał wizytę u dentysty. Zadzwoił, by zarezerwować termin u higienistki, a oni, jak to mieli w zwyczaju, zapisali go również na przegląd u dentysty. Od lat nie odwiedził gabinetu dentystycznego. Dobrze wiedział, co usłyszy — że ma połowę zębów do wyrwania, a w reszcie będą wiercić dziury. Spędzi tam przynajmniej trzy godziny i wyjdzie z wrażeniem, że przeżuł kufel piwa. Zakładając, że będzie miał szczęście.

Toby nie bał się dentystów, ale wkurzali go. Inni lekarze nie zmuszali człowieka do dwóch kontrolnych wizyt w roku. Czekali, aż człowiek tak się rozchorował, że pukał do gabinetu z własnej woli. Dlaczego dentyści nie mogli robić tak samo? Dlaczego wpędzali w poczucie winy, jeśli na fotelu dentystycznym nie siedziało się od dłuższego czasu? Przecież brak częstych wizyt mógł świadczyć także o dobrej kondycji uzębienia.

Zszedł na dół z butami i kubkiem. Postawił kubek na blacie z czarnego granitu w nowej kuchni i włożył buty. Wczoraj zakończono tu remont i Toby miał wrażenie, że znajduje się w najpiękniejszej kuchni na świecie. Stały w niej szafki w kolorze oberżyny, kuchenka z sześcioma palnikami, barek śniadaniowy ze sprzętem do barbecue oraz amerykańska lodówka z pojemnikiem na wodę. Podłoga w kuchni została wycyklinowana i pobejcowana w kolorze orzecha włoskiego, a z sufitu błyszczały halogenowe lampki. A dzięki sprytnym zakupom Damiana za całość dał zaledwie 5000 funtów więcej, niż zamierzał.

Pudła z jedzeniem Melindy piętrzyły się za tylnymi drzwiami, miała je rozpakować dzisiaj wieczorem. Na samym szczycie dojrzał wystającą szyjkę butelki tequili. Zanim zdążył pomyśleć, usunął korek i pociągnął trzy duże łyki. Nie ufał środkom przeciwbólowym. Jeśli jakiś dentysta miał za chwilę zacząć kroić mu w buzi, chciał się przynajmniej upewnić, że nic nie będzie czuł. Przyłożył butelkę do ust i wypił jeszcze trochę. Spojrzał na butelkę. Była prawie pusta. Więc ją dokończył.

Dochodziła piętnasta dwadzieścia. Leah umówiła się z Tobym przed budynkiem pływalni Park Road na piętnastą. Zanim zrezygnowała z dalszego czekania, rozejrzała się jeszcze raz po ulicy i weszła do środka.

Na basenie było spokojnie. Lubiła tu spędzać czas, kiedy miała wolny dzień. Podreptała boso na koniec basenu i zanurzyła się w cieplej, uspokajającej wodzie. Przemierzała basen w jedną i drugą stronę, czując, jak napięcie opuszcza jej łopatki, szyję, biodra. Po czterech długościach przystanąła i chwyciła się krawędzi basenu. I wtedy go zobaczyła.

Nie była z początku pewna, czy ten wysoki, chudy mężczyzna w maleńkich, chłopięcych kąpielówkach Speedo, które niczym folia oblepiły każdy szczegół anatomiczny jego genitaliów, to Toby. Brakowało jego włosów, a twarz wyglądała asymetrycznie. Ale kiedy podszedł i się uśmiechnął, nie miała najmniejszych wątpliwości. To był Toby.

— O mój Boże! — zawołała. — Toby! Wyglądasz tak... Co się stało z twoimi...? O Boże.

— Przeistoczyłem się w potwora. Melinda zaatakowała mnie maszynką do strzyżenia, potem mężczyzna o imieniu Shiyarayagan wyrwał mi ząb. — Otworzył usta w celu zaprezentowania dziury. — A do tego stoję w tym publicznym miejscu, pierwszy raz od czasów szkoły, dosłownie całkowicie obnażony. Tu i tam zaczynam się sypać. Powoli rozkładam się na kawałki. Do końca przyszłego tygodnia będę pozbawiony jakiegokolwiek pokrywy. Zostaną jedynie kości.

Lewa część jego twarzy była lekko opuchnięta i porażona znieczuleniem. Mówił zniekształconym głosem.

— I bardzo przepraszam za spóźnienie. Wizyta u dentysty tak się przeciągnęła. Widziałem się też z higienistką, która stwierdziła, że moje zęby warte są godziny jej uwagi. — Potrząsnął głową z niedowierzaniem. — Mam za sobą bardzo dziwny tydzień.

— No, to możesz kontynuować ten wątek. Wskakuj!

— O Boże. — Toby zerknął na wodę. — Ja naprawdę... to jest takie... nie byłem na basenie już od tak dawna. Może już wcale nie potrafię pływać?

— Oczywiście, że potrafisz. Dalej. Wskakuj.

Toby chwiał się nieco na nogach. Stał na krawędzi basenu, przyglądał się z namysłem

wodzie i kołysał się lekko.

— Wszystko w porządku?

— Tak — odpowiedział nieprzytomnie. — Tylko to powietrze tutaj, jest takie... niebieskie, prawda? Czy nie kręci ci się od niego w głowie?

— Nie — zaśmiała się Leah.

— Prawdopodobnie jesteś przyzwyczajona. To musi być ten chlor. Albo coś. Muszę przyznać, że czuję się trochę dziwnie. — Zrobił krok w kierunku wody i zamknął oczy. Zachwiał się. Nagle całe jego długie na metr dziewięćdziesiąt parę ciała przechyliło się do przodu i wyprostowany jak struna Toby runął do wody, uderzając głową w najpłytsze miejsce basenu.

— Boże, Toby! — Leah patrzyła z przerażeniem, jak cienka czerwona smuga sączy się na powierzchnię wody. Ciało Toby'ego leżało bez ruchu na dnie. Ratownik dmuchnął w gwizdek, a ludzie zaczęli biec w ich kierunku. Leah włożyła ręce pod pachy Toby'ego i wypłynęła z nim na powierzchnię. — Kurde, Toby, nic ci nie jest?

Miał zamknięte oczy, a nad prawym łukiem brwiowym z dużego rozcięcia leciała krew. Starszy mężczyzna pojawił się u boku Leah i pomógł jej wyciągnąć Toby'ego z basenu.

Leah wygramoliła się z wody i przepchnęła się przez gromadę ludzi do Toby'ego.

— W porządku — powiedziała, mijając ratownika. — Jestem po kursie udzielania pierwszej pomocy.

Toby był nieprzytomny i mocno krwawił. Odgięła do tyłu jego głowę i złapała go za nos. Potem otworzyła mu usta, pochyliła się i złożyła pocałunek życia. Ktoś przyłożył ręcznik do jego czoła, ktoś inny wzywał karetkę. Leah ucisnęła klatkę piersiową Toby'ego obiema dłońmi, potem znów przywarła do jego ust. Nie oddychał. I wciąż nie otworzył oczu.

— Proszę się odsunąć — powiedział ratownik, chwytając ją za ramię.

— Nie! — Leah wyrwała mu się i kontynuowała reanimację. W końcu, kiedy za czwartym razem oderwała swoje usta od niego, Toby zakaszłał. Leah przysiadła na piętach i odetchnęła bardzo głęboko. Przez tłum gapiów przeszło westchnienie ulgi. Toby znów zakaszłał i tym razem fontanna chlorowanej wody trysnęła z jego ust. Gdy odkrztuszał wodę po raz trzeci, zwymiotował obficie, brudząc przy tym swą klatkę piersiową i wyłożoną płyt-

kami podłogę. Tłum cofnął się.

Toby otworzył oczy i spojrzał prosto na Leah. Potem ogarnął wzrokiem morze twarzy. Następnie usiadł.

— Leah — wychrypiał, patrząc na nią z przerażeniem. — Czy ja właśnie prawie utonąłem?

— Tak — skinęła głową.

— Ale uratowałaś mnie?

Znów skinęła twierdząco. Przyłożył opuszki palców do skroni.

— Czy ja krwawię?

— Tak. Karetka jest w drodze.

— O Boże, co się dzieje, Leah? Co się ze mną dzieje?

— Wszystko w porządku — uspokajała go. — Nic ci nie będzie. Myślisz, że dasz radę wstać?

— Tak — odpowiedział. — Nie. Nie wiem. Myślisz, że powinienem spróbować?

— Tak.

— O Boże — jęknął, spoglądając na podłogę. — Wszystko jest zarzygane. Czy ja to zrobiłem?

— Tak.

— Obrzydliwe. Bardzo przepraszam. Czy musiałaś całować mnie, no wiesz, z rzygami na twarzy?

Uśmiechnęła się i pomogła mu wstać.

— Nie, zwymiotowałeś dopiero po moim pocałunku.

— Och, dzięki Bogu. — Wziął zakrwawiony ręcznik od mężczyzny, który przytrzymał opatrunek przy jego głowie. — Dziękuję — zwrócił się do niego. — Dziękuję wszystkim. I bardzo, bardzo przepraszam — spojrzał na ratownika — za cały ten bałagan. — W drodze do szatni dotknął stopą mokrej plamy wymiocin, poślizgnął się i lekko zachwiał. Przywarł do Leah, poczuł jej nagą skórę. Ona objęła go w pasie i przyciągnęła do siebie zdziwiona ciałem, które poczuła pod palcami. Zdawało się takie twarde i witalne w porównaniu z miękkim i obfitym ciałem Amitabha. Przed oczami stanęła jej sylwetka Toby'ego w oknie, oświetlona lampą z pokoju. Zobaczyła go też na ulicy owiniętego w te dziwne ubrania, kapelusze, bujne włosy, warstwy i nakrycia. Nawet latem chował pod czymś nogi,

ramiona, głowę. Odczuwała radość, niemalże podniecenie na widok obnażonego, ogolonego z włosów, pozbawionego ubrań i godności ciała. Przestał grać rolę w jej wymyślonej tele-noweli, stał się najprawdziwszym mężczyzną.

Ktoś przyniósł ich ubrania z szatni i Toby z Leah siedzieli razem w recepcji, czekając na karetkę.

— Będą cię musieli zszyć w tym miejscu — powiedziała Leah, patrząc na zakrwawiony ręcznik.

— No cóż — Toby odezwał się słabym głosem — wydaje mi się, że nie wymyśliłbym lepszego uwieńczenia tego tygodnia.

— Tak mi przykro. To moja wina.

— Och, nie. — Spojrzał na nią zatroskany. — Naprawdę. Nie wolno ci myśleć w ten sposób.

— Ale tak jest. To ja wpadłam na pomysł, żebyś spróbował pływania. A teraz jesteś ranny. Mogłeś umrzeć, Toby.

— Nie, to całkowicie moja wina. Na śniadanie wypłem tequilę.

— Żartujesz?!

— Nie. Wstyd mi się do tego przyznać. Nie dlatego, że mam problem z piciem, naprawdę, chyba że mój problem polega na tym, że nie piję wystarczająco dużo. Chociaż pewnie trudno ci w to uwierzyć po naszych ostatnich spotkaniach. A potem, Bóg jeden wie, co mi dali u tego dentysty. Gaz i powietrze, prochy i... — Wzdrygnął się na to wspomnienie. — Głupi byłem, że w ogóle tu przyszedłem. Ale tak bardzo cieszyłem się na spotkanie z tobą...

— Naprawdę?

— Tak, czekałem na to przez cały tydzień. Światelko na końcu tunelu.

— Och, nie. I zobacz, jak skończyłeś. Uśmiechnął się do niej.

— Skończyło się dobrze. Mam bliznę, która nada charakteru mojej twarzy. I całowała mnie piękna kobieta. Szkoda, że nie pamiętam za wiele.

Leah uśmiechnęła się, dziwnie zachwycona, że opisał ją jako piękną kobietę.

— To było bardzo miłe. Świetnie całujesz — odpowiedziała.

— Nawet w śpiączce?

— Bez dwóch zdań.

— No to dobrze wiedzieć na przyszłość, gdyby zdarzyło mi się całować w tym stanie. Jestem ci dozgonnie wdzięczny za to, że nie pozwoliłaś temu mężczyźnie ratować mi życia.

— Ratownikowi?

— Tak. Umarłbym z przerażenia, gdybym oprzytomniał z jego tłustym pyskiem na swoich ustach.

Leah zaśmiała się.

— Właśnie dlatego mu nie pozwoliłam. Wiedziałam, że byłbyś wstrząśnięty.

Uśmiechnął się do niej, a Leah olśniło, jak diametralnie zmieniła się jego pozbawiona włosów i bokobrodów twarz.

— Wiesz co — odezwała się — myliłam się. Masz bardzo ładnie ukształtowaną czaszkę. Właściwie to wolę cię bez włosów.

— Naprawdę?

— Tak. Przedtem wyglądałeś jak Tom Baker. Teraz jak Christopher Ecclestone.

— Och, dokładnie to samo powiedziała Melinda. Czyli to dobrze, tak?

— Tak, nawet bardzo.

Przed budynkiem zatrzymała się karetka i wsiedli do niej razem.

— Nie musisz ze mną jechać, wiesz o tym, prawda?

— Tak — odpowiedziała. — Wiem, ale chcę.

— To dobrze. — Toby chwycił jej rękę. — To dobrze.

Dziesięć minut później karetka zatrzymała się przed izbą przyjęć, a oni wciąż trzymali się za rękę.

62

Toby przypominał teraz chuligana z Gorbals w niedzielny poranek. Na ciętą ranę założono mu osiem szwów, jego oko napuchło i przybrało kolor karaibskiego zachodu słońca w końcowej fazie. Maszerował ulicami, a ludzie trzymali się od niego w bezpiecznej odległości, nawet wtedy gdy nakładał nowiuteńką kurtkę Agnes B i zamszowe, piaskowe buty. Z podbitym okiem, zszytą twarzą i bez jednego zęba wyglądał jak wyrośnięty skinhead. Rozwahał nawet, czy nie sprawić sobie koszulki z napisem „Jestem poetą” z przodu i „Chodziłem do prestiżowej szkoły” z tyłu. Ludzie, z którymi miał kontakt, cofali się i wzdrygali

na jego widok. Z jednej strony czuł się z tym nieswojo, z drugiej zaś cała ta sytuacja bawiła go.

Miał wrażenie, jakby chodził w przebraniu; zwracał na siebie uwagę, a jednocześnie pozostawał anonimowy. Czuł, że może zaskakiwać ludzi, burzyć porządek dnia jedynie dzięki temu, że wychodząc z domu, nie wkładał czapki.

I może właśnie dlatego nagle nabrał pewności, że jest w stanie utrzymać wodze w dłoniach, przejąc kontrolę nad domem. Do przyszłego tygodnia musiał obwieścić lokatorom, że sprzedaje dom i że w związku z tym muszą się wyprowadzić. Po tym zostaną mu trzy tygodnie na odnowienie wynajmowanych pokoi (bez względu na to, czy lokatorzy wciąż będą w nich mieszkać) i ostateczne wykończenie domu. Nie mógł pozwolić sobie na bałagan. Im dłużej zwlekał, tym trudniejsze stawało się to dla wszystkich.

Najpierw skierował się do pokoju Cona i Melindy. Stary Toby uważałby to za bardzo nieuprzejme i dziwne pukać do drzwi lokatorów w środku wieczora. Nowy Toby miał to gdzieś.

Drzwi otworzył Con. Melindy nie było.

— Witaj, Con. Czy mogę wejść na chwilę?

— Pewnie.

Chłopak oglądał jakiś program z rozwrzeszczanymi ludźmi w studio. Sięgnął po pilota i ściszył głos. Toby rozejrzał się po pokoju, odnotowując szybko w myślach uwagi dotyczące planu remontowego.

— Nie masz nic przeciwko, żebym...? — Wskazał na brzeg dywanu i przykucnął. — Muszę zobaczyć, czy pod spodem są deski podłogowe. — Odsunął dywan w zielone wzory i zajrzał pod niego. — Uhm. — Uśmiechnął się pod nosem i puścił dywan. — Bardzo dobrze.

Con spojrział na niego.

— Po co to robisz?

— Zastanawiam się nad zerwaniem tych wszystkich wykładzin i wycyklinowaniem podłóg. Chciałem sprawdzić, czy te są w dobrym stanie.

Con skinął głową i usiadł na łóżku matki. Toby przeciągnął dłonią po swojej aksamitnie gładkiej głowie i uśmiechnął się.

— A co u ciebie, Con. Jak się sprawy mają? Mam wrażenie, że nie rozmawialiśmy od

dawna. Wszystko dobrze z Daisy?

Con wzruszył ramionami i zaczął bawić się szczotką do włosów Melindy.

— Coś mi się wydaje, że nie wygląda to... za dobrze. Nie układa się wam?

— Eee, cała ta sprawa to był jeden wielki żart.

— O — zdziwił się Toby. — Dlaczego?

— Nie wiem. Jej rodzina, wiesz, byli tacy...

— Protekcyjnalni? Aroganccy? Niesympatyczni?

— Nie. Nic z tych rzeczy. Byli naprawdę mili, kiedy się z nimi spotkałem, ale wydawało się to trochę...

— Sztuczne?

— Tak. Właściwie nie. To po prostu nie miało sensu, to wszystko. Mają piękną córkę, wysłali ją do najlepszych szkół, dbali o nią, przyglądali się, jak szła do szpitala i wychodziła z niego, odkąd była dzieckiem. Chodzi mi o to, że chcą dla niej tego, co najlepsze, prawda?

— No tak, ale nadal nie bardzo cię rozumiem.

— To przecież oczywiste. Dlaczego mieliby chcieć, by ktoś taki jak ja kręcił się wokół ich dziewczynki? Widzisz, nawet zaprosili mnie do siebie.

— A dlaczego nie mieliby tego robić?

— Bo, kurde, nie wiem, o czym byśmy rozmawiali. No wyobraź to sobie tylko, siedzimy wszyscy w kupie przy ich stole, jemy śniadanie, oni zaczytani w tych wielkich gazetach, nawijają o polityce, światowych wydarzeniach i pieprzonej muzyce klasycznej. Czuję się jak piąte koło u wozu. Mam wrażenie, że oni wszyscy byli dla mnie mili, bo uważają, że jestem tylko, no wiesz, etapem przejściowym. Nic poważnego. Są uprzejmi, bo wiedzą, że zabawię tam tylko przez chwilę. Myślę, że gdyby naprawdę wiedzieli, co czułem do ich córki i co ona do mnie czuła, to spieprzaliby gdzie pieprz rośnie.

Toby westchnął.

— Rozmawiałeś z Daisy o tym, co czujesz?

Potrząsnął głową, wyciągnął włos ze szczotki Melindy i owinął go sobie wokół małego palca.

— Nie. Nie gadamy już ze sobą.

— Masz na myśli, że to już koniec?

Wzruszył ramionami.

— Na to wygląda.

— Ale Con, to niedorzeczne. Jesteś zakochany w tej dziewczynie...

Znów wzruszył ramionami.

— Gotowałeś dla niej, napisałeś wiersz. Ta dziewczyna miała zmienić twoje życie.

— Tak! — Con uderzył szczotką o swoje udo. — Tak! Dokładnie. Miała zmienić moje życie. A ja, kurde, nie chciałem tego. Nie chcę dziewczyny, która przez całe życie będzie leżeć w szpitalu, której rodzice oczekują, że będę z nimi biegał, jak jakaś wielka, szczęśliwa pieprzona rodzinka, którzy będą mi patrzeć na ręce przez cały czas, będą wciąż się upewniać, że jestem wystarczająco dobry dla ich małej dziewczynki. Lubię swoje życie, wiesz. Mam plany. Rzeczy, które chcę zrobić.

— Z pewnością możesz to wszystko robić z Daisy.

— Co, wyjechać i żyć na Karaibach? A co będzie następnym razem, kiedy dostanie infekcji płuc albo innego cholerstwa, jeszcze bardziej poważnego? Będziemy właśnie żeglować łódką, a do najbliższego przyzwoitego szpitala będzie można się dostać tylko samolotem? Jak sądzisz, co mamuśka z tatulką o tym pomyślą? Nie, stary, to po prostu zbyt... Nie mogę tego zrobić. Nie mogę.

— A nie mógłbyś trochę zmodyfikować swoich planów? Może mógłbyś, sam nie wiem, poszukać na innych wyspach. Guernsey, Jersey, Sark, Sycylia. Albo wyspy greckie?

— Nie — powiedział Con stanowczo. — Miałem plan. Jeszcze tylko osiemnaście miesięcy w Conde Nast. Potem licencja w Afryce Południowej. Karaiby. Przykro mi, Toby, wiem, że zależało ci na mnie i Daisy i naprawdę doceniam wszystko, co zrobiłeś. Ale nic z tego nie będzie, okej?

Toby westchnął.

— Cóż — odezwał się. — Uważam, że to wielka szkoda, naprawdę. Prawdziwa miłość nie pojawia się tylko wtedy, kiedy jest to wygodne, wiesz? Nie spada tak po prostu z nieba i nie dopasowuje się do wszystkiego. Prawdziwa miłość jest jak wrzód na dupie. Dla niej trzeba pójść na kompromisy.

— Pewnie. Ale ja już w swoim życiu zawarłem wystarczająco wiele kompromisów, wiesz?

— Jakie kompromisy masz na myśli?

— Opiekowałem się babcią, siedziałem z nią w domu, bo czułem się zbyt winny, by

zostawić ją samą sobie. Mam głównianą pracę. Dzielę pokój z moją popieprzoną matką.

— Myślałem, że lubisz dzielić z nią pokój?

— No co ty. Oczywiście, że nie. Wszystko gra, póki pracuje na nocną zmianę, ale jest do dupy, kiedy pracuje za dnia.

— Dlaczego więc nie powiesz jej, że nadszedł czas, by ruszyła dalej?

— Nie ma mowy! Nie mogę jej wykopać!

— Dlaczego nie? Ona nie miała skrupułów.

— Tak, ale to coś innego.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Po prostu.

Toby westchnął. Sytuacja wymagała podjęcia drastycznych kroków.

— Słuchaj — zwrócił się do Cona — ile kosztuje kurs na licencję pilota?

Con pociągnął nosem.

— Jakies dwanaście kawałków.

— A ile już uzbierałeś?

— Pięć.

— Dobra, więc potrzebujesz jeszcze siedem. I uważasz, że uzbierasz je w ciągu osiemnastu miesięcy, tak?

— Tak. Jeśli się postaram. Jeśli będę trzymał się z daleka od sklepów z ciuchami.

— Myślę, że będzie ci ciężko. Moim zdaniem z twoją pensją zajmie ci to ponad dwa lata. Oto moja propozycja. Pożyczę ci te siedem tysięcy, ty wyjedziesz i zdobędziesz swoją licencję, kasę oddasz, kiedy zaczniesz pracować. Ale w zamian musiałbyś zrobić dwie rzeczy...

Kolejnym przystankiem Toby'ego był pokój Joanne. Nie widywał jej prawie od tamtego pamiętnego wieczora, gdy pojawił się mężczyzna podający się za jej męża. Zniknęła na dwa tygodnie, wróciła trzy dni temu z obciętymi na krótko włosami ufarbowanymi na biało i z różowym kolczykiem w nosie. Oczywiście nikt nie pytał, gdzie się podziewała. Nie zaspokoiliaby ich ciekawości; wszyscy w domu o tym wiedzieli. Toby miał plan. Prosty i — przy jego obecnym nastawieniu do życia — realny. Zakładał, że zagra według jej zasad. Skinhead z podbitym okiem mógł zachowywać się dokładnie tak jak ona, czyli szorstko, sztywno i nieludzko. Toby wciągnął powietrze i zastukał do drzwi.

— Tak?

— Joanne, to ja, Toby. Chciałbym zamienić z tobą słowo.

Zabrało jej to całą minutę, by podejść do drzwi, a kiedy się w końcu przy nich znalazła, otworzyła je zaledwie na półtora centymetra, pokazując Toby'emu jedynie mały fragment swojej twarzy.

— Tak? — zapytała znowu.

— Czy mogę wejść?

W jej oczach dojrzał błysk przerażenia.

— Nie. Wolalabym nie.

— Dobrze — odpowiedział Toby. — W takim razie czy mogłabyś przyjść do mojego pokoju?

Joanne zmrużyła oczy. Wciągnęła głęboko powietrze i wypuściła je głośno.

— Okej. Kiedy?

— Teraz jest odpowiedni moment.

— Dobrze. Daj mi chwilę.

Minutę później wślizgnęła się do jego pokoju w piżamie w czerwoną kratę i okularach na nosie. Piżama była na nią o wiele za duża. Nie uczesała się. Przeszła przez pokój przyklejona do ściany, jakby przyciągnęła ją do niej jakaś magnetyczna siła.

— Co się stało z twoją twarzą? — zapytała.

— Uderzyłem głową o dno basenu.

— O kurczę. Bolało?

— Tak.

— I dlatego nie masz włosów?

— Nie. To sprawka Melindy. Stwierdziła, że mam za dużo włosów, i wzięła sprawy w swoje ręce.

Joanne skinęła głową i przesunęła się do przodu o centymetr.

— Tak wygląda lepiej — odezwała się. — Zgadza się. Faktycznie miałeś zbyt wiele włosów. Nie wyglądało to zbyt higienicznie.

— Okej — powiedział Toby. — Dobrze. Nigdy wcześniej nie myślałem o tym w ten sposób. — Przerwał na chwilę, roztrząsając fakt, że przez lata chodził po świecie, wyglądając niehigienicznie. Ta myśl zasmuciła go. — A wracając do rzeczy, chciałem się z tobą zo-

baczyć, żeby dowiedzieć się, jak sobie radzisz.

— Radzę z czym?

— No wiesz, tak ogólnie. Jesteś zadowolona z mieszkania? Skinęła głową, splatając ręce na piersi.

— Tak — odpowiedziała. — Nie mam zastrzeżeń. Podobają mi się nowe łazienki i kuchnia.

— To dobrze — powiedział Toby. — To dobrze... Spojrzała na niego z ukosa, wydeła wargi.

— Co się z tobą dzieje? — zapytała.

— Słucham?

— Z tobą. Jesteś inny. Jesteś cały... najeżony. Co się dzieje?

— Najeżony?

— Tak. Zachowujesz się tak arogancko.

— Naprawdę?

— Tak. Jesteś inny.

— Przypuszczam, że to przez mój nowy wygląd odnosisz takie wrażenie.

— Hmm.

— Tak naprawdę chciałem z tobą porozmawiać o tym, co zaszło w domu w zeszłym miesiącu.

— Nie rozumiem.

— Nick. Twój mąż.

— Mówiłam ci już. Nie mam męża. To był jakiś wariat — pewnie ćpun.

— A skąd znał twoje imię?

Wzruszyła ramionami.

— Nie mam pojęcia.

— Skoro go nie znasz, to dlaczego zniknęłaś na dwa tygodnie?

— Mówiłam ci. Byłam na wakacjach. Skończyliśmy już?

— Nie. Jeszcze nie. Proszę. — Podał jej puszkę piwa. Wzięła ją bez słowa i otworzyła. — Napisałaś do mnie dwa lata temu. Powiedziałaś, że jesteś aktorką na rozdrożu życia. Powiedziałaś, że będziesz występować w filmie i że potrzebujesz tego pokoju, by odnaleźć wolność potrzebną do prób przed rozpoczęciem zdjęć. To było w 2003. Teraz mamy 2005 i

jedyne, co widziałem, to że wychodzisz do pracy i wracasz do domu zazwyczaj z jakąś siatką z zakupami. Co skłania mnie do konkluzji, że masz dużo gotówki. Co znów zastanawia mnie, co ty tu właściwie robisz.

Joanne zaczerwieniła się, po raz pierwszy w życiu Toby zauważył, że na jej twarzy pojawił się jakiś kolor.

— No — odezwała się — nic o mnie nie wiesz...

— To prawda. I dlatego się martwię. Wszystko, co wiem, to że masz dużo pieniędzy, mnóstwo ciuchów, problem z podejściem do ludzi i bardzo nieszczęśliwego męża o imieniu Nick. Gdybym wiedział o tobie więcej, być może byłbym w stanie wykrzesać z siebie odrobinę współczucia dla ciebie, ale skoro jest, jak jest, coraz trudniej jest mi czuć w stosunku do ciebie cokolwiek.

— Nie proszę cię, byś czuł coś w stosunku do mnie.

— Nie. Nie prosisz. Ale prosisz mnie, bym mieszkał z tobą, kiedy stać cię na to, byś mieszkała gdzie indziej.

— Nie muszę tu mieszkać.

— Więc dlaczego to robisz?

— Bo... — Przerwała. — Bo tutaj mieszkam.

— Ale nawet nie lubisz tego miejsca.

— Kto tak powiedział?

— Moja przyjaciółka Leah.

— Ta z naprzeciwka?

— Tak. Powiedziała, że trudno ci mieszkać z nami, ale dajesz sobie z tym radę, udając, że nas tu nie ma.

— Och, na miłość boską.

— Ale to prawda?

— Tak. Do pewnego stopnia. Mieszkanie pod wspólnym dachem z innymi ludźmi nie jest łatwe.

— Co sprowadza nas do mojego pierwotnego pytania. Dlaczego tu mieszkasz, skoro stać cię na inne lokum?

— Nie wiem.

— Cóż, a mnie się wydaje, że znam odpowiedź. Myślę, że mieszkasz tutaj, bo zapew-

nia ci to całkowitą anonimowość, twój podpis nie widnieje na żadnym dokumencie, więc formalnie nie istniejesz. Myślę, że mieszkasz tutaj, bo ukrywasz się albo uciekasz przed czymś. I myślę, że chodzi tu o Nicka. Twojego męża.

Toby przerwał, czekając na kolejne zaprzeczenie Joanne, że Nick nie jest jej mężem. Ale nie zrobiła tego. Zamiast tego wpatrywała się w niego przez chwilę, a potem w dramatycznym geście schowała twarz w dłoniach.

— On nie jest moim mężem — powiedziała cicho.

— Więc kim jest?

— Narzeczonym. Był.

— Aha.

— Czy wrócił tu jeszcze? Kiedy mnie nie było?

Toby skinął.

— Kurde. Co powiedział?

— Nic. Absolutnie nic. Poprosił tylko, by ci to przekazać.

Spojrzała na niego. Toby sięgnął za siebie do szuflady i wyciągnął list. Podał go jej.

Trzymała przez chwilę kopertę w dłoniach, przesuwała po niej palcami, wpatrując się w odręczne pismo. Leah prawie przekonała go wczoraj wieczorem, by przeczytał list. Z trudem oparł się pokusie. Teraz wstrzymał oddech, zastanawiając się, czy Joanne otworzy kopertę teraz czy zabierze ją do pokoju.

— Mówił coś jeszcze?

— Nie. Dał mi tylko ten list.

Skinęła głową.

— Aha.

— Przeczytasz go? Znów skinęła.

— Czy mogę przeczytać go tutaj?

Toby przelknął ślinę.

— Oczywiście.

— To dobrze. — Otwierała kopertę trzęsącymi się rękoma. Powoli wyciągnęła kartkę i rozłożyła ją. Zagryzła zębami dolną wargę i przeczytała list.

Po chwili złożyła kartkę i wsunęła ją z powrotem do koperty.

— I co — zapytał — czy tego się spodziewałaś?

— Uhm — mruknęła.

— Wszystko w porządku, Joanne?

— Tak. — Wstała. — Myślę, że tak. Ja, ee...

Toby wstrzymał oddech. Poruszała dziwnie ustami, próbując sformułować słowa i jednocześnie opanować łyzy.

— Chciałabym, jeśli nie masz nic przeciwko, chciałabym, eee, wrócić już do swojego pokoju.

— Dobrze — odpowiedział Toby. — Oczywiście. Dasz sobie radę?

— Tak — powiedziała — i dziękuję za piwo. I rozmowę. Dobrze mi zrobiła. Muszę już iść. Cześć.

Uśmiechnęła się powściągliwie i wyszła z pokoju, zbyt długie rękawy kraciastej piżamy zwisały luźno, list kurczowo ścisnęła w dłoni.

Toby odwrócił się do komputera i westchnął.

Dwa trafione, dwa do zatopienia.

63

W sobotnie przedpołudnie zaczęli poszukiwania gniazdka. Na początku obejrzeliby małe dwupokojowe mieszkanie na Meard Street. Ściany pokrywała boazeria, w saloniku stał ozdobiony ornamentami marmurowy kominek, a kuchnia wielkością dorównywała samochodowi Smart. Mieszkanko było maciupkie i cudne.

Następnie obejrzeliby kawalerkę na Brewer Street ulokowaną nad sklepem ze zdrową żywnością. Urządzona nowocześnie i praktycznie, z aluminiową kuchnią i małym tarasem. Po obejrzeniu kawalerki na Wardour Street z wanną na tarasie na dachu i dwupokojowego mieszkania na Neal Street z wbudowaną garderobą, Ruby pękała głowa.

Odkąd skończyła szesnaście lat i znalazła się w Londynie, marzyła, by zamieszkać w dzielnicy Soho. Myślała jedynie o tym, że za tydzień lub dwa spakuje swoje manatki i wyprowadzi się z żalnego domu Toby'ego, zostawi tych wszystkich żalonych ludzi.

O trzynastej zjedli lunch w Bam-Bou na Percy Street. Dostali przytulny stolik na pierwszym piętrze z widokiem na ulicę. Tim ubrał się w swój weekendowy zestaw: niebieskie drelichowe spodnie, koszulka rugby, kremowa bluza z jakimś logo umiejscowionym na

lewej piersi. Wyglądał jak przybysz z innego świata, nie pasował do urządzanej w stylu retro knajpy i siedzącej z nim przy stoliku chudziutkiej dziewczyny z potarganymi włosami, w rurkowatych džinsach. zaproponował, by zjedli lunch w Bertorelli. W jasnym wnętrzu w stylu lat osiemdziesiątych czułby się znacznie lepiej. Ale Ruby uparła się na tę pikantniejszą, ciemniejszą i dziwniejszą knajpę. Tim starał się dostosowywać na wszelkie możliwe sposoby, byle tylko uszczęśliwić Ruby. Nie chciał mieszkać w maleńkiej klitce w Soho. Chciał wprowadzić się do ogromnego mieszkania z białymi ścianami w Clerkenwell. Nie miał ochoty jeść wietnamskiego jedzenia. Wolał kuchnię włoską.

— Więc co polecasz? — zapytał.

— Nie wiem — odparła. — Nigdy tu nie byłam.

— A myślałem...

— Jeden z moich eks często tu przychodził. W kółko nawijał o tym miejscu. — Wyciągnęła papierosa z torebki i zapaliła go.

Twarz Tima przybrała wyraz smutnego kociątka, jak zawsze, gdy Ruby robiła aluzje do swej seksualnej przeszłości. Robiła to specjalnie. Bawiło ją to.

Zamówiła lekkie, ale drogie jedzenie i poprosiła o kieliszek szampana.

— I co myślisz? — zapytała. Wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

— Wszystkie mi się podobają.

— Ale musisz mieć jakieś preferencje.

— Cóż, z praktycznego punktu widzenia to wskazałbym to na Neal Street. Jest największe, a potrzebujemy miejsca, kiedy Mojo do nas przyjdzie.

Ruby cmoknęła niezadowolona.

— Tak — zaczęła z nadąsaną minką — ale ono jest w Covent Garden. A ja naprawdę, naprawdę chcę mieszkać w Soho.

— No to w takim razie musimy znaleźć coś większego w Soho, prawda? — Uśmiechnął się do niej i przyciągnął do siebie jej dłoń. Właśnie jego dłonie uważała za najbardziej odrażające. Były bardzo mięsiste, co mogła jeszcze przeżyć, ale przerażały ją jego nienaturalnie krótkie palce. Zupełnie nie pasowały do dłoni. I te maleńkie paznokietki! Jakby doklejone z innej ręki.

Uśmiechnęła się z przymusem i ścisnęła jego dłoń.

— Tak właśnie zrobimy.

W sobotę Melinda wróciła z pracy o siedemnastej. Con poszedł za nią do kuchni.

— Napij się herbaty?

— O tak, poproszę. — Ściągnęła buty i rozmasowała stopy. — Co za cholerny dzień. Miałam iść na siłownię, ale nie dam rady.

— To dobrze — stwierdził Con. — Zostań w domu. Porozmawiamy sobie.

Melinda rzuciła mu pytające spojrzenie.

— No co? — powiedział, rozkładając ręce. — Jesteś moją mamą. Lubię cię. Lubię z tobą rozmawiać.

Jej twarz złagodniała i Melinda uśmiechnęła się.

— Więc — zaczął, wrzucając torebkę English Breakfast do kubka — co tam słyszeć?

— O rety! — Zaśmiała się.

— Nie. Poważnie. Co u ciebie słyszeć?

— U mnie wszystko w porządku, dziękuję, Connor. Co u ciebie?

— Nie rób sobie jaj, mamó.

— Przepraszam, kochanie. Przepraszam. — Wyraz jej twarzy zmienił się, kiedy zastanawiała się nad pytaniem. — Właściwie wszystko układa się całkiem dobrze.

— Tak?

— Tak. Tak miło być tutaj. Wiesz, w jednym miejscu. Nie w biegu. I tak miło mieszkać z tobą.

Con uśmiechnął się powściągliwie.

— Nawet jeśli musimy gnieździć się w jednym pokoju?

— Uwielbiam gnieździć się z tobą w jednym pokoju, Con. — Przerwała i spojrzała na niego. — Próbujesz mi coś powiedzieć?

— Nie. — Con potrząsnął głową i napełnił czajnik wodą. — Nie. Chodzi tylko o to, że wczoraj rozmawiałem z Tobym i wspominał, że zaprosił cię dzisiaj na kolację do domu jakiegoś faceta.

— O tak. — Uniosła brwi. — Możesz w to uwierzyć?! Kiedyś tam powiedział mi o tym facecie, stwierdził, że niby jest w moim typie. A potem dowiaduję się, że zorganizował randkę w ciemno.

— Myślę, że powinnaś pójść.

— Co?! Nie ma mowy.

— Ale czemu nie? Z tego, co słyszałem to fajny gość.

— Nie obchodzi mnie, co słyszałeś. Ostatnia rzecz, jakiej potrzeba mi teraz w życiu, to facet.

— A dlaczego nie? Co jest nie tak z facetami?

— To nie z facetami jest coś nie tak. Chodzi o mnie. Tracę głowę, gdy mam faceta. Zapominam o tym, co ważne. Na przykład o tobie.

Con pstryknął włącznik czajnika.

— Mamo, mam dziewiętnaście lat. W czerwcu skończę dwadzieścia. Nie musisz stać mi nad głową, żebym wiedział, że zależy ci na mnie.

— Wiem, że nie muszę, ale...

— Wiesz, że nie mam ci tego za złe, że nie było cię przy mnie, prawda? Wiesz, że dla mnie to nie jest wielka sprawa, prawda?

— Tak mówisz, Con, i zawsze to doceniałam, że nie wpędzasz mnie w poczucie winy za to, co się stało, naprawdę, ale jak możesz mnie nie nienawidzić? Przecież jestem twoją matką i zostawiłam cię.

— Nie zostawiłaś mnie, mamo. Przecież nie porzuciłaś mnie w jakimś sierocińcu, prawda? Zostawiłaś mnie pod opieką wspaniałej kobiety.

— Naprawdę tak czujesz?

— Tak. Z całą pewnością. Tam, gdzie dorastałem, dużo się zmieniło od czasów, gdy ty byłaś dzieckiem. Bywało ciężko. I trudno. A ja przetrwałem dzięki babci, która nie pozwoliła mi wsiąknąć w to całe gównno. I, nie zrozum mnie źle, nie chcę powiedzieć, że nie byłabyś wspaniałą matką, ale może gdybyś to ty mnie wychowywała jako samotna matka, moje życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Może związałaś się z jakimś facetem, któremu musiałbym schodzić z oczu, sama wiesz. Może miałabyś więcej dzieci. Wylądowałbym na drugim planie, próbowałbym odnaleźć swoją tożsamość poza domem. A z babcią zawsze miałem solidny punkt oparcia, miałem do czego wracać, miałem coś prawdziwego. Nie obchodziły ją żadne inne gówniane sprawy. Wiedziała, co jest co. Wiedziała o tym całym gównnie na ulicy i jak trzymać mnie od tego z daleka. Wychowała mnie właściwa osoba. A ty, zostawiając mnie z nią, postąpiłaś słusznie, mamo. Całkowicie.

Con odetchnął. Czuł, jak podskoczył mu poziom adrenaliny. Odkąd po raz pierwszy zobaczył matkę na pogrzebie babci, wiele razy chciał powiedzieć, co czuje, ale nigdy dotąd nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Zresztą nie zdawał sobie tak naprawdę sprawy z tego, co czuje. Ale teraz to wiedział. Nie rozliczał jej z „błędów”, rozumiał, że przypadkowo podjęte decyzje prowadziły do przypadkowych rozwiązań, tych lepszych i gorszych. Nie mógł mieć żalu do matki, skoro podjęte przez nią decyzje nie zaszkodziły mu w żaden sposób, za to ją samą zraniły głębiej niż jego.

Melinda spojrzała na syna oczami pełnymi łez.

— Naprawdę tak myślisz? — zapytała.

— Tak.

— Och, Con. — Wstała i objęła go. — To dla mnie tyle znaczy. Tak wiele. Nienawidziłam się do tej pory za to, że okazałam się za słaba.

— No to skończ już z tym. — Przytulił ją z nosem zanurzonym w jej ramieniu. Pachniała Gucci Rush i odżywką do włosów Fairy. Pachniała jak jego matka. — Kocham cię, mammo.

— Ja też cię kocham, Con.

— Ale wiesz, że nie możemy tak dłużej żyć?

— Jak?

— Razem.

— No, oczywiście, że nie możemy. To byłoby po prostu...

— Wyjeżdżam do Afryki Południowej.

— Tak, wiem o tym.

— Nie. — Odwrócił się do niej plecami i wyciągnął torebkę herbaty z jej kubka. — Mam na myśli to, że wyjeżdżam wkrótce. W przyszłym miesiącu.

— Co?! Ale jak...

— Toby pożycz mi pieniądze.

— Toby?

— Tak. Słuchaj, wydaje mi się, że on coś kombinuje.

— Dlaczego? Mówił coś?

— Niby nie. Tylko... sam nie wiem, coś mi tu nie pasuje. I po co ten cały remont, przecież nie wierzysz chyba, że dla naszego dobra? Wczoraj zapytał, czy może zerknąć pod

naszą wykładzinę. Mówił coś o cyklinowaniu. Myślę, że jeszcze trochę i tę całą scenę szlag trafi. Moim zdaniem chce sprzedać dom. Czas ruszyć dalej, mamó.

— O Boże, ale dokąd? Gdzie mam pójść? Może pojedę z tobą do Afryki?

Con zaśmiał się.

— Nie, mamó! Południowa Afryka to ja. Chcę się odnaleźć. Nadszedł czas, żebyś i ty siebie odnalazła.

— Jestem już trochę za stara na szukanie siebie, prawda?

— Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Przecież nienawidzisz swojej pracy. Mogłabyś znów pracować jako stewardesa.

— Jestem na to stanowczo za stara. Jestem już za stara na te wszystkie prace, które kiedyś kochałam. Spójrzmy prawdzie w oczy, jestem za stara na przygody. Zanim się obejrzę, stuknie mi pięćdziesiątka.

— No to może zakotwiczysz się u boku jakiegoś miłego mężczyzny?

— Ach, rozumiem. Chodzi ci o tego miłego mężczyznę od Toby'ego, tak?

— Na przykład. Dlaczego nie? Dalej, jest sobota wieczór, możesz wypić kilka drinków, zjeść coś dobrego. W najgorszym wypadku po prostu ten facet ci się nie spodoba. Spędzisz miły wieczór z Tobym i nie będzie cię to kosztowało ani pensa. Nie masz nic do stracenia.

Melinda spojrzała na niego podejrzliwie.

— Próbujesz się mnie pozbyć?

— Dokładnie tak. Ale tylko dlatego, że cię kocham. Tylko dlatego, że chcę, byś była szczęśliwa. Nikt nie powinien być sam...

Melinda uśmiechnęła się.

— No dobrze. To pojedę. Con rozpromienił się.

— Cudownie! — zawołał. Potem pocałował matkę w policzek i przeskakując po dwa stopnie, popędził do pokoju Toby'ego obwieścić mu, że pierwszą część umowy wypełnił z powodzeniem.

Melinda zapomniała o wszystkich argumentach przeciwko randce w ciemno w domu Jacka. Włożyła turkusową satynową sukienkę ozdobioną cekinami wokół szyi i zielone szpilki. Włosy zaczesła do tyłu i spięła je klamrą wysadzaną kamieniami, a w rękach ścisnęła małą, obsypaną błyszczącymi koralikami torebkę. Toby spotkał się z nią przy schodach i wydał z siebie stłumiony okrzyk.

— Melinda! Wyglądasz wspaniale!

Rozpromieniła się.

— Ty też całkiem nieźle.

— Dzięki. — Toby uśmiechnął się i spojrzał na swoje nowe czarne spodnie i czarną, prążkowaną koszulę, zakupioną tego ranka na wyprzedaży w butiku z męską odzieżą na Broadwayu. Obok tego sklepu przechodził wcześniej z milion razy, ale nigdy nie odważył się wejść do środka, po pierwsze, bo nie miał pieniędzy, a po drugie ze względu na dziwne, kościste manekiny w oknie, z łysymi głowami i zapadniętymi policzkami, które wyglądały tak, jakby za chwilę miały ożyć i przejąć kontrolę nad światem. Teraz jednak sam świecił łysiną i odsłonił zapadnięte z natury policzki, pomyślał więc, że zakupy w tym sklepie z pewnością okażą się strzałem w dziesiątkę.

— Naprawdę się cieszę, że zmieniłaś zdanie.

— No cóż — odpowiedziała. — Odbyłam dziś z Conem ciekawą rozmowę o życiu.

— Naprawdę? — Toby uśmiechnął się.

— Tak. Mój syn dojrzał. Ma swoje życie. Nadszedł czas abym i ja zatroszczyła się o swoje.

Toby uśmiechnął się.

— To dobrze — powiedział. — To dobrze.

Zadzwonił dzwonek i Toby obrócił się na pięcie. Przez mrożone szkło w drzwiach zobaczył zarys postaci Leah. Pognał do drzwi, żeby wpuścić ją do środka.

Miała na sobie jedwabną, purpurową tunikę i dzinsy. Pofalowane włosy opadały luźno, z boku spięła je diamentową spinką. Jeszcze nigdy dotąd Toby nie widział, by wyglądała równie kobieco.

— Wyglądasz ślicznie — powiedział, przytrzymując drzwi. — Ta bluzka jest za-

chwycająca.

— Dziękuję — odparła. — Nie mam żadnych odpowiednich ubrań wyjściowych, ale takich ciuchów mam na pęczki. Mama Amitabha zawsze przywoziła je dla mnie z Bombaju.

— Muszę przyznać, że pasują do ciebie.

— Dziękuję — powtórzyła. — Ty też wyglądasz niesamowicie. — Pogłaskała rękaw koszuli Toby'ego. — Nowy zakup?

— Tak. Poszedłem do męskiego butiku. Sam.

— Dobra robota. Uśmiechnęła się do Melindy.

— Pięknie wyglądasz — powiedziała.

— Dziękuję. I wzajemnie.

Cała trójka stała przez chwilę w holu, rozplywając się we wzajemnych uśmiechach.

— No to co — odezwał się Toby — ruszamy?

Chemia między Melindą a Jackiem była intensywna i przytłaczająca.

— Och, Leah, przyprowadziłaś mi boginię! — przywitał ich Jack, przytrzymując wyciągniętą dłoń Melindy i wpatrując się w kobietę z oniemiałym zachwytem.

Na ile, i czy w ogóle, wycieczka po domu, na którą Jack uparł się, jak tylko Melinda przekroczyła próg drzwi, wpłynęła na jej zdanie o nim, było niemożliwe do ustalenia. Jack i Melinda wrócili roześmiani i zachwyceni.

— Czyż to nie cudowny dom? — szczebiotała Melinda, wygładzając suknię i sadowiąc się na skraju sofy. — I jestem zachwycona wystrojem pokoiów dziewczynek, Leah. Są niesamowite.

Jack zaproponował wszystkim aperitif. Toby wzdrygnął się nieznacznie, czując lekki dyskomfort. Otaczał go taki luksus. Jack, pomimo całego swojego dziecięcego uroku, był w pełni dojrzałym mężczyzną, najprawdopodobniej jedynie pięć czy dziesięć lat starszym od Toby'ego, ale tak bardzo różnił się od niego. Miał dzieci, biznes, całkiem sporo ciała jak na swój wiek. Za ten dom zapłacił z własnej kieszeni, nie dostał go od ojca z emocjonalnym deficytem. Była żona nie została jedynie bladym wspomnieniem, nadal stanowiła część jego życia. Dom urządził za swoje pieniądze, a nie za oszczędności życia starego holenderskiego homoseksualisty. A teraz miał podać idealnie przygotowaną Krwawą Mary, w odpowiednich do tego kieliszkach i ze wszystkimi dodatkami.

— Toby. — Jack podał mu kieliszek udekorowany pałeczką z selera i pokruszonymi,

czarnymi ziarenkami pieprzu. — Co ci się stało? Sportowa rana?

— Moje oko? Wpadłem do basenu...

— Był pijany... — wtrąciła Leah.

— No, właściwie to tylko trochę. Tak naprawdę to te prochy...

— Prochy? — Jack uniósł brwi w przerażeniu.

— Nie takie prochy. Prochy dentystyczne. Wyrwali mi zęba... — Otworzył usta, by pokazać Jackowi dziurę. — Po tym wszystkim powinienem trzymać się z dala od basenu.

— To była moja wina — pospieszyła z wyjaśnieniem Leah. — Poszliśmy kiedyś na spacer do Kenwood i Toby omal nie zemdlął, wchodząc pod górkę, i przeraziłam się, jak bardzo brakuje mu kondycji, więc zmusiłam go, żeby poszedł ze mną na pływalnię...

— Chociaż nie pływałem, odkąd skończyłem szesnaście lat...

— Na dowód czego wcisnął się w swoje szkolne kąpielówki...

— Tak. To prawda. Są nadal podpisane moim imieniem.

— Jestem pod wrażeniem, że się w nie wcisnąłeś — stwierdził Jack, poklepując swój brzuch. — Byłbym szczęśliwy, gdybym dzisiaj zdołał się wbić w moje szkolne kąpielówki.

— Nie przesadzaj — powiedziała Melinda. — Masz cudowną figurę.

— Naprawdę tak myślisz? — zapytał Jack.

— Tak — odpowiedziała. — Wyglądasz bardzo dobrze.

— Jak na takiego starucha, chciałaś powiedzieć? Ćwiczę w siłowni — dodał — trzy razy w tygodniu.

— Naprawdę? A w której?

— Esporta — odpowiedział. — Wiesz, ta snobistyczna, urządzona w starym szpitalu dla psychicznie chorych w Friern Barnet.

— A tak — odparła Melinda. — Znam ją. Bardzo elegancka. Ja chodzę do Manor na Fortis Road. Do tego ćwiczę pilates dwa razy w tygodniu i kick-boxing w środy.

— Tak. — Jack z uznaniem zmierzył wzrokiem ciało Melindy od stóp do głów. — To oczywiste, że dbasz o siebie. Mam tylko nadzieję, że nie do przesady.

— Co masz na myśli? — Zachichotała.

— Nie jest dobrze, gdy kobieta zaćwiczy całą swoją... miękkość. Nie jest dobrze, jeśli ciało kobiety przypomina bardziej mężczyznę. Jak Madonna. — Wzdrygnął się. — Co on sobie o niej myśli, ten jej facet, ten Anglik? Kiedy są w łóżku, światła zgaszone, musi mieć

wrażenie, że pieprzy się z chłopakiem.

Melinda zaśmiała się, a Jack rozpromienił.

— Wybaczcie mój język — powiedział. — A teraz idę do kuchni zamieszać w garnkach.

— Potrzebujesz pomocy? — zapytała Melinda.

— Bardzo proszę.

Toby poczekał, aż wyjdą z pokoju, potem delikatnie szturchnął łokciem Leah.

— Jesteś w tym taka dobra — wyszeptał.

— W czym?

— Naprawdę znasz się na ludziach. Chodzi mi o Jacka i Melinę — genialne.

Leah uśmiechnęła się i potarła palcami obojczyk.

— Mam pewien dryg.

— A ten dom jest niezwykły, prawda? — Rozejrzał się po pokoju dziennym. W porównaniu z tym luksusem plany wobec jego domu wypadały bardzo blado.

— Prawda — powiedziała. — Trudno sobie wyobrazić, ile trzeba mieć pieniędzy, żeby mieszkać w czymś takim.

— Trzeba być bardzo bogatym, niewiarygodnie bogatym. Powiedz mi raz jeszcze, dlaczego odrzuciłaś względy Jacka?

— Jestem kobietą z nieskazitelnym kręgosłupem moralnym.

— Miejmy nadzieję, że to samo dotyczy Melindy.

— Ma dobre serce.

— Tak — zgodził się Toby. — Wiesz, co ja o niej myślę? Zbliżyliśmy się do siebie przez ostatnie kilka tygodni. Ona ma naprawdę dobre chęci, tylko jest trochę pogubiona.

— Jak my wszyscy — powiedziała Leah, wysysając sok pomidorowy z selera. — Prawda?

— Ma tam służącą! — wyszeptała Melinda, wpadając do pokoju chwilę później. — Taką maleńką Azjatkę w fartuchu!

— O mój Boże — jęknęła Leah. — To straszne.

— Dlaczego straszne? — zapytała Melinda. — Stać go na to. Jestem pewna, że dobrze jej płaci. A nie można przecież oczekiwać, żeby mężczyzna taki jak Jack sam gotował i oporządzał tak wielki dom. Leah wzruszyła ramionami.

— Więc co o nim myślisz?

— Co myślę? Jest wspaniały. Od stóp do głów. I taki miły z niego człowiek.

Leah uśmiechnęła się.

— Jest cudowny, prawda?

— Kochany. Taki zabawny. I ten akcent...

— Słuchaj — przerwała jej Leah. — Potrzebujemy sekretnego kodu. Specjalnego sygnału, żebyś mogła dać nam znać, że mamy się zmywać.

— Tak — ożywił się Toby. — Nie chcielibyśmy się zasiedzieć.

— Okej — wyszeptała Melinda — kiedy będę chciała, żebyście sobie poszli, powiem: „Czy możecie już wypierdalać, bo ja i Jack chcemy się pieprzyć!” — Wybuchnęła śmiechem i zakryła sobie usta dłońmi. — Nie jestem z takich — oświadczyła z miną niewiniątka — ale jeśli powiem *ai carumba*, to spadajcie.

Przez kolejne trzy godziny Jack i jego filipińska służąca Marietta podali pięć wyśmienitych dań kuchni włoskiej. Platory dojrzalej parmeńskiej szynki i korniszonów, trufle i zupa grzybowa, okoń z cytryną i zieloną pietruszką, brzoskwinie w amaretto podane z goździkami i lodami waniliowymi. Nieprzerwanie napełniał ich kieliszki drogim winem i częstował domowym, orzechowym biscotti i maleńkimi filiżankami kawy z najprawdziwszej maszyny espresso firmy Gaggia. A kiedy zaczęli w końcu trawić pierwsze cztery dania, Jack wniósł deskę pełną serów i butelkę deserowego wina koloru sików o poranku.

— *Ai carumba* — westchnęła Melinda, obejmując swój pełny brzuch. — Nigdy w życiu tak się najadłam.

Toby i Leah złożyli swoje serwetki, wykręcili się zręcznymi wymówkami, zabrali płaszcze i wyszli.

— No proszę — powiedział Toby, nakładając dzierganą na drutach czapkę przed domem Jacka. — Myślę, że śmiało możemy pogratulować sobie sukcesu.

— Nieźle. Jak myślisz, co się teraz wydarzy? Myślisz, że już ją ma pod sobą na desce do serów?

Toby uśmiechnął się.

— Wątpię. Będą musieli poczekać, aż służąca wyjdzie. — Obrócili głowy na dźwięk otwieranych drzwi wejściowych. Żwir na podjeździe zachrząścił pod stopami drobnej postaci. Na ulicę wyszła Marietta.

— Dobranoc. — Uśmiechnęła się, po czym podreptała w kierunku Broadwayu, ubrana w czarną puchową kurtkę i bejsbolową czapkę.

Leah i Toby spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem.

— Myślę — odezwała się Leah — że teraz to już nic ich nie powstrzymuje.

— Chryste, możesz sobie wyobrazić tych dwoje w łóżku? Będą gadać jeden przez drugiego.

— O tak, same sprośne rzeczy.

— Na sto procent. I odgrywać różne role. I przebierać się. Będą zabawiać się całą noc, z bitą śmietaną i skórzanymi penisami.

— Och, przestań już! Uśmiechnęli się do siebie.

— Odprowadzisz mnie do domu? — zapytała Leah.

— Tak, dlaczego nie? Chociaż oczywiście to mi nie po drodze.

Skierowali się na Broadway. Właśnie zamykano puby i ulice wypełniły się morzem pijanych ludzi szukających taksówek. Minęli grupę rozwrzeszczanych dwudziestoparoletnich mężczyzn i Toby instynktownie objął Leah ramieniem.

Nawet nie zdawał sobie sprawy, że kiedy doszli na Silversmith Road, wciąż obejmował Leah.

— I jak? Pływamy w czwartek? — zapytał. Zaśmiała się.

— Pod warunkiem, że będziesz pewien, że stawisz temu czoło.

— Bez dwóch zdań. Co cię nie zabije, to cię wzmocni.

— Wspaniale. Jesteśmy umówieni. Ale może zainwestujesz w nowe kąpielówki?

— Naprawdę były takie straszne?

— Nie wyglądały najlepiej.

— W takim razie nowe kąpielówki — powiedział. — I jeśli nie masz innych planów po pływalni, zapraszam cię na drinka. Żeby ci podziękować. Za uratowanie mi życia.

— Nie uratowałam ci życia!

— Właśnie, że tak Leah. I to na wiele różnych sposobów. — Westchnął i spojrzął na nią. Nie mógł uwierzyć, że musiał pozwolić jej wrócić do domu, który dzieliła z innym mężczyzną, z mężczyzną, z którym już nawet nie mieszkała, kiedy ją poznał; z mężczyzną, z którym przeboleła rozstanie i który niewiadomym sposobem zdołał wślizgnąć się z powrotem w jej życie bezpośrednio po spotkaniu, do którego on sam nieumyślnie doprowa-

dził. — A co będzie z tobą i pielęgniarzem? Ożeni się z tobą?

Leah wzruszyła ramionami.

— Nie sądzę. Ale zacznijmy od tego, że to ja nigdy nie chciałam za niego wyjść. Chciałam jedynie jakiegoś potwierdzenia, tak mi się wydaje, że moje życie zmierza w jakimś kierunku. Że nie skończę jak Gus.

Toby skinął głową.

— A zmierza w jakimś kierunku?

— Nie — prychnęła. — Tak naprawdę to nie. — Zaśmiała się słabo.

— Dlaczego więc...?

— Przyjęłam go z powrotem?

— Tak.

— Bo mnie poprosił. I ponieważ... ponieważ czułam się samotna.

— Och, Leah. — Toby zatrzymał się i obrócił ją twarzą do siebie. — Jak dziewczyna taka jak ty może czuć się samotna? Ktoś tak pełen życia i mądry?

Znów wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Może nie jestem taka mądra, jak ci się wydaje.

— Oczywiście, że jesteś. Sto razy mądrzejsza, niż się mnie wydaje.

— Więc skoro jestem taka mądra, to dlaczego wpuściłam tego mężczyznę z powrotem do swojego życia, skoro doskonale zdaję sobie sprawę, że to tylko tymczasowy układ? Skoro wiem, że w każdej chwili jego matka może przedstawić mu dwudziestolatkę z Bombaju z oczami jak węgle, a on przypadnie, zanim się obejrzę?

— O Boże, tak to wygląda?

— Tak. Wiem o tym zaledwie od dwóch miesięcy, wcześniej myślałam, że jego rodzice są tacy na czasie i myślą po zachodniemu. Ale okazuje się, że oni pozwalali jedynie swojemu synkowi używać życia, zanim skończy trzydzieści lat.

— Więc jeśli tak to wygląda, to po co w ogóle się do ciebie wprowadzał?

— Bo jest wygodniej niż w domu dla pielęgniarzy. Bo jestem miłą dziewczyną. Bo wypiera fakt, że ma trzydzieści lat i nie może poradzić sobie z tym, czego się od niego oczekuje. Generalnie dlatego, że jest zahamowany w rozwoju.

— Więc wróciłaś do punktu wyjścia?

— Tak. Jedyne, co wiem, to że dopóki Amitabh mieszka ze mną, nie muszę zwalniać

mieszkania i oglądać głównianych domów ze współlokatorami, i mogę udawać, że jestem dorosła.

— Nie możesz wynająć czegoś sama?

Potrząsnęła głową.

— Nie stać mnie.

— A co z twoimi rodzicami? Nie mogą pożyczyć ci trochę pieniędzy?

— Nie. Gdyby mieli pieniądze, już dawno by mi je zaproponowali.

— Leah, to szaleństwo.

— Wiem. Wiem, że tak. — Westchnęła i spuściła wzrok. — Schrząniłam wszystko.

— Po prostu powiedz mu, żeby sobie poszedł!

— Nie mogę.

— Możesz! Pożyczę ci pieniądze.

— Och, Toby. Nie mogę. Ja...

— Właśnie że możesz. Mój dom nie jest obciążony żadną hipoteką, wiesz? Jak tylko go sprzedam, będę miał setki tysięcy funtów. Będę miał więcej pieniędzy niż pomysłów, co z nimi począć.

— Tak, ale będziesz ich potrzebować na nowy dom, na nowe życie.

— Wystarczy na to i jeszcze sporo zostanie.

— W żadnym wypadku, Toby. Absolutnie nie. Ostatnie piętnaście lat spędziłeś na dofinansowywaniu innych. Czas, żebyś z tym skończył, pozwolił ludziom brać za siebie odpowiedzialność. Ale dziękuję ci. Dziękuję ci za propozycję. Jesteś bardzo hojnym człowiekiem.

Toby uśmiechnął się blado.

— Wygląda na to, że do przesady. Ścisnęła jego dłoń i uśmiechnęła się.

— Może trochę.

Toby też uściskał jej rękę i właśnie wtedy — bo nie wydawało się to tak całkowicie złym pomysłem, bo nie kochała pielęgniarsza, bo czuła się samotna i zagubiona dokładnie tak jak on — wyciągnął drugą rękę i pogłaskał ją po policzku. Poczuł zimną i gładką skórę. Spuściła na chwilę wzrok, potem uśmiechnęła się.

— Masz zimne dłonie — powiedziała.

— A ty zimne policzki.

— Czas do domu.

— Tak. Wracajmy.

Objął ją ramieniem, przyciągnął do siebie i szli tak wzdłuż Silversmith Road w ciepłej i zgodnej ciszy.

66

W poniedziałek Con wypełnił drugą część umowy z Tobym. W porze lunchu, zamiast chować się pokoju służącym za jadalnię, jak miał teraz w zwyczaju, odkąd Daisy wróciła do pracy, poszedł na górę do działu mody.

Siedziała na brzegu biurka innej dziewczyny i oglądała jakieś zdjęcia. Miała na sobie brązową koszulkę polo i jasną, dżinsową minispódniczkę oraz długą, robioną na drutach kamizelkę. Kiedy wszedł do środka, Daisy spojrzała na niego, potem odwróciła głowę i mruknęła coś do dziewczyny.

— Daisy — zaczął.

Wbiła w niego zdziwiony wzrok.

— Tak?

— Jesteś zajęta?

Daisy spojrzała na dziewczynę, potem znów na Cona. Wzruszyła ramionami.

— Tak naprawdę to nie.

— Masz ochotę na lunch? — Wyciągnął przed siebie plastikową siatkę. — Sam upiekłem chleb.

Daisy westchnęła, zmarszczyła czoło, spojrzała na siatkę, potem na niego.

— Okej — odezwała się po chwili. — Daj mi minutę.

Zabrali siatkę na Hanover Square i usiedli niezgrabnie obok siebie na ławce. Con podał Daisy kanapkę. Wzięła ją bez słowa.

— Krab i ogórek — powiedział Con. — Chleb własnej roboty i masło roślinne.

Trzymała chleb. Było widać, że jest smutna.

— Odchodzę — powiedziała po chwili.

— Co?

— „Vogue”. Odchodzę z „Vogue'a”. Wyjeżdżam z Londynu.

— Dlaczego? Chyba nie przez...?

— Nie. Nie przez ciebie. Chociaż to, co się stało, nie pomogło. Nie, po prostu nie wypaliło. Nienawidzę mojej pracy. Nienawidzę Londynu. Tęsknię za przyjaciółmi. I to nie fair wobec Mimi, że musi się mną opiekować. Więc wracam do domu.

— Kiedy?

— Jestem na wypowiedzeniu. Trzy tygodnie i już mnie nie ma.

Con wpatrywał się w kanapkę. Nie wiedział, co powiedzieć.

— Co będziesz robić? — zapytał w końcu. Daisy wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Może pójdę na studia. Jeden z moich przyjaciół ma restaurację w miasteczku. Może znajdę tam coś dla siebie. Może popracuję jako kelnerka. Sama nie wiem. Jedyne, co wiem, to że ja i Londyn nie pasujemy do siebie i muszę wracać do domu. Dałam z siebie wszystko. Przynajmniej spróbowałam.

— To chyba dobrze.

— Tak — powiedziała — to dobrze. Już jestem szczęśliwsza.

— Będę za tobą tęsknić.

— Tak?

— Oczywiście, że tak. Słuchaj, Daisy, przepraszam cię. Jest mi cholernie przykro za to wszystko. Zachowałem się jak pieprzony idiota.

Wzruszyła ramionami.

— Tak naprawdę to nie wiem, co mi odbiło.

— W porządku — powiedziała. — Już po wszystkim. Nie musisz mówić nic więcej.

— Nie, ale chcę. — Odwrócił się do niej twarzą. — Miałaś rację. Spanikowałem wtedy w szpitalu. Zgubiłem wątek, totalnie. Kiedy zobaczyłem cię w takim stanie, myślałem, że może, no wiesz, umierasz, i twoja rodzina... jest zupełnie inna niż moja. Wiesz, o co mi chodzi, pieprzone grajki na fagotach z pieprzoną filharmonią czy coś. Wyszedłem ze szpitala, czując się tak, jakbym pochodził z innej planety.

— Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym? Zrozumiałabym.

— Nie wiem. — Potrząsnął głową. — Wtedy w pokoju dookoła siedzieli wszyscy chłopacy. A ja nie byłem pewien, co czuję. Sam nie wiedziałem, czego chcę. Kiedy zobaczyłem cię następnego dnia tam — wskazał na piętro budynku Conde Nast — byłaś taka zimna. Zachowywaliśmy się jak obcy sobie ludzie. To mnie rozwaliło. I zdałem sobie spr-

wę, że muszę dać temu szansę. Bo, no wiesz, miłość nie zawsze jest wygodna, prawda? Czasem jest jak wrzód na dupie. Ale jeśli nie spróbujesz, to się nie przekonasz. A ja chcę spróbować. I chcę się przekonać. Bo w przeciwnym razie do końca życia będę się zastanawiał, co się stało z pierwszą dziewczyną, na której mi zależało, co stało się z tobą. I to by mnie rozwalilo, kompletnie.

Przez chwilę panowała cisza. Con włożył swoją nietkniętą kanapkę z powrotem do torebki. Daisy westchnęła.

— Nie do końca cię rozumiem. Co dokładnie chcesz mi powiedzieć?

— Chodzi mi o to, że cię kocham i przepraszam za to, co zrobiłem, i że nadal chcę być z tobą.

— Och, Con. Za późno już. Wyprowadzam się. Za późno.

— Nie — zaprzeczył prędko. — Wcale nie. Tobi zaproponował, że zapłaci za moją szkołę latania. Znalazłem wolne miejsca w kilku szkołach w Południowej Afryce i mógłbym zacząć już w przyszłym miesiącu. Ale jeśli mi wybaczysz, jeśli powiesz, że znów wpuścisz mnie do swojego życia, pozwolisz mi być z tobą, opiekować się tobą, w mgnieniu oka pomacham na do widzenia Afryce. Szkoły latania są i w naszym kraju. Są droższe, ale Tobi pożycz mi pieniądze. Tyle, ile będzie trzeba. To może być wszędzie. Wszędzie tam, gdzie ty jesteś.

Daisy znów westchnęła.

— Ale ja nie przestanę chorować. Moi rodzice się nie zmieniają. Chłopak mojej siostry nie przestanie grać na fagocie.

— Tak. Wiem o tym wszystkim. Ale ja się zmienię. Nie będę już tylko chłopakiem od listów, który mieszka w pokoju z matką w zakręconym domu pełnym dziwolągów. Będę się uczył na pilota samolotów. Będę miał swoje miejsce. Będę, no wiesz, na swojej drodze. Będę kimś. Będę wystarczająco dobry dla ciebie.

— Ale Con — powiedziała. — W tym tkwi cały, głupi, cholerny problem. Byłeś wystarczająco dobry dla mnie.

— Nie. — Potrząsnął głową. — Nie byłem. Naprawdę. Ale spotkałem ciebie i sprawiłaś, że zapragnąłem być kimś. Chcę się tobą opiekować. Chcę, żebyś była ze mnie dumna.

Daisy uśmiechnęła się i chwyciła go za rękę.

— Trzy kilometry od domu moich rodziców jest szkoła latania — powiedziała. —

Słyszałam, że jest dobra.

— Tak?

— Tak. Jeśli chcesz, to przywiozę ci broszurę.

— Super.

Con skinął głową i uśmiechnął się. Potem oboje wzięli kanapki i jedli je w milczeniu, siedząc ramię w ramię na ławce i trzymając się mocno za ręce.

67

Toby położył miskę z chipsami o smaku tortilli na stoliku i spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta, zebranie lokatorów miało się zacząć za dwie minuty. Pierwsza pojawiła się Ruby. Miała dziś grać w pubie w Tufnell Park o dwudziestą i wystroiła się w swój sceniczny strój: spiczaste buty, gładka czarna koszulka bez rękawów, obcisłe džinsy w wąskie prążki i diamentowy naszyjnik-obroża.

— Ładny naszyjnik — przywitał ją.

Zwaliła się na sofę i sięgnęła po garść chipsów.

— Dostałam od Tima — oznajmiła, gryząc chipsa. — Super, co? — Zjadła resztę chipsów w mgnieniu oka, wylizała okruszki z dłoni, potem sięgnęła po kolejną porcję.

— Zostaw coś dla reszty. Cmoknęła.

— Słuchaj, jako jedyna przyszłam na czas. Należą mi się przekąskowe przywileje. — Chrupała kolejnego chipsa. — To wszystko wygląda bardzo tajemniczo. Zebranie lokatorów. Hmm... — Przyłożyła palec wskazujący do ust i przybrała sarkastyczny ton. — Zastanawiam się, o co chodzi?

Kroki na schodach zwiastowały przybycie Melindy i Cona. Oboje usiedli na drugiej sofie i Con poczęstował się chipsami.

— O proszę — odezwała się Ruby — mamy naszą szczęśliwą parkę. Jak się układa małżeńskie pożycie?

Con uniósł brwi. Melinda zmroziła ją spojrzeniem, ale nie odezwała się ani słowem.

Ostatnia pojawiła się Joanne, prosto z pracy, w rękach trzymała firmową siatkę Jane Norman. Wetknęła głowę w drzwi.

— Sorry — rzuciła krótko. — Muszę iść do łazienki. Zaczniście beze mnie, jeśli mu-

sicie.

Toby usadowił się na krawędzi stolika i bębnił palcami w kolano. Nikt nie odezwał się słowem. Słyszeć było jedynie chrupanie chipsów. Joanne wróciła i Toby wstał. Rozejrzał się po pokoju. Cztery pary oczu wpatrywały się w niego. W końcu nadszedł ten moment, o którym Toby myślał, że nigdy nie nadejdzie, scenariusz, którego nie był w stanie przewidzieć.

— Dziękuję, że przyszliście — zaczął. — Wiem, że jesteście bardzo zajęci.

Ruby parsknęła jak nastolatka z ostatniej szkolnej ławki.

— Zwołałem was tu dlatego, że mam ważną rzecz do ogłoszenia, która dotyczy was wszystkich. Jak wiecie, mój ojciec kupił ten dom dla mnie piętnaście lat temu, bym zamieszkał w nim z żoną. Wiecie również, że żona zostawiła mnie trzy tygodnie później i więcej jej nie zobaczyłem. Od tamtego czasu dom służył jako schronienie dla różnych ludzi, którzy zatrzymywali się tu na jakiś czas, gdy życie nie układało się po ich myśli; mogli tu realizować marzenia i nadzieje i jak wierzę, odnaleźć swoją drogę i ruszyć dalej. Najprawdopodobniej dom funkcjonowałby w ten sposób do końca swego istnienia, gdyby nie dwie szczególne okoliczności, które zaszły w ciągu dwóch dni. Najpierw zmarł Gus, mój stały lokator, a potem otrzymałem list od ojca, w którym poinformował mnie, że wraca do kraju i chce zobaczyć co u mnie nowego. Trzy dni później okazało się, że Gus zostawił mi pewną sumę pieniędzy pod warunkiem, że użyję ich do wyremontowania domu i, ee... zrobię coś ze swoim życiem. Ponieważ Gus uważał, tak jak i ja teraz uważam, że utknąłem w pewnej rutynie i zgubiłem swoją drogę. Dlatego postanowiłem sprzedać dom po zakończeniu remontu. I z przykrością muszę was prosić, byście w ciągu kilku tygodni, poczynając od dzisiaj, zwolnili pokoje.

Toby przerwał i oderwał wzrok od plamy na dywanie, do której przemawiał.

— Oooh — odezwała się Ruby, bijąc się ręką w pierś — co za szok.

Pozostała trójka wpatrywała się w niego bez słowa.

— Uważam, że to bardzo fajnie — wydusił z siebie po chwili Con. — Naprawdę.

— Tak — poparła go Melinda. — Dobrze robisz, Toby. Zaslugujesz na to.

Toby spojrzął na Joanne. Jej twarz wyrażała pustkę. Powoli przyciągnęła ręce do kolan, a potem wolno wstała. I wyszła z pokoju, stawiając ciche, drobne kroki.

— Joanne, to ja, Toby.

Drzwi otworzyły się i ukazała się twarz Joanne. Kobieta płakała.

— Co? — zapytała.

— Chciałbym z tobą porozmawiać.

— O czym?

— O tym, co się właśnie wydarzyło. O wyprowadzce.

— Nie ma sprawy.

— Najwyraźniej jest.

— Nie ma — powtórzyła i zaczęła zamykać drzwi.

Toby wetknął stopę w szczelinę i zamachał butelką wina.

— Słuchaj, napijmy się. Napijmy się razem i porozmawiajmy.

— Nie — odparła. — Dziękuję bardzo. — Zacisnęła drzwi na jego bucie. Zdołał wepchnąć ramię.

— Nigdzie się stąd nie ruszę — powiedział stanowczo — dopóki nie wpuścisz mnie do środka.

— Kurde. — Otworzyła szerzej drzwi i spojrzała na niego. Miała zaczerwienione i opuchnięte oczy. — Naprawdę nie mam ochoty rozmawiać. To twój dom. Możesz z nim zrobić, co zechcesz. Tylko byłoby miło, gdybyś dał nam znać nieco wcześniej. Najwyraźniej ten plan powstał już jakiś czas temu. Przypuszczam, że po śmierci Gusa. Nie rozumiem, dlaczego mówisz nam o tym dopiero teraz. Toby uśmiechnął się.

— Może — powiedział — gdybyś wpuściła mnie do środka, mógłbym to wytłumaczyć.

Potrząsnęła głową.

— Mam tutaj chlew. Chodźmy do ciebie.

Z białymi włosami, czerwonymi oczami i ściągniętą twarzą Joanne wyglądała jak mała, chorowita dziewczynka.

Toby wręczył jej kieliszek wina, który przyjęła z wdzięcznością.

— Rozumiem — zaczął — że to może wydawać się dziwne, że dopiero teraz dałem wam wymówienie, ale zrobiłem tak z jednego powodu.

Skinęła nieznacznie głową i zanurzyła usta w winie.

— Uważałem, że ponoszę za was wszystkich odpowiedzialność i dlatego nie mogłem was tak po prostu wykopać z domu bez upewnienia się, że macie gdzie pójść. Więc pró-

bowalem poznać was wszystkich lepiej. Co, jak muszę przyznać, okazało się bardzo trudne. Mam taki charakter, że nie lubię węszyć i wtrącać się w nie swoje sprawy. Pod tym względem jesteśmy do siebie bardzo podobni. Lubimy trzymać świat na dystans. Ale z czasem okazało się, że przeżyłem zadziwiającą przygodę, ta podróż przez ostatnie tygodnie, rzeczy, których dowiedziałem się o ludziach, z którymi dzieliłem dom. Naprawdę mam wrażenie, że w jakimś sensie oni ruszają do przodu. Ale jeśli chodzi o ciebie, Joanne, to nie wiem. Jesteś po prostu... niemożliwa.

Niemrawy, blady uśmiech zabłąkał się na jej twarzy bez wyrazu.

— Tak, zdaję sobie z tego sprawę.

— Nie mam pojęcia, kim jesteś, skąd jesteś, czego chcesz, dlaczego tu mieszkasz. Więc jestem zmuszony pchnąć cię w świat taką, jaką cię poznałem. Tajemnica. Wielka niewiadoma. Zagubiona dusza...

— Nie jestem zagubiona.

— Och, Joanne, oczywiście, że jesteś. Zbliżasz się do wieku średniego, a nie masz zawodu, domu, żadnych przyjaciół. Zmieniasz swój wygląd z częstotliwością niedojrzałej nastolatki, wydajesz wszystkie pieniądze na ciuchy i kosmetyki, a przecież nigdzie nie wychodzisz. I jeszcze ten mężczyzna, który pojawił się nie wiadomo skąd, ten smutny człowiek ze łzami w oczach, którego kiedyś kochałaś, i jak się wydaje, on wciąż kocha ciebie. Zostawia list, który doprowadza cię do łez, ale ignorujesz go. Zachowujesz się tak, jakby nic się nie stało. Powiedz, Joanne, co takiego zostawiłaś za sobą, zanim tu przyszłaś? Co może być tak złego, że wolisz mieszkać z obcymi? Dlaczego bezwolnie przeobrażasz się w dziwnego, niesympatycznego upiora, ty, która przecież zaznałaś miłości w swoim życiu i najwyraźniej mogłabyś zaznać jej więcej?

— Och, Toby — przerwała mu. — Czy ty siebie słyszysz? Słyszysz?

Spojrzał na nią pytająco.

— Odwróć to pytanie. Zadaj je sobie. Westchnął.

— Widzisz, Joanne, różnica polega na tym, że zadałem sobie to pytanie. I teraz znam odpowiedź. Patrzyłem biernie, jak zmieniam się w dziwnego, niesympatycznego upiora, bo wpięrk zostawiła mnie mama i wychowywała mnie głównie szkoła do spółki z ojcem, który mnie nienawidził. Potem zostawił mnie i ojciec, żeby zacząć, jak sądzę, lepsze życie z nową rodziną za granicą. Ale mnie to nie przeszkadzało, bo znalazłem miłość, miałem piękną,

nową żonę, piękny nowy dom. A wtedy zostawiła mnie i żona i postanowiłem, że nie chcę być już dłużej opuszczany. Zapraǳiałem zapuścić korzenie, poczuć się bezpiecznie. Zatrzaśnałem drzwi przed światem, zamknałem się. Zapuściłem włosy, zaniedbałem się. Tkwiałem całymi dniami w pokoju, na ulicę wychodziłem jedynie z konieczności i tylko wtedy, gdy wiedziałem, że byłem bezpieczny, że nikt nie będzie próbował zbliżyć się do dziwnego, owłosionego faceta w czapkach i dziurawych buciorach. Przeistoczyłem się w dziwaka, Joanne, tylko po to, by odgrodzić się od ludzi. Obejrzałem kiedyś film dokumentalny o bliźniaczkach syjamskich. Te kobiety, te bliźniaczki rozmawiały o swoim miłosnym życiu ze swoimi chłopakami, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie. Jakby facet, który chce uprawiać seks z kobietą połączoną z drugą kobietą, był najnormalniejszym facetem na świecie. I pomyślałam sobie wtedy, jakie to smutne, że te kobiety będą wiązać się jedynie z totalnymi odmieńcami i pieprzonymi wariatami. I właśnie tak myślałem o sobie przez wiele lat — że ktokolwiek, kto chciałby być ze mną takim, jakim byłem, a jakim staram się już nie być, musiał być, z definicji, popaprańcem. Dopiero teraz, przez ten dom, zacząłem wychodzić z dziury, którą sam sobie wykopałem. Dopiero teraz mogę przyznać się do mojej odmienności i ruszyć dalej. Ale co z tobą, Joanne? Kiedy przyznasz się do tego, kim się stałaś?

Joanne przełknęła ślinę, obracała ze smutkiem kieliszek w dłoniach.

— Tym się stałam? — zapytała z oczami pełnymi łez. — Dziwadłem?

Toby skinął głową.

— Tak.

Westchnęła i pozwoliła głowie opaść na klatkę piersiową.

— Ja po prostu nie wiem, kim jeszcze mogę być. Nie pamiętam już jak to jest być mną.

— Tobą? Kim byłaś?

— Byłam... — pociągnęła nosem. — Byłam kimś, kto pogubił się w życiu, a potem znów odnalazł. Byłam zakochana. Byłam szczęśliwa. Byłam... — Przerwała, przez chwilę wpatrywała się w kieliszek z winem, a potem spojrzała na Toby'ego oczami pełnymi boleśnego smutku — matką.

Joanne Fish urodziła się w Ipswich w 1968 roku. Jej rodzice rozwiedli się, gdy miała pięć lat, i razem z matką przeprowadziła się do Norwich. Kiedy skończyła dziesięć lat, matka zginęła w wypadku samochodowym, więc Joanne przeniosła się do Londynu, gdzie zamieszkała z ojcem i jego dziewczyną w Lewisham. Ojciec był aktorem, alkoholikiem, zawsze bez pracy, a cały zasilek dla bezrobotnych przepuszczał w pubie. Kochał Joanne. Była jego jedynym dzieckiem, jedynym, jakie w ogóle mógł mieć po nieudanej wasektomii, która zakończyła się usunięciem obu jąder. Jego dziewczyna miała na imię Drew. Miała dwadzieścia jeden lat i zażywała narkotyki. Przez większość wieczorów zostawała sama z Joanne, podczas gdy ojciec szedł do pubu. Joanne obserwowała z fascynacją, jak Drew przygotowywała narkotyki, naprężała rękę, naciskała strzykawkę, wbijała się w żyłę. Po dwóch latach wspólnego mieszkania stało się to, co nieuniknione: Drew pozwoliła dziewczynce spróbować narkotyków. Joanne właśnie skończyła dwanaście lat.

Rok później Drew wyprowadziła się i zabrała ze sobą narkotyki. Wtedy Joanne zaczęła kraść. Głównie ciuchy, które potem sprzedawała dziewczynom w szkole. Potem zaczęła okradać uczennice, bo tak było łatwiej. Została wyrzucona ze szkoły po sześciu miesiącach i wkrótce umieszczono ją w ośrodku opiekuńczo-wychowawczym. Między czternastym a osiemnastym rokiem życia spędziła w sumie osiemnaście miesięcy w poprawczakach, a w tydzień po skończeniu osiemnastu lat dostała pierwszy wyrok pozbawienia wolności — trzy lata za włamanie. I właśnie w Holloway znalazła w końcu coś, co pokochała. Aktorstwo. Uczył ją wysoki, szczupły mężczyzna, starszy od niej o dziesięć lat. Nazywał się Nicholas Sturgess. W dniu jej zwolnienia oświadczył się i Joanne wprowadziła się prosto do jego domu — szeregowca z trzema sypialniami w New Cross.

Dostała miejsce w Central School of Speech and Drama, zrobiła dyplom z aktorstwa filmowego i skończyła szkołę w wieku dwudziestu pięciu lat. Jej ojciec zmarł na niewydolność nerek dwa lata później, a Joanne opiekowała się nim do samego końca. Wkrótce potem ona i Nick zaczęli rozmawiać o założeniu rodziny. Starali się o dziecko przez trzy lata, ale bezskutecznie, potem zapisali się na leczenie bezpłodności. Wieloletnie nadużywanie narkotyków wyniszczyło organizm Joanne, ale w końcu po sześciu miesiącach leczenia coś się wydarzyło — okres Joanne się spóźniał, a test ciążowy potwierdził oczekiwania. Cięża

przebiegła bez problemów i w Nowy Rok Joanne przywitała niespełna czterokilogramową córeczkę; była to pierwsza dziewczynka urodzona tamtego roku w gminie. Nazwali ją Maisie i zabrali do domu. Joanne nigdy wcześniej nie była tak szczęśliwa. Wreszcie miała poczucie, że udało się jej dokonać czegoś w swoim życiu. W końcu miała wszystko to, co człowiek mieć powinien. Karierę. Dom. Kochankę. Rodzinę. Maisie była idealnym dzieckiem. Jadła, przybierała na wadze i spała tak dobrze, jak tylko można było oczekiwać. Ale Joanne ogarnęło zmęczenie. Ogromne zmęczenie. Poród kosztował ją dwie noce bez snu i wciąż nie mogła dojść do siebie. Odsypiała więc w każdej wolnej chwili. Spała, kiedy Maisie spała, albo obok niej na ich podwójnym łóżku, albo na sofie podczas karmienia.

Pewnego czwartkowego popołudnia, kiedy Maisie miała trzy tygodnie, Joanne przyłożyła ją do piersi, a maleńkie, miękkie ciało ułożyła na poduszce na swoich kolanach. Włączyła telewizor i zmieniała kanały, aż znalazła program, który chciała oglądać. Był to *Bargain Hunt*. Patrzyła przez chwilę: Dwie małżeńskie pary spotykają się na wakacjach i biegają po targu z antykami, by znaleźć trzy konkretne starocie. Ostatnią rzeczą, którą pamiętała, była kobieta oglądająca kryształową karafkę i kupująca ją za dwadzieścia pięć funtów. Poprawiła głowę Maisie, włożyła sutek do ciepłej bużki niemowlęcia. A potem zasnęła.

Kiedy się obudziła, *Bargain Hunt* już się skończył, a Maisie leżała bez ruchu na poduszce. Delikatnie pogłaskała ją po policzku, nie chcąc jej obudzić. Poczowała, że skóra dziecka jest lodowata. Miała niebieski odcień. Joanne uniosła córeczkę, przyciągnęła ją do piersi. Maisie opadała w jedną i drugą stronę. Poklepała ją po plecach. Położyła z powrotem na poduszce i wpatrywała się w nią. Serce waliło jej w piersi. To, co było jedynie słabym uczuciem dyskomfortu, przerodziło się w zatrważającą pewność. Jej dziecko nie oddychało. Ułożyła poduszkę na sofie i padła na kolana. Otworzyła buzię Maisie i odgięła jej główkę do tyłu. Wpuściła powietrze w słodkie od mleka usteczka, raz, drugi, trzeci. Przystawiła ucho do klatki piersiowej dziewczynki i nasłuchiwała bicia jej serduszka, odgłosu, w który wsłuchiwała się każdego miesiąca na badaniach w poradni, kiedy była w ciąży. Nie usłyszała nic. Zdławiony szloch ścisnął jej gardło i zakrztusiła się. Otworzyła usta, by krzyknąć, ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

Wezwała karetkę. Powiedziała im, co się stało, podała adres. Odłożyła słuchawkę, a potem ułożyła głowę na brzuszku swojej córeczki i leżała tak do czasu, kiedy przyjechali i

zabrali dziecko.

Nick spotkał się z nią w szpitalu. Uduszenie. Zadusiła swoją córeczkę. Ciężarem zmęczenia i głębokim snem.

Pogrzebali ją w następnym tygodniu, tylko we dwoje. Joanne nie mogła znieść nikogo innego. Nick powtarzał: „To nie twoja wina, to nie twoja wina”. Potem Nick powiedział: „To moja wina. Powinienem być dłużej na urlopie. Powinienem być w domu dla was obu. Wiedziałem, że byłaś zmęczona”. Nick powiedział: „Uporamy się z tym. Uporamy”. Nick powiedział: „Kocham cię, Joanne. Kocham cię. Proszę, nie odpychaj mnie”. Nick powiedział: „Może powinnaś pomyśleć o terapii”. Nick powiedział: „Nie dam rady tak dłużej żyć”.

I wtedy, pewnego dnia, pięć miesięcy po śmierci Maisie, siedząc w poczekalni do lekarza, w nadziei, że przepisze jej antydepresanty na tyle mocne, by mogła odciąć się od bólu, Joanne zobaczyła ogłoszenie Toby'ego w „Private Eye”. Wykupiła lekarstwa w aptece, poszła do domu i ułożyła list pełen kłamstw. Kiedy Toby odpisał i zaproponował jej pokój, spakowała torbę i wyszła z domu w sobotni poranek. Nick siedział u fryzjera. Zostawiła mu kartkę: „Nie próbuj mnie odnaleźć”. Na ulicy odbywała się manifestacja popierająca legalizację konopi. Mężczyzna przebrany za konopię uśmiechnął się do niej, gdy ładowała walizkę do bagażnika taksówki. „Pokój — powiedział. — Pokój”. Wcisnął jej małego, niezapalnego skręta w dłoń i poszedł swoją drogą.

Zadomowiła się u Toby'ego i zaczęła pracować na zastępstwach. W każdym tygodniu inna firma, inna rola. Wydawało się, że wszyscy chcą zatrudnić bezrobotną aktorkę. Ludzie byli szczęśliwsi ze świadomością, że ktoś kreatywny zajmuje się ich dokumentami, wpisuje dane do komputera lub odbiera telefony. A Joanne uwielbiała wolność, jaką dawała jej anonimowość pracy na zastępstwach. Mogła być, kimkolwiek chciała. Wymyślała historyjki. „Mieszkam w Chelsea. Mój mąż jest dilerem sztuki”. „Mieszkam w Chiswick z moją siostrą — jest fryzjerką”. „Kiedy miałam dwadzieścia jeden lat mieszkałam w Los Angeles, spałam z Christianem Slaterem”. Każde zastępstwo traktowała jak rolę w nowym filmie. Planowała swoje kostiumy, powtarzała kwestie, uczyła się na pamięć. Wychodziła codziennie z domu Toby'ego jako inny człowiek, a wraz z końcem zastępstwa umierała osoba, którą stworzyła. Noszone ubrania zanosila do pralni, potem prasowała je, składała, odkładała i nabywała nowe kostiumy. Czasami zdarzało się, że praca trwała na tyle krótko, iż nie zdążyła skorzystać

ze wszystkich przygotowanych ubrań i w jej pokoju stało mnóstwo toreb z nietkniętymi ciuchami, a do szuflad wpychała nierozpakowane kosmetyki.

Pewnego dnia wracała do domu z metra, gdy jakiś wysoki mężczyzna chwycił ją za łokieć. To był Nick. „Myślałem, że nie żyjesz — powiedział. — Myślałem, że nie żyjesz”. Spakowała torbę i zaszyła się w małym hoteliku w Bloomsbury. Została tam dwa tygodnie, aż skończyły się jej pieniądze, potem wróciła do domu Toby'ego. Toby zmienił się. Jego włosy zostały brutalnie ścięte. Miał podbite oko. Wydawał się bardziej szorstki w obyciu, bardziej poważny. Zmusił ją do rozmowy. Po raz pierwszy od dwóch lat Joanne Fish rozmawiała z kimś, nie udając nikogo. Toby przekazał jej wiadomość od Nicka. „Proszę, wróć do domu. Nie mogę ruszyć do przodu, dopóki nie wrócisz. Bez ciebie życie nie ma sensu. Kocham cię”.

Nie wiedziała, co zrobić, co myśleć. Wprowadzając się do domu Toby'ego, zamknęła Nicka w pudełku i przekonała siebie, że on zrobił to samo z nią. Myślała o nim od czasu do czasu, wyobrażała go sobie z nową żoną, dzieckiem, nowym życiem. Nie winiła go za to. Przecież nikt na świecie nie zechciałby związać się z kimś takim jak ona, z kobietą o przedwcześnie zestarzałym i zmęczonym ciele, z ramionami pokrytymi bliznami po wieloletniej narkomanii i tatuażem upamiętniającym pobyt w więzieniu. Zawiodła jako aktorka. Zawiodła jako matka. Zawiodła jako człowiek. Ale z jakiegoś powodu on wciąż pragnął jej w swoim życiu.

Przez cały czas nie rozstawała się z listem od Nicka. Wyciągała go z torebki i czytała w pracy. Chłoneła jego treść, słowo za słowem, dzień po dniu. I za każdym razem, gdy czytała tę wiadomość, otwierała po trochu serce na siebie. I wtedy Toby zwołał zebranie, obwieścił coś, co uważała za niemożliwe. Sprzedawał dom, wyrzucał ją. Rozmawiał z nią w swoim pokoju, powiedział jej, że zmieniła się w dziwoląga. Podejrzewała to, ale słysząc takie słowa bez ogródek, poczuła się tak, jakby ktoś wylał jej kubel zimnej wody na głowę. Tej nocy położyła się do łóżka o północy, z głową pełną winą, myśli i uczuć. Rozejrzała się po pokoju, spojrzała na cieniste góry nienoszonych ubrań i zamglony portret zmarłej mamy i taty w ramce obok łóżka. Chwyciła ramkę i oderwała jej tył. Wyciągnęła zdjęcie Maisie i przycisnęła je do serca, a po jej policzkach spływały gorące, rześiste łzy.

Ruby zaczęła się pakować we wtorek. Tim podpisał umowę na wynajęcie dwupokojowego luksusowego apartamentu na Carnaby Street, do którego mieli wprowadzić się w czwartek.

Zdjęła z szafy pudło i zdmuchnęła z niego grubą warstwę kurzu. To pudło leżało tam od momentu wprowadzenia się do Domu Pawia. Nie pamiętała nawet, co znajdowało się w środku. Nie robiła generalnych ani wiosennych porządków. Upychała gdzieś różne drobiazgi i tam już zostawały. W pudle znalazła zeszyty szkolne i raporty nauczycieli. Otworzyła pierwszy z brzegu:

Tracey Lewis. Klasa 3A

Tracey ma za sobą trudny i wymagający semestr. Jej uwaga w klasie, a także ogólny stosunek do szkoły pozostaje zróżnicowany, tym niemniej Tracey wykazuje znaczne postępy w takich dziedzinach, jak muzyka i literatura angielska.

Uśmiechnęła się pod nosem i wrzuciła kartkę z powrotem. Była nieznośną uczennicą. Leniwa, bezczelna, a do tego zbyt zdolna. Żaden z nauczycieli nie wiedział, co z nią począć, i skończyła szkołę z trzema małymi maturami i złą reputacją.

Rozejrzała się po pokoju, zapamiętując wszystkie detale, gzymsy, powłoki kurzu, stare pajęczyny, pudła przykryte ubraniami, tanie meble zavalone jej drobiazgami. W tym pokoju mieszkała od szesnastego roku życia. Napisała tu nieskończoną ilość piosenek, ćwiczyła niezliczone chwytły, spała z nieodgadnioną liczbą mężczyzn. Tutaj jadła kolację, tutaj płakała, tutaj upijała się z przyjaciółmi. Siadała na balkonie w bikini w gorące letnie dni, zagrzebywała się w pościeli z butelką Benilyn podczas grypy. Mieszkała tu dłużej niż we własnym domu. To był jej dom. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że pewnego dnia może opuścić ten pokój. Nigdy nie pomyślała, że Gus może umrzeć, że Toby się zmieni, że ona sama będzie pakować swoje manatki i wynosić się stąd na zawsze. Rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Ruby westchnęła.

— Tak?

— Ruby, to ja. Mogę wejść?

— Pewnie.

Drzwi otworzyły się i wszedł Toby. Miał na sobie naprawdę ładny, szary sweter i na-

prawdę ładne dzinsy. Z krótkimi włosami i ogoloną twarzą wyglądał zadziwiająco, niemalże irytująco, dobrze. To nie podobało się Ruby. Toby z tym swoim odmienionym wyglądem zerwał kolejną warstwę z jej poczucia normalności. Toby nie miał dobrze wyglądać. Miał wyglądać jak Toby. Ten dom nie miał mieć seksownych łazienek i nowoczesnej kuchni. Miał pozostać zapuszczony i zaniedbany. A Ruby — cóż, Ruby nie miała wyprowadzać się do nowego mieszkania z miłym, ale śmiertelnie nudnym bankierem o imieniu Tim. Miała żyć niekonwencjonalnie. Miała żyć na krawędzi. Ale teraz jej możliwości się wyczerpały. W tym momencie pozostał jej jedynie Tim.

— Przyniosłem ci herbatę — powiedział Toby, podając jej parujący kubek.

— Och, dziękuję.

— I jak ci idzie? Wzruszyła ramionami.

— Dopiero zaczęłam — odpowiedziała. — Czeka mnie sporo roboty.

Pokiwał głową i uśmiechnął się.

— Nie spiesz mi się, żeby zabrać się za swój pokój.

— Kusi mnie, żeby po prostu wszystko wywalić — powiedziała. — Zacząć od zera.

— No to co cię powstrzymuje?

— Nie mogę tego zrobić. Nic innego nie posiadam na własność. Jeśli wyrzucę to wszystko na śmietnik, to równie dobrze mogę wyparować. — Spróbowała się uśmiechnąć, ale nie bardzo jej się udało.

Toby spojrzał na nią z troską.

— Jesteś pewna tego, co robisz? Że zamieszkas z Timem? Pokiwała zdecydowanie głową.

— Bo wiesz, że nie musisz wyprowadzać się już teraz. Masz jeszcze kilka tygodni. Nie musisz nic przyspieszać.

— Kilka tygodni?! — zawołała. — Och, dlaczego nie powiedziałeś od razu?! Kilka tygodni? To przecież mnóstwo czasu, żeby znaleźć pracę, zarobić na kaucję na nowe mieszkanie i zacząć zupełnie nowe życie, prawda?

— Ruby, od tygodni próbowałem zachęcić cię do tego, od momentu, kiedy zerwałaś z Paulem. Powtarzałem ci, że musisz wziąć za siebie odpowiedzialność, dorosnąć. Mogłaś wyjść i znaleźć pracę, ale zamiast tego wyszłaś i zrobiłaś to, co zawsze — znalazłaś mężczyznę.

— Łatwo ci mówić. Twój bogaty tatulek kupił ci dom i teraz zamieniasz go w gotówkę. Wyjdiesz na swoje. Ale co ja mam? Nic. Nic oprócz ładnego ciała i dobrego głosu. I jeśli nie mogę się utrzymać z mojego głosu, to mogę polegać tylko na tym, w czym jeszcze jestem dobra.

— Nie, Ruby. Mylisz się. Tak naprawdę to nawet nie wiesz, w czym jesteś dobra, bo niczego nie próbowałaś. Nigdy nie zmusiałaś się do wysiłku. Przyszłaś tu szesnaście lat temu jako utalentowana piosenkarka i autorka tekstów z zamiłowaniem do gorzałki i podejrzanych typków. I nic się nie zmieniło. Ty się nie zmieniłaś. Za bardzo się boisz przekonać, co jeszcze potrafisz w życiu.

— Bzdury — powiedziała. — Nie boję się. Niczego się nie boję. To ty jeden siedziałeś przez piętnaście lat w swoim pokoju i marnowałaś życie. Ja używałam. Żyłam. To nie moja wina, że nie wszystko ułożyło się po mojej myśli.

Toby westchnął i przeciągnął dłońmi po twarzy.

— Nie. To nie twoja wina. To moja wina. Spojrzała na niego pytająco.

— Za bardzo ułatwiłem ci życie. Usprawiedliwiałem cię. Powinienem być surowszy. Powinienem się zorientować, co się dzieje, i zrobić coś, żeby to powstrzymać.

— Co się działo? Chryste, mówisz tak, jakbym była jakąś porażką.

— Nie. — Potrząsnął smutno głową. — Nie uważam cię za porażkę. Uważam, że jesteś niesamowita. Zawsze uważałem, że jesteś niesamowita. Chciałbym, żebyś i ty w to naprawdę uwierzyła, zamiast udawać, że w to wierzysz.

Toby przeszedł przez pokój i pocałował ją w czubek głowy, zanim odwrócił się i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Ruby usiadła na chwilę, myśli kłębiły się w jej głowie jak cyklon. Potem podniosła książkę i rzuciła nią o drzwi.

W czwartek rano Ruby i Tim załadowali wynajętą ciężarówkę rupieciami Ruby. Tim kupił butelkę szampana, którą przed wyjściem zostawił w lodówce jako podziękowanie za mieszkanie. Nikt ich nie pożegnał. Kiedy ciężarówka odjeżdżała sprzed domu, Ruby spojrzała w stronę okna Toby'ego i zobaczyła postać, wpatrzoną ze smutkiem w ulicę.

Ruby poczuła grudkę w gardle, więc skoncentrowała się na drodze, na swoim nowym życiu w Soho, mężczyźnie u jej boku i przyszłości.

Toby spotkał się z Leah przed pływalnią Park Road w czwartek po południu. Dzień był bardzo wietrzny, mokry i beznadziejny, a zimny, południowy wiatr chłostał bezlitośnie. Pozbawione futrzastej osłony policzki Toby'ego zmarzły i zmokły, mimo że Toby zasłaniał się postawionym kołnierzem płaszcza.

W siatce trzymał nowiuteńkie kąpielówki nabyte tego ranka w jego nowym, ulubionym sklepie z odzieżą męską. Były czarne i miały szary pasek po bokach, a uszyto je z niekrepującego materiału, który nie przylegał ściśle do skóry. Chwilę później pojawiła się portargana Leah. Przywitała go szerokim uśmiechem i buziakiem w policzek.

— Paskudny dzień — powiedział Toby, podążając za nią do wejścia.

— Ohydny — przytaknęła, uśmiechając się do niego zza ramienia. — Ale idealny na pływanie.

Leah pływała już w basenie, kiedy Toby wynurzył się z szatni, przyciskając kurczowo ręcznik do piersi. Obserwował ją minutę lub dwie, jak poruszała się bez wysiłku, wykonując mocne, powolne ruchy. Uśmiechnęła się na jego widok i poklepała krawędź basenu.

— Wchodzisz?

Kiwnął głową, zachwycając się kształtem jej nagich ramion i połyskliwą kopułą mokrych włosów.

— Tylko ostrożnie — drażniła się z nim. — Żadnych kaskaderskich skoków.

Odłożył ręcznik na bok i ostrożnie skierował się ku płytkiej części basenu. Przysiadł na krawędzi i pozwolił nogom kołysać się swobodnie w ciepłej wodzie. W głowie usłyszał dalekie echo przeszłości — nauczyciela zwracającego się do niego: „Dobbs! Chcę zobaczyć dziesięć długości kraulem. Zabieraj się z tym tyczkowatym ciałem do wody, w tej chwili!”. Toby wzdrygnął się nieznacznie i zsunął się do wody. Leah podpłynęła do niego i stanęła na dnie basenu. Woda spływała kaskadami po jej ciele. Miała na sobie czarny strój kąpielowy, który błyszczał się we fluorescencyjnym świetle. Toby próbował zapanować nad oczyma, by zbyt swobodnie nie błądzić wzrokiem po jej imponujących kształtach, nie wpatrywać się zbyt długo w jej jędrne, krągłe piersi, mocne uda, pachy, kolana, obojczyki, pachwiny... ale okazało się to niemożliwe. Wyglądała zniewalająco. Wyglądała tak dobrze, że miał ochotę przerzucić ją przez ramię niczym człowiek pierwotny i kochać się z nią w jaskini. Przełknął

ślinę i postarał się skierować uwagę na coś innego — żeby zanurzyć całe ciało i utrzymać się na powierzchni w jakimś stylu, który nie upokorzyłby ani jego, ani Leah.

Zaczął płynąć na plecach, bo coś mu podpowiadało, że to było łatwiejsze niż pływanie na brzuchu. Leah uśmiechnęła się do niego zachęcająco.

— Wszystko okej? — zapytała, bezgłośnie poruszając ustami.

Kiwnął głową w odpowiedzi, przez co woda zalała mu oczy i usta. Przekreślił się na brzuch i zakaszał. Naprawdę nie był do tego stworzony. Jeśli delfin miał optymalny, aerodynamiczny kształt do pływania, to przy nim Toby wyglądał jak nowo narodzona, zbyt duża żyrafa. Leah zaś miała szlachetną, solidną linię, stworzoną do pływania. Uśmiechnęła się i podpłynęła do niego.

— Może potaplasz się w płytkiej części, aż odrosną ci płetwy?

— Płetwy?

— Tak. Każdy ma płetwy. Są niewidzialne. Trzeba się tylko nauczyć, jak się nimi posługiwać.

— Aha. — Toby pokiwał głową, niezbyt przekonany i znów położył się na plecach. Uszy wypełniły się wodą, a on zamknął oczy, ciesząc się wrażeniem częściowego odcięcia od rzeczywistości. Przez chwilę unosił się tak na powierzchni, ręce i nogi poruszały się delikatnie pod wodą, wsłuchiwał się w bulgot podwodnych ruchów, stłumione echo krzyzących dzieci i rozważał swój następny ruch. W końcu nie przyszedł dziś na basen z Leah, żeby tylko pływać. Miał o wiele bardziej ambitne plany na popołudnie niż nieeleganckie taplanie się w zasikanej, miejskiej wodzie. Dzisiaj miał zrobić kolejny poważny krok w swoją przyszłość. Dzisiaj miał ukształtować swoje przeznaczenie. Dzisiaj miał dokonać czegoś niesłychanego, potencjalnie niszycielskiego.

Popłynął wzdłuż wytyczonego toru z głową pełną planów, z zamkniętymi oczami, obojętny na obecność innych, aż jego głowa uderzyła w coś twardego i zdał sobie sprawę, że w jakiś sposób, bez większego wysiłku, znalazł się po drugiej stronie basenu.

Usiedli w pubie po drugiej stronie ulicy. Toby podzielił się z Leah wszystkimi nowinkami. Słuchała jak urzeczona historii Cona i Daisy. Zdziwiła ją wypowiedź Ruby z Timem. Wzruszyła się do łez, wysłuchawszy opowieści o Joanne, i zachwyciła ją wiadomością, że Jack zaprosił Melinę na kolację, a ona biegała po domu jak zakochana nastolatka.

— Więc wszystko już prawie zapięte na ostatni guzik? — zapytała.

— Tak — potwierdził. — Muszę tylko dokończyć dom i jestem gotów ruszać dalej.

— Do Kornwalii?

— Tak, albo do Devon. Spójrz tylko. — Otworzył torbę i wyjął plik papierów. — Wydrukowałem to dzisiaj, żebyś mogła to zobaczyć. — Wręczył jej kartki i obserwował jej reakcję.

Miała przed nosem oferty nieruchomości, które znalazł przez Internet. Rybackie chaty i georgiańskie kamienice, omiecione wiatrem domki parterowe i przebudowane stodoły. Otaczały je ogromne ogrody biegnące do morza, na dziedzińcach wisiały ukwiecone kosze, wypieszczone trawniki rozciągały się po horyzont. Były tam wybiegi dla koni, zabudowania gospodarcze, podjazdy, warsztaty. Małe, duże, kompaktowe, rozproszone. Każdy uosabiał inne marzenie, sugerował pewien styl życia.

— I co myślisz? — zapytał.

— Myślę — odpowiedziała — że mieszkanie w Londynie jest największą głupotą człowieka. Spójrz tylko na ten — wyciągnęła opis domku z widokiem na morze w rybackiej miejscowości w Devon. — Pewnie kosztuje tyle co moje mieszkanie. Co lepsze, mała klitka w Finchley czy domek z trzema sypialniami z widokiem na morze? — Potrząsnęła głową. — Są niesamowite. Bez dwóch zdań. Mogłabym zamieszkać w każdym z nich.

— Naprawdę? — zapytał, a serce zaczęło mu walić.

— O tak. Ojej, a spójrz na ten. Na ogród. I ta kuchnia. I nawet ma sklepik...

Toby uśmiechnął się i pociągnął za kartkę w jej dłoniach.

— Więc ten ci się podoba?

— Jest cudny. Wyobraź sobie, że mieszkasz tam, prowadzisz swój własny, mały sklepik. To byłoby wspaniałe, prawda?

— Myślę, że byłaby to najcudowniejsza rzecz, jaką można sobie tylko wyobrazić. Perfekcyjna w każdym calu.

— Więc który chcesz kupić?

— Kupię ten — spoważniał — który podoba się tobie najbardziej.

— Nie! — zaśmiała się. — To twoje marzenie. Ty musisz wybrać.

Toby spojrział na piwo, potem znów na Leah. Jej włosy były wciąż wilgotne, a twarz bez makijażu. Biła z niej taka witalność, zdrowie, życie. Oczami wyobraźni zobaczył ją na plaży z psami, którym rzuca patyki; widział, jak pedałuje pod wzgórze po gazety, a zimą

decyduje się na orzeźwiająca kąpiel w morzu. Wyobrażał sobie, jak przeciera duszone owoce przez muślinową szmatkę wprost do słoików, jak zbiera jabłka do koszyka, siedzi w niskim pubie i popija jakiś lokalny trunek. Była wiejską dziewczyna uwięzioną w miejskiej klatce. Rozkwitłaby na prowincji. Złapałaby wiatr w żagle. Tak jak i on.

Toby ujął dłoń Leah i wciągnął głęboko powietrze.

— Myślę, że powinnaś jechać ze mną — powiedział.

— Co? — uśmiechnęła się. — Żeby obejrzeć te miejsca, o to ci chodzi, tak?

Wypuścił powietrze. Przez chwilę nic nie mówił. Dokładnie wiedział, o co mu chodziło, co chciał powiedzieć. Chciał powiedzieć: Jedź ze mną i zamieszkać ze mną. Bez ciebie przepadnę. Potrzebuję cię w moim życiu. Potrzebuję cię, by czuć się normalnie. Ale kiedy słuchał tych słów w głowie, inny głos zaczął szeptać mu do ucha: „To szaleństwo. Kompletne szaleństwo. Niby czemu miałabyś zostawić wszystko i zamieszkać ze mną? Dwa miesiące temu nawet mnie nie znałaś. Poza tym masz chłopaka i pracę, a ja jestem jedynie dziwnym facetem, który mieszka po przeciwnej stronie ulicy. Wiesz, facetem, który, na miłość boską, formalnie wciąż jest żonaty z kobietą, która najprawdopodobniej nie żyje; facetem, który przez piętnaście lat umierał z miłości do egoistycznej, głupiej, okropnej krowy, mimo że zdawał sobie sprawę, że było to żalosne; facetem, który uważa się za poetę, choć od lat nie napisał niczego wartego choćby spojrzenia; facetem, który siedzi tutaj w kalesonach kupionych w lumpeksie. Jeśli kiedykolwiek zastanawiałaś się, kto może chodzić do sklepów z używaną odzieżą i kupować po kimś bieliznę, no to teraz już wiesz, właśnie patrzysz na takiego gościa. A z jakichś powodów, Bóg jeden wie dlaczego, uroiłem sobie w głowie, że ty i ja mamy przed sobą przyszłość, że ty i ja, razem, to ma sens. Pomyślałem, że wyskoczę z tą dziką, wyjętą z kapelusza, całkowicie szaloną propozycją, a ty poważnie się nad nią zastanowisz”.

— Ha! — krzyknął nagle głośno i niespodziewanie.

— Co? — zapytała Leah.

— Nic — odparł Toby. — Tylko, ee, miałem właśnie powiedzieć... ale teraz sam nie wiem. Ja tylko... kurde! — Uderzył w stół. — Jestem takim idiotą. — Wyciągnął swój płaszcz i zaczął upychać papiery z powrotem do torby. Leah wpatrywała się w niego. — Przepraszam — powiedział. — Muszę już iść. Muszę, ee...

— Toby, o co chodzi? Nie idź.

— Przepraszam — powtórzył. — Muszę. Do widzenia.

Chwycił torbę i wyszedł z pubu bez oglądania się za siebie, maszerował w zapadającym mroku, wśród deszczu, a każda kropla parzyła odkrytą powierzchnię skóry.

Leah próbowała go dogonić. Słyszał jej wołanie za plecami. Zaczął biec, jego stopy uderzały rytmicznie o mokre ulice Crouch End. W końcu jej głos zamilkł.

71

Leah i Amitabh czekali przed stacją w Ascot na ojca Amitabha, który miał po nich wyjechać. Zostali zaproszeni przez Malinę na obiad. Amitabh był w jakimś dziwnym nastroju i Leah wiedziała, że coś wisi w powietrzu. Zazwyczaj Malina zapraszała ich jedynie na rodzinne zjazdy z braćmi, siostrami, kuzynami i ciotkami.

Gigantyczny mercedes SUV zahamował z piskiem i wysiadł z niego Hari. Przytulił syna mocno na przywitanie, a Leah pocałował w oba policzki. Podczas jazdy do cichej dzielnicy ekskluzywnych domów Leah obserwowała wiejski krajobraz. Hari i Amitabh siedzieli z przodu i dyskutowali na temat gry Chelsea w Lidze Mistrzów.

Malina, zachwycona i czarująca jak zawsze, przywitała ich w drzwiach uściskami, głaskaniem i pocałunkami. Przyniosła piwo i zadała Leah milion pytań na temat jej zdrowia, rodziny i życia. Stała nad kuchenką w nieskazitelnej kuchni i mieszała w dużych garnkach aromatyczną potrawę curry i ryż basmati.

Zjedli obiad przy stole w jadalni, otoczeni zdjęciami, na których Amitabh, jego siostry i brat stoją w togach, w rękach trzymają dyplomy, wyglądają dumnie i nieporadnie. Nad kominkiem wisiało zdjęcie — portret rodzinny, Hari i Malina z czwórką dzieci. Mieli na sobie nijakie ubrania z lat dziewięćdziesiątych i przydługie włosy. Na kominku stał też mosiężny zegar podróżny, zaproszenie na uroczystą kolację w Royal Ascot Golf Club i ornamentowa figurka Ganeszy.

Leah skusiła się na dokładkę szpinaku z soczewicą i oderwała pasek roti. Amitabh spoił się nieznacznie, słony strumyk ściekał mu po skroniach, w przerwach wycierał go lnianą serwetką.

— Wszystko w porządku? — Leah trąciła go delikatnie łokciem.

— Tak — odpowiedział. — Nic mi nie jest. Tylko trochę, no wiesz...

— Co, zbyt ostre dla ciebie? — zażartował ojciec.

— Nie. Nic. Czuję się tylko trochę... nieważne.

Amitabh nie odezwał się już podczas posiłku, tylko chrząkał w odpowiedzi i opychał się jedzeniem. Wiercił się na krześle, był nieobecny myślami, wyglądał, jakby miał ochotę uciekać gdzie pieprz rośnie.

— Co się z tobą dzieje? — Malina nie wytrzymała i zwróciła się do niego przy sprzą-taniu miseczek po deserze. — Jesteś chory czy co?

— Nie, nie jestem chory. Jestem... Muszę coś zrobić.

— Iść do toalety?

— Nie, nie chodzi o toaletę, mamó. Muszę... Boże, muszę zrobić to.

Poderwał się z krzesła i padł na kolana, tuż obok stóp Leah. Objął swoimi spoconymi dłońmi jej ręce i spojrzał jej prosto w oczy.

— Leah — przemówił — dwa tygodnie temu mama i tato zaproponowali mi narze-czoną. Widziałem jej zdjęcie, naprawdę ładna. I rozmawiałem z nią przez telefon. Bardzo miła. Robi staż na adwokata, ma dwadzieścia sześć lat. I... i myślałem o tym. Naprawdę. Chciałem tego chcieć. Chciałem postąpić tak, jak należy. Ale mogłem myśleć jedynie o nas, o tym, jacy jesteśmy szczęśliwi i jak bardzo cię kocham, i jak bardzo chcę być z tobą. I wte-dy to do mnie trafiło, jak grom z jasnego nieba, prosto w głowę. Nie potrafię żyć bez ciebie. Próbowałem i to było straszne. I chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo zależy mi na tobie, na nas. Więc...

Sięgnął do tylnej kieszeń spodni i wyjął maleńkie atlasowe pudełeczko. Niezgrabny-mi, spoconymi palcami otworzył je i pokazał zawartość Leah.

— Leah, kocham cię. Zawsze cię kochałem. Wyjdiesz za mnie? Czy zostaniesz moją żoną?

Leah wpatrywała się w pierścionek, potem w Amitabha. Jego brązowe oczy zwilgot-niały z emocji. Pierścionek był śliczny — gładki srebrny okrąg z owalnym, diamentowym oczkiem. Patrzyła, jak wyciąga pierścionek ze szczeliny i kieruje go na jej serdeczny palec lewej ręki. Potem podniosła wzrok na Hariego i Malinę i cofnęła rękę.

— Ale co z twoimi rodzicami? — zapytała.

Amitabh popatrzył na nich.

— Przepraszam, mamó, tato — zwrócił się do nich. — Wiem, że chcieliście dla mnie

innych rzeczy, ale mam prawie trzydzieści jeden lat i jestem za stary na kompromisy, za stary, by robić to, co mi każą. A tamta dziewczyna jest wspaniała. Dobrze wybraliście dla mnie i doceniam to, ale ona nie jest... ona nie jest moją Leah.

Leah wstrzymała oddech i wbiła wzrok w Hariego i Malinę. Hari kiwał głową, a wyraz jego twarzy był nieprzenikniony, Malina płakała. Nikt przez chwilę nie odezwał się słowem. Leah słyszała, jak krew pulsuje jej w skroniach.

— Więc — odezwał się Amitabh, znów obejmując dłonie Leah — zostaniesz moją żoną? Wyjdiesz za mnie?

Leah mocno zacisnęła powieki. Kiedy je otworzyła, Amitabh wciąż się w nią wpatrywał.

— Nie wiem — westchnęła w końcu. — Naprawdę nie wiem.

— Ale myślałem, że marzyłaś o tym.

— Tak — odparła. — Tylko zaskoczyłeś mnie, to wszystko. Nie spodziewałam się. Muszę się zastanowić. Muszę...

— Daj dziewczynie czas do namysłu — powiedziała Malina, głaszcząc ramię syna.

— Tak — zgodził się Hari. — Zadałeś jej poważne pytanie. Pozwól jej odetchnąć.

— Tak — poparła męża Malina. — Pozwól jej odetchnąć.

Leah uśmiechnęła się blado i objęła ramionami przybitego Amitabha. Przycisnęła twarz do jego gęstych włosów i wciągnęła w nozdrza jego zapach, najbardziej ulubiony zapach na świecie.

— Pojadę do domu — wyszeptała. — Ty zostań tutaj.

W odpowiedzi skinął słabo głową, tuż pod jej ustami. Pocałowała go w czubek głowy, potem w policzki, a w końcu Hari odwiózł ją na stację kolejową.

— Gdybyś miała zostać naszą synową, wiesz, że byśmy to zaakceptowali, prawda?

— Naprawdę? — zapytała Leah, wpatrując się w wycieraczki zakreślające łuki na zroszonej deszczem szybie.

— Nie o tym marzyliśmy, nie takie mieliśmy nadzieje, ale naszym największym życzeniem jest, by nasze dzieci były szczęśliwe. Zawsze.

— Amitabh myślał, że odcielibyście się od niego. Że byście go wydziedziczyli.

Hari potrząsnął głową.

— Nie — zaprzeczył. — Dobrze jest, kiedy dzieci wierzą, że kara za ich grzechy bę-

dzie surowsza niż w rzeczywistości, ale grzech mojego syna musiałby być naprawdę wielki, bym zechciał usunąć go ze swojego życia. Mój syn jest moją radością, moim blaskiem, moją przeszłością i moją przyszłością. Mój syn jest dla mnie wszystkim.

Leah uśmiechnęła się ściśniętymi ustami i delikatnie wbiła palce w swoją dłoń.

— Ale Leah, to, że mój syn jest gotów się dla ciebie poświęcić, nie oznacza, że musisz przyjąć jego oświadczenia. Nie chciałby, żebyś wyszła za niego z poczucia winy czy obowiązku. My też nie. Zastanów się nad tym dobrze. Posłuchaj swojego serca, Leah. Posłuchaj swojego serca.

72

Wszystkie prace budowlane zostały ukończone. Naprawiono balkony, wymieniono okna, odremontowano kuchnię i łazienki, położono kostkę brukową na ścieżce od frontu domu; elektryk i tynkarze również uporali się ze swoją robotą. Zostały już tylko same przyjemności. Malowanie, wykładziny, ogród, zasłony.

Toby postanowił zafundować sobie „terapię zakupową”. Od czwartkowego wieczoru, podczas którego na własne życzenie doświadczył pogwałcenia, niemal nie wychodził z pokoju i lizał się z ran. Nie odważył się nawet wystawić nosa poza zasłony, na wypadek gdyby ją zobaczył lub, co gorsza, ona zobaczyła jego. Ale nadszedł poniedziałek. Poszła do pracy. Ulice były bezpieczne. Otworzył dolną szufladę, żeby wyjąć trochę gotówki, i zamarł.

Szuflada była pusta.

Otworzył szufladę wyżej, mając nadzieję, że za sprawą jakiejś cudacznej, zapomnianej chwili, w nieświadomym ułamku czasu zdecydował się przełożyć pieniądze.

Przez kolejne dziesięć minut, pełen wiary w takie wytłumaczenie, zajrzał do każdego zakamarka w pokoju, przejrzał wszystkie szuflady, pudełka, tacę, narożniki, wnęki i szczeliny. Wywrócił wszystko do góry nogami, sprawdził każdą rzecz w środku, za nią i pod nią. To nie mogło się zdarzyć. To było niemożliwe. Niewytłumaczalne. Trzydzieści tysięcy funtów mogło wyparować z jego pokoju tylko w jeden sposób. Ktoś, z kim mieszkał, zabrał pieniądze. Toby usiadł na krawędzi łóżka i spróbował zebrać fakty. To nie mógł być Con. Obiecał przecież pożyczyć chłopakowi potrzebne pieniądze. Con nie miał więc powodów, by je kraść. Równie mocno Toby był przekonany, że Melinda nie miała nic wspólnego z za-

ginięciem gotówki. To do niej nie pasowało. Stewardesy nie kradną. Została jeszcze Joanne, złodziejka z wyrokiem, była narkomanka, wkrótce bez dachu nad głową, i Ruby, splukana, egocentryczna artystka, która wyszła z domu w czwartek rano, nie zostawiając nowego adresu. To mogła być każda z nich.

— Cholera — syknął do siebie. — Cholera, cholera, CHOLERA!

73

W poniedziałek po południu Leah przeszła na drugą stronę ulicy do kawiarni i zamówiła lunch. Ruth wróciła do kraju na kilka dni i urzędowała w sklepie, miała nienaturalnie wypolerowaną i napiętą twarz i niesamowicie denerwowała Leah. Sądząc po jej zachowaniu i wyglądzie, Leah podejrzewała, że w czasie pobytu w Los Angeles Ruth zaliczyła jedną lub dwie wizyty u chirurga plastycznego i że rozpadł się jej świeżo upieczony związek z młodym mężczyzną o imieniu Rex.

Zamówiła rogalika i gazowaną wodę i odetchnęła z ulgą. Wreszcie była sama. Tyle rzeczy kłębiło się jej w głowie, że miała wrażenie, że się rozchoruje. Oparła głowę na rękach i rozejrzała się po kawiarni. Natychmiast zauważyła otaczające ją z trzech stron trzy pary, najwyraźniej zesłane przez los, by rozważyła swoją sytuację. Na lewo siedziała azjatycka para: młodzi, eleganccy, modni, czytali wspólnie gazetę i popijali cappuccino. Na prawo siedziała para mieszana: on Azjata, ona biała i w ciąży. Stolik naprzeciwko zajmowała biała para z małym dzieckiem w nosidełku. Ci nie mieli obrączek, mieszanym nosili pierścionki zaręczynowe, a azjatycka para prezentowała obrączki. Miała przed sobą każdą możliwą kombinację swojego przeznaczenia. Małżeństwo mieszane, małżeństwo zaaranżowane, ciąża, rodzicielstwo. I wtedy zobaczyła siebie, swoje odbicie w lustrze po drugiej stronie kawiarni, jeszcze nie kobietę, ale już nie dziewczynę. Siedziała sama i miała samodzielnie, bez niczyjej pomocy, podjąć tak ważną decyzję. Zrobiła w myślach listę za i przeciw.

Powody, dla których powinna wyjść za Amitabha:

- Kochała go.
- Pasowali do siebie.
- Nie musiałyby znowu być singielką ani chodzić z obcymi facetami na randki, ani

pokazywać swojego ciała innym mężczyznom i golić codziennie nóg, i poznawać ich rodziców/przyjaciół/rodzeństwo.

- Nie musiałyby wyprowadzać się z mieszkania i mieszkać z obcymi, i skończyć jak te zagubione dusze w domu Toby'ego.

- Mogłyby już teraz mieć dziecko, a nie czekać, aż spotka kolejnego kandydata, pozna go, zaangażuje się, poczeka parę lat, weźmie ślub i dopiero wtedy będzie czas na dziecko; do tego momentu zaś zbliży się do setki.

- Wciąż byłyby relatywnie młodą panną młodą i mogłyby pozwolić sobie na założenie tradycyjnej, białej sukni ślubnej ze wszystkimi dodatkami. Gdyby chciała. Nawet jeśli najprawdopodobniej by nie chciała, to miło mieć taką opcję.

- Jej rodzice byliby szczęśliwi.

Powody, dla których nie powinna wychodzić za Amitabhę:

- Potrafił być bardzo denerwujący.

- Skończyliby w tym mieszkaniu na zawsze, bo Amitabh nie lubił zmian.

- Chciał ożenić się z nią tylko dlatego, że myślał, że ona o niczym innym nie marzy i gdyby zostali razem, nic nie musiałyby się zmieniać.

- Najprawdopodobniej nawet nie chciał dzieci, biorąc pod uwagę fakt, że sam wciąż był dużym dzieckiem.

- Miłość, którą czuła do niego, była bardziej siostrzana niż cielesna.

- Byłby przekonany, że żeniąc się z nią, wykonał swoją część roboty, i nie zmusiłby się już nigdy więcej do żadnego wysiłku.

- Jego rodzice podeszliby do ich związku filozoficznie, ale do końca życia odczuwaliby pewne rozczarowanie.

Dwa miesiące temu była gotowa podjąć tę decyzję, ale teraz, choć to dziwne, już nie. Czas, który spędziła z dala od niego, dał jej przestrzeń, żeby zobaczyć, że być może czekały na nią inne rzeczy.

Położyła torebkę na kolana i wyciągnęła z niej kartkę. Był tam opis chatki w Devon, tej z wolnym sklepikiem od frontu, który Toby pokazał jej w czwartek. Westchnęła, wyobrażając sobie, że mieszka w tym przytulnym, prostym miejscu. Myślała o tym, co mogłyby sprzedawać w maleńkim sklepiku z drzwiami z łukiem. Ciasta? Bieliznę? Sprzęt kompu-

terowy? Płyty? Rzeczy, które faktycznie były potrzebne ludziom, zamiast przedrożonych drobiazgów i ozdóbek? I wtedy, zupełnie niespodziewanie, wyobraziła sobie tam Toby'ego stojącego razem z nią za ladą sklepu, jego wielkie dłonie rozpakowywały pudła, uśmiechał się nieśmiało do klienta.

Złożyła kartkę na czworo, wsunęła ją z powrotem do torebki i wróciła do pracy, czując się tylko odrobinę mniej zdezorientowana.

74

W ciągu dwóch minut od rozmowy telefonicznej z Damianem, w której wytłumaczył swoje nieszczęśliwe położenie, trzech mężczyzn w kombinezonach wyłączyli radio, zwinęli drabinę, odstawili puste kubki do kuchni, załadowali ciężarówkę i zniknęli. Toby obserwował z okna wyjeżdżającą z miejsca parkingowego ciężarówkę, która szybko wtopiła się w ruch uliczny i zawiozła fachowców do innego inwestora, który miał pieniądze na opłacenie ich pracy. Westchnął i poczuł lekkie mdłości. Pół godziny później pojawił się Damian, który wyglądał bardzo poważnie, a jego zwyczajowa aura filozoficznej akceptacji stała się niewidzialna.

— Jest źle — przywitał Toby'ego.

Toby kiwnął głową i wręczył mu kubek zielonej herbaty.

— Bardzo źle — kontynuował.

— Wiem — powiedział Toby. — Gorzej być nie może. Tak bardzo chciałbym powiedzieć ci coś, co mogłoby sprawić, że nie wyglądałoby to aż tak źle. Ale nic takiego nie przychodzi mi do głowy. Miałem trzydzieści tysięcy funtów i ktoś mi je zabrał, i w żaden sposób nie odzyskam tych pieniędzy. Chyba nie podasz mnie do sądu?

Damian zastanowił się nad pytaniem. Upił łyżeczek herbaty i zacisnął usta. Ponownie rozważył pytanie.

— Nie — odpowiedział w końcu. — Nie. Jesteś przyjacielem Leah. Jesteś porządnym facetem. Ale muszę opłacić moich ludzi, więc trzeba coś wymyślić.

Wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju. Toby przyglądał się mu z niepokojem.

— Słuchaj — powiedział po chwili — a co powiesz na to? Mam teraz robotę w Mill

Hill. Zostało mi umeblowanie domu. A te rzeczy — zatoczył ręką po pokoju — wyglądałyby idealnie.

— Co, moje meble? — przeraził się Toby.

— Tak. Sofy, stolik i wszystko inne. Mówiłeś, że to Conran, tak?

— Tak, ale...

— Ile dałeś za to wszystko?

— Chryste. Nie wiem. Sześć tysięcy za sofy, trzy za stolik.

— Super. Dziewięć patyków. Okej, wezmę więc to wszystko teraz, a resztę pieniędzy zapłacisz mi po sprzedaży domu, i robię to tylko dlatego, że jesteś kumplem Leah.

— Naprawdę?

— Tak. Nie lubię rozsiewać złej karmy dookoła siebie. Lubię proste i jasne rozwiązania. Nieskomplikowane, rozumiesz?

Toby pokiwał skwapliwie głową, desperacko pragnąc utrzymać Damiana w tym szczęśliwym nastroju, w razie gdyby zmienił zdanie i zdecydował się wezwać bogów złej karmy. Pięć minut później stanęli w drzwiach i uściśnął jego rękę mocno i z wdzięcznością.

— Dam ci znać, kiedy przyjedziemy po meble — powiedział Damian. — Najprawdopodobniej na początku przyszłego tygodnia.

— Wspaniale — odpowiedział Toby, usiłując zmienić wizję wynoszonych mebli w fantastyczną przyjemność. — Wspaniale. A twoi ludzie? Przyjdą tu jutro rano, tak?

Wzrok Damiana wyrażał dezorientację.

— Ludzie?

— Tak. Twoi ludzie. Żeby skończyć pracę.

Na twarzy Damiana pojawił się uśmiech zrozumienia.

— Och, o to chodzi. Nie — powiedział — nie wrócą.

— Nie?

— Nie. Przykro mi, stary, ale nie możesz spodziewać się, że przyjdą pracować za darmo. Kończymy z tą robotą.

— Naprawdę?

— Przykro mi, stary. Nie mam wyboru. Ale słuchaj, powodzenia. Będziemy w kontakcie.

Toby obserwował maszerującego ulicą Damiana, który wspiął się na swojego prze-

chodzonego land-rovera i odjechał. Potem obrócił się i wszedł do środka. Został sam z domem-szkieletem, który składał się w przybliżeniu z sześćdziesięciu ścian, piętnastu drzwi, dwudziestu grzejników i osiemnastu ram okiennych do pomalowania, plus sześć skrzydeł schodów do pokrycia wykładziną i dwa i pół tysiąca metrów sześciennych desek do wycyklinowania. W dwa tygodnie. Jednym pędzlem, z jedną drabiną i jedną parą rąk. Toby przykucnął w korytarzu i rozważał wielkość zadania, które przed nim stało. Nawet gdyby malował od świtu do nocy, nie miał szans zakończyć pracy przed końcem marca.

Została tylko jedna opcja. Musiał wystawić dom na sprzedaż w takim stanie, w jakim był, nieskończony, upieczony do połowy. Nie miał innego wyjścia.

75

Leah patrzyła na materializującą się przed nią postać Toby'ego, najpierw wielkie stopy w grubych skarpetach, potem łydki, kolana, biodra, brzuch, ramiona i głowa, aż zszedł z ostatniego stopnia i stanął przed nią. Poczowała przyjemny dreszcz i uśmiechnęła się.

Wprowadził ją do kuchni, a ona oniemiała z zachwyty.

— O mój Boże. Jaka niesamowita kuchnia.

— Dziękuję — odpowiedział, głaszcząc granitowy blat. — Piękna, prawda?

— Oblędna — zgodziła się. — Musiała kosztować majątek.

— Nie tyle, ile byś myślała. Damian kupił ją dla mnie po cenach hurtowych.

— Ach — uśmiechnęła się — stary, dobry Damian.

— Tak, w istocie. Szczęśliwie dla mnie jest starym, dobrym Damianem. W przeciwnym razie już miałbym sprawę w sądzie.

Leah rzuciła mu pytające spojrzenie.

— Ktoś ukradł pieniądze Gusa. Moje pieniądze. Wszystko. Co do centa.

— Nie! — Leah zakryła dłonią usta. — Kto? Wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Myślałem, że może Joanne, ale zapytałem ją wprost, gdy wróciła z pracy, i musiałaby być niesamowicie dobrym kłamcą, żeby odegrać tak przekonujące zaprzeczenie. Podejrzywałem też Ruby, że może zabrała pieniądze, zanim opuściła dom. Ale potem przypomniałem sobie, że widziałem je w sobotę, wciąż leżały na miejscu po jej wyprawce. A poza tym, po co miałyby je kraść, skoro ma Tima do płacenia za wszystko? Więc

nie mam pojęcia. Nie było żadnych oznak włamania i nie zginęło nic innego.

— A może to jeden z robotników?

— Nie. — Potrząsnął głową. — Nie sędzę. Pieniądze były tu w sobotę, zauważyłem, że zniknęły, w poniedziałek rano, zanim wyszedłem z pokoju. Ktokolwiek to zrobił, zabrał je między sobotnim popołudniem a niedzielą wieczór. To musiał być ktoś z domu. Ale nie mam pojęcia kto.

— I co teraz zrobisz?

— Nic — odpowiedział. — Nic nie mogę zrobić. Damian zabiera moje meble tytułem zapłaty jednej trzeciej z tego, co jestem mu winien, a resztę dostanie po sprzedaży domu. Zostałem więc sam, pozostawiony na pastwę losu, w tym szkielecie z gołymi ścianami, bez grosza przy duszy.

— Nie skończysz remontu?

— Nie. Muszę wystawić dom na sprzedaż w takim stanie, jaki jest, zrobiony do połowy. Nawet nie chcę sobie wyobrażać, jak bardzo wpłynie to na wartość...

— Nie, ale przecież nie o to chodzi, prawda? Chodzi o dom. O świadomość, że zrobiłeś to należycie. Nie możesz zostawić go w takim stanie. Gdzie twoja puenta?

— Moja puenta?

— Tak. Ten dom był twoim najlepszym przyjacielem przez piętnaście lat. Nie możesz go tak po prostu opuścić w połowie remontu. Potrzebujesz porządnego zakończenia.

— No tak. Zgadzam się. Potrzebuję tego. Ale jak? Nie stać mnie, by opłacić kogoś, a to zbyt duża praca, bym sam dał radę.

— No to poproś innych.

— Nie. Wszyscy pracują. Nie mogę oczekiwać, że urwą się z pracy dla moich ścian.

— No to zrób to przez weekend. Mógłbyś urządzić malowane przyjęcie.

— Malowane co?

— Malowane przyjęcie. Zaprosz, kogo się da, daj pędzel w rękę, piwo i pizzę. Dom będzie skończony do poniedziałku.

— Obawiam się, że nie znam tylu ludzi, by ten pomysł wypalił.

— Och, z pewnością znasz. A co z tymi, którzy mieszkali tu przez te wszystkie lata? Musisz mieć kontakt z niektórymi z nich?

— Nie — odpowiedział Toby. — W zasadzie to nie. Nie jestem z tych, co pozostają w

kontakcie.

— Ale wiesz, gdzie teraz mieszkają?

— Większość osób zostawiła nowy adres.

— A telefony?

— Niektórzy tak.

— No to dzwoń do nich!

— I co mam powiedzieć? Cześć, pamiętasz mnie, no to chciałbym, żebyś przyszedł i pomalował mi dom?

— Tak! Powiedz, że masz problem. Przypomnij im, jak to kiedyś ty wyciągnąłeś do nich pomocną dłoń, gdy byli w tarapatkach. Powiedz, że są ci to winni.

Toby potrząsnął głową.

— Nie, nie mogę tego zrobić. Nie ma mowy. Raczej wolałbym umrzeć. Przecież nie-nawidzę telefonu jako takiego. A do tego miałbym zadzwonić do tych wszystkich ludzi, zadawać głupie pytania typu: "Jak się macie i co porabiacie?", i nadrabianie zaległości i ta... ta... pogawędka. To po prostu... ugh, nie, nie dam rady. Przykro mi.

— No to ja to zrobię. Daj mi tylko te adresy.

— Naprawdę?

— Tak. Naprawdę. Zależy mi na tym, żeby zobaczyć ten dom skończony w każdym calu, tak bardzo jak i tobie. Powiedz, do kogo mam zadzwonić, to zadzwonię.

— Ale masz świadomość, że połowa z nich pewnie już dawno zmieniła numer? Po prostu wydaje mi się, że nie będziesz w stanie wytropić kogokolwiek.

— Przestań być takim pesymistą.

— Szkoda mi twojego czasu. Doceniam, że proponujesz coś takiego, i nie zniósłbym myśli, że zadajesz sobie tyle trudu na nic.

— To nie jest trud. Naprawdę. Już się cieszę na te rozmowy. Odciągnie to moje myśli od... różnych spraw.

— Spraw? Jakich spraw?

Leah zamilkła, zastanawiając się, czy powiedzieć Toby'emu o oświadczeniach Amitabh. Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się.

— Nic takiego — odpowiedziała po chwili. — Wiesz, praca i takie tam. Proszę. — Sięgnęła do torebki po kartkę z ofertą wiejskiego domku. — Przyniosłam ci to z powrotem.

Zostawiłeś to w pubie wtedy, kiedy...

— Wybiegłem jak oparzony z niewiadomych powodów?

— Tak. — Uśmiechnęła się. — Kiedy wybiegłeś jak oparzony z niewiadomych powodów.

— Hmm... — Potarł brodę i uśmiechnął się. — Bardzo cię przepraszam za tamto. Obawiam się, że nie jestem w stanie podać ci żadnego satysfakcjonującego wytłumaczenia tego zachowania. Po prostu, eee, poczułem się trochę przytłoczony.

— Przytłoczony?

— Tak. To bardzo dziwny rok. Tyle się wydarzyło, tyle się zmieniło. Myślę, że coś wtedy wybuchnęło w mojej głowie. — Wziął od niej kartkę i wpatrywał się w nią przez chwilę. — Ten ci się spodobał, prawda?

— Uhm. — Skinęła głową. — Właściwie to wpadłam w obsesję na jego punkcie. Pomyslałam, że lepiej ci to oddam, zanim zrobię coś głupiego i kupię go. — Błysnęła oczami i zaśmiała się.

— To nie byłoby głupie.

— A właśnie, że tak. Zaczniemy od tego, że nie mam pieniędzy. I jest jeszcze dwieście dwadzieścia pięć innych powodów, dlaczego nie powinnam wyprowadzać się na wieś.

— Jakich na przykład?

— Och — odparła — brak pracy, brak przyzwoitych potraw na wynos, nie byłabym blisko rodziców i Amitabha... — Przerwała. — No on to raczej wolałby wydłubać sobie oczy, niż zamieszkać na wsi. Więc...

Toby pokiwał głową.

— Tak. Rozumiem.

Na chwilę zapadła cisza. Potem Toby westchnął.

— No nic. — Złożył papier na czworo. — Może ja kupię ten domek, a ty przyjedziesz mnie odwiedzić.

Uśmiechnęła się.

— Dobry plan. I chciałabym pozostać w kontakcie, wiesz. Kiedy już wyjedziesz, Chciałabym, żeby nasza znajomość przetrwała.

— Zgadzam się, całym sercem. Całkowicie. Cokolwiek się stanie, pozostaniemy w kontakcie.

— Tak jest.

76

Joanne z kieliszkiem czerwonego wina skierowała się do stolika przy kominku. Spojrzała na zegarek. Dochodziła dwudziesta. Wypiła łyk wina i czekała, a jej serce biło bardzo szybko. Dziwnie się czuła, ubierając się na to spotkanie. Zapomniała już, jakiego rodzaju rzeczy lubiła, kiedy była sobą. Musiała zmusić się do przypomnienia sobie kadrów z przeszłości, zobaczyć, jakie rzeczy kiedyś nosiła. W końcu zdecydowała się na džinsy, kaszmirowy sweter, buty do kostek oraz ładny pasek. Jej włosy wciąż były bardzo jasnego koloru, ale ułożyła je naturalnie, tak by opadały delikatnie na twarz, którą pomalowała subtelnie, używając brązowych i różowych cieni. Chciała wyglądać ładnie, jak dziewczyna, którą pamiętała, nie jak dziwoląg, którym się stała.

Dokładnie o dwudziestej otworzyły się drzwi i wszedł Nick.

Joanne przełknęła ślinę. Nic się nie zmienił. Ładne włosy do ramion, ciało drobnej budowy, praktyczna kurtka i zdarte z wierzchu buty. Uśmiechnął się do niej nieśmiało i ruszył w jej stronę. Przywitali się lekkim pocałunkiem i delikatnym uściskiem ręki.

— Jak się masz? — zapytała.

— W porządku — odpowiedział. — Ładnie wyglądasz. Podobają mi się twoje włosy.

— Tak? Chcę je przefarbować na czarno. To tylko, no wiesz, tak tymczasowo.

Uśmiechnął się i pokiwał głową.

— Pójdę po coś dla siebie do picia. A dla ciebie? — Wskazał na jej kieliszek.

— Dziękuję.

Obserwowała go stojącego przy barze, przypominając sobie jego kształt, linię, to, jak wyglądał przy barach w pubach. Wrócił z pełnym kuflem, który postawił na stole.

— Więc dostałaś moją wiadomość? — zapytał.

— Tak. Toby, właściciel domu, przekazał mi ją kilka tygodni temu. Ja...

— Zastanawiałaś się?

— Tak. — Uśmiechnęła się powściągliwie. — A do tego mamy dużo pracy w domu. Remont. Toby wystawia dom na sprzedaż, a ktoś ukradł mu wszystkie pieniądze i nie stać go było na opłacenie malarzy i dekoratorów, więc zrobiliśmy to sami. Szlifowałam podłogi

całymi godzinami, dniami i nocami. Zobacz, nawet mam pęcherze... — Pokazała mu wewnętrzną część dłoni.

Skrzywił się.

— Tak że były naprawdę pracowite dni, więc, ee...

— Wszystko w porządku. Nie oczekiwałem, że odezwiesz się natychmiast. Przecież minęły dwa lata.

— Tak.

— I jak się czujesz?

— W porządku. Zmęczona. Ale to już wiesz. A co u ciebie?

— Cóż — odpowiedział — tak jak napisałem w liście. Do dupy. Myślałem, że już cię nigdy nie zobaczę, wiesz?

— Boże. Naprawdę?

— Tak. Oczywiście. Myślałem, że nie żyjesz. Że rzuciłaś się z mostu. Boże, myślałem tylko, myślałem i myślałem. Tylko nigdy nie pomyślałem, że możesz być, Chryste, że żyjesz. Że jakoś dajesz sobie radę.

Uśmiechnęła się zaciśniętymi ustami.

— Nie nazwałabym tego dawaniem sobie rady.

— Nie? A jak?

— Egzystencja. Egzystowałam. Udawałam, grałam i okłamywałam siebie i wszystkich dookoła. Byłam... — Jej głos się załamał. — Byłam najbardziej nieszczęśliwą dziewczyną na całym wielkim świecie.

Zaczęła płakać, pełne bólu łzy wypłynęły z głębi jej duszy. Nick przysunął do niej swoje krzesło i objął ją ramionami.

— Już dobrze, Jo — pocieszał, gładząc delikatnie włosy i całując roztrzęsione ramiona. — Już dobrze. Jestem tu. Jestem.

Zalana łzami Joanne pozwoliła, żeby Nick ją ukoił. Czowała, jak ukochane ręce głaszczą ją po głowie, a jego ciepły oddech muskał jej skórę. Nick, jedyny mężczyzna, którego kochała w swoim życiu.

— Chodź do domu — powiedział. — Proszę, chodź do domu.

Pomyślała o domu, tym odległym miejscu, które zostawiła tyle miesięcy temu. Pomyślała o drzwiach wejściowych, wykutym z żelaza numerze sześć, wytartej macie za drzwia-

mi, stojących tam swoich butach, małym drewnianym stolczku, na którym zostawiała klucze, mosiężnym haczyku na płaszcz. Nagle przypomniała sobie wszystko, każdy detal, każdy zapach, każdy obrazek, lusterko, poduszkę. Nagle przypomniała sobie swój dom.

Odwróciła się wtedy i wtuliła twarz w pierś Nicka, wdychała jego zapach; zapach sobotnich wieczorów na sofie z filmem DVD, wieczornego ładowania w łóżku, jego ubrań przed włożeniem do pralki i spontanicznych przytuleń w kuchni, zapach jej życia, zanim umarła Maisie i zabrała ze sobą wszystko, co dobre.

— Tak — odezwała się. — Tak. Chcę wrócić do domu.

77

Malowane przyjęcie Leah przekształciło się w malowany tydzień. Tuziny ludzi pojawiały się w różnych porach przez kolejne dziesięć dni, przynosząc ze sobą pędzle, drabiny i szlifierki, zasłony, wykładziny i rośliny. Było to szalone, emocjonalne, nostalgiczne i poruszające przeżycie. Byli lokatorzy, których Toby nie widział od ponad dziesięciu lat, pojawiali się w drzwiach, czasem w towarzystwie żon, mężów i dzieci. Artyści i aktorzy, architekci i piosenkarze porzucili swoje zajęcia w wolnym czasie, by pomóc dokończyć dom. Leah przychodziła codziennie po pracy, czasami sama, czasami z Amitabhem. Con i Daisy zajęli się ogrodem. Melinda zaryzykowała przy pracy stratę tipsów, a raz przyprowadziła nawet Jacka, by dokończył malowanie jej pokoju. A Joanne — Joanne okazała się prawdziwym objawieniem, zostawiła pracę na zastępstwach i harowała na cały etat w domu. Jak na tak drobną osobę wykazała zadziwiającą siłę, przenosiła meble i wyczyściła wszystkie podłogi na parterze.

Toby jeszcze nigdy nie spędził tyle czasu poza swoim pokojem, a całe przedsięwzięcie okazało się dla niego emocjonującym przeżyciem. Spotkanie starych przyjaciół, poznanie nowych ludzi, stały szmer i trajkot ożywionych rozmów, głośnie muzyka, metalowe oczka od otwartych puszek piwa, brzęczące szlifierki, warczące kosiarki do trawy, stukot przybijanych gwoździ do ścian, szelest zawieszanych zasłon. Miał wrażenie, że mieszka na ogromnej scenie. Dom tętnił życiem, wypełnił go triumf zbiorowej pracy zrodzony z dobrej woli i ludzkiej serdeczności.

Aż wreszcie w czwartkowe popołudnie, gdy wykończone wnętrza opustoszały, Leah i

Toby rozsiedli się na podłodze w pokoju gościnnym, otworzyli po puszcze piwa, rozejrzeli się dookoła i ogłosili zakończenie prac w domu. Wszystkie podłogi zostały wycyklinowane i wypolerowane, schody i podest pokrywała nowa wykładzina, ściany były nieskazitelną czystością i zostały przyozdobione starannie dobranymi obrazami.

— Jest piękny — powiedziała Leah.

— Prawda? — odparł Toby. — Wspaniały.

— Jesteś mądrym człowiekiem.

— Mądrym? — Spojrzał na nią i potrząsnął głową. — Ani trochę. Wszystko zawdzięczam tobie, wszystko. Bez ciebie nie byłbym w stanie kiwnąć palcem.

— Och, jestem pewna, że znalazłbyś sposób.

— Nie, nie znalazłbym. Jestem z gruntu bezużyteczny, wiesz?

Uśmiechnęła się znacząco.

— A co teraz?

— Joanne wyprowadza się jutro, wraca do New Cross, do Nicka. Con zatrzyma się z Daisy u jej rodziców. Melinda wprowadza się do Jacka.

— A twój ojciec?

— Przyjeżdża w poniedziałek. Nie odezwał się, ale... — Toby wzruszył ramionami.

— Na pewno przyjdzie. Musi.

Toby poczuł się dziwnie odrętwiały na samą myśl o tej wizycie. Nie podekscytowany, nie zdenerwowany — tylko odrobinę sceptyczny. Obraz ojca na tyle rozmył się w jego pamięci, że nie potrafił sobie wyobrazić, jak naprawdę mogłoby wyglądać to ich spotkanie. Kojarzył pewien zapach wody po goleniu, zgrabny węzeł z jedwabnego krawata, srebrne włosy i szczeliny lodowato błękitnych źrenic. Pamiętał też akcent charakterystyczny dla Home Counties, podbarwiony szczyptą naleciałości będących pamiątką po pobycie w Rainham w dzieciństwie. Przypomniawszy sobie jeszcze brązowe skórzane buty i sporą bliznę na brodzie, w samym środku. Ale całego człowieka nie pamiętał. Nie pamiętał, jak to było czuć obecność ojca.

— Denerwujesz się? — zapytała Leah.

Toby wzruszył ramionami.

— Nie, tak naprawdę to nie. Tylko... jestem trochę ostrożny.

— O której przyjeżdża?

— Po południu. O szesnastej.

— Upieczesz ciasto?

— Oczywiście — uśmiechnął się Toby. — Skoro nie mam mu do pokazania żadnych osiągnięć z minionych piętnastu lat, nie przedstawię mu żony ani dzieci, nie pochwalę się przyzwoitą pensją, to przynajmniej upiekę dla niego cholernie dobre ciasto.

Leah uśmiechnęła się.

— Mógłbyś mu pokazać swoją dziewczynę. Spojrzał na nią i zmarszczył brwi.

— A niby jak miałbym to zrobić?

— Ja nią będę.

— Słucham?

— Mogę przyjść i udawać twoją dziewczynę.

— Och, Boże, Leah, ale to byłoby kłamstwo. Jestem beznadziejny w kłamaniu. Od razu domyśli się, że coś kombinuję.

— Ale jeśliby się nad tym zastanowić, to nie odbiegałoby to tak bardzo od prawdy. Jestem dziewczyną. I jestem twoją przyjaciółką. I jest między nami... więź. Prawda?

Toby przełknął ślinę.

— No tak. Istnieje więź.

— I okazujemy sobie czułość. Przecież trzymaliśmy się za ręce, przytulaliśmy się. Pocałowałam cię. Tak jakby... — Zaśmiała się.

Znów przełknął ślinę.

— W sumie to nie musielibyśmy się nawet za bardzo starać, żeby przekonać twojego ojca, że jestem twoją dziewczyną. Po prostu bylibyśmy sobą.

Toby wzruszył ramionami, pokiwał głową i próbował wyglądać nonszalancko.

— No tak — powiedział. — Jeśli tak na to spojrzeć.

— Nie musisz nawet mówić, że jestem twoją dziewczyną. Możesz zostawić to ojcu, by sam wpadł na to, jak tylko wyczuje między nami... chemię.

Znów pokiwał głową i upił trochę piwa.

— Dobry plan. To naprawdę dobry plan — stwierdził.

— Jeśli oczywiście nie masz nic przeciwko temu, żeby twój ojciec pomyślał sobie, że jestem twoją dziewczyną.

— Och, Boże. A dlaczego, do diabła, miałbym mieć coś przeciwko temu, by mój oj-

ciec pomyślał, że jesteś moją dziewczyną?

— Nie wiem. Może nie jestem w twoim... typie?

— Moim typie? Chryste Panie, Leah. Ty jesteś w typie każdego mężczyzny.

— No, to nie jest tak do końca prawda.

— Oczywiście, że tak. Każdy mężczyzna o zdrowych zmysłach byłby dumny, przedstawiając cię jako swoją dziewczynę. Jesteś archetypem dziewczyny z sąsiedztwa.

— W tym przypadku z naprzeciwka. Tobie uśmiechnął się.

— W rzeczy samej.

— Więc taki mamy plan, tak? Przyjdę tu w poniedziałek po południu, dam ci kilka buziaków i poprzytulamy się. Oczaruję twojego ojca. Zjem trochę ciasta.

— To brzmi jak najcudowniejszy plan.

— No dobrze — powiedziała Leah, unosząc puszkę. — Ale jest jeden warunek.

— Tak?

— To musi być czekoladowe ciasto. Z czekoladową polewą.

— Umowa stoi.

78

— Witamy! — Ojciec Daisy wyszedł na podjazd. — Witamy w Beens Acres! — Potrząsnął ręką Cona i wziął od niego małą walizkę. — To wszystko?

Con skinął.

— Tak. Podróżuję z niewielkim bagażem.

Spojrzał na dom. Nie był tak wielki jak ten w jego głowie, najprawdopodobniej rozmiarem dorównywał domowi Toby'ego, tylko że zbudowany został z innego rodzaju cegły, a z czterech stron otaczały go pola.

— To naprawdę miło z państwa strony — zwrócił się do taty Daisy, kiedy wchodzili po niskich stopniach z piaskowca do drzwi wejściowych.

— To doprawdy nic takiego — odpowiedział. — Przyzwyczailiśmy się. Wszystkie dziewczyny przyjeżdżają tu ze swoimi chłopakami. Dom nazywamy Gospodą Beensów dla Usychających z Miłości Chłopców.

Con uśmiechnął się.

— To tylko na jakiś czas, dopóki nie załatwię sobie pokoju.

— Tak, tak, oczywiście. Zostań tak długo, jak chcesz. Tak długo, jak chcesz.

W korytarzu przywitał ich duży pies. Uderzał głośno ogonem o podłogę z płytek, a uszy przylgnęły płasko do głowy ze stłumionego podniecenia.

— To Rory — obwieścił pan Beens. — Mamy tu jeszcze jednego małego stwora, który w zależności od sytuacji, zwie się albo Smarties, albo Arthur, lub Bongo. Jestem pewien, że wkrótce się poznacie.

Duży i zagracony hol wypełniony był książkami, lampami i piętrzącymi się okryciami wierzchnimi. Przez drzwi po lewej stronie Con zobaczył ogromny, zakurzony pokój dzienny, umeblowany antykami w pastelowych odcieniach, z jasnymi ścianami i z ogromną liczbą książek.

W drzwiach stanęła Daisy. Miała na sobie obszerną kurtkę i futrzane buty. Rozpromieniła się i pobiegła w jego kierunku.

— Jesteś wreszcie — powiedziała, zarzucając mu ramiona na szyję.

— Jestem — odpowiedział.

— Nie słyszałam taksówki.

— Przyszedłem pieszo.

— Och, nie! Dlaczego nie zadzwoniłeś? Podjechalibyśmy po ciebie.

— Nie, naprawdę. Miałem miły spacer. Nigdy wcześniej nie byłem na wsi. Chciałem to zobaczyć.

— Nigdy nie byłeś na wsi? — zapytał z niedowierzaniem pan Beens.

— Nigdy. Raz pojechaliliśmy gdzieś na wycieczkę klasową, ale pamiętam jedynie jazdę autokarem.

— No to w takim razie witamy podwójnie, my i wieś — powiedział pan Beens.

Daisy objęła Cona i pocałowała go w policzek.

— Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś. To naprawdę wspaniałe.

Pocałował ją w usta i uśmiechnął się.

— Chodź, oprowadzę cię — zawołała.

Con szedł za nią po domu, a pies nie odstępował ich na krok, zatrzymywał się za każdym razem, kiedy oni stawali, i siadał cierpliwie, jakby i on po raz pierwszy oglądał pokoje. Dom stanowił osobliwą mieszaninę gustownych antyków i przypadkowych, jaskrawych

mebli z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Z tyłu znajdowało się małe, oszklone do połowy pomieszczenie wytapetowane opalizującą, żółtozieloną tapetą z bambusowym nadrukiem, a ściany w ubikacji na dole pomalowano jaskrawopomarańczową farbą i udekorowano wydartymi z gazet komiksami w tandetnych oprawach. Był to dom traktujący siebie z przymrużeniem oka, który nie przejmował się zbytnio tym, co inni sądzą na jego temat, dom, który najlepiej czuł się we własnej skórze, i Con natychmiast wiedział, że będzie mu tu dobrze.

Mały, gruby, zamyślony kucyk pasł się na tyłach ogrodu, a okazały futrzasty kot drzemał na kuchennym blacie w plamie słońca. Mały pies, zapowiedziany przez ojca Daisy, znalazł się w łazience, gdzie wcinał papier toaletowy.

— O Boże, Bongo, tylko nie to znowu. — Daisy wyciągnęła rolkę z jego pyska i pozbierała różowe kawałki porzucane na kafelkowej podłodze. — Ty głupi, głupi psie.

Duży pies spojrzał pogardliwie na małego, po czym poderwał się na cztery łapy, by kontynuować zwiedzanie domu.

— A to — powiedziała Daisy, otwierając drzwi prowadzące na strych — to twój pokój.

Znaleźli się w przestronnym pomieszczeniu, z niskim skośnym dachem i dość tanio wyglądającym oknem Velux. Mała lukarna wychodziła na podjazd i główną ulicę. Pojedyncze łóżko przykrywała jasna pościel i gruba poduszka. Mała sosnowa szafa stała w przeciwległym rogu pokoju. Obok znajdowała się umywalka w stylu wiktoriańskim i dzbanek na stojaku z kutego żelaza oraz liliowy ręcznik do rąk.

— Może być? — zapytała Daisy.

Con rozejrzał się dookoła. W tym domu widział bardziej charakterne wnętrza, ale ten pokój był ciepły, suchy, miał łóżko, czyli wszystko, czego, według Cona, potrzebował człowiek do szczęścia.

— Jest idealny. Naprawdę idealny.

— To dobrze. — Uśmiechnęła się. — Wiesz, że nie ma żadnego problemu, żebyś spał w moim pokoju?

— Wiem — powiedział — ale to jakoś nie wypada. To tak... bez szacunku.

— Och, Con, jesteś taki staroświecki.

— Wiem. Chcę być prawdziwym dżentelmenem. I chciałbym też dać coś twoim ro-

dzicom. Trochę pieniędzy. Za to, że pozwolili mi tu zamieszkać.

— Nie ma mowy. Tato poczułby się urażony.

— No co ty.

— Tak. Nie uważa tego domu za swoją własność. Jeśli chodzi o niego, to jest to nasz dom. Nas, dziewczyn. A on i mama tylko opiekują się domem. W żadnym wypadku nie przyjąłby pieniędzy od ciebie.

— No to pozwól, że im coś kupię. Jakiś prezent.

— Nie. Nic nie rób. Odpreż się. Po prostu bądź.

— Bądź czym?

— Sobą. Moi rodzice nie oczekują fajnych prezentów i najlepszego zachowania. Oczekują jedynie dobrego towarzystwa. No i może pomocy w kuchni. Powiedziałam im o twoich kulinarnych umiejętnościach.

— Żartujesz, tak?

— Oczywiście, że nie. Umierają z ciekawości, żeby spróbować twojego chleba.

— Cholera.

— Co?!

— Nie wiem, czy potrafię sam upiec chleb, bez Toby'ego, który zawsze mówił mi, co mam robić.

— Na pewno potrafisz. Zrobimy to razem. Ty i ja. — Ujęła jego dłoń.

— Ty i ja?

Pokiwała głową i uśmiechnęła się.

— Chodź — powiedziała. — Zaczniemy od zaraz.

79

Ruby zdarła folię z plastikowej tacki leżącej przed nią i z ciekawością przyglądała się odsłoniętej zawartości. Rozcięta, szarą pierś z kurczaka wypełniono czymś brązowym i grudkowatym i posypano z wierzchu maleńkimi kuleczkami groszku, obok leżała zbita masa oleistych ziemniaków, a wszystko pokrywał kleisty, jasnobrązowy sos. Przykryła pojemnik z powrotem folią i sięgnęła po krakersy.

— Ohyda, co? — Mężczyzna obok wskazał na tackę i uśmiechnął się.

— Uhm. — Pokiwała głową. — To nie to, co lubię. — Odkąd zajęła miejsce w samolocie trzy godziny temu, miała świadomość obecności mężczyzny siedzącego obok. Była pewna, że prędzej czy później rozpocznie konwersację; roztaczał tę szczególną aurę. Czytał książkę, ale nie wciągnęła go, odkładał ją co jakiś czas, odwracał od niej wzrok. Przeglądał magazyny dostępne w samolocie, ale nie przeczytał żadnego artykułu. Nie był nieśmiały. Za to bardzo znudzony. Ruby próbowała wysłać sygnały: „Nie odzywaj się do mnie”, ale najwyraźniej zdecydował się je zlekceważyć.

— Troy. — Wyciągnął do niej rękę.

— Ruby.

— Ruby? Piękne imię.

— Dziękuję.

— Co cię sprowadza do Nowego Jorku, Ruby? Wakacje? Potrząsnęła głową.

— Nie — odpowiedziała, mając nadzieję, że jeśli nie poda mu żadnych istotnych informacji, to się od niej odczepi.

— Aha. — Nie poddawał się. — Odwiedziny, tak?

— Uhm. Coś w tym rodzaju.

— Nie pochodzę z Nowego Jorku. Mieszkam w Pittsburghu. Przesiadam się na inny samolot.

Skinęła głową, uśmiechnęła się i wygładziła kremowy ser na krakersie.

— Zauważyłem, że nosisz obrączkę. Spotykasz się z mężem w Nowym Jorku?

— Nie jestem mężatką.

— Aha. Z chłopakiem?

— Nie mam chłopaka. Noszę tę obrączkę, żeby faceci przestali się do mnie dowalać.

— Aaa, rozumiem — powiedział. — Ale nie martw się. Nie dowalam się do ciebie. Pozostaję w szczęśliwym związku małżeńskim. — Postukał swoją obrączkę i mrugnął do niej. — Ale jeśli chcesz, żebym się odpieprzył...

Westchnęła i nieco złagodniała.

— Nie, w porządku. Ale kiedy wezmę moją książkę — wskazała na egzemplarz przed sobą — to znak, że koniec rozmowy, okej?

Roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu. Kobieta siedząca po drugiej stronie przejścia spojrzała na nich.

— Dobra, zrozumiałem — powiedział. — Więc czym się zajmujesz, Ruby?

— Jestem piosenkarką — odparła. — Piosenkarką i autorką tekstów.

— Proszę, proszę. — Odsunął się i spojrzał na nią z podziwem. — Co śpiewasz? Jesteś sławna? Powinienem o tobie słyszeć?

Zaśmiała się.

— Nie — odparła. — Chyba że włączyłeś się po obskurnych klubach w północnej części Londynu.

— No nie — przyznał. — Nie do końca moje klimaty.

— Tak sądziłam. — Uśmiechnęła się.

— Ale jesteś dobra, co? Dobra piosenkarka?

— Jestem cholernie wspaniała. Znów się roześmiał.

— Założę się, że tak. Czekasz na swój wielki moment?

— Czekam, czekam i czekam. To moja ostatnia próba.

— Rozumiem. Nowy Jork albo koniec kariery?

— Tak, coś w tym stylu.

— Słuchaj, dam ci swoją wizytówkę. Moja siostra wychodzi za mąż w przyszłym miesiącu, szuka piosenkarki. Czegoś innego, czegoś bardziej... pikantnego, no wiesz. Jeśli szczęście ci nie dopisze na starcie, to zadzwoń.

Ruby potrząsnęła głową.

— Nie, to nie moja działka. Ale dzięki za propozycję.

— Powiem ci coś jeszcze, moja siostra zna paru ludzi. Ważnych ludzi od Sony po Geffen. To mogłaby być dobra okazja, żeby poznać kogoś z branży, zrobić wrażenie.

Ruby odwróciła się i uśmiechnęła do Troya.

— No — odezwała się — teraz to brzmi całkiem interesująco. — Wzięła wizytówkę między palce i wsunęła ją do torebki. A potem pozwoliła panu Troyowi F. Shultzbergowi postawić sobie szampana.

FAIRLIGHTS, SILVERSMITH ROAD, N2 995 000 £
*Sześć dwuosobowych sypialni, dwie łazienki, trzy salony,
kuchnia z jadalnią,
czternaście metrów kwadratowych ogrodu od południa*

Piękna i wyjątkowa rezydencja zlokalizowana przy popularnej ulicy, w bezpośrednim sąsiedztwie High Street. Fairlights to wolno stojąca, stylowa willa z niepowtarzalnym charakterem. Starannie wyremontowany dom stwarza idealne warunki dla dużej rodziny.

Toby szybko przyzwyczał się do samotnych wędrówek po swoim dużym, pustym domu. Celebrował tę samotność, nastawiał Radio Three i wypełniał każdy zakamarek muzyką klasyczną. W kuchni jeszcze nigdy nie było tak czysto, zniknęły niepotrzebne graty, a pięć wieszaków w holu służyło jedynie jego płaszczowi, kurtce i szalikowi. Cieszyły go świeże gazety dostarczane codziennie do drzwi, bo wiedział, że nikt nie dorwie się do nich przed nim; telewizor milczał od wyprowadzki Melindy w zeszłym tygodniu. W trakcie przygotowywania śniadania w piżamie wykonywał dziwne i pełne radości tańce. A raz bardzo głośno puścił bąka, zachwycony, że obok nie było żywej duszy, którą mógłby urazić takim zachowaniem.

Zaplanował cały dzień. Najpierw przechadzka na High Road, gdzie zaopatrzył się w świeże kwiaty do domu. Potem poszedł do sklepu Budgens i kupił składniki potrzebne do ciasta. Gdzieś w zakurzonych wspomnieniach o ojcu zachował informację o jego słabości do figowych ciasteczek (a może były to ciastka z czarną porzeczką?), więc do koszyka włożył po paczce z każdego smaku. Następnie w sklepie z drobiazgami za jednego funta zakupił nowy dzbanek do herbaty, bo właśnie odkrył, że ten, który od zawsze uważał za swój, okazał się własnością Ruby i zniknął razem z nią dwa tygodnie temu.

Kiedy wrócił do domu, zaparzył mieloną kawę i upiekł bochenek chleba, nie dlatego,

że akurat miał ochotę na kawę czy chleb, ale ponieważ spodziewał się kilku zainteresowanych domem klientów i chciał, by wewnątrz pachniało smakowicie. Przez weekend dom obejrzało sześć osób, a został wystawiony na sprzedaż zaledwie trzy dni temu. Z dużą przyjemnością oprowadzał zainteresowanych po odnowionym wnętrzu. W mgnieniu oka orientował się, kogo nie było na niego stać, kto przyszedł jedynie pooglądać i przekonać się na własne oczy, jak faktycznie prezentuje się w środku ten osobliwy dom przy Silversmith Road, ale nie przejmował się tym. Był z niego tak dumny, że czuł się bardziej kustoszem budynku niż właścicielem. Pragnął, by przed sprzedażą i ponownym zamknięciem domu dla świata obejrzało go jak najwięcej osób.

Po przedpołudniowych oględzinach zabrał się do pieczenia ciasta (wcześniej nie chciał narobić bałaganu), wstawił je do piekarnika, a sam wykapał się, ogolił, włożył czyste ubrania i nowe buty i zszedł na dół, by czekać na przybycie ojca.

Dzień zaplanował na tyle starannie, by nie starczyło czasu na rozpamiętywanie, zajmowanie się głupotami czy rozmyślanie. Skupił się na dokładnym polukrowaniu ciasta i na zapachu zakupionych lilii. Przyjazd ojca wydawał się na tyle nierealnym wydarzeniem, że Toby nie potrafił o nim myśleć, póki faktycznie nie zobaczy ojca stojącego przed nim na schodach. Wtedy naprawdę będzie musiał.

82

— Czy napiwek jest wliczony? — Reggie spojrzął na kelnera spod zmrużonych powiek.

— Nie, proszę pana — odpowiedział kelner.

Reggie westchnął, wyciągnął garść monet z kieszeni i rzucił je nonszalancko na tackę. Nie zadał sobie trudu, żeby policzyć pieniądze. Miał to gdzieś. Kilka funtów musiało wystarczyć.

Spojrzął na zegarek. Piętnasta trzydzieści. Poklepał się po brzuchu i dopił resztę kawy. Ohydnej kawy. W Londynie nie można liczyć na przyzwoitą kawę. Wyrzwał przez okno na ulicę. Padało. Oczywiście, że padało. W końcu przebywał w Londynie. Przebywał tu zaledwie od dwóch tygodni, a już miał serdecznie dość tego miasta. Co prawda marzec nie był najłaskawszym dla Londynu miesiącem, ale i tak dokładnie sobie przypominał, dlaczego

stąd wyjechał. Byle jaka kawa, wygórowane ceny za jedzenie, nieustający deszcz i ci wszyscy żałośni ludzie o bladych jak serwatka twarzach, gburowaci i niezadowoleni, wyglądający, jakby dźwigali na barkach wszystkie nieszczęścia świata.

Myśl o nieszczęściu przypomniła mu umówione spotkanie z synem zaaranżowane przez Petera. Reggie nie znośił rozmawiać z ludźmi przez telefon. Nie cierpiał rozmawiać w ten sposób z ludźmi, których znał; myśl, że miałyby zadzwonić do syna, była nie do zniesienia.

Wyciągnął kawałek kartki z portfela i spojrzał na nią.

31 Silversmith Road, Londyn N2.

Gdzie, do diabła, jest Londyn N2? I jak się tam dostać? Westchnął i z powrotem wepchnął kartkę do portfela. Pomyślał o swoim dużym, cudacznym synu, jego dziwnie nawiedzonych oczach i masie rozwichrzonych włosów. Czy tak wiele mogło się zmienić? Czy naprawdę warto było przemierzać taki kawał drogi do jakiejś zapadłej części Londynu, by się przekonać, że nadal nie mieli ze sobą nic wspólnego, że wciąż za nim nie przepada?

Mimo wszystko chciał zobaczyć dom, który kupił mu przed laty. I był ciekaw Karen i dzieci, jeśli je mieli. Swoich wnuków. Nie zaplanował nic innego na to popołudnie. A, co tam, pomyślał, odwali tę pieprzoną robotę. Pójdzie.

Pozwolił mężczyźnie przy ladzie podać sobie płaszcz, potem rozłożył mały parasol i wyszedł z restauracji. Czekał przez chwilę na rogu Dover Street i Bond Street, aż pojawi się taksówka. Kiedy w końcu jedna wyłoniła się z morza samochodów, zaczął maszerować, czując, jak z każdym krokiem jego spodnie nasiąkają deszczem. Ludzie wpadali na niego, wpychali go w kałuże, tak że omal nie spadł z krawężnika. Oto co czekało człowieka na starość. Żadnego szacunku. Żadnego poważania dla tego, kim się jest lub było. Ostre podmuchy wiatru wyginały szprychy parasola we wszystkie strony i musiał walczyć zacięcie, by utrzymać nad nim kontrolę. Przemierzał zygzakiem ulice Mayfair, jego oczy skanowały nieprzerwanie jezdnię w poszukiwaniu zapraszającego bursztynowego światła. W końcu po drugiej stronie ulicy wypatrzył taksówkę z płacącymi za kurs klientami. Przebiegł przez jezdnię, czując, jak tłusty posiłek przelewa mu się w żołądku.

— Londyn N2 — wysapał bez tchu.

— Przykro mi — odpowiedział taksówkarz. — Mam zamówiony kurs.

— Cholera — syknął Reggie. — A dokąd?

— South Ken.

Reggie pomyślał przelotnie o synu czekającym na niego po drugiej stronie Londynu. A potem zobaczył swoje ciepłe mieszkanie w Chelsea, gdzie w ciszy i spokoju usiądzie sam i nie będzie musiał się do nikogo odzywać.

— A pierdolę to — powiedział. — Pierdolę. Zawieź mnie tam, na South Ken.

Złożył parasol, wsunął się na tylne siedzenie taksówki i z radosnym podnieceniem myślał o powrocie do swego mieszkania.

83

— O Boże, Toby — odezwała się Leah, głaszcząc go po plecach. — Naprawdę jest mi przykro.

Nie mogę uwierzyć, że nie przyszedł.

Toby przez okno wpatrywał się w ulicę. Najpierw obserwował, jak zapada zmierzch; potem ściemniło się zupełnie. Nie doczekał się żadnego telefonu, ani jednego słowa od ojca czy Petera.

Siedzieli koło siebie przy stole w jadalni. Czekoladowe ciasto, z brakującym trójkątem o kącie czterdziestu pięciu stopni, leżało przed nimi na stole. Talerz porzeczkowych i figowych ciasteczek stał nietknięty obok nowego dzbanka z białej porcelany. Toby próbował wykrzesać z siebie smutek, patrząc na te wzruszająco starannie ułożone przedmioty, próbował poczuć się zraniony niepojawieniem się ojca. Ale nie potrafił.

— Wiesz co — odezwał się — mam to gdzieś, że nie przyszedł. Naprawdę. To już nie chodzi o niego. I nie jestem pewien, czy kiedykolwiek chodziło. To — wskazał na dom — to jest o mnie. O... Boże, sam nie wiem, ale wydaje mi się, że to historia mojego dojrzewania. — Uśmiechnął się gorzko i zmasał opuszką palca trochę polewy czekoladowej z krawędzi ciasta.

— Chcesz powiedzieć, że wcześniej nie byłeś dojrzały?

— Właśnie tak. Wyrosłem na blisko czterdziestoletniego nastolatka. Od lat chodziłem w tych samych ubraniach, pisałem te same denne wiersze, byłem zakochany w tej samej kobiecie...

— Ruby?

— Tak, Ruby. Skąd wiesz?

— To oczywiste.

Uniósł brwi i westchnął.

— Sama widzisz. Chodziłem z tym zadurzeniem wypisanym na twarzy jak jakiś nastolatek. Wiesz, po tym jak Gus zostawił mi pieniądze i jak napisał do mnie ojciec, zrobiłem listę rzeczy do zrobienia. Zaczęło się od kupna nowych sof, a skończyło się na tym. — Wskazał na pokój. — Osiągnąłem prawie wszystko. Zacząłem osiągać.

— Musisz być z siebie bardzo zadowolony.

— Jestem — odparł. — Teraz muszę jeszcze napisać wiersze, które będą nadawały się do druku, sfinalizować rozwód, ożenić się i lista będzie odfajkowana.

— Ożenić się? — Uśmiechnęła się. — I taki punkt znalazł się na twojej liście?!

— No, niekoniecznie od razu ożenić się. Ale, no wiesz, spotkać kogoś. Kogoś wyjątkowego. Boże, to brzmi beznadziejnie.

— Wcale nie. To brzmi jak najbardziej w porządku. Każdy powinien być z kimś wyjątkowym.

Toby skinął głową i zapadło milczenie.

— A co z tobą i Amitabhem? Wygląda na to, że układa się wam super.

— Tak to wygląda?

— No tak, z tego, co widziałem. Westchnęła i roześmiała się.

— To zabawne, bo wcale tak nie jest. Wcale a wcale.

— Och, dlaczego?

— Bo — zaczęła, wzdychając i pstrykając kciukiem o oczko do otwierania puszek — bo poprosił mnie o rękę...

Toby odwrócił się i spojrzał na nią zdumiony.

— O mój Boże. Naprawdę?

— Kilka tygodni temu. A ja wciąż mu nie odpowiedziałam.

— Nie?

— Nie. Co chwila zmieniam zdanie. Argumentów za i przeciw jest po równo i już sama nie wiem, co zrobić.

— Ale mówiłaś, że nie chcesz za niego wychodzić.

— Wiem. Wiem, że tak mówiłam. Ale chodzi o wybór drogi, prawda? O to, gdzie

mam iść dalej. Tak naprawdę i szczerze, dokąd zmierzam? Gdybym tylko znalazła jakiś znak, coś, co wskazałoby mi inną drogę, kolejną opcję, wtedy...

— Wtedy odmówiłabyś mu?

Pokiwała głową i uśmiechnęła się smutno.

— Och, Leah...

— Wiem — odparła. — Wiem. To żalosne, prawda? Jestem pewna, że nie tak powinno wyglądać życie. Jestem pewna, że chodzi o to, by spotkać kogoś i od razu wiedzieć, co jest białe, a co czarne. Ale życie bywa idiotycznie szare, prawda? Takie mgliste, głupie i... nijakie.

— Och, Leah. Tak nie musi być.

— No, wiem. Ale czasami tak po prostu jest. I nic nie można z tym zrobić.

— Oczywiście, że można. Spójrz tylko na mnie. Moje życie zszarzało do maksymalnego stopnia. Było szare jak chmury, szare jak gołębie, jak beton. I wtedy pojawiłaś się ty, Leah. I wszystko nagle stało się jak w technikolorze.

Leah roześmiała się.

— Dzięki mnie? A jakim cudem?

— Tylko dlatego, że byłaś sobą. Taka pełna życia i świeża. Potrafiłaś zobaczyć we mnie coś więcej niż tylko dziwaczne zachowanie i odnalazłaś tego miłego, normalnego faceta, o którym nawet nie wiedziałem, że istnieje. I kiedy mówię, że zawdzięczam tobie wszystko, Leah, to nie chodzi mi jedynie o dom, lokatorów i całą resztę, ale mówię o tym mężczyźnie, który siedzi obok ciebie, który wychodzi na ulicę i robi zakupy, rozmawia ze starymi przyjaciółmi, rozwiązuje problemy innych i kupuje bieliznę w Marks & Spencer. Tego mężczyznę zawdzięczam tobie. Całkowicie. Zmieniłaś mnie, Leah, i nie mogę znieść myśli, że po tym, jak sprawiłaś, że mój świat wypełnił się nowymi i wspaniałymi rzeczami, to sama rezygnujesz z prawa do właściwego, satysfakcjonującego zakończenia. — Obrócił swoje krzesło, by patrzeć jej prosto w twarz. — Spędziłem całe swoje życie, pozwalając, by świat po mnie służył. Ale koniec już z tym. Teraz moja kolej. I chcę, żebyś wiedziała, że jestem tu dla ciebie. Na sto procent. Cokolwiek zdecydujesz się zrobić. Ale chciałbym też, żebyś wiedziała o czymś jeszcze. Byłbym z tobą szczęśliwy do końca życia. Chciałbym, żebyś wiedziała... — Przerwał, zamrugnął i spojrzał na Leah — że jestem w tobie kompletnie zakochany...

Spojrzała na niego, wstrzymując oddech.

— Czy to cię dziwi?

Pokiwała głową bez słowa.

— Od dawna chciałem ci powiedzieć. Dlatego wybiegłem wtedy z pubu. Miałem ci powiedzieć, ale straciłem zimną krew i spanikowałem. Kompletnie. Ale teraz, no, zdałem sobie sprawę, że nie mam nic do stracenia. I wkrótce mnie tu nie będzie, nie będziemy już sąsiadami, a ty wyjdiesz za kogoś, nie będąc do tego całkowicie przekonana, i będzie już za późno.

— Toby, ja...

— Leah, nie szkodzi. Nic nie musisz mówić. Chcę jedynie, żebyś to wiedziała. Nic nie musisz robić od razu. Jeśli chcesz wyjść za Amitabhę, co nie wydaje mi się najszcześliwszym rozwiązaniem, to chcę, żebyś miała świadomość, że ktoś inny też cię kocha. Że masz inne opcje, nawet jeśli tą opcją jestem tylko ja, wielki, chudy, stary dziwak z naprzeciwka. Wiem, że ktoś taki jak ty nigdy nie pokochałby kogoś takiego jak ja...

— Dlaczego nie?

— No, bo przecież chodzi o mnie, bo jestem...

— Wysoki, ciemny i przystojny? Mądry, czarujący i zabawny?

Toby zmarszczył czoło.

— Nie rób sobie jaj, dobrze?

— Kto robi sobie jaja?

— No ty, oczywiście.

— Nie — odpowiedziała Leah. — Nie robię sobie jaj. Jestem całkowicie szczerą. Ty i ja. Pasujemy do siebie. — I wtedy, żeby to udowodnić, obróciła krzesło do Toby'ego, ujęła jego twarz w dłonie i przyciągnęła do siebie. — Pocałuję cię teraz, dobrze?

Toby kiwnął głową mocniej i bardziej gorączkowo, niż zrobił to kiedykolwiek przedtem, a kiedy dotknęły go jej usta, poczuł, jak cały rozmazany, niewyraźny, głupi i niepojęty bezsens jego istnienia nagle nabrał ostrości. Poczuł, że wszystko niespodziewanie znalazło się na swoim miejscu, miało jasny i perfekcyjny sens po raz pierwszy w jego całym absurdalnym życiu.

— Nie wierzę, że to zrobiłaś — powiedział.

— Ja też nie. — Leah roześmiała się.

- To było niesamowite.
- To prawda.
- Czy mam rozumieć, że nie wyjdiesz za Amitabha?
- Oczywiście, że nie wyjdę za cholernego Amitabha.
- W takim razie myślę, że powinnaś pocałować mnie jeszcze raz.

84

DIDCOT WALSH 312 High Road Londyn N2 1AG

2 kwietnia 2005

Drogi Toby

Potwierdzam ofertę, którą dzisiaj złożono w cenie wywoławczej 995 000 £. Kupiec jest gotowy do wprowadzenia i ma nadzieję na sfinalizowanie transakcji w ciągu sześciu tygodni. Nie przewiduję żadnych problemów. Odezwę się niebawem.

Pozdrawiam

Halo, zostawiam wiadomość dla Toby'ego Dobbsa. Mówi Susan z Tixall's w Penzance. Chciałam poinformować, że rozmawiałam z właścicielami Chyandour House i zgodzili się na propozycję w wysokości 289 000 funtów. Zgodzili się też zdjąć ofertę sprzedaży domu na tydzień, do czasu załatwienia formalności związanych ze sprzedażą Pańskiego domu. Mam nadzieję, że to Panu odpowiada. Skontaktuję się wkrótce...

Sąd Okręgowy BARNET

Powód: TOBY BERTRAND DOBBS

Pozwana: KAREN JANE DOBBS

Orzeka w związku z warunkowym wyrokiem w sprawie z dnia

4 marca 2005 roku, że związek małżeński zawarty

7 sierpnia 1990 roku

w LAMBETH REGISTER OFFICE, THE TOWN HALL, BRIXTON HILL SW2

1RW pomiędzy

TOBY BERTRAND DOBBS, powód

I KAREN JANE DOBBS, pozwana zostaje rozwiązany w przypadku braku wystar-

czających dowodów przedstawionych w sądzie w przeciągu (sześciu) tygodni od orzeczenia warunkowego przed wyrokiem ostatecznym, a ponieważ takie dowody nie zostały przedłożone, orzeka się, że warunkowy wyrok z dniem 22 kwietnia 2005 roku jest wyrokiem ostatecznym i związek małżeński zostaje rozwiązany.

2 czerwca 2005

Drogi Toby,

O rany! Dzięki! Właśnie dostałem wyciąg z konta zauważyłem, że i pieniądze wpłynęły! Kurde, w pierwszej chwili pomyślałem, że to błąd drukarski. Nie mogłem uwierzyć w te wszystkie zera! Wielkie dzięki, stary. To najbardziej przyzwoita rzecz, jaka spotkała mnie w życiu i nie zawiodę cię. Obiecuję, że ani jeden pens nie zejdzie z tej sumy na piwo (albo ciuchy!).

Sorry, że nie odzywałem się tak długo. Byłem naprawdę zajęty. Szkoła latania zaczyna się w przyszłym tygodniu i szukałem dla siebie jakiegoś lokum. Będę mieszkał z kilkoma innymi chłopakami ze szkoły. Mieszkanie nie jest wypasione (tęsknię za numerem 31!), ale na rok wystarczy. Cieszę się, że wyprowadzę się z domu Daisy. Wszystko było bardzo miło i w ogóle, ale czuję się jak pasożyt. Dobrze będzie znów płacić swój czynsz i nie będę tęsknić za ich durnym psem, który każdego wieczora wlaził do mojego pokoju i wcinał moje skarpety! Jednego dnia musieli jechać z nim do weterynarza, bo połknął połowę ścierki!

Jeśli chodzi o Daisy, to wszystko gra. Jest w naprawdę dobrej formie i wystarczy tylko na nią spojrzeć, by wiedzieć, że wiejskie powietrze służy jej lepiej niż Londyn. Pracuje jako kelnerka w restauracji kumpla. Też tam pomagałem, zmywałem naczynia i takie tam, żeby trochę dorobić. Daisy zastanawia się nad kursem gotowania i chciałaby rozkręcić jakiś catering. Będzie w tym świetna. A gotować można wszędzie, w każdym miejscu na świecie.

Jej mama nauczyła mnie, jak ją rehabilitować. Właściwie to bardzo proste. A że ostatnio czuje się bardzo dobrze, to nie zabiera to nawet tyle czasu. Nie będę mógł tego robić, kiedy się wyprowadzę, ale przynajmniej wiem, o co w tym chodzi, jak już będziemy mieszkać razem. A jeśli chodzi o moje uczucia wobec jej choroby, to robię tak, jak powiedziałeś, po prostu zachowuję się, jakbym nie znał prawdy, i mamy razem frajdę. Jestem silnym facetem. Cokolwiek stanie się w przyszłości, dam radę. No, będę musiał...

Nawet mi się podoba tu, w tej zapadłej dziurze. Oczywiście, tęsknię za kumplami i

mamą, ale Londynu mi nie brakuje. A co u Ciebie? Przeprowadziłeś się już? Może też gdzieś na wieś. Dziwne, co?!

W każdym razie bardzo chciałem podziękować Ci za pieniądze. I za wszystko. Odezwę się znów, jak zadomowię się w szkole. I przeglądaj skrzynkę. Lada dzień dostaniesz niespodziewane zaproszenie!

*Wszystkiego dobrego
Con*

5 czerwca 2005

Toby Dobbs

Fairlights

31 Silversmith Road

London

N2 8AS

Najdroższy Toby!

I oto jestem w Katmandu! Nick wziął roczny urlop naukowy i wybraliśmy się w podróż dookoła świata. Objedziemy tyle, ile się da. Zaczęliśmy w Islamabadzie, potem Indie z przystankiem w Nowym Delhi, a następnie góry w Nepalu. Kolejny przystanek to Malezja. Niesamowity czas. Przyślę Ci pocztówki z każdego miejsca. Mam nadzieję, że jesteś szczęśliwy. Ja jestem!

Całuję

Jo xxx

Drogi Toby



Melinda i Jack ogłaszają swoje zaręczyny!

Z tej okazji zapraszamy na wspólne świętowanie w sobotę, 23 czerwca 2005

41 Cranmore Gardens, Londyn, N10 5TY

VISSER SCHOENMAKER SMIT Wydawnictwo literackie

Majątek Augustusa Veldtmana Na adres Toby'ego Dobbsa

Szanowny Panie Dobbs!

Pozwoli Pan, że się przedstawię. Nazywam się Lucia Schoemaker i reprezentuję pana Veldtmana w wydawnictwie. Bardzo zasmuciła mnie wiadomość o jego śmierci. Chociaż nigdy go nie spotkałam, mam wrażenie, że po tylu latach (więcej, niżbym chciała zliczyć!) osobistego reprezentowania jego wspaniałej książki, stał mi się bardzo bliski.

Piszę z dwóch powodów. Po pierwsze załączam tantiemy pana Veldtmana za okres od czerwca 2004 do września 2004 w wysokości 3,78 £, czyli standardową kwotę.

Po drugie zwracam się do Pana, by podzielić się interesującą propozycją, którą otrzymaliśmy z firmy produkującej programy telewizyjne w Holandii. Pan Veldtman miał w zwyczaju przysyłać nam swoje osobiste pamiętniki z adnotacją, że do jego śmierci miały one pozostać nietknięte, potem mogliśmy użyć je wedle uznania. Firma jest zainteresowana nakręceniem filmu dokumentalnego o panu Veldtmanie, o jego niezwykłym życiu, karierze aktorskiej, miłosnych historiach i, oczywiście, jego nadzwyczajnej książce. Zaproponowali nam 6000 euro za prawa autorskie do pamiętników, ze wzrostem do 60 000, kiedy projekt ruszy.

Uważam, że to bardzo hojna propozycja, i sugerowałabym przystanie na nią.

Jest tylko jedna kwestia. Ostatni pamiętnik otrzymaliśmy w 1992 roku i zastanawiam się, czy natknął się Pan po jego śmierci na jakiegokolwiek dalsze zapisy. Producentom firny bardzo na nich zależy, by mieć pełen obraz życia pana Veldtmana. Z tego, co wiem, spędził on w Pana domu ostatnie lata swojego życia, i jestem pewna, że był to bardzo interesujący okres w jego życiu.

Bardzo chciałabym poznać Pańskie zdanie. Z niecierpliwością czekam na wiadomość. I może, jeśli kiedykolwiek będzie Pan w Hadze, moglibyśmy się spotkać i wypić razem kawę.

*Z poważaniem
Lucia Schoemaker*

Toby obserwował odjeżdżającą sprzed domu ciężarówkę do przewodzących i wszedł do środka. Pokoje opustoszały, nie stał tu ani jeden mebel czy choćby roślina. Słońce przebijało się przez szyby we frontowych oknach, oświetlając naturalne piękno domu. Toby włóczył się przez chwilę po pustych wnętrzach, wędrował od pokoju do pokoju, zupełnie jak wtedy, kiedy po raz pierwszy zobaczył dom. Tamtego dnia marzył, by dom wyglądał tak pięknie. Leah miała rację, przekonując go, by dokończył remont. Gdyby tego nie zrobił, znacznie trudniej byłoby mu go teraz opuścić.

Powoli, jak tysiące razy wcześniej, pokonywał stopnie na piętro. Tupot stóp przypominał mu wolne, rytmiczne kroki Gusa, w górę i w dół, dzień za dniem. Zajrzał do pokoju Joanne, Ruby, Cona. A potem pokonał jeszcze jedno skrzydło schodów i wszedł do swojego pokoju. Na podłodze znajdowała się rolka taśmy i puste pudło. A w miejscu, gdzie stała szafa, leżał kawałek papieru:

Rzeczy do zrobienia

1. ~~Kupić nowe sofy.~~
2. ~~Isć do fryzjera.~~
3. ~~Kupić nowe skarpety.~~
4. ~~Zabrać się za kuchnię.~~
5. ~~Zabrać się za łazienki.~~
6. ~~Wezwać fachowców do wyceny remontu.~~
7. ~~Wezwać hydraulika do wyceny remontu.~~
9. ~~Pozbyć się lokatorów.~~
10. ~~Sprzedać dom.~~
11. ~~Przeprowadzić się do Kornwalii (?)~~
12. ~~Nawiązać współpracę z wydawnictwem (?)~~
13. ~~Rozwieść się.~~
14. ~~Przestać kochać Ruby.~~
15. ~~Zakochać się w kimś odpowiednim.~~
16. ZACZAĆ ŻYĆ.

Uśmiechnął się, wyciągnął długopis z kieszeni kurtki i z pełną satysfakcją pociągnął

grubą linię przez ostatnie dwa słowa.

86

Na parapecie usiadła mewa i maleńkimi, błyszczącymi oczami wpatrywała się w Leah. Kobieta przystanęła i obserwowała ptaka do czasu, gdy ten na dźwięk jakiegoś krzyku z oddali zerwał się i poszybował w błękitne niebo. Leah wyjrzała przez maleńkie okno mansardowe na plażę po drugiej stronie ulicy. Łodzie wypłynęły już z wężyczkami do połowu krabów. Linię wybrzeża pokryli wędkarze z zarzuconymi wędkami na witlinki, które wracały tu na jesień. Choć Leah mieszkała tu zaledwie od trzech miesięcy, zdążyła rozeznac się w zmianach zachodzących w wodnym świecie w zależności od pór roku; poznała prawa panujące wokół cypla, charakter przyływu, prawdopodobieństwo udanego lub kiepskiego połowu. Wiedziała też o problemach z nową dyrektorką szkoły podstawowej, że pani Wendle została zabrana do hospicjum w piątek wieczorem i że do piwa serwowanego w pubie Wielka Niedźwiedzica na rogu ulicy dolewano wody. Nie było trudno osiągnąć tę lokalną wiedzę. Wystarczyło spacerować po miasteczku, bacznie nadstawiając uszu. Wystarczyło rozmawiać z ludźmi.

Zeszła po schodach, po drodze schylając się, by uniknąć zderzenia z niskim sufitem, i zebrała pocztę leżącą przy drzwiach.

Toby przywitał ją szerokim uśmiechem.

— Herbaty? — zapytał.

— Z przyjemnością.

Pochyliła się i pocałowała go w usta, potem rzuciła pocztę na stół.

— O, zobacz. — Wyciągnęła gazetę spod sterty papierów. — Jest i gazeta.

— Fantastycznie. Zobaczmy.

Leah gorączkowo kartkowała strony.

— Zobacz! — obwieściła. — Jest!

Sea-Bay Usługi Aukcyjne

Zostaw to nam — sprzedamy to dla Ciebie!

12 Bayview Parade

The Seafront

Portscatho (tuż obok sklepu spożywczego Prowse)

Chciałbyś znaleźć nowy dom dla swoich starych pamiątek i bibelotów?

Nie masz czasu lub ochoty samemu zająć się ich sprzedażą?

Nie musisz już zawracać sobie tym głowy — my zrobimy to za ciebie.

Przynieś nam te wszystkie niepotrzebne rzeczy, a my wystawimy je na sprzedaż na aukcjach e-bay.

Nie ani zapłacisz pensa, póki nie spieniężymy twoich bibelotów!

CO MASZ DO STRACENIA?!

****WIELKIE OTWARCIE DZISIAJ, SOBOTA 13 SIERPNI****

Przynieś to ogłoszenie i wymień je na filiżankę herbaty i kawałek ciasta.

Bardzo chcemy cię poznać!

Toby Dobbs & Leah Pilgrim

— Wygląda wspaniale, prawda?

Toby pokiwał głową i uśmiechnął się. A potem spoważniał i spojrzał na kopertę leżącą na wierzchu. Pismo wyglądało dziwnie znajomo. Na kopercie był amerykański znaczek i adres Domu Pawia, list został preadresowany. Powoli otworzył kopertę nożem i wyjął odręcznie zapisane trzy kartki.

Drogi Toby!

Co mogę powiedzieć? Przepraszam to w tej sytuacji trochę za mało. Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam. Byłam, jak mi się wydaje, przerażona i wściekła. Natychmiast zadałam sobie sprawę, że popełniam błąd, wyprowadzając się z Timem, i spanikowałam. Wróciłam do domu. Chciałam zapytać, czy mogę zostać jeszcze parę dni, ale Ciebie nie było. I wtedy zobaczyłam forszę w Twoim pokoju i coś mnie napadło. Czulałam się tak, jakbyś mnie zawiódł, zostawił, kiedy potrzebowałam Ciebie najbardziej. Więc zabrałam całą kasę, pojechałam prosto na lotnisko i kupiłam bilet w jedną stronę do Stanów.

Mam za sobą prawdziwą podróż. Wpierw zatrzymałam się w hotelu w Chelsea. To dopiero był ubaw, być tam, gdzie wcześniej byli ci wszyscy niesamowici ludzie, gdzie Sid zabił Nancy. Potem znalazłam pokój w mieszkaniu na Lower East Side. Kilka tygodni później zagrałam na weselu, głównie cowry, ale wkręciłam też kilka moich nowych piosenek. I zgadnij

co — spodobały się takiemu jednemu facetowi, który kupił je ode mnie za 5000 dolarów. Jakiś girlsband ma je śpiewać, babki są ponoć bardzo sławne, ale ja nigdy o nich nie słyszałam.

Próbowałam przekonać tego gościa, żebym mogła brać udział w nagraniach, ale zgadnij, co powiedział? Powiedział: „Słuchaj, ślicznotko, świat nie potrzebuje kolejnej wyluzowanej dziewczyny z gitarą”. Bach! Ten zimny prysznic zmył cały blask ze sprzedaży piosenek. Trochę mnie to zdołowało. Wiem, wiem — nigdy nie doceniam tego, co mam. Nigdy nie mam dosyć, prawda?

Zaczęłam pić, całkiem sporo. Przepuściłam w ten sposób większość twojej kasy. Wkuzałam współlokatorów. I kiedy zagrozili, że mnie wykopią, zdałam sobie sprawę, że muszę odzyskać kontrolę nad własnym życiem. Więc zapisałam się do AA.

Tak, tak — słyszę tutaj Twój śmiech! Wiem, że trudno to sobie wyobrazić. Ale to wspaniałe. Robię program 12 Kroków i w ramach przywrócenia równowagi w moim życiu muszę naprawić wyrządzone zło, poprawić się, przeprosić. Napisałam do Tima i jego żony, przeprosiłam, że przeze mnie popieprzyło się w ich małżeństwie. A teraz zwracam się do Ciebie.

Toby, jesteś jednym z najwspanialszych ludzi, jakich poznałam w życiu. Musiałam wyprowadzić się od Ciebie, żeby to zobaczyć. Przygarnąłeś mnie, kiedy nie miałam nikogo innego, a ja jedynie lekceważyłam Ciebie i wykorzystywałam. W najśmielszych marzeniach nie potrafiłabym być tak dobra jak Ty i jest mi bardzo przykro, że zawiodłam Ciebie i Twoje zaufanie. Nie zasłużyłeś na to. Mam tylko nadzieję, że udało Ci się sprzedać dom, że wyprowadziłeś się i odnalazłeś swoje szczęście. Nikt tak jak Ty nie zasługuje na szczęśliwe zakończenie. Mam nadzieję, że kiedyś będziesz w stanie mi wybaczyć, ale jeśli nie, to zrozumieć.

Jeśli chodzi o mnie, to nie widać jeszcze szczęśliwego zakończenia. Napisałam kilka innych piosenek, ale nie chcieli ich. Żeby opłacić czynsz, pracuję w modnej, wietnamskiej restauracji w Greenwich Village. Od kilku tygodni nie tknęłam kieliszka i póki co to wystarczy. W końcu tam dotrę, wiem, że tak. A kiedy się tak stanie, to dam Ci znać. I może pewnego dnia będę w stanie kupić Ci lamborghini!

Z miłością i szacunkiem

Ruby xxx

Toby podał list Leah i westchnął. Kamień spadł mu z serca. Ruby żyła. Ruby była bezpieczna. Dzisiejszej nocy, po raz pierwszy, odkąd wyprowadził się z domu, Toby mógł zasnąć bez zastanawiania się, bez martwienia. Niemal po szesnastu latach ostatnie ślady Ruby zostały w końcu wymazane z ukrytych zakamarków jego świadomości.

— To dobrze, prawda? — odezwała się Leah, oddając mu list chwilę później. — Dobre wieści?

Toby pokiwał głową i uśmiechnął się.

— Bardzo dobre wieści.

— No to co? Gotowy do pracy?

Toby pokiwał głową. Zamknęli drzwi domku i razem ruszyli do swojego sklepu.

RS